

ANNA ROZENBERG

Nienawiść to płomień, którego nie da się ugasić

PUNKTY ZAPALNE



PUNKTY ZAPALNE

ANNA ROZENBERG

PUNKTY ZAPALNE



Copyright © Anna Rozenberg, 2021

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor inicjujący: Adrian Tomczyk

Redaktorka prowadząca: Agata Ługowska

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Aleksandra Deskur

Korekta: Agata Tondera, Marta Akuszevska

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografia na okładce: © Simon Goetz | Unsplash

Fotografia autorki na skrzydełku: Dominik Tamioła

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66839-92-2

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Moim Przyjaciołom.
Najbardziej –
Adrianowi K. i Asiulce M.

*Powiedz, kogo obchodzi gra,
z której żywy nie wychodzi nigdy nikt?*

Tom Waits, *Starving in the Belly of a Whale*,
przeł. Kazimierz Staszewski

PROLOG

Piątek/sobota, 01/02.11.2013, noc

Słup światła błędzący wśród traw zapowiada koniec mojej historii. Wstęgi mlecznej mgły nie ulegają pod naporem reflektorów. Mimo dużej odległości słyszę, jak żwir chrzęści pod kołami. Łąki mają cudowną akustykę.

Przytulony do lodowatej ściany pałacu jeszcze raz sprawdzam wszystko. Te kule dłużej ode mnie czekały, by odegrać swą rolę. Będę tylko ich posłańcem. Woda z mokradeł sforsowała moje buty i przeniknęła do stóp. Między palcami czuję wilgoć. Schowałem broń pod płaszcz. Długa kolba ziębi teraz zalany potem tors. Wstrząsa mną dreszcz. Nie denerwuję się. Jest mi zwyczajnie zimno. Powinienem był włożyć kalosze, tak jak radziła Ginny. Ona włożyła, ale jej rola nie wymaga wygodnego obuwia. Gdyby nie to, że wiem, gdzie stoi, nie zauważyłbym jej. Wciśnięta w narożnik ruin, wypuszcza maleńkie kłęby pary. Ostatni papieros. Jest śliczna, gdy się denerwuje. Oczy jej płoną, a rysy się wyostają. Chciałbym ją teraz zobaczyć z bliska, ale nie mogę. Czeka tak jak ja.

Broń zaczyna mi ciążyć. Wytrzymaj, myślę. Zaklinam zbolące mięśnie. Polowanie niedługo się zacznie. Jak na ironię stoję w zapomnianym pałacu myśliwskim, a raczej w tym, co z niego zostało. Kilka popękanych ścian daje dobry punkt obserwacyjny i osłonę, gdyby coś poszło nie tak.

Silnik zamilkł. Zwierzyna ostrożnie wychyla się z wozu jak królik z nory i chyłkiem przemyka do bagażnika. Rozgląda się nerwowo. Boi się. To dobrze.

Ostrze księżycy, ukryte do tej pory za chmurami, oświetla mokradła. Przykucam, by dłużej pozostać niezauważonym. Jesień nie zdążyła jeszcze pochować robactwa, a odtajała ziemia zionie próchnicznym oddechem.

Człowiek poznany przez internet jest dla mnie tajemnicą nawet teraz. Zbliża się do nas wolno, raz po raz potykając się o kępy trawy. Najwyraźniej ciężar, który dźwiga, przerasta jego możliwości.

Wysuwam się z cienia, dając mu chwilę na ocenę sytuacji. Obserwujemy się, ale nasze spojrzenia się nie krzyżują. Kiwam głową, by położył pakunek na ziemi, która niegdyś stanowiła podłogę w pałacu.

– Odsuń się! – Stalowy szept przecina ruiny i mężczyzna kładzie ostrożnie przesyłkę. Tej chwili bałem się najbardziej. Że głos mi zdradzi i zdradzi moje napięcie.

Ginny wyłania się zza węgła i niczym puma dopada do zawiniątka. Pospiesznie odwija materiał. Towar się zgadza. Gorliwie kiwa głową i z wysiłkiem podnosi pakunek, a po chwili znika w cieniu swojego posterunku. Rzucam torbę pod nogi i kopię w stronę przybysza. Klęka i sprawdza zawartość. Patrzy mi prosto w oczy.

– Nie znamy się.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Uśmiecha się chytrze, podnosi torbę i się oddala. Zaczynam odliczać w myślach. Wsłuchuję się w swój oddech. Przy dwudziestu przeładowuję broń. Zdążył się odwrócić. Nie uchwyciłem wyrazu twarzy, ale wyobrażam sobie jego przerażenie. Cichy pisk Ginny pokrywa się z wystrzałem.

Spodziewałem się szumu w uszach, dudnienia w falującej klatce piersiowej. Nic. Może dlatego, że nie miałem zamiaru zabić. Podchodzę do niego, a moje serce wolno pompuje gęstą, lodowatą krew. Patrę w przerażone oczy, z których wąską strużką uchodzi życie. Napawam się myślą, że jednym ruchem mógłbym skrócić jego cierpienie. Na to jednak jest jeszcze za wcześnie.

Stara ambona wygląda w morzu traw jak zgasła latarnia. Z jej dachu zrywają się ptaki.

ROZDZIAŁ I

*On był dziwnym wirtuozem –
Na organach ludzkich gra,
Budząc zachwyty albo grozę,
Myli się, lecz bal wciąż trwa.*

Tom Waits, *Starving in the Belly of a Whale*,

przeł. Kazimierz Staszewski

Sobota, 2.11.2013, popołudnie

Szedł szybko szpitalnymi korytarzami, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, choć inspektor David Redfern doskonale wiedział, dokąd go zaprowadzą. Krótkie odcinki między wiszącymi nad jego głową jarzeniówkami odmierzały czas, jaki pozostał do zderzenia się z bolesną rzeczywistością. Jednocześnie czuł, że powinien być teraz gdzieś indziej, że powinien biec innymi korytarzami.

Stanął przed uchylonymi drzwiami sali numer dwieście osiem, wciąż miętosząc żółty świstek. Odkąd wyciągnął go zza wycieraczki auta, zerkał na niego co jakiś czas, jakby chciał się upewnić, że to, co mężczyzna na nim napisał, nie zniknęło. Jednak litery uporczywie tam tkwiły, układając się w zdanie, które sprawiło, że drugi raz w życiu naprawdę się bał. Palacz uderzył w najprymitywniejsze instynkty.

Przy łóżku zastał tylko starszą kobietę. Pograżona w myślach, nie zauważyła jego nadejścia. Głaskała wystającą spod zielonego prześcieradła dłoń, wpatrzona w pompę, która z sykiem odmierzała każdy oddech. Staruszka na widok Redferna zacisnęła mocno szczęki i pokręciła głową, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa. Złamana płaczem ukryła twarz w dłoniach. Redfern poczuł, że nie powinno go tu być. Przełamał się jednak i wszedł dalej. Położył rękę na ramieniu Ruth Knight, która przytuliła do niej policzek, i razem patrzyli na śpiącego mężczyznę. David usiłował

wychwycić choćby cień dawnego Malcolma, ale w zapadniętej, bladej twarzy nie pozostało nic z hardego dowódcy.

– To było dla niego za dużo – powiedziała cicho. – Praca, wypadek Lindy...

Jej misterny srebrny kok rozsypał się i opadł na pomarszczony kark. Redfern zauważył, że spod ściągacza wełnianego swetra wystaje koronka nocnej koszuli.

– Co mówią lekarze?

– Nic sensownego. Malcolm jest silny, więc może z tego wyjdzie, ale prawda jest taka, że to był bardzo rozległy zawał. – Podniosła bezwładną dłoń męża do twarzy i pocałowała. – Zjedliśmy kolację na tarasie. Potem zaparzyłam mu ziół i długo rozmawialiśmy. Nie chcieliśmy siedzieć w domu, to pierwsza tak piękna jesień od lat...

– Jeszcze niejedna przed wami, Ruth – powiedział Redfern i podeszedł do drzwi. – Zajrzę do ciebie później, dobrze?

– Dziękuję, że przyjechałeś. Podobno jesteś na urlopie? – Uśmiechnęła się blado, po czym wskazała na jego pierś. – Wspaniała koszulka, Dave. Myślę, że mojemu Siwuskowi by się spodobała. – Pogładziła z czułością twarz męża i wszystko dookoła przestało dla niej istnieć.

Redfern zamknął za sobą drzwi i ze smutkiem pomyślał, że miło by było, gdyby ktoś mówił o nim per „mój”. Szedł wzdłuż korytarzy, starając się strącić z siebie przygnębienie. Na jednym z węzłów wsiadł do windy i przejrzał się w lustrze będącym ścianą kabiny. Koszulkę, która spodobała się Ruth Knight, dostał od Christophera Tinneya, młodszego kolegi z zespołu, kiedy rozwiązali sprawę Millerów. Redfern przeczytał w myślach napis: „I speak Polish. What’s your superpower?”.



Hotel Double Tree nie stracił nic ze swojego zapachu nowości, choć gdy Redfern wchodził, wydawało mu się przez chwilę, że wychwycił strzęp perfum, które jeszcze nie tak dawno wyczuwał na swojej koszuli. Od zniknięcia Marty Sokolińskiej minęło zaledwie parę dni i poza notatką od Palacza nie miał cienia dowodu na to, że dziewczyna została porwana. Ani że żyje.

Redfern zastanawiał się, czy tajemniczy mężczyzna, którego intencji wciąż nie znał, mógł posunąć się do porwania. W odczuciu policjanta odbiegałoby to od schematu. Nie był jednak pewien, czy można mówić o schemacie w przypadku człowieka, który najpierw usiłuje go przekupić, a gdy to nie pomaga, wysadza mu mieszkanie w powietrze.

Ponieważ na recepcji nie zastał nikogo, usiadł przy stoliku, przy którym kilka dni temu siedział z Martą. Jesień zaczęła krucznię przeciwko jego stawom, więc z ulgą rozciągnął się w fotelu. Na szybie ogromnego okna zauważył plakat ze zdjęciem dziecięcej buzi i z prośbą o kontakt, gdyby ktoś ją widział. Gdy Redfern patrzył na te zielone oczy, ogarnęło go nieprzyjemne przeczucie, że będą mieli z tym wiele kłopotu, bo Izabela Wolańska, pięcioletnia dziewczynka z Old Woking, zapadła się pod ziemię. Jego koledzy z komendy w pocie czoła szukali choćby strzępu dowodu w tej sprawie, ale nikt jeszcze nie wezwał Redferna do biura. Nim zdążył się zastanowić dlaczego, za kontuarem zobaczył znajomą twarz, która uśmiechała się do niego przyjaźnie.

– Pan policjant – zaczęła recepcjonistka, która kilka dni wcześniej przekazała mu nietypowy prezent od Marty. – Jak się miewa piesek? Słodziaczek się panu trafił.

Redfern wolał nie rozwódzić się nad słodkością Bandita, wciąż mając w pamięci stoczoną rano walkę o nowego adidasa, którego pies potraktował jako gryzak.

– Tak, jest fajny – odparł, po czym dodał: – Chciałbym porozmawiać o Marcie Sokolińskiej. Tak jak mówiłem pani przez telefon, pani Marta nie stawiała się na lotnisku. Jej rodzina bardzo się martwi – skłamał.

– Ojej, szykowałam się wtedy na urlop, więc niewiele pamiętam z tamtego wieczora – usprawiedliwiła się szybko kobieta. – Wiem tylko, że ta pani kazała mi odwołać taksówkę na lotnisko.

– Mówiła dlaczego?

– Powiedziała, że zabierze się z innym gościem hotelowym, który tego dnia też jechał na lotnisko Luton.

– Wie pani, kim on był? – zapytał, a lodowaty kamień wpadł mu do żołądka. Jeśli Palacz zbliżył się do Marty na tyle, by uznała, że bezpiecznie jest z nim podróżować, to był koniec. Odpowiedź, która padła, w ogóle go nie zaskoczyła.

– Nie, nie wiem. Tak jak mówiłam, następnego dnia jechałam na krótki wypad i to zupełnie zaprzętnęło moje myśli. – Pokręciła głową, ale zaraz potem dodała: – Ale wie pan, mogę sprawdzić, kto wymeldowywał się w tym samym momencie, co pani Sokolińska. Proszę dać mi chwilę.

Usiadła na krześle i skupiła całą uwagę na monitorze, ściągając brwi. Po kilku kliknięciach myszką rozpromieniła się i oznajmiła:

– Mamy szczęście. Tego wieczora wymeldowywała się tylko Margaret Nance i faktycznie zamawiała przez nas prywatnego kierowcę na Luton – odczytała z ekranu. – Kurs miała obsłużyć firma Star Cars.

– Czy mogę dostać jej numer telefonu? – zapytał, usiłując opanować dreszcz, który przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Powinien się cieszyć, a jednak z jakiegoś powodu czuł, że coś się nie zgadza.

– Oczywiście. Zaraz panu wydrukuję dane tej pani – odparła recepcjonistka.

Redfern nie miał zamiaru jej uświadamiać, że drukując dane Margaret Nance, łamie prawo. On sam stał na jego krawędzi. Marta nie była oficjalnie zaginiona, nie prowadził śledztwa w tej sprawie. Nagle pomyślał, że ostatnie śledztwo dotyczące zaginięcia prowadził z Adrianem, jeszcze w Narodowej Agencji do spraw Przystępności. Obiecał sobie wtedy, że już nigdy nie będzie nikogo szukał.

– Proszę. – Dziewczyna podała mu ciepłą kartkę z drukarki, wskazując na rząd cyfr. – Zaznaczyłam panu numer telefonu. Mam nadzieję, że pani Sokolińska się znajdzie. Była bardzo miła. Chcielibyśmy zawsze mieć takich gości.

– Mhm – mruknął Redfern i pożegnał się, zamyślony.

Zastanawiał się, czy zadzwonić do Margaret Nance od razu. Do spotkania z Robem Maletzkym miał jeszcze pół godziny i obawiał się, że kolega nie będzie wyrozumiały, jeśli Redfern się spóźni. Odpalił więc silnik i pojechał prosto do jednostki straży pożarnej.

Sympatycznego strażaka dostrzegł na ulicy. Łysiejący blondyn szedł wzdłuż Guildford Road, trzymając w ręku siatkę z Morrisona. Redfern dostrzegł w niej znajome pudełko. Zaparkował pod jednostką i poczekał, aż mężczyzna się z nim zrówna. Otworzył drzwi, by wysiąść, ale Rob dał mu znak, żeby został w środku.

– Nie myślałeś o zakupie samochodu? – zagadał, gdy tylko wcisnął się na siedzenie. Torba, która zwisała z jego ramienia, powędrowała na

wycieraczkę.

– To JEST samochód – odparł Redfern, przyglądając się, jak Maletzky rozpakowuje paczkę ptasiego mleczka i wpycha sobie jeden kawałek do ust.

– TO jest samochód. – Mężczyzna wskazał na zaparkowanego w głębi uliczki citroëna berlingo.

Redfern westchnął i sięgnął do pudełka, które nagle odjechało spod jego ręki.

– Mało mam – ofuknął go strażak, ale zaraz potem się roześmiał i podsunął Redfenowi paczkę. – Masz, przyda ci się na osłodę tego, co zaraz usłyszysz.

– Dajesz.

– Dziś rano otrzymałem ekspertyzę z twojego mieszkania – powiedział poważnie. – Nie będziesz zachwycony wynikiem.

– Wybuch gazu, jak sądzę?

– Dobrze by było... – Mężczyzna popatrzył twardym wzrokiem, a po rozszerzonych źrenicach inspektor poznał, że miał w zanadrzu prawdziwą bombę, choć tego ostatniego słowa wolałby nie usłyszeć w następnym zdaniu Maletzky'ego.

– Jak to? To nie był gaz?

– Był – odparł strażak, a inspektor odetchnął w myślach. – Problem polega jednak na tym, że nieprzypadkowy. – Zrobił pauzę. – Źródło wybuchu odkryliśmy natychmiast. Z początku myślałem, że to przerdzewiała rura gazowa za meblami w kuchni. Rzadko się to zdarza, ale jednak. I nie pomyliłem się ani o jotę – ciągnął, ważąc każde słowo. – Tyle że coś nie dawało mi spokoju i oddałem próbki do dalszej analizy. Okazało się, że na miejscu przerdzewienia jest jeszcze coś oprócz rdzy.

– Możesz jaśniej?

– Już, już. – Mężczyzna sięgnął do torby i wyciągnął z niej zielony folder. Rozłożył na kolanach jego zawartość, którą stanowiły dokumenty i zdjęcia. Jedno z nich podsunął Redfernowi. – Nie będę cię zanudzał wykładem z chemii, ale rzuć na to okiem. Widzisz te różowe i niebieskie plamy?

– Widzę – oznajmił inspektor, patrząc na fotografię wykonaną przez mikroskop, na której majaczyły różnokolorowe mazaje.

– Normalnie na takiej rurce powinno być więcej plam różowych, czyli obszarów katodowych. – Rob wskazał palcem. – Jeśli mamy dużo granatowego, czyli tak zwanego błękitu pruskiego, to znaczy, że miejsce

korozji było uszkodzone. Są to miejsca anodowe, co raczej na takich rurach się nie zdarza. Jeśli już, to na zgięciach, kolankach, gdzie dochodzi do stresu mechanicznego. Oczywiście dopuszczam taką możliwość, ale musiałyby to trwać ze czterdzieści lat, a twój blok był wybudowany – zerknął w dokumenty – w dziewięćdziesiątym piątym.

– No to może właśnie mnie się to przydarzyło?

– Też bym chciał w to wierzyć. Jednak w miejscu ulatniania się gazu znalazło się jeszcze coś. Co ci mówi odczynnik ferroksoxydowy?

– Właściwie to nic – odparł zgodnie z prawdą inspektor.

– To substancja, która przyspiesza rdzewienie – wyjaśnił Maletzky. – Gdy dołożymy do tego utleniacz i jakieś uszkodzenie mechaniczne, to mamy bombę z opóźnionym zapłonem.

– Czyli uważasz, że ktoś celowo użył tego odczynnika, aby wysadzić mnie w powietrze?

– A masz inne wyjaśnienie?

– Rob, to nie Chicago, tylko zapyziałe angielskie miasteczko – obruszył się Redfern.

– Tym bardziej dziwi mnie zamach na policjanta.

Redfern poczuł, że ciśnienie rozsadza mu czaszkę. Do tej pory uważał, że spiesząc się na akcję w Małym Domku, przez nieuwagę zostawił odkręcony gaz. Nagle stanął mu przed oczami widok, który dawno wyparł z pamięci – uchylona szafka pod zlewem, gdy parę tygodni temu znalazł kopertę od Palacza. Słowa Maletzky'ego spadły na niego całym swym ciężarem: zamach na policjanta. Huczało mu w głowie.

– Jak długo możesz to zachować dla siebie? – odezwał się po chwili Redfern.

– Prosisz o zbyt wiele, Dave. – Strażak pokręcił głową, wpatrując się w deskę rozdzielczą.

– Dorwę skurwysyna, który to zrobił, ale nie mogę mieć na karku prokuratury. Zrozum, Rob.

– Dave, nie chcę wylecieć z roboty. Właściciel budynku strzela z dupy, bo chce kasę z ubezpieczenia, a bez ekspertyzy nic nie może zrobić – mówił gorączkowo. – Poza tym jeśli coś ci się stanie i wyjdzie na jaw, że wiedziałem o tej rurze, to będzie arma-kurwa-gedon!

– Nic mi się nie stanie. – Silił się na luz. – Znasz mnie, zawsze spadam na cztery łapy.

– Nawet nie chcę wiedzieć, w jakie gówno wdepnąłeś – westchnął Rob.
– A ja bym chciał – odparł sucho Redfern i sięgnął po czekoladkę. – Muszę mieć tylko trochę czasu.

Rob chwilę mierzył inspektora wzrokiem, po czym spakował pozostałe ptasie mleczko do reklamówki i rzekł nieprzekonany:

– W porządku... Ostatecznie mogę przekazać materiał do powtórnej analizy, ale będziesz miał maksimum tydzień. Nic więcej nie mogę zrobić.

Redfern pokiwał głową w milczeniu.

– Skoro już przy tym jesteśmy – dodał strażak. – Potrzebujesz czegoś? Słyszałem, że od wybuchu mieszkasz kątem u krewnych. To już tylko krok od bezdomności.

– U dziadka – poprawił go Redfern.

– Uuu, to nie za wesoło, co?

– Jest OK. Mam gdzie spać, na łeb się nie leje.

– No bardzo optymistycznie stary, bardzo. Jakbyś jednak potrzebował odetchnąć, to u mnie też na łeb się nie leje, bo u mnie leje się do kufla – zaśmiał się.

– Dzięki, stary – rzekł Redfern.

– Musimy sobie pomagać – odparł Maletzky, po czym wysiadł i podniósł rękę na pożegnanie.

We wstecznym lusterku Redfern zobaczył swoją twarz – bladą, dziką i wychudzoną bardziej niż zazwyczaj. Jedyne miejsce, które teraz przyniosłoby mu jakąkolwiek ulgę, znajdowało się zaledwie dziesięć minut drogi od jednostki, więc zatrzasnął drzwi samochodu i odjechał niespiesznie.

Szedł wolno, starając się nie przeszkadzać modlącym się ludziom. Cmentarz był pogrążony w mroku i tylko małe, świetliste enklawy przypominały śmiertelnym, że świat jest odwiecznie podzielny przez dwa. Podpalone knoty w szklanych słoikach przywiodły Redfernowi na myśl przypowieść biblijną, którą matka czytała jemu i siostrze, gdy byli mali. Tę o krwi na drzwiach, żeby Bóg wiedział, kto z nami, a kto przeciw nam. W dzień zaduszny na mapie cmentarza Brookwood ciemnymi plamami odznaczali się niekatolicy i Redfern pomyślał, że zamiast tutaj powinien jak zawsze pojechać do Polski i zapalić znicz na grobie matki. W tym roku było to ponad jego siły.

Mijając wyłożone dywanem liści aleje, zastanawiał się, co zrobić. Miał mętlik w głowie – jego myśli wirowały między Robem a Martą. Powinien zadzwonić teraz do Margaret Nance i dowiedzieć się, co stało się z Sokolińską, ale zbyt żywo huczały mu w głowie słowa Maletzky’ego: zamach na policjanta. Jednak im dłużej je powtarzał, tym bardziej traciły na sile. Redfern zdawał sobie sprawę, że to nie był styl Palacza. On nie działał w silnej ofensywie, zostawiał sobie duży margines cienia, po którym mógł poruszać się swobodnie, bez ryzyka zdemaskowania.

Miał kilka dni na znalezienie zamachowca i żadnych przypuszczeń co do jego tożsamości. Musiał z zakamarków pamięci wydobyć osobę, której uraza była na tyle świeża, by pchnąć do morderstwa. Bądź przeciwnie. Może wcale nie chodziło o coś nowego. Może musiał się zastanowić nad raną, która była tak głęboka, że nie pozwalała zapomnieć. Co sprawiło, że została rozdrapana na nowo?

Skręcił w stronę komunalnej części cmentarza i zatrzymał się nad grobem Jana Jafry. Choć wiedział, że mogiła skrywała ciało kogoś zupełnie innego, odpalił zgasły przedwcześnie znicz, który zapewne postawił tu na Wszystkich Świętych Julian Miller. Niejednokrotnie myślał o chłopaku, którego przez stare rodzinne tajemnice los pozbawił najbliższych.

Redfern usiadł na przylegającej do parceli ławce i upewniwszy się, że nie ma nikogo w pobliżu, wyciągnął telefon oraz kartkę, którą dostał od recepcjonistki z Double Tree. Wybrał numer, a po chwili usłyszał kobiecy głos.

– Margaret Nance?

– Yyy... tak. O co chodzi?

– Dobry wieczór. Nazywam się David Redfern i jestem – zawahał się – partnerem Marty Sokolińskiej.

– Kogo?

– Marty Sokolińskiej – powiedział z irytacją. – Poznała ją pani w hotelu, w Woking.

– Racja, teraz sobie przypominam – odparła kobieta. – Co z nią?

– Udały się panie razem na lotnisko Luton.

– Zgadza się. Leciałam do Barcelony parę godzin przed Martą i postanowiłyśmy jechać jedną taksówką. Zawsze to taniej.

– Oczywiście – zgodził się Redfern. – Problem polega na tym, że Marta nie dotarła do samolotu.

– Mówi pan poważnie? – zaniepokoiła się kobieta. – Wysiadaliśmy razem z taksówki przy lotnisku i pożegnaliśmy się. Pobiegłam do odprawy, bo przez korki byłam trochę spóźniona. Więcej jej nie widziałam.

– A czy mogę wiedzieć, dlaczego nie leciała pani z lotniska Bradford, skoro mieszka pani w Leeds? – Zerknął na kartkę z hotelu.

– To już moja prywatna sprawa, panie Redfern – obruszyła się i zanim David zdążył cokolwiek powiedzieć, dobiegło go wściekłe: – Życzę miłego dnia!

Wąty płomień znicza chwiał się od wzmagającego wiatru, trzaskając i wysyłając w niebo małe snopy iskier. Wreszcie poddał się w tej nierównej walce, oddając ostatnie tchnienie, które szarą smugą uleciało w stronę ciemniejszego miasta.

Redfern odpalił znicz ponownie. Znalazł obok grobu ażurową pokrywkę i przykrył skrzętnie, zastanawiając się, co dalej. Bez nakazu nie mógł zażądać od lotniska nagrań z monitoringu, a przesłuchanie taksówkarza wydawało mu się bez sensu. Jedyne, co mógł zrobić, to poprosić o pomoc.

Agent Zheng podniósł słuchawkę dopiero za trzecim razem. Redfern zdawał sobie sprawę, że przy trójce dzieci odbieranie wieczornych telefonów od starego kumpla z pracy jest ostatnie na liście priorytetów.

– Zaskocz mnie i powiedz, że jedyne, czego potrzebujesz, to zaprosić mnie na drinka – rozpoczął, zanim Redfern zdążył otworzyć usta.

– Nie tym razem, kochanie – odparł.

– Ech, i cały romantyzm szlag trafił – westchnął policjant. – A więc co cię sprowadza?

– Wiem, że masz jakieś chody w Leeds. Potrzebuję się dowiedzieć czegoś na temat Margaret Nance. Podobno tam mieszka. – Redfern rozłożył kartkę i przedyktował agentowi dane kobiety.

– Co przeskrobała?

– Na razie kręci – odparł wymijająco. – Sprawdzisz ją dla mnie?

– Zgoda, ale wiesz, że czuję się wykorzystywany.

W tle David usłyszał płacz dziecka i kobietę, która coś krzyczała po chińsku.

– Wszystko ci wynagrodzę, maleńki – zażartował i rozłączył się.

Sobota, 2.11.2013, wieczór

Z korytarza dobiegł go dźwięk kuchennej krzątaniny. Po jego intensywności domyślił się, że Bohdan Siwiaszczyk nie jest w najlepszym nastroju.

David stracił nadzieję na podzielenie się z dziadkiem swoimi wątpliwościami. O mało nie potykając się o Bandita, wszedł do kuchni i zobaczył szorującego patelnię mężczyznę.

– Późno już – fuknął na powitanie Siwiaszczyk.

– To czemu nie śpisz?

– Bo czekam na ciebie.

– Jest dopiero ósma – bronił się David, czując, że narasta w nim gniew. Zdążył już odwyknąć od współlokatorów, a do takich, którzy rozliczali go z czasu spędzonego poza domem, nie przywykł nigdy. Wiedział, jakich argumentów użyje starszy człowiek, więc nie był zaskoczony tym, co usłyszał.

– Jest ciemno.

– Byłem na cmentarzu – wyjaśnił Redfern, zły na siebie, że tłumaczy się jak nastolatek.

– No tak, dziś Zaduszki. – Dziadek pokiwał głową ze zrozumieniem. – Tosi by się to spodobało.

– Wezmę psa na spacer. – Wycofał się z dyskusji o matce, czując, jak złość przejmuje nad nim kontrolę.

– Bambi już był na spacerku – powiedział z czułością Bohdan do berneńczyka, który właśnie usiadł u jego stóp.

– Pamiętałeś, żeby wziąć woreczki?

– Ech, zawsze mi to z głowy wychodzi. – Machnął ręką, rozchlapując wszędzie wodę.

– Kiedyś przywalała ci za to karę – stwierdził Redfern i starł z twarzy zimne krople. – Musisz sprzątać po psie.

Nie zwracając na to uwagi, Siwiaszczyk zakręcił kran i odkroił z leżącej na blacie kielbasy gruby plaster. Rzucił psu, który pochwycił go w locie jak gigantyczną muchę.

– Nie karm go byle czym – rzucił David.

– To nie jest byle co – odparł dziadek i wytarł ręce w spodnie. – Świeżutka toruńska z polskiego sklepu, a nie jakaś tam gotowana padlina z ryżem.

– Pójdę się położyć – westchnął Redfern i podszedł do drzwi.

– A co z mieszkaniem? Byłeś u tego strażaka? – rzucił Siwiaszczyk, gdy David mijał próg kuchni. – Wpadasz tu jak po ogień i nic nie mówisz. Wszystko trzeba z ciebie wyciągać wołami.

David cofnął się i usiadł, zbyt zmęczony, by odeprzeć atak. Nie mógł powiedzieć staruszkowi prawdy.

– Dostaniesz jakieś odszkodowanie?

– Jak tylko zakończy się dochodzenie i agencja ubezpieczeniowa otrzyma komplet dokumentów.

– A czego tu dochodzić? – irytował się Siwiaszczyk. – Walnęło aż miło! Straciłeś cały dobytek!

Redfern pochwycił ostatnie słowo i obracał nim w myślach. Może zamachowcowi wcale nie chodziło o śmierć policjanta, a jedynie o to, co znajdowało się w mieszkaniu?

– A co z tą Martą? Znalazła się? – Dziadek wyrwał go z zamyślenia.

– Nie – odparł – ale teraz mam trochę luzu w firmie, to będę mógł się tym zająć.

Podźwignął się z krzesła, ale stawy odpowiedziały palącym bólem. Redfern zaskoczony podparł się o stół, czego Siwiaszczyk nie zauważył. Ostatnie dni były dla inspektora łaskawe i uspiły jego czujność względem tocznia, na którego cierpiał od paru lat. Z chorobą starał się radzić sobie po męsku, przemilczając zeszywnienie stawów, zapalenie mięśni i kolejne rewelacje, które słyszał od lekarzy w szpitalu St. Peter's. Dziesięć lat, panie Redfern, może dwanaście, jeśli nerki się uspokoją, powtarzał w myślach.

Życzył dziadkowi dobrej nocy, wyprostował się z trudem i poszedł do swojego pokoju. Z kieszeni rzuconych na krzesło spodni wyjął naproxen i włożył do ust, krzywiąc się od oblepiającej język gorzkiej papki. Sięgnął po stojącą przy łóżku butelkę starej wody, ale zapach, jaki wydzieliła przy otwieraniu, sprawił, że Redfern odstawił ją z obrzydzeniem i przełknął tabletki.

Położył się i czując, jak żołądek zmienia mu się w gorący kamień, próbował zasnąć. Myślał o Marcie i o tym, gdzie powinien zacząć jej szukać. Zanim jednak umysł podsunął mu jakiegokolwiek rozwiązanie, Redferna zabrało miękkie i ciepłe ramię snu, które odsunęło się gwałtownie kilka godzin później, kiedy rozdzwonił się telefon.

Niedziela, 3.11.2013, rano

Rzut oka na podjazd wystarczył mu, by stwierdzić, że to będzie ciężki dzień. Zaparkowany niedbale pusty land rover w żółto-niebieską szachownicę wskazywał, że wbrew jego zaleceniom technicy rozpoczęli swoją robotę. Normalny radiowóz nie wzbudziłby na tej ulicy sensacji. Zatrzymywał się tu kilka razy w tygodniu, zmieniając jedynie numer domu.

Od przeszło piętnastu lat w Woking na Monument Road policja zawsze miała co robić – włamania i awantury domowe były tu na porządku dziennym. Z wyjątkiem numeru dwadzieścia jeden, pod którym Redfern teraz stał. Odróżniał się od pozostałych nie tylko brakiem wezwań pod sto jeden, ale i architekturą. David był przekonany, że wybudowali go zakochani w baroku Włosi. Wmurowana w fasadę tablica z rokiem tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym sugerowała jednak, że to dzieło budowniczych, którzy prawdopodobnie zaczęli swą pracę z dwóch końców działki i spotkali się mniej więcej w połowie. Ten od tyłu budował wiktoriański dom, a drugiego, któremu przypadła praca nad frontem, inspirowała Maria Stuart. Architektoniczny koszmar zaczynał się obszernym wjazdem uzbrojonym w kolumny, na których stały odlane z betonu orły. Próbując dogonić nowoczesność, w oczy ptaków wsadzono pomarańczowe diody, które świeciły nawet za dnia. Wyłożony kawałkami marmuru pojazd wyglądał, jakby ktoś za pomocą zaprawy murarskiej próbował skleić porcelanową filiżankę. W głębi podjazdu cztery bogato zdobione kolumny wspierały niewielki balkon, okolony barokową balustradą. Redfern patrzył z niesmakiem na fontannę strojną w alabastrową winorośl, ptaki i sikającego na wszystko cherubinka. Gdzie kończył się barok, tam brutalnie zaczynał modernizm. Do białego niegdyś balkonu drugi architekt dokleił angielski dom – psią budę ze spadzistym dachem i wykuszowym oknem.

Tłum gapiów w dżubbach wyglądał, jakby ktoś wszczął nocny alarm w secesyjnym hotelu. Rozstąpili się dopiero, gdy Redfern parkował na chodniku. Ulica tutaj była wyjątkowo wąska, więc nie zamierzał dodatkowo utrudniać i tak spowolnionego ruchu. Wsiadł z auta i napisał SMS-a do Summer, a następnie przecisnął się przez spragnionych widowiska ludzi, zostawiając ich po drugiej stronie policyjnej taśmy. Po chwili otrzymał wiadomość zwrotną: „Jestem w Old Woking”. Zadzwoił do Tinneya, ale ten nie odebrał. Po chwili Redfern wiedział już dlaczego. Młody policjant właśnie przeciskał się pod taśmą.

– Cześć, szefie! – przywitał się, dysząc. Jego coraz bardziej wydatny brzuch sprawiał, że posterunkowy był coraz mniej podobny do Tin Mana z amerykańskiej adaptacji *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, od którego wzięła się jego ksywa.

– Co tam się stało? – Puszka wytrącił inspektora z zamyślenia.

– To się jeszcze okaże – mruknął Redfern i poszedł w stronę domu, a Christopher Tinney podążył za nim.

Drzwi były otwarte. Redfern minął w holu kierowcę karetki, który jedną dłonią zakrywał usta i nos, drugą wskazał mu schody na górę.

Ekipa techniczna uwijała się w domu niczym mrówki przy truchle polnej myszy, zbierając szczypcami nawet najmniejsze drobiny. Przed drzwiami w końcu korytarza stało dwóch policjantów, których Redfern kojarzył z posterunku. To oni otrzymali zgłoszenie o zabójstwie. W drodze na Monument Road dowiedział się, że ofiarami są pięćdziesięcioletni taksówkarz i jego żona, Muztar i Sadia Abbasi. Znalazła ich jedenastoletnia córka, która zadzwoniła na policję.

W głębi pokoju dostrzegł bordową tapetę, nietypową wśród jedynych słusznych kolorów magnolii i mięty. Redfern, przywitawszy się z policjantami, wszedł do sypialni i szybko się przekonał, że to nie kolor, a rodzaj farby był nietypowy. Ściany pokrywały smugi krwi.

Pierwsza myśl, która mu się nasunęła, to że było jej za dużo jak na dwie ofiary, o których mówiło zgłoszenie. Ściany, szafa przesuwana, łóżko, zasłony zdawały się zlewać w jedno. Przy każdym kroku spod wykładziny wypływała brązowawa, gęsta breja. Słodkawy trupi zapach nie pozwalał oddychać i Tinney opuścił pomieszczenie. Redfern też czuł, że za chwilę zwymiotuje, więc na wszelki wypadek nie otwierał ust.

Nad leżącymi w łóżku zwłokami zawisnął Ted oraz główny technik, Matt, jedyna bratnia dusza, jaką Redfern znalazł wśród tutejszej policji. Wąsaty mężczyzna klęknął i zebrał pęsetą do woreczka leżącą na podłodze chusteczkę higieniczną.

– Tylko mi się tu nie zrzygaj – rzucił patolog, nie odrywając wzroku od ciała, jak się zdawało, mężczyzny. Wskazał brodą walizkę, z której wystawały małe tekturowe miski. – Bo nam zapaskudzisz miejsce zbrodni.

– OK. – Redfern zdążył już przywyknąć do smrodu, ale i tak na wszelki wypadek zakrył twarz zgięciem łokcia. Zapach kurtki uspokoił rozszalały żołądek.

– Niezła rzeź, co? – rzucił Ted.

– Mhm – mruknął Redfern. – Masz już coś?

Zasłonięta maską twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Jedynie przyklejone do czoła blond włosy sugerowały zdenerwowanie. David jednak znał Teda na tyle, by wiedzieć, że trudno wytrącić go z równowagi. Przez wiele lat pracował w West Yorkshire, które uchodziło za najniebezpieczniejszy region Anglii. Rocznie dochodziło tam do największej liczby napaści z użyciem noża, a kradzieże były na porządku dziennym. Stale zwiększający się miks kulturowy pogłębiał tę statystykę. Czując nadchodzące przemęczenie, Ted przeniósł się do Surrey, gdzie przestępczość była wyjątkowo niska.

Jego kombinezon wyglądał teraz jak fartuch niewprawnego malarza, który w swej twórczości używa jedynie brunatnych odcieni.

– Dekapitacja – powiedział. – Nie znam bezpośredniej przyczyny zgonu, ale mogę przypuszczać, że w obu przypadkach to było właśnie to. – Wskazał na nierówne brzegi rany na szyi. – Nie widzę śladów walki, ale nie będę nic wróżył, póki ich umyjemy.

– Wiemy, jak sprawca dostał się do środka? – zwrócił się Redfern do Matta.

– Drzwi balkonowe były zamknięte, więc musiał wejść przez otwarte okno. Nie ma śladów włamania – odparł technik.

– Ten szalony listopad topi w ludziach zdrowy rozsądek – skrzywił się Ted.

– Jezu! – usłyszeli kogoś koło wejścia.

Prokuratorka Bente Hansen stała w progu i ze zgrozą patrzyła na lustrzane drzwi szafy. Jej zalane krwią odbicie przywodziło na myśl plakat horroru z lat dziewięćdziesiątych.

– Skąd tu tyle krwi? – spytała, starając się nie patrzeć na zwłoki.

– Pani nie panikuje. – Ted wzruszył ramionami i ściągnął maskę. – To krew zwierzęca. Świni konkretnie – zawyrokował. – Państwo wybaczą, ale muszę zapalić.

Kiedy Ted zniknął w korytarzu, starszy technik wstał z kolan i schował kolejną plastikową torebkę do walizki.

– Sprytny jak cholera – zawyrokował. – Ta krew praktycznie zatarła wszystkie ślady. Nawet jeśli wlaź tu w ubłoconych butach, to nie zostawił żadnego odcisku na wykładzinie.

– Co w pierwszej kolejności przychodzi panu do głowy, inspektorze? – Bente Hansen zwróciła się do Redferna, choć był pewien, że nie oczekuje pomysłów, lecz potwierdzenia własnych myśli.

– To samo, co pani – odparł. – Tło religijne.

Matt wciągnął powietrze przez zęby, wydając cichy syk.

– Będzie chryja na całe Surrey – powiedział i wyszedł z pokoju.

Duża Elsa podeszła ostrożnie do ciała kobiety ubranego w jedwabną koszulę nocną. Jej wzrok skupił się na nieomkniętych powiekach i gęstych rzęsach, spod których prześwitywały przekrwione białka. Smukła twarz nosiła znamiona swojego wieku, a jednak ani grymas, ani liczne zmarszczki nie były w stanie ukryć pięknych rysów. Kropelki krwi osiadłe na długich włosach posklejały je gdzieniegdzie, przez co wyglądała, jakby unosiła się na falach czarnej wody.

Głowa mężczyzny była zwrócona w stronę żony. Jedno oko miał uchylone, jakby walcząc z przerażeniem, sprawdzał, czy to, przed czym zamknął powieki, na pewno jest prawdą.

– Dave, wiadomość o krwi nie może się przedostać do mediów. – Prokuratorka przerwała ciszę. – To za wszelką cenę musi pozostać tajemnicą.

– Mamy zbyt wielu świadków, trójka dzieci ofiar...

– Dwójka – przerwał mu Ted, wchodząc do pokoju. – Jeden z mundurowych powiedział mi na papierosie, że nie udało się znaleźć młodszego syna tych biedaków. W każdym razie pani prokurator ma rację, jeśli ktoś dowie się o krwi, rozpęta się piekło.

Niedziela, 3.11.2013, wieczór

Słońce chyliło się ku zachodowi, wpuszczając do domu długie cienie, które czyniły go jeszcze upiorniejszym. Redfern był zmęczony, ale chciał wszystko obejrzeć bez błysku fleszy i szumu, który robili ludzie. Słyszał deszcz miarowo bębniący o spadzisty dach. Cieszył się, że zdążyli zebrać ślady z ogrodu. Deszcz sprzyja mordercom, pomyślał.

Redfern rozglądał się po domu, starając się zrozumieć, co zaszło. Przeszedł przez salon, minął długi korytarz i wszedł na schody. Każdy ze stopni wydawał z siebie cichy jęk.

W pokoju córki ofiar panował bałagan typowy dla wieku, kiedy dzieci bawią się wszystkim naraz i nie mają czasu sprzątnąć po poprzedniej

zabawie. Na podłodze leżały lalki, którym ktoś przerwał popołudniową herbatkę, w kącie pluszaki mieszały się z przyborami do malowania i strojami na bal przebierańców. Z kolorowej sterty wystawało coś, co nie pasowało do reszty – mały bordowy krawat w srebrne paski. Redfern przerzucił parę rzeczy w poszukiwaniu całego szkolnego uniformu. Po chwili trzymał w rękach bluzę, do której przyszyto emblemat – godło szkoły podstawowej Westfield. Żeby do niej dojechać, trzeba przebić się przez całe miasto, które w godzinach szczytu nie pobrzmiwa szumem opon, a jedynie klaksonami zatrzymanych w korkach aut. Najbliższa podstawówka była pięćset metrów stąd. Redfern zastanawiał się, jak dziewczynka dostała się do Westfield, skoro rejonizacja uczniów jest tak restrykcyjna. Zapisał to w notatniku.

Przez otwarte okna ściągały obudzone zapachem krwi stada much. Zwabione wizją łatwego posiłku obsiadły wszystko, co było oblepione brązową mazią. Redfern słuchał ich bzyczenia przez cały dzień i nawet gdy stał w pokoju syna ofiar, wydawało mu się, że wciąż dochodzi go ten dźwięk. Ze sporządzonego naprędce wywiadu dowiedział się, że dzieci dzieliła spora różnica wieku i Ansar Abbasi już dawno przestał być chłopcem. Ponad dwudziestopięcioletni mężczyzna nadal mieszkał przy 21 Monument Road, Redferna to zdziwiło. Stworzył kolejną notatkę i uzupełnił narysowany wcześniej plan pierwszego piętra.

Łóżko w kącie pokoju pozostawione było w nieładzie. Niezmieniana od dawna pościel przybrała szarawy odcień i wypełniała pomieszczenie wstrętnym zapachem niemytego męskiego ciała. Do ściany oddzielającej pokój od sypialni ofiar przylegała meblościanka. W pierwszej chwili Redferna zaskoczyły wypełniające ją książki. Ostatni raz tak okazała bibliotekę widział w pałacu Polesden Lacey. Rozsunięte zasłony obdarły go ze złudzeń. Nie był to pokój mola książkowego, a dorosłego dzieciaka, który zapadł się w stworzony przez PlayStation świat. Wyłowił wzrokiem kilka nic niemówiących tytułów: *Left 4 Dead*, *Killing Floor*, *Silent Hill*. Wyciągnął jedno z pudełek. Na okładce *Splatterhouse* znajdowała się narysowana czerwonym sprayem czaszka, która z pewnością nie należała do człowieka. Krzykliwe hasła: *Bloody brutal! Hard-core gore devastating weapon* oraz screen shoty z tyłu zapowiadały naprawdę brutalną grę. Kolejne pudełko – *Punisher* i kolejna witalna rzeź. Redfern z obrzydzeniem odstawił wszystko na półkę.

Ansar oddawał się swojej pasji, siedząc na obszernym skórzanym fotelu. Dwa niemalże identycznie wytarte kontrolery wskazywały, że często miewał gości o podobnych upodobaniach albo jednego stałego. Na tablicy korkowej Redfern zobaczył kilka zdjęć z imprez; na jednym z nich Ansar obejmował jakiegoś chłopaka, na innych otaczał się wianuszkami dziewczyn. Zastanowiło go, czy prowadząc tak intensywne życie towarzyskie, mężczyzna miał czas na pracę. Zarzucony na fotel niebieski polar z napisem „Tesco” przyniósł natychmiastową odpowiedź.

Sypialnię Sadii i Muztara inspektor celowo zostawił na koniec. Nie tylko po to, by noc sprzątnęła wszędobylskie muchy, ale przede wszystkim by odtworzyć mroczną scenerię z nocy morderstwa. Zgasił wszędzie światła. Deszcz ustał, zostawiając po sobie przyjemną świeżą aurę.

Światło ogrodowej lampy łagodnie otulało pokój. Morderca mógł poruszać się po nim bez żadnego dodatkowego oświetlenia. Redfern otworzył szerzej okno i wychylił się. Na lastrykowym balkonie przy ścianie stały rzędem duże plantery, w których gospodyni hodowała sałatę. Jedna ze zwiędłych główek nasunęła inspektorowi myśl. Wyszedł na balkon i odchylił nadgniłe dolne liście, potwierdzając swoje przypuszczenia. Uciekając przez wysokie okno, sprawca nastąpił na miękką ziemię. Redfern patrzył na szeroki odcisk męskiego buta. Wszedł do domu i zadzwonił do Matta. Technik odebrał dopiero za trzecim razem, ale obiecał przyjechać w ciągu godziny.

W oddali ktoś krzyknął: „Szczęśliwego Diwali!”. Redfern zupełnie o tym zapomniał – dziś rozpoczynał się hinduski festiwal światła. Dobięły go dźwięki bębnów i wesołego śpiewu. Przy tym akompaniamencie inspektor wpatrywał się w nagi materac, na którym dwie plamy zlewały się w jedną, tworząc coś na kształt brunatnego ptaka. Zanim zabrano zwłoki, Redfern zauważył, że głowy ofiar nie tylko odcięto, ale i usiłowano oderwać od ciała. Wbrew powszechnej opinii pełnej dekapitacji wcale nie jest łatwo dokonać, a już na pewno gdy ofiara leży w miękkim łóżku. Obojgu zadano jeden wprawny cios ostrym narzędziem. Mord rytualny albo na tle religijnym, chodziło mu po głowie, choć usiłował odciąć się od tej myśli. Nie chciał, by przysłoniła mu coś, czego mógł w pierwszej chwili nie dojrzeć. Może Matt miał rację i zalanie wszystkiego krwią służyło czemuś zupełnie innemu – miało zatrzeć wszystkie ślady, ale przede wszystkim mogło wzniecić zasłonę dymną.

Przypomniął sobie ułożenie ciał. Wskazywało na to, że oboje zostali zamordowani we śnie. Ted po południu doniósł, że nie znalazł śladów walki, co potwierdziło te przypuszczenia. Redfern nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego jedno z nich nie obudziło się, kiedy drugie było mordowane. Stał obok łóżka, po stronie, na której spał mężczyzna. Zamachnął się i udał uderzenie. Przejście na drugą stronę zajęło mu kilka sekund. Sadia musiała się obudzić. Może zdążyła krzyknąć.

Telefon w jego kieszeni silnie zawibrował. Ted.

– Jesteś jeszcze na miejscu?

– Mhm – mruknął zmęczony. – Niedługo kończę.

– Masz coś dla mnie?

– I tak, i nie.

Redfern zdążył się przyzwyczać do takich odpowiedzi Teda, więc celowo wstrzymał się z komentarzem i czekał na sensację, którą patolog chciał mu przekazać.

– Zgodnie z moimi przewidywaniami bezpośrednią przyczyną śmierci było przecięcie tętnicy szyjnej podczas uderzenia ostrym narzędziem.

– Jezu! Nie mam całej nocy.

– Otóż problem polega na tym, że zabito ich dwoma różnymi narzędziami.

– Dzięki, Ted.

Rozłączył się i zaświecił w pokoju światło. Ciepłe powietrze i upływ czasu zmieniły drzwi szafy w suchy, brązowawy strup, ale wykładzina wciąż przypominała ściółkę leśną po wiosennych roztopach. Technicy zabrali do analizy całą pościel w nadziei, że znajdą choć strzępek czegoś, co nada się do identyfikacji DNA. Szczerze w to wątpił. Ktoś dobrze zaplanował tę zbrodnię, a skoro miał współlnika, zaplanował ją podwójnie dobrze. Z drugiej strony podwajało się prawdopodobieństwo błędu. Pierwszy z nich znalazł na balkonie, ale obawiał się, że to nie wystarczy.

Redfern oparł się o jedyną wolną od krwi ścianę i osunął, jakby ktoś wypompował z niego powietrze. Musiał sobie wszystko uporządkować. Zwiesił głowę i patrzył na miejsce zbrodni. Był wykończony po całodziennym przesłuchiwanie świadków, ale chciał jeszcze chwilę tu pobyć, uchwycić to, co mu umykało.

Większość osób nic nie wiedziała, co maskowali potokiem słów. Małżeństwo mieszkało w tym domu od ponad dziesięciu lat. Muztar był

taksówkarzem w najpopularniejszej w regionie korporacji Star Cars, a jego żona – żoną taksówkarza. Mieli trójkę dzieci. Najmłodsza Zimal w stanie głębokiego szoku została odwiedzona do szpitala St. Peter's. Jeden z policjantów doniósł, że do karetki wsiadł z nią Ismail, starszy z braci. Pozostawiona na podjeździe żona powiedziała, że mężczyzna prowadzi sklep z dywanami i egzotycznymi meblami w centrum miasta. Najważniejsza, jej zdaniem, i powtórzona kilkukrotnie informacja była taka, że jest dobrym mężem i że wie dzie im się świetnie. Redfern był zaniepokojony, że wciąż nie udało się ustalić, gdzie przybywa Ansar, młodszy syn ofiar. Ostatni raz widziano go w pracy. Kartę odbił niedługo po północy, po czym odjechał w stronę Woking.

Siedząc na podłodze, obserwował, jak szyba pulsuje czerwonym blaskiem. Dopiero teraz przypomniał sobie o istnieniu Ashaz Groceries i o tym, że delikatesy funkcjonowały wyłącznie nocą. Był tam kiedyś z dziadkiem, kiedy pchnięci nałogiem poszukiwali ostatniej oazy, gdzie sprzedawano polskie papierosy. Redfern nie palił, ale w towarzystwie emerytowanego komisarza Siwiaszczyka wszystko stawało na głowie.

Wstał i podszedł do okna. Mały skwerek wypełniały pozostawione w nieładzie europalety oraz przepełnione kosze na śmieci. Idealne wejście, pomyślał.

Ostre podmuchy wiatru podrzucały walające się po parkingu papiery. Z dołu doszedł go szelest policyjnej taśmy. Jednak zaraz po nim usłyszał ciche trzeszczenie drewnianej podłogi, którego nie mógł przypisać wiatrowi. Nagle wszystko ucichło. Redfern odwrócił się w stronę drzwi i nasłuchiwał. Sklepowy neon rozświetlał pokój krwistą poświatą, potęgując poczucie zagrożenia. Inspektor trwał chwilę w bezruchu, ale nic więcej się nie stało. Mimo to poczuł, że nie jest w domu sam.

– Matt? – krzyknął w stronę korytarza, ale nikt mu nie odpowiedział. Wyobraźnia robi ze zmęczonym umysłem, co chce, zganił się w myślach, przecierając obolałe oczy. Postanowił, że ostatnie zadanie na dziś to wizyta w delikatesach.

Wychodząc przez bramę, zauważył idącego wzdłuż ulicy Matta. Przepychał się przez wyposażoną w kolorowe lampiony grupę.

– Miałeś gościa? – zapytał technik, gdy zrównał się z Redfermem.

– Jakiego gościa?

– Widziałem, jak ktoś wychodził z domu. Zakapturzony taki.

– A, to tylko sąsiad przyszedł sprawdzić, czemu ktoś nie zgasił światła – powiedział Redfern, czując, jak kłamstwo pali go w twarz.

Matt spojrział na ciemne okna, ale nic więcej nie dodał. Redfern wiedział, czemu zawdzięcza tę dziwną wizytę. Palacz przypominał mu, że wiele spraw wciąż pozostaje nierozwiązanych.

– Słuchaj, padam na pysk – oznajmił inspektor. – Zostawię cię z tym odciskiem, a sam zajrzę jeszcze do Ashaza, OK? Może coś widzieli tamtej nocy.

– Nie ma sprawy – odparł technik i zniknął wewnątrz domu.

Zbliżała się północ. Ciepłe podmuchy wiatru niosły ze sobą zapachy z pobliskiego Horsell Common. Redfern wyobraził sobie dywan z wrzосу, który co roku pokrywał to miejsce. Obiecał sobie, że w najbliższy weekend wybierze się tam na spacer z Banditem.

W sklepie panował spory ruch. Wśród dwóch rzędów regałów wypełnionych towarami wszelkiej maści spacerowali wyłącznie mężczyźni. Wyposażeni w niebieskie koszyczki wybierali niezbędne o tej porze produkty. W większości piwo. Kiedyś go to dziwiło, ale usłyszał od swojego pakistańskiego kolegi, że Allah po ciemku nie widzi, więc można. Zaraz przy drzwiach, za przepastną ladą rozciągały się półki z lepszymi trunkami, paczkami papierosów i całą drobnicą, która wystawiona poza kontrolą niechybnie padłaby ofiarą lepkich rąk. Pod względem liczby i różnorodności towarów sklep przypominał miniaturę stambulskiego Wielkiego Bazaru.

W głębi sprzedawca rozprawiał o czymś po arabsku z jednym z mężczyzn, żywo gestykulując. Na widok Redferna wrócił na stanowisko, potykając się o wielką puszkę, najpewniej z olejem kukurydzianym, która stała za ladą. David oparł się o kontuar i przywitał.

– Niezły dziś ruch – zagadnął przyjaźnie.

– Dziś kiepsko. – Wzruszył ramionami mężczyzna i po chwili dodał sucho: – Policja psuje mi interesy.

To by było na tyle z konspiracji, pomyślał Dave. Jego obecność wypłoszyła większość kupujących. Pozostała czwórka spowolniła ruchy i zdawała się przysłuchiwać rozmowie.

– Wczoraj w nocy stałem za ladą i nikogo nie widziałem, przecież mówię – odparł sprzedawca, gdy Redfern zasypywał go gradem pytań.

– Rozumiem – powiedział. – Zauważyłem na tyłach sklepu kamerę. Może ona coś zarejestrowała?

– Bardzo możliwe – odpowiedział zdecydowanie za głośno mężczyzna, po czym nachylił się do Redferna i szepnął: – To atrapa.

– Zna pan swoich klientów, prawda? – Obejrzał się znacząco, sprawiając, że mężczyźni znów zaczęli się poruszać.

– Niektórych – odrzekł niepewnie, mrużąc oczy jak kot szykujący się do skoku.

– A czy jest ktoś, kto odwiedza sklep regularnie, co wieczór?

– Mam paru takich. – Wzruszył ramionami. – Ale nie znam nazwisk – dodał szybko.

– Zostawię tu kilka wizytówek. – Redfern położył mały plik przed sprzedawcą. – Gdyby się pojawili, proszę im wręczyć i powiedzieć, żeby do mnie zadzwonili.

– A jeśli nie zechcą? – Na jego twarzy pojawił się kpiący uśmiech.

– Proszę im powiedzieć, że policja ma poważne powody, by zamknąć pana interes. – Uderzył otwartą dłonią w ladę i wyszedł.



Jechał do domu na autopilocie. Zawieszony między zmęczeniem a natłokiem myśli, analizował, co udało mu się ustalić, i doszedł do wniosku, że poza pewnością, że ta sprawa wstrząśnie społecznością Woking, nie miał nic. Mimo że cały dzień upłynął mu na odwiedzaniu każdego, kto mógł cokolwiek wiedzieć na temat Abbasich, stał w miejscu. Wszyscy jak mantrę powtarzali, że ofiary to spokojni, uczciwi ludzie. Redfern usłyszał tę opinię już tyle razy, że zaczął w nią wątpić. Dzięki pracy Muztara, który był obrotnym taksówkarzem, żyli całkiem nieźle. Sadia miała liczną rodzinę w Londynie, natomiast mężczyzna – brata i kuzynów w Dover. Nie mieli żadnych wrogów ani konfliktów.

Redfern dotarł do domu dziwnie zmarznięty. Z niechęcią zjadł pozostawione przez dziadka na nocnym stoliku kanapki. Żuł kęs po kęsie, czując, jak pęcznieją mu w ustach. Wysłał SMS-a do zespołu, że następnego dnia oczekuje ich w konferencyjnej o dziewiątej, i położył się w ubraniu. Było mu wszystko jedno. Przez przymknięte powieki widział,

jak elektroniczny zegar pulsuje czerwonymi kropkami sekundnika. Oddzielały dwójkę od czwórki i zera. Zakręciło mu się w głowie i już po chwili stał w zalanej słońcem sypialni przy Monument Road. Na łóżku siedziała mała dziewczynka i nuciła jakąś smętną, dziwnie znajomą melodię. Wszystko było jasne i czyste. Z sufitu kapła krew. Każda kropla dudniła i wprawiała dom w lekkie drzenie, jakby tuż obok kroczył olbrzym.

Nagle wszystko zgasło, pogrążając dom w ciemności. Redfern odwrócił się zdezorientowany, czując, że mrok napiera na niego ze wszystkich stron. Kiedy wydawało mu się, że coś odbiera mu oddech, dostrzegł w końcu pokoju jasny punkt. Poszedł w jego kierunku. Na podłodze rytmicznie wibrował telefon. Redfern wziął go do ręki i odebrał. W słuchawce usłyszał znajomy, upragniony kobiecy głos.

– Marta?

– Dawid, pomóż mi!

Z przerażeniem otworzył oczy. Za oknem burymi smugami malował się świt. Redfern leżał sparalizowany, a mroczne obrazy wirowały mu w głowie, jakby rzeczywistość nie mogła wyjść spod władzy snu. Kiedy wreszcie niemoc ustąpiła, usiadł na łóżku i ściągnął z siebie mokrą od potu koszulkę. Przetarł zmęczoną twarz i sięgnął do szafki nocnej po telefon. Przez chwilę miał nadzieję, że zobaczy komunikat o nieodebranym połączeniu. Jednak żadna z kolorowych diod na obudowie nie świeciła. Tknięty złym przeczuciem, odnalazł w internecie numer do przedsiębiorstwa zajmującego się wynajmem kierowców i nacisnął symbol słuchawki. Po przedstawieniu swojej sprawy uzyskał potrzebne informacje, jednak to, co usłyszał od dyspozytora, sprawiło, że nie zmrużył już oka. Kurs, o którym mówiła mu recepcjonistka z Double Tree, nie odbył się.

ROZDZIAŁ II

*Tam nic nie ma!
To złudzenia!
Na sobie testujemy
Każdą prawdę i mit.*

Tom Waits, *Starving in the Belly of a Whale*,

przeł. Kazimierz Staszewski

Poniedziałek, 4.11.2013, rano

Wszedł do wyłożonego białymi płytkami ciasnego pomieszczenia, które bardziej przypominało prysznic na miejskim basenie niż centralę firmy taksówkarskiej. O tej porze świeciła pustkami. Dopiero koło dziewiętnastej zapełniała się ludźmi w białych kołnierzykach, czekającymi po powrocie z Londynu na swoją taksówkę, która zabierze ich do luksusowych domów w Horsell czy Ottershaw. Jeszcze kilka lat temu, pracując w Narodowej Agencji do spraw Przestępczości, Redfern co wieczór podążał tą samą co oni ścieżką, by bladym świtem znów stać na stacji w Guildford i czekać na pociąg, który zabierze go na Waterloo.

Trzeszczące pod sufitem neonówki oświetlały lodowatym światłem siedzącego za ladą dyspozytora. Młody mężczyzna w dastarze i bluzie z kapturem uśmiechnął się do policjanta szeroko i pozdrowił go. Redfern podszedł do kontuaru i się przedstawił.

– To nie pan dzwonił rano w sprawie tego odwołanego kursu na Luton? – zapytał dyspozytor. Turban wraz z rzadką brodą dodawał mu lat, ale wesołe oczy zdradzały młody wiek.

– Tak – odparł niechętnie Redfern, mając w pamięci słowa recepcjonistki z Double Tree, która twierdziła, że Marta pojechała na lotnisko z obcą kobietą.

– Tyle że ja naprawdę nie pamiętam, kto odwoływał ten kurs – zapewnił przepraszająco.

– W porządku. Chodzi mi o coś zupełnie innego. Czy zna pan Muztara Abbasiego?

– Oczywiście. To współwłaściciel firmy. – Ożywił się, ale natychmiast zgasł. – On nie żyje, prawda?

– Obawiam się, że tak. – Redfern ukrył zdziwienie. Z informacji, które uzyskali, wynikało, że Abbasi figurował w Star Cars jako pracownik, a nie jako wspólnik. – Dobrze go pan znał?

– Nie, nie miałem z nim za wiele do czynienia. – Mężczyzna pokręcił głową, krzywiąc się lekko. – Ja tylko przyjmuję zlecenia. Musiałby pan pogadać z kierowcami.

– Narzekali?

– No. – Zakłopotany przejechał ręką po czarnej brodzie. – Słyszałem, że trochę ich czasem cisnął.

– Miał z kimś zatarg?

– Eee, nie – odparł niechętnie. – My tu wszyscy staramy się zgodnie pracować. Poza tym pan Abbasi sam często jeździł własnym samochodem w godzinach szczytu. Rano, kiedy dzieciaki trzeba porozwozić do szkół, i wieczorem, kiedy Londyn zwała się na nocleg. Swoją drogą, zaraz się zacznie. – Spojrzał na zegar, który wskazywał za kwadrans ósmą.

Gdy skończył mówić, centralę wypełnił dzwonek telefonu. Dyspozytor podniósł słuchawkę i przyjął zlecenie. Redfern machnął ręką na pożegnanie, ale chłopak tego nie zauważył.

Patrząc, jak obok zastygłych w korkach samochodów pasem dla autobusów suną taksówki i wynajęci prywatni kierowcy dowożący dzieciaki do szkół, Redfern przypomniał sobie czasy, gdy sam do niej chodził, i pomyślał, że niewiele się od tego czasu zmieniło. Zarówno podstawówki, jak i gimnazja zawsze prowadziły zajęcia od wpół do dziewiątej do około wpół do czwartej. Sztywno ustalone pory pomagały rodzicom, którzy dzięki temu mogli podjąć pracę na pół etatu bez konieczności dostosowania się do ciągle zmieniającego się planu lekcji.

Wzdłuż kamienic stał teraz szereg aut czekających na zlecenie. Redfern szedł wolno chodnikiem, osłaniając się od wiatru. Gdy minął restaurację Beit Beirut, usłyszał pisk hamujących na torach kół. Dyspozytor miał rację

– miasto to noclegownia Londynu. W dodatku bardzo droga. Za mieszankę londyńskich standardów i wiejskiej zieleni trzeba było słono zapłacić.

Podszedł do ostatniego zaparkowanego samochodu i zapukał w szybę, która natychmiast opadła z cichym szumem, ukazując jasne wnętrze toyoty.

– Trzeba najpierw iść do dyspozytora – rzucił do Redferna młody, dobrze ubrany kierowca.

– Jestem z policji. Inspektor Redfern – zaczął, ale mężczyzna mu przerwał.

– Chodzi pewnie o Muztara. Wsiadaj pan, zanim będzie moja kolej, to trochę tu postoję. – Wskazał w stronę stacji, gdzie zbity tłum wyłonił się z gardzieli przejścia podziemnego, rozsypując się po chwili we wszystkich kierunkach. Część ludzi poszła w stronę centrum, niektórzy zaczęli majstrować przy zamkach poprzipinanych do stojaków rowerów.

Redfern wsiadł do pachnącego drzewem sandałowym wnętrza i przez ułamek sekundy rozkoszował się jego ciepłem, które pozwoliło rozprostować przykurczone palce.

– No więc powiem panu tak: Abbasi to był kawał gnoja. – Mężczyzna rozpoczął bez zachęty Redferna, a gdy ten się nie odezwał, kontynuował: – Dowalał się do wszystkich i do wszystkiego.

– Na przykład?

– A to do tego, że za wolno odstawiamy klientów, a to, że mamy za stare auta i za to, co u niego zarabiamy, powinniśmy mieć lepsze. A niech Allah ma cię w opiece, jak zadrapałeś brykę. Z wyzwiskami odsyłał na zieloną trawkę.

– Nie wolno wtedy jeździć? – zdziwił się Redfern. – Przecież to wasze samochody.

– Auto to wizytówka – powiedział taksówkarz, jakby usiłował przedrzeźnić silny arabski akcent, którego sam nie miał. – Zresztą we wszystkich firmach taksówkarskich czy z prywatnymi kierowcami tak jest. Wózek ma być idealny, inaczej wypadasz. Tyle że u innych jakoś lepiej to załatwiają, nawet pomagają w naprawach. Abbasi był furiatem.

– A pan miał z nim jakieś problemy?

– Nie. Mam nowe auto, obstawiam tylko dniówki. Licencji na wożenie dzieciaków też nie robiłem. Za to innym chłopakom Abbasi uprzykrzał życie, a sam nie był święty.

– Co pan ma na myśli? – Redfern okazał zainteresowanie bardziej, niż zamierzał. Wreszcie pojawiła się jakaś rysa na wizerunku Muztara Abbasiego i inspektor upatrywał w niej wątku, który doprowadzi go do mordercy.

– Z tego, co słyszałem, to było na niego parę skarg, ale wie pan, to jest szef, więc raczej sam się nie zwolni. – Kierowca zaśmiał się z własnego żartu, ale widząc minę Redferna, zgasł.

– Czego dotyczyły te skargi?

– A bo ja wiem? – Wzruszył ramionami.

– Dopytam zatem u dyspozytora – powiedział Redfern. – Może wpłynęło jakieś pismo.

– Żaden dyspozytor panu nic nie powie ani też nie da, bo każdy chce utrzymać tę robotę. Jeśli jakieś pismo było, to albo zostało skasowane z maila, albo wylądowało w niszczarce. – Klasnął dwa razy. – I po skardze. Tak między nami mówiąc, skarżyły się jakieś nadwrażliwe na komplementy baby.

– Nadwrażliwe na komplementy baby. – Redfern powtórzył zdanie kierowcy, tylko wolniej. Obserwował przy tym kobietę, która raz po raz obchodziła stojaki na rowery, najwyraźniej czegoś szukając.

– No takie, co to im przeszkadza, gdy człowiek powie, że ładną buzię mają czy coś.

– Czy coś? – Redfern czuł, że wzbiera w nim złość.

– A pan policjant z tych poprawnych? To przepraszam. – Uniósł ręce, jakby się poddawał, po czym dodał: – No w każdym razie to takie skargi były, ale chyba nie zabił go jakiś wściekły babsztyl, co?

Redfern już otwierał usta, by skomentować „babsztyla”, ale przerwało mu pukanie w boczną szybę. Na zewnątrz stała kobieta, która przed chwilą była przy stojakach.

– Cholera, nie mam dziś szczęścia – zaczęła, gdy szyba opadła do połowy. – Najpierw rower mi ukradli, a teraz zajęta taksówka.

– Ukradli? – dopytywał Redfern, łapiąc za klamkę. Uznał, że dowiedział się już wszystkiego i może zakończyć przepytывanie kierowcy.

– Co pan taki zdziwiony? Ciągłe kradną. Nawet z hangaru za stacją. Wchodzą, tną nożycami zabezpieczenia i wychodzą jak gdyby nigdy nic. Zakapturzeni, zasłonięci, więc na kamerze nic nie widać. Myślałam, że jak postawię swój od strony centrum, to nie świsną, ale gdzie tam! – trajkotała.

– To pewnie przez to, że założyłam nową oponę z Halfordsa. Najdroższą w sklepie, bo innej nie mieli.

Redfern wysiadł z samochodu z nadzieją na szybkie pożegnanie obojga, ale kierowca nie dał za wygraną.

– To się dobrze składa, bo to pan policjant jest i chętnie pomoże kobiecie w potrzebie.

– Wy i tak nic z tym nie zrobicie. – Machnęła ręką i ku radości Redferna wsiadła do samochodu. Zanim odjechali, usłyszał, że bierze kurs do Horsell.

Redfern stał chwilę na chodniku, zastanawiając się, czy jest sens wracać do centrali Star Cars i dopytywać o te skargi. Postanowił, że zleci to Tinneyowi. Wyciągnął telefon z kieszeni i wybrał numer młodego policjanta.

– Cześć, Puszka. Miło cię słyszeć – zaczął ironicznie. – Mam dla ciebie zadanie.

– Cześć, szefie. Co mam zrobić?

– Poszukaj informacji o właścicielu Star Cars, a także zorientuj się, czy na Muztara Abbasiego wpłynęły jakieś pisemne skargi.

– Dobra, zrobi się.

– OK, to widzimy się na zebraniu.

Redfern rozłączył się i poszedł w stronę centrum. Wiedział, że jeśli nie sprawdzi jeszcze jednej rzeczy, nie będzie mógł się skupić na zebraniu, do którego zostało mu niewiele ponad pół godziny. Szybkim krokiem przeciął Church Street, minął biurowiec McLarena i znalazł się przy fasadzie Hilton Double Tree.

Za kontuarem kobieta w dobrze skrojonym uniformie wertowała jakieś papiery. Gdy rozsunęły się automatyczne drzwi, spojrzała w ich stronę i obdarzyła Redferna uśmiechem.

– Powinien pan u nas wynająć pokój. – Roześmiała się serdecznie.

– Chyba to rozważę. – Odwzajemnił uśmiech. – Chciałem jeszcze dopytać o tę taksówkę, która zabrała Martę Sokolińską i tę kobietę na lotnisko.

– To ja może zawołam koleżankę, bo ona wtedy była na recepcji. Może coś pamiętać.

– Będę wdzięczny – rzekł Redfern i oparł się o kontuar, czując, jak nieprzespana noc mści się na jego ciele.

– Zaraz wracam.

Recepcjonistka podniosła ruchomą część lady niczym szlaban i przeszła pod nią. Wróciła po kilku minutach w towarzystwie bardzo do siebie podobnej dziewczyny i Redfern pomyślał, że Hilton musi mieć jakieś określone szablony przy rekrutacji personelu. Skojarzyło mu się to z liniami lotniczymi Thai Airlines, z których korzystał podczas wycieczki do Tajlandii. Wtedy też mu się wydawało, że obsługuje go ta sama stewardesa.

– Dzień dobry – zaszczębiotała blondynka. – Podobno chciał pan wiedzieć, jaką taksówką odjechały te kobiety.

– Tak. Wiem, że Margaret Nance zleciła wam zamówienie auta, ale ostatecznie anulowała kurs i skorzystała z innego transportu.

– Pamiętam, że pojechały turkusową toyotą avensis.

– Doskonała pamięć – pochwalił ją Redfern.

– Zapamiętałam, bo młodsza z kobiet, z kasztanowymi włosami, była zła, że nie może włożyć do bagażnika swojej walizki i torby z... urną.

– Chciała włożyć urnę do bagażnika? – Redfern wiedział, że Marta miała trudne relacje z matką, ale wożenie jej prochów w taki sposób wydawało się mu brakiem szacunku.

– Wywiązała się mała sprzeczka, ale kierowca nie ustąpił. Tłumaczył się, że ma uszkodzoną klapę i nie da rady otworzyć. Nie miały już czasu wzywać kolejnego wozu, więc wsadziły wszystko na tylne siedzenie i odjechały.

– Turkusowa taksówka to przedsiębiorstwo z Guildford – powiedział Redfern bardziej do siebie niż do kobiet, ale i tak usłyszał odpowiedź.

– Też się zdziwiłam, że wybrały Guildford, ale skoro miały taniej, to wiadomo, jak jest.

Redfern podziękował kobietom i wyszedł przed hotel. Choć cała ta sytuacja wydawała się zupełnie normalna, coś mu się nie podobało. Margaret Nance rezerwuje taksówkę przez hotel, a chwilę przed wyjazdem anuluje ją i wybiera przedsiębiorstwo z odległego miasta. W głowie Redferna zaświtała myśl, by sprawdzić jeszcze jedną rzecz. Do sierżantki Summer Winter wysłał SMS-a, że się spóźni, po czym przeszedł na parking, gdzie zostawił auto, i odjechał.



Zanim dojechał do Worplesdon, rozdzwonił się telefon. McMahon w krótkich słowach wyjaśnił mu, że ma natychmiast stawić się w komendzie. Redfern pomyślał, że Knight nigdy by się w ten sposób do niego nie odezwał. Mimo swojej porywczej natury komendant miał klasę, której jego zastępcy brakowało. W drodze powrotnej David zjechał na stację Esso, by hot dogiem stłumić głód i nerwy. Zgasił silnik i chwilę przyglądał się budynkowi. Stojak na gazety wyglądał dziś jak *Dyptyk Marilyn* Andy'ego Warhola. Każda okładka przedstawiała mały samolot w ogniu. Ubiegłej nocy w Deal rozbiła się awionetka, zabijając przy tym kilkoro plażowiczów podziwiających rozgwieżdzone niebo. Oprócz przypadkowych ofiar zginęło dwoje cywili, pilot i pasażer samolotu. Gazety prześcigały się w spekulacjach, rozpętując burzę na temat stanu lotnictwa cywilnego.

Była to mroczna odmiana po tym, jak parę dni temu w Old Woking zaginęła mała Izabela Wolańska. Cała Anglia żyła tamtą sprawą. Wertując gazety, Redfern szybko doszedł do wniosku, że media podzieliły się na trzy obozy: jedni rozpisywali się o międzynarodowym porwaniu, drudzy o grasującym w Surrey zabójcy dzieci, a ostatni wieszali psy na rodzicach, którzy nie upilnowali pięciolatki i ta utonęła w pobliskiej rzece. Na żadną z tych teorii wydział starego Johanesa nie znalazł jednoznacznych dowodów i Redfern obawiał się, że póki ich nie odkryją, trudno będzie się skupić na jakimkolwiek innym śledztwie. Wiedział, że w obecnej sytuacji sformowanie zespołu graniczyło z cudem – wszyscy byli zajęci poszukiwaniami złotowłosej dziewczynki.

Kupił hot doga, paczkę m&m'sów i sneakersa. Kiedy wgrzył się w zanurzoną w sosie czosnkowym parówkę, przypomniały mu się obrazy z Monument Road. Wszystko podeszło mu do gardła. Zniesmaczony wyrzucił całą bułkę do kosza.

Redfern wyszedł ze stacji głodny, zaopatrzony w „Daily Mail” i narastającą złość. Siedząc w aucie i przeżuując z chrzęstem m&m'sy, przerzucił kilka stron gazety, ale nie znalazł w niej nic ciekawego. Obok katastrofy lotniczej w Deal jedyne, co było w stanie unieść jego brew, to skandal w Birmingham, gdzie z galerii handlowej wyrzucono wolontariuszy The Royal British Legion. Sprzedający czerwone przypinki w kształcie maków zostali wyproszeni ze Swan Centre, ponieważ nie mieli stosownych

papierów. Redfern z zalem pomyślał, że walcząc w II wojnie światowej, nie mieli pojęcia, że ze wszystkich stoczonych w ich życiu bitew najtrudniejszą okaże się ta z biurokracją.

W kieszeni zawibrowała mu komórka. McMahon. „Gdzie jesteś?”, odczytał na ekranie. Gdyby zastępca komendanta mówił po polsku, Redfern odpowiedziałby mu do rymu. Zamiast tego rzucił telefon na siedzenie i odjechał w stronę komendy.



Drzwi do biura wystrzeliły, jakby ktoś zdetonował w hallu bombę. Redfern zbierał właśnie dokumenty na zebranie, gdy do pokoju wpadł Gregory McMahon i bez żadnego wstępu rzucił mu na biurko plik papierów.

– Ty się włóczysz, a w Old Woking zaginęło dziecko.

– Wiem – odparł spokojnie Redfern, starając się ocenić nastrój policjanta.

Ostatnio wybuchy gniewu zastępcy komendanta były słyszane nawet z chodnika przy Victoria Road. Znudzony i obdarty ze złudzeń, traktował tę robotę jak większość policjantów z jego stażem. Z tym większą rezerwą Redfern przyjął wiadomość o awansie McMahonona i mianowaniu go zastępcą Knighta, choć musiałby okłamać sam siebie, jeśli przyznałby, że go to bardzo zaskoczyło. Odkąd przeniósł się do Woking, na korytarzach szeptało się, że Greg nie pogardziłby stołkiem Malcolma, a pojawienie się Redferna było swego rodzaju zapalnikiem tych ambicji, które nerwowo policjant starał się ukryć. Inspektor obawiał się, że awans był dla Grega celem samym w sobie, a zespołowi zmiana kierownictwa nie przyniesie żadnych korzyści. Postanowił jednak dać nowemu szefowi szansę.

– Są dowody na to, że to jednak porwanie – zaczął tymczasowy przełożony.

– Wiem o tym – powtórzył, widząc, że McMahon przygotowuje się do ataku. Redfern nie był podatny na wrzaski, które przypisywał słabym. Spojrzał na oficera i wyczekiwał. – Od kilku dni wszyscy mówią o zaginięciu.

– Wiem, że wiesz, ale wszystko wskazuje na to, że to porwanie. – Greg zajął miejsce przed biurkiem. Pod jego ciężarem krzesło skrzypnęło ostrzegawczo. – Uruchomiliśmy Child Rescue Alert, współpracujemy ściśle

z Agencją do spraw Przestępczości. Cała Europa jej szuka, ale nikt nic nie widział. Jedyne świadki to stara sąsiadka, która słyszała odjeżdżające szybko auto. Nie mamy nic. Teraz wszyscy jesteśmy w to zaangażowani, a ty w szczególności.

– To nie moja działka – odparł twardo. – Mam podwójne morderstwo na głowie. Wyślij Andrew.

– Wysłałam cię. – Greg był nieustępliwy. Widząc jednak upór w oczach Redferna, dodał pojednawczo: – Masz doświadczenie. No i polskie korzenie. Łatwiej się z nimi dogadasz...

– A więc o to chodzi.

Odchylił się na krzesło i z założonymi na piersiach rękami patrzył na oficera. Cienki lód, po którym stapał, zaczął pękać. Jednak McMahon wypuścił tylko głośno powietrze i przetarł wierzchem dłoni rzadkie rude włosy. Niespodziewany awans zaczął odciskać na nim swoje piętno.

– Posłuchaj, jeśli coś spieprzymy, przyślą kogoś z Londynu, a może nawet z zasranego Guildford.

– No co ty nie powiesz? – Redfern z kwaśną miną wbił wzrok w McMahona. Rywalizacja między dwiema komendami trwała od lat, czego efektem było niedawne przeniesienie Davida do Woking. Do tej pory miał za złe swojemu przełożonemu z Guildford, że nie wziął pod uwagę jego preferencji co do lokalizacji.

Niedługo po drobiazgowym śledztwie w sprawie strzelaniny, podczas której starszy inspektor Redfern zabił swojego kolegę i niedawnego partnera, poprosił o przeniesienie. Miał nadzieję, że przełożeni skierują go daleko od miejsca, w którym rozegrał się jego największy życiowy dramat, ale uznali, że lepiej będzie, jeśli Redfern zostanie w Surrey. Przez szumiącą w uszach wściekłość dotarły do niego wtedy argumenty o brakach kadrowych w hrabstwie. Jako zdegradowany musiał przyjąć ten przydział, co skutkowało tym, że siedział teraz naprzeciwko nielubianego zastępcy szefa.

W rzeczywistości intrygowało go to zadanie. Nie zamierzał jednak pozwolić myśleć o sobie jako o pionku. Mając na głowie śledztwo z Monument Road, mógł odmówić. Gregory jednak wyczuł jego zainteresowanie.

– Na razie śledztwo prowadzi Summer. – McMahon przysunął się do biurka. Redfern wiedział już, dlaczego nie było jej na miejscu zbrodni

i dlaczego napisała tak enigmatyczną odpowiedź na jego SMS-a. Błędnie założyła, że zastępca komendanta podzielił się z inspektorem informacją o jej przydziale. W Redfernie pęczniała złość.

– Summer, którą niedawno odesłałem do Johanesa? – zapytał sucho.

– Ta sama – odparł McMahon. – Jest dobra, szybko zebrała wszystko do kupy...

– To czemu odbierasz jej sprawę? – Redfern się wyprostował. Czerwona lampka w jego głowie zapłonęła intensywnym światłem, a entuzjazm zgasł. – Przecież to twoja protegowana.

– To nie jest moja protegowana – obruszył się. – Summer uzupełni brak po Lindzie. Jestem w trakcie załatwiania funduszy z ratusza...

– Linda nie umarła, tak dla twojej informacji – przerwał mu ostro.

– Tak, ale o jej powrocie chyba nie może być mowy, czyż nie?

Redfern nie odpowiedział. Klinika leczenia uzależnień The Priory, w której od prawie trzech tygodni przebywała sierżantka Linda Wall, napawała go optymizmem. Lekarz prowadzący był doświadczonym terapeutą i zapewniał o sukcesie metod stosowanych w ośrodku, jednak trzeba by było interwencji samej królowej, by Linda mogła wrócić na służbę.

– Londyn naciska, a nam kończą się pomysły. – McMahon zignorował uwagę Redferna. – Musisz się zaangażować.

– Dlaczego nie jako członek zespołu?

– Nie będę dłużej dyskutował – uciął. – Rzuć wszystko i zajmij się tym! – McMahon tracił panowanie nad sobą, ale szybko je odzyskał, odnajdując ostateczny argument. – To rozkaz.

– A kto weźmie sprawę z Monument Road? – Redfern nie zamierzał się poddać.

– A musi ją ktoś brać? – Gregory McMahon uśmiechnął się złośliwie i podszedł do drzwi, ale zanim złapał za klamkę, rzucił przez ramię: – Zebranie przełożyłem ci na jutro.

Redfern został sam w gabinecie, próbując zapanować nad emocjami. Kiedy pierwsza złość, ta, która podsuwa najgorsze pomysły, minęła, wstał od biurka. Rzut oka na własne odbicie w szklanej gablocie zatrzymał go na ułamek sekundy. Mógł spodziewać się jednego – jego uroda nie wzbudzi w Polakach entuzjazmu.



Redfern rozłożył teczkę i przewertował papiery, które zostawił mu McMahon. Nie było tego zbyt wiele. Zeznania rodziców, opiekunki, sąsiadów. Wszyscy byli zgodni: dziewczynka rozpląnęła się w powietrzu. Nie mylili się. Dziecko nie pojawiło się na żadnej z kamer gęstego monitoringu, na drogach wylotowych z Surrey nie zatrzymano żadnego samochodu, a telefony od osób, które rzekomo coś widziały, okazywały się wyłącznie niewypałami.

Ze szczegółowej notatki sporządzonej przez sierżantkę Summer Winter wynikało, że w czasie porwania matka dziecka była na badaniach w szpitalu St. Peter's, ojciec w pracy, a zaginioną i jej starszą siostrą zajmowała się sąsiadka z piętra wyżej. Dziewczynka zniknęła w momencie, gdy opiekunka na chwilę wyszła do swojego mieszkania. Otwarta furka ogródka sugerowała, że pięciolatka sama opuściła dom, ale poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Redfern zrezygnowany zamknął teczkę. Na okładce sierżantka przykleiła zdjęcie zaginionej. Zielone, oprawione w ciemne rzęsy oczy przykuły uwagę Redferna. Był pewien, że już je gdzieś widział. Mimo że sam nie miał dzieci, wstrząsnął nim dreszcz.

Rocznie w Anglii zgłaszano ponad pięćset zaginięć, z czego prawie jedna trzecia w aglomeracji londyńskiej. Coraz częściej w tych mrocznych statystykach pojawiała się Surrey. Narodowe Biuro Statystyczne donosiło, że wiele z tych spraw było zwykłym rodzinnym nieporozumieniem i dzieciaki prędzej czy później się znajdowały. Napływ imigrantów sprawił, że pojawiła się też strefa niedostępna dla statystyki. Były to dzielnice, gdzie policja i rząd miały mało do powiedzenia, a przyrost, przepływ i zaginięcia dzieci owiane były tajemnicą.

Redfern włączył komputer. Aktualnie prowadzono sześćdziesiąt dwie sprawy o porwanie. Niewielką część z nich wzięła na siebie Narodowa Agencja do spraw Przystępności, podejrzewając handel ludźmi. W przypadku reszty po roku śledztwa każdy spodziewał się tylko wypłynięcia maleńkich zwłok w jakimś odludnym zakolu rzeki. Patrzenie przez te wszystkie miesiące na pełne nadziei i rozpacz, niemal trupie twarze rodziców było ponad siły Davida Redferna. Odszedł z agencji po półtora roku i miał zamiar nigdy do tego nie wracać.

Paradoksalnie o przeszłości przypomniła mu kobieta, która właśnie stanęła w drzwiach i górując nad nim, uśmiechała się.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał sucho, wciąż mając jej za złe, że nie poinformowała go o przydziale do sprawy zaginionej dziewczynki.

Sierżantka Summer Winter weszła do biura i usiadła na krześle przed Redfernem. Jakby wyczuwając zły nastrój inspektora, zaczęła ostrożnie:

– Słyszałam, że będziemy pracować razem.

– Tymczasowo – mruknął, nie odrywając wzroku od papierów, które znał prawie na pamięć. Nie mógł jednak zignorować faktu, że oprócz cytrusowego zapachu perfum w gabinecie unosi się atmosfera satysfakcji i radosnego podniecenia.

– Ostatnio mówiłeś to samo – skwitowała i oparła się na krześle. – A tymczasem stary Johanes nie miał nic przeciwko mojemu przejściu do was.

– To może stary Johanes będzie tak uprzejmy i przejdzie na emeryturę i odda ci swój stołek, bo gwarantuję ci, że tu miejsca nie zagrzejesz.

– Skąd ta wrogość, co?

– To nie wrogość, tylko nieco brutalny realizm – odparł. – Sierżantka Linda Wall niedługo wróci na służbę – powiedział głośniejszym głosem – i nie chcę mieć bałaganu w wydziale. Jeśli będę musiał wybrać między nią a tobą, to już dziś możesz uznać, że decyzja w tej sprawie zapadła.

– Niekoniecznie. – Summer nie ruszyła się z miejsca, ale Redfern zauważył, że zaczęła skubać palcem wskazującym skórę przy kciuku.

– Nie wiem, co tobą kieruje, sierżantko Winter. Wiem natomiast, że masz za sobą McMahona – mówił spokojnie – i szczerze: mam gdzieś, czym się kierował miłościwie i chwilowo nam panujący, dając ci śledztwo. Prawda jest taka, że komendant Knight poprze mój wybór, a ten, jak wiesz, jest oczywisty.

– Przyjdzie mi zatem konkurować z duchem. Super! – podsumowała, wstając. Z twarzy policjantki zniknął wyraz triumfu i było mu jej trochę żal. Wiedział, że liczyła na inną reakcję, ale on mierzył się teraz z czymś znacznie poważniejszym. Zdawał sobie sprawę, że jeśli informacja o zastępstwie dotrze do Lindy, to żadne pieniądze nie wyciągną jej z nałogu.

– Z legendą, jeśli już – poprawił Summer, ale nie mogła tego usłyszeć, bo była już na korytarzu.

Poniedziałek, 4.11.2013, popołudnie

Wąska, przecinająca rezerwat White Rose Lane wpadała wprost do Old Woking Road jak strumyk do rozszalałej rzeki. Redfern z trudem włączył się do ruchu. W BBC Surrey właśnie rozpoczęto odmawiać litanie do Matki Boskiej Korkowej, która nie spoglądała na ten region łaskawym okiem od lat. London Orbital Anti-clockwise zamarła całkowicie z powodu remontu jednego pasa. Chertsey Road zatkała się, bo ktoś niecierpliwy przeciął podwójną ciągłą i nie zauważył ciężarówki jadącej z naprzeciwka.

Dalej nie słuchał.

Zatrzymał samochód naprzeciwko dwupiętrowych ceglanych bloków. Były niewiele większe od przeciętnego domu i Redfernowi trudno było uwierzyć, że każdy z nich miał po cztery mieszkania. Do dolnych na tyłach przylegały małe ogródki. Z ulicy nie było ich widać i tylko ktoś, kto znał to miejsce, mógł wiedzieć o ich istnieniu. Odnotował to w pamięci.

Wyszedł z auta. Silny wiatr niemal wepchnął go z powrotem do środka, ale nie był stanie zagłuszyć nieznośnego hałasu samochodów jadących High Street. Szutrowy parking zastawiony był autami, których data produkcji przypadła na ubiegłe milenium. Odrapane i brudne, pogłębiały ponury nastrój tego miejsca. Redferna naszła przerażająca myśl, że jeśli dziewczynka faktycznie została uprowadzona, to z pewnością nie dla okupu.

Skrzydło drzwi z numerem trzy wahało się, poruszane przeciągiem. Redfern wsadził głowę do środka i zawołał. Brak odpowiedzi wzbudził w nim złe przeczucia, które pchnęły go do wąskiego przedpokoju. O mało się nie przewrócił, poślizgnąwszy się na zalegających na podłodze kopertach. Przykucnął i przyjrzał się im. Znalazł wśród nich kilka rachunków, ale większość korespondencji była napisana ręcznie. Jak przy każdej z takich spraw z miejsca pojawiali się obywatele, którzy odnajdywali w sobie pokłady albo współczucia, albo bezinteresownego skurwysyństwa. Ci pierwsi przysyłali listy pełne pocieszenia, ci drudzy – potępiali rodziców za nieuwagę. Jak nawiedzeni kaznodzieje wyliczali grzechy zaniedbania, skrajnej nieodpowiedzialności i głupoty, od których sami byli wolni. Redfern, pracując dla Narodowej Agencji do spraw Przestępczości, już dawno się zorientował, że tak naprawdę chodziło

o wylanie na zrozpaczonych ludzi swojej nienawiści do świata. Tak po chrześcijańsku.

Z tą myślą zebrał listy, położył na komodzie w rogu przedpokoju i przeszedł w głąb mieszkania.

Pierwszy pokój był z pewnością dziecięcy. Różowa tapeta, białe meble obłożone szczerbami maskotkami i ozdobione naklejkami drzwi szafy zdradzały płeć dziecka, a w zasadzie dzieci, bo większą część pokoju zajmowało piętrowe łóżko. Okno, przez które widać było jedynie mur parkingu i obdartą z liści lipę, okalała różowa zasłona. Redfern pomyślał, że wygląda jak obraz Beksińskiego w ramie w puchate kotki. Nagle w ponury krajobraz wdarł się element, który zupełnie nie pasował do reszty. Karmazynowy aston martin vanquish zaparkował pod drzewem. Pchnięty ciekawością Redfern odczekał chwilę, ale nikt nie wysiadł. Ostatecznie wycofał się i przeszedł do drugiego pomieszczenia. Naprzeciwko drzwi stała skórzana kanapa, na której leżała kobieta. Miała spuchniętą, czerwoną twarz. Oddychała nierówno, ale najwyraźniej spała.

– Czego pan chce? – Usłyszał za sobą wściekły syk.

Odwrócił się szybko. Przed nim stała niska, ale bardzo zgrabna blondynka. Obcisłe szare spodnie dresowe podkreślały każdą krągłość, a główka zamka bluzy zatrzymała się bardzo nisko, zapowiadając kształtne piersi. Harmonijny seksapil zakłócały zabawne rogowe okulary Woddy'ego Allena zawieszane na końcu zadartego nosa oraz monstrialne kaptcie w kształcie lwich łap.

– Jestem z policji...

– Nie drzyj się pan! Dopiero zasnęła. – Wskazała brodą na kobietę, która nieznacznie się przekręciła. – Skoro skrada się pan jak złodziej, to pewnie nie znaleźliście jeszcze Izy?

– Nie, ale podejrzewamy, że to było porwanie...

– To oczywiste! – przerwała mu. – Mała nie wyszłaby sama z ogródka bez pozwolenia! Aż trzy dni wam zajęło wymyślenie tego?!

– Rozpatrywaliśmy każdy scenariusz – skłamał. – To chyba pani pilnowała wtedy dzieci.

Rozbuchana do tej pory kobieta jakby zapadła się w sobie. Oparła się bezwładnie o ścianę i ukryła twarz w małych dłoniach. Redfern nie wiedział, jak się zachować. Współczuł jej, ale też wiedział, że gdyby nie poszła wtedy na chwilę do swojego mieszkania po telefon, dziś twarz Izy

Wolańskiej nie patrzyłaby z każdej gazety w Anglii. Wbrew sobie pogładził ją niezgrabnie po ramieniu. Nie patrząc w jego stronę, gestem wskazała mu niewielką kuchnię, a w niej dwa rozkładane stołki z Argosa – najstarszego sklepu w Wielkiej Brytanii.

– Miałem nadzieję porozmawiać z Kingą Wolańską – zaczął.

– Niech jej pan nie budzi, błagam. – Pociągnęła nosem i otarła łzy rękawem. – Ona nie spała od kilku dni. Musiałam ją porządnie nafaszerować prochami, żeby zasnęła.

Nie chcąc wywoływać kolejnej fali łez, nie zapytał ani o skład, ani o pochodzenie tych prochów. Zresztą nie zależało mu. Wiedział, że na Walton Road można bez specjalnej gimnastyki kupić całą tablicę Mendelejewa, ale walka z tym nie zaczynała się od przesłuchiwania ludzi przeżywających największy dramat życia. Wyciągnął z kieszeni płaszcz notatnik i oparł go o kolano.

– W takim razie mogę zacząć od pani. Co się właściwie stało?

Nie zauważył, kiedy w drzwiach stanęła wychudzona kobieta w dresie. Oparła się o futrynę, jakby nie mogąc utrzymać ciężaru własnego ciała. Mrużyła oczy, starając się przyzwyczaić do światła. Spocona ruda grzywka przyklejała jej się do bladego czoła.

– To może ja odpowiem.



Usiłowała nie płakać. Czowała się jednak, jakby cienką strużką ktoś sypał jej na twarz piasek. Krótkie odcinki oddechów wyrzywały się spomiędzy zaciśniętych warg. Nie po to tu przyjechała, nie po upokorzenie i bezradność, nie po wstyd za to, kim jest. Jednak być sobą nie było gdzie, a grać nie było jak.

Poprzez urwane westchnienia słyszała pochrapywanie młodszej z córek. Była tu dla nich, dla ich przyszłości i spokoju. Szybko jednak się przekonała, że Anglia nie sprzyja ani im, ani ich spokojowi. Tęsknota wyrzywała ich osobowościom kawałek po kawałku, pozostawiając tylko cień ludzi, którzy cztery lata temu wylądowali na Luton.

Kolejne kłótnie doprowadziły do tego, że Bartek się wyprowadził. Nie miała żalu. Była nieznośna sama dla siebie, a co dopiero dla niego. Zżerała

ją frustracja. Nie miała dobrej pracy, znajomych. Dni spędzała tylko z córkami, a wieczory na Skypie, który miał być oknem pozwalającym zajrzeć do domu. W rzeczywistości nie był nawet namiastką tego. Wszystko to sprawiło, że z dynamicznej, roześmianej kobiety przeistoczyła się w gnuśną kure domową z pretensjami do całego świata. Każdy facet miałby dość.

Przez cienkie zasłony upominał się o nią świt. Podniosła się na łokciach i natychmiast opadła z rezygnacją. Piąta rano to czas duchów, jak mawiała jej babcia, a jeśli nawet żywych, to ci i tak wyglądali jak zmarli. Ściągnęła obolałe ciało z łóżka i powlokła się do komputera. Z porannym bólem walczyła od kilku miesięcy, a wstępna diagnoza, którą otrzymała w przychodni, nie napawała optymizmem. Odrzuciła czarne myśli i włączyła komputer, który zanim jeszcze oświetlił pokój niebieską poświatą, buchnął dźwiękami niezamkniętych wczoraj stron. Zaparzyła kawę i usiadła przy biurku. Piracki Excel domagał się aktualizacji.

Pierwsza na bosych stópkach przyczłapała Iza. Pięciolatek to takie śmieszne zjawisko, pomyślała Kinga, jeszcze nie do końca oderwane od wózka, ale już pretendujące do miana ucznia. Mała stała w progu i drapała się w poczochną głowę. Przez kilka ostatnich miesięcy bardzo urosła i ukochana pizamka w kotki sięgała jej teraz do połowy łydki.

– Mamusiu, zrobisz mi śniadanko? – Ziewnęła szeroko i podeszła do mamy.

– Jasne, skarbie. – Kinga uśmiechnęła się i przytuliła dziewczynkę. Na chwilę zatrzymała ją w uścisku, by nacieszyć się jej ciepłem. Pachniała kremem nivea, który odkryła parę tygodni temu i stosowała jako swój pierwszy „dorosły” kosmetyk.

– Mamusiu, jestem głodna – wyrwało ją z chwilowego letargu. Mała wyplątała się z ramion mamy i poszła do swojego pokoju obudzić siostrę. Kinga usłyszała zaspany głos Oli, która opędzała się od Izy.

Kobieta obawiała się tego momentu. Codzienne batalie z Olą o to, czy musi iść do szkoły, kończyły się awanturą i płaczem obu. Kinga doskonale rozumiała córkę. Przyjechała tu jako siedmiolatka, wyrwana ze świata, który doskonale znała i kochała, ze świata, gdzie lato było latem, a zima zimą, nie zaś lejącą się po szybach breją. Miała swoje koleżanki, swoje miejsca i babcie, które rozpieszczęły ją do granic możliwości. Tutaj nikt nie rozumiał jej wspaniałej polszczyzny, trudno jej było nawiązać

z kimkolwiek bliższy kontakt. Tutaj nikt nie rozumiał, gdy opowiadała, że z babcią zbierała w ogrodzie pomidory i maliny. Tutaj zamiast babci miała zgorzkniałą, wiecznie zmęczoną i zapracowaną mamę.

Na początku roku szkolnego pojawiły się kolejne problemy. Do klasy przyszła nowa. Zimal z miejsca dała się poznać jako agresywne, bezwzględne dziecko. Wszyscy mieli z nią mniejsze lub większe zatargi, ale to Ola częściej niż pozostali wracała do domu z ich śladami.

Wielokrotne spotkania z wychowawczynią niczego nie zmieniały. Zapadłszy na nauczycielską, bardzo wygodną ślepotę, niczego złego nie widziała. Zimal wdzięcznie potrafiła zrobić z siebie ofiarę rasizmu. Kinga nie wiedziała, co odpowiadać. Na każdy jej argument słyszała, że Zimal jest nowa i trzeba dać jej szansę zaadaptowania się w nowej szkole. Dziewczyna ją wykorzystała, bo dość szybko przyłączyły się do niej koleżanki.

Kinga czuła się bezradna. Mimo niepisanego zakazu zaczęła pod szkołą matkę Zimal, ale ta zasłoniła się nieznajomością angielskiego. Kiedy Kinga przypomniała jej, że przecież ostatnio rozmawiała w sekretariacie szkoły, ta wrzasnęła na cały parking, żeby przestała ją nękać. Po angielsku. Kinga wiedziała, że *bullying* to bardzo mocne słowo w tym kraju. Pałący wzrok tłumowi sprawił, że odpuściła.

Nie chciała uczyć córki nienawiści. Nakazała tylko, aby się broniła, nie była bierna, bo do tego jednego ma prawo. Ola skorzystała z tego przywileju tylko raz. Wizyta u psychologa szkolnego pokazała jej, że nie warto. Kinga miała nadzieję, że spotkanie z dyrektcją, na które kilka dni temu otrzymała zaproszenie, pozwoli jej rozwiązać problemy córki raz na zawsze.

Kinga chciała zająć czymś myśli. Włączyła w telefonie radio w nadziei na dobrą audycję i wsadziła go do kieszeni bluzy. Właśnie kończyło się *Śniadanie w Trójce*. Kiedy po bloku reklamowym rozpoczęła się dyskusja o referendum w sprawie odwołania Hanny Gronkiewicz-Waltz, Kinga przełączyła na Eagle Radio. Najważniejszym newsem był sukces policji w Woking, która bardzo szybko ujęła mordercę turystki z Polski. Kinga z goryczą pomyślała o polskim systemie sprawiedliwości. Obiecała sobie, że nigdy więcej nie chce mieć z nim nic wspólnego. Wzdrygnęła się i wyłączyła odbiornik.

Kiedy wsiadała z córkami do samochodu, obawiała się, że stare mondeo odmówi współpracy i znów będzie musiała korzystać z usług taksówkarzy, którzy zdążyli jej zaleźć za skórę. Z duszą na ramieniu przekręciła więc kluczyk w stacyjce, ale tym razem silnik zaskoczył i odpowiedział przyjemnym mrużeniem.

Dojechały szybciej, niż zakładała. Pierwszy raz od bardzo dawna nikt nie zaparkował na prowadzącej do szkoły Bonsey Lane i nie zatarasował przejazdu. Zwykle przez takich mistrzów kierownicy na wąskiej uliczce odbywał się ruch wahadłowy, utrudniając wjazd i wyjazd dziesiątkom samochodów. Na końcu drogi Kinga już wiedziała, czemu zawdzięcza tę zmianę – przy głównej bramie stał policjant i przyglądał się mijającym go pojazdom. Kobieta wiedziała, że został tu przysłany, by obserwować kierowców. Kilka dni temu otrzymała ze szkoły mail. Alarmowano o nieznanym, którego zauważył jeden z uczniów. Z żalem pomyślała, że znów chodziło o śniadego mężczyznę o arabskich korzeniach. Nie wiedzieć czemu w alertach zawsze mówiono o takich właśnie ludziach. W każdym razie okrzyk *stranger danger* zrobił swoje i lokalny patrol policji był zmuszony zareagować.

Wychylające się nad dachów Westfield Primary School słońce zapowiadało piękny dzień. Dziewczynki odsunęły nawet szyby, by nacieszyć się nasyconym promieniami powietrzem. Dopiero kiedy srebrne mondeo ze zgrzytem pokonało ostatniego śpiącego policjanta na szkolnym parkingu, Ola zmarkotniała. Kinga otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Bała się, że wraz z potokiem słów wypłynie strach, który sama czuła.

Po południu miała się spotkać z dyrektorką szkoły, by omówić sytuację Oli. Martwiło ją, że nie będzie potrafiła dobrze przeprowadzić tej rozmowy. Po raz pierwszy od bardzo dawna odczuwała brak Bartka. To on był w tym związku dyplomatą.

Zaparkowała pod samą siatką okalającą rozległy plac szkolny. Zerwał się silny wiatr, więc nasunęła szczelnie kaptur, a Izie poleciła założyć czapkę.

Dwupiętrowy budynek z brunatnej cegły mógł być równie dobrze szpitalem, więzieniem albo urzędem miasta. Jak wszystko w Anglii. Kinga podczas licznych wycieczek z dziecięcą radością wyłapywała budynki w innym kolorze niż ceglasty czy biały. Zastanawiało ją, dlaczego tak

ponurego krajobrazu nie zechciano ożywić kolorami. Jakby złożono broń w walce z depresją.

Rzeka głów w różnym tempie pokonywała połacie betonu, by tuż przy budynku utworzyć deltę i mniejszymi strumieniami wlać się do środka. Każda sala klas nauczania początkowego miała osobne wejście.

Odprowadziły Izę pod drzwi. Dziewczynka pobiegła do rówieśników po krótkiej wymianie uprzejmości nauczycielki z Kingą, po czym ta została sama z Olą. Wolnym krokiem szły do głównego wejścia, jakby chciały opóźnić moment rozstania. Tym bardziej zaskoczyły ją słowa córki:

– Będzie lepiej, jak sobie pójdiesz. – Zatrzymała się w połowie drogi i wbiła wzrok w chodnik. – Wiesz, trochę kicha, że mnie odprowadzasz jak jakieś dziecko.

– Nie ma sprawy. – Kingę ucieszył ten przypływ odwagi. Pocałowała córkę w policzek i odeszła. – Trzymaj się!

Plac szkolny zdążył już opustoszeć, kiedy pod bramą zaparkowało niebieskie bmw. Teraz Kinga wiedziała, dlaczego Ola tak nagle zmieniła zdanie. Zimal wyskoczyła z samochodu, który natychmiast po zatrzaśnięciu drzwi odjechał. Przy bramie czekały na nią trzy koleżanki, które z miejsca zaczęły pokazywać Olę palcami. Do uszu Kingi dotarł szelest ich zjadliwych śmiechów oraz coś o różowej świni. Przez naciągnięty kaptur dziewczyny jej nie poznały, więc stanęły oniemiałe, kiedy Kinga do nich podeszła. Z wściekle wykrzywioną twarzą wycedziła:

– Jeśli jeszcze raz tkniesz moją córkę, dobiorę się do tej twojej ciapackiej rodziny!

W uszach brzmiało jej echo własnych słów i przyspieszonego oddechu. Cały gniew, który miała w sobie, ustąpił miejsca wyrzutom sumienia. Jak mogła to powiedzieć jedenastolatce? Co w nią wstąpiło? Przebiegła wzrokiem po zaskoczonych twarzach dzieci. Widok ten potwierdził, że ją poniosło i będzie się z tego gęsto tłumaczyć dyrekcji szkoły.

Pierwsza oprzytomniała Zimal. Zmrużyła oczy jak kot szykujący się do skoku.

– Jeszcze zobaczymy, dziwko, kto kogo dojedzie. Uważaj, bo moja rodzina jest wszędzie. A twoja? W zasranej Polsce! – mówiła dobitnie. Potem wzruszyła ramionami i rzuciła: – Chodźcie, dziewczyny! Świnie są *haram!*

Kinga stała jak wryta. Przeraziły ją własne słowa, ale gorsze było to, że nie ujrzała w tych młodych oczach choćby cienia strachu. Kiedy ona była mała, taka rozmowa skończyłaby się płaczem albo natychmiastową ucieczką.

Teraz jednak stało przed nią jedenastoletnie dziecko w jakiś okrutny i niezrozumiały dla Kingi sposób obdarte ze swej niewinności, danej ludziom tylko na czas dzieciństwa. Powinna stać przed nią dziewczynka, która co rano pakuje tornister, upychając między zeszyty małego misia towarzyszącego jej od szóstych urodzin, z którym nie mogła się nigdy rozstać. Tymczasem przyglądała jej się zimna, wyrachowana kobieta w skórze dziecka. Kinga poczuła, że jej żołądek wypełnia się lodem.

Uczennice minęły ją i skierowały się do szkoły, zostawiając Kingę samą. Podmuch silnego wiatru przyniósł jeszcze ich szepty i tłumiony chichot.

Nie minęło południe, a już czuła, że dzień mógłby się dla niej zakończyć. Jak idiotka wykrzyczała swoją frustrację na Facebooku, informując wszystkich o biopsji, która miała rozwiać wszystkie wątpliwości. Lajkowanie współczujących komentarzy już sobie odpuściła.

Dziewczynki od trzech godzin były w szkole, a ona wertowała projekty, którymi zasypał ją nowy szef. Wzięła ten wakat, aby uniezależnić się od Bartka i dać sobie szansę na rozwój, ale godzenie nocnej pracy sprzątaczką w szkole i księgowej za dnia z pełnoetatowym macierzyństwem zwyczajnie ją wykańczało. Z drugiej, jaśniejszej strony satysfakcja z comiesięcznych przelewów do Polski budowała w niej tak silne poczucie pewności siebie, że zapominała o zmęczeniu.

Nie dało się jednak ukryć, że emigracja powodowała problemy, o których istnieniu człowiek nie miał pojęcia – myślała o tym, przeglądając kolejny firmowy dokument. Jak choćby ferie szkolne. Co siedem tygodni Kinga stawiała na głowie, żeby zorganizować opiekę dla dziewczynek. Zatrudnienie kogokolwiek równało się z finansowym strzałem w stopę, gdyż opiekunka zarabiała na godzinę więcej niż ona. Kluby dla dzieci i świetlice również znacznie wykraczały poza ich budżet.

Spomiędzy dziesiątek kolumn Excela wyrwało ją mruczenie telefonu. Bartek.

– Hejka! – Silił się na przyjaźnie obojętny ton.

– No cześć – odparła sucho. Nie miała żalu, że odszedł. Miała żal, że wciąż nieudolnie usiłował być w jej życiu. Przy każdej okazji dawała mu to

jasno do zrozumienia.

– Mamy mały problem – zaczął ostrożnie. – Napisałaś mi maila o tym badaniu... Wiem, że sprawa jest poważna, ale naprawdę nie mogę wtedy zająć się dziewczynkami. Pierwszego listopada przylatują koleś z Nicei i wolne nie wchodzi w grę.

Gówny prawda, pomyślała ze złością, ale nie zamierzała dać się ponieść. Gdyby chciał, mógłby wziąć urlop na żądanie i żadną siłą nie mogliby go ściągnąć do pracy. Ostatecznie mógł też połączyć się z wszechmogącymi serwerami z domu. Darowała sobie jednak wskazywanie mu rozwiązań. Tego typu komentarz zakończyłyby się jeśli nie awanturą, to przynajmniej wypominaniem, jaka jego praca jest ważna i odpowiedzialna.

– W porządku – odparła. – Poproszę Beatę. Myślę, że nie będzie robiła problemu.

– Ja nie robię problemu!

– Nie powiedziałam, że robisz – powiedziała spokojnie. – Po prostu mówię ci, że sobie poradzę.

– Świetnie – warknął w słuchawkę. – I tak wiem, co sobie myślisz.

– Bartek, ja naprawdę nie mam na to czasu. – Poddała się. Jej głos przypominał bezsilne westchnięcie. – Olałeś ważny dla mnie temat i teraz jeszcze oczekujesz za to pochwał. Mam prawo być rozczarowana, to wszystko.

– Dwoję się i troję, by zapewnić nam normalny poziom życia, a ty jeszcze narzekasz. – Jego ton zrobił się napastliwy. – Nie mogę tak wszystkiego rzucić!

– W porządku. Już nic nie mówię...

– Nie mówisz, ale swoje myślisz – odciął się.

– Zabierzesz dziewczynki w następną sobotę? – Zmieniła temat. Nie chciała kontynuować bezsensownej scysji. – To będzie ostatni weekend ferii.

– Wiem. – Po przyjacielskim tonie zostało tylko zimne wspomnienie. – Przyjadę zaraz z rana. Spakuj im kostiumy kąpielowe, bo chcę je zabrać na basen do Bracknell.

– OK. Będą gotowe o dziewiątej. Trzymaj się! – Nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się.

Za oknem deszcz z porywistym wiatrem przygotowały ekskluzywne przedstawienie z latającymi śmieciami w roli głównej. Kinga zorientowała

się, że wichura przewróciła kosz w ogrodzie. Założyła wiatrówkę i wybiegła przez kuchenne drzwi pozbierać to, czego nie zabrała pogoda.

Przed wyjściem do szkoły dziewczynki musiała stoczyć jeszcze jedną bitwę. Telefon do agencji nieruchomości zawsze kończył się powiększeniem wrzodów, na które, miała wrażenie, cierpiała. Chciała nawet rzucić to na Bartka, ale mając w pamięci niedawną rozmowę, dała sobie spokój.

Tym razem chciała przypomnieć, że już od dwóch tygodni prosi o naprawę furtki w ogrodzie. Oczywiście to nic w porównaniu z miesiącem oczekiwania na nową pralkę. Pranie ręczne bądź noszenie ciuchów do sąsiadów jest wymarzonym zajęciem pracującej matki dwóch arcybrudzących się dzieciaków. Agencja oczywiście rozumiała jej poirytowanie i oczywiście nie robiła nic, zasłaniając się tym, że wciąż czekają na decyzję właściciela mieszkania. Co, rzecz jasna, nie przeszkadzało im pobierać horrendalnego czynszu.

Tym razem kobieta wyciągnęła argument, że sąsiedzi się skarżą na hałas podczas wietrznej pogody i grożą zgłoszeniem do urzędu miasta. Słyszając to, agentka słodkim głosem zapewniła, że ktoś zjawi się jeszcze w tym tygodniu i naprawi zamek.

Zobaczmy, pomyślała Kinga, zamknęła laptopa i wyszła z domu.

Gabinet dyrektorki znajdował się w najcichszej części budynku. Nie przypominał typowego pokoju władz szkoły. Był raczej salą konferencyjną z wyznaczonym skromnym kącikiem na biurko. Siedziała za nim złotowłosa przedstawicielka angielskiej urody. Kinga pomyślała, że z pewnością była jedną z dziewczyn mdlejących na koncertach Beatlesów. Dziś burzę wspomnień pani Watts szczelnie przykrywała siatka zmarszczek i elegancki kostium od Ralphi Laurena.

Przy stole siedziały jeszcze dwie kobiety. Pierwsza, zajmująca miejsce bliżej biurka, była dość podobna do dyrektorki, ale młodsza i ubrana dużo swobodniej. Wyglądała na sekretarkę. Drugą Kinga знаła ze szkolnych poranków przy kawie, które co jakiś czas były organizowane dla rodziców. Młoda Hinduska prowadziła także zajęcia wyrównawcze z angielskiego dla dzieci obcokrajowców. Zarówno Iza, jak i Ola przepadały za nią.

Na widok Kingi pani Watts wstała i podeszła do drzwi. Krótki uścisk suchej, szmacianej dłoni, standardowe i nic nieznaczące zapytanie o samopoczucie, wskazanie miejsca przy stole konferencyjnym. Sama

wróciła za biurko. Kobiety tylko skinęły głowami. Bezpieczna odległość, cieniutki jak ostrze noża dystans.

– Zanim zaczniemy, chciałabym panią zapewnić, że w naszej szkole stawiamy na tolerancję. – Dyrektorka odchyliła się na krześle i złączyła opuszki palców. O jej pomalowane na mdły kolor paznokcie musiał dbać wirtuoz manicure.

– Bardzo się cieszę... – zaczęła Kinga, ale dyrektorka jej przerwała.

– Dlatego nie możemy dopuszczać do aktów szykanowania dzieci ze względu na pochodzenie czy z jakiegokolwiek innego powodu.

– Popieram – znów się zgodziła, choć czuła, że ta rozmowa podąża dziwnym torem.

– Tym bardziej dziwi mnie zachowanie pani córki – dokończyła dyrektorka.

Kindze zrobiło się ciemno przed oczami. Nerwowo wodziła wzrokiem po twarzach kobiet, szukając jakiegoś potwierdzenia, że to tylko przykry żart.

– Nie bardzo rozumiem...

– Ja też nie – odezwała się sekretarka. Teraz Kinga skojarzyła, że widywała ją nie w biurze szkoły, ale w klasie Oli. Była asystentką nauczyciela. – Znam Olę krótko, ale wydawało mi się, że nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego.

– Ale ona tylko stwierdziła, że Zimal ładnie się opaliła na wakacjach! – Kinga nie potrafiła się wysilić na angielską uprzejmość.

– A zatem widzi pani, gdzie leży problem. – Dyrektorka nie przestawała łagodnie się uśmiechać. Kinga pomyślała, że ten uśmiech to jakieś skrzywienie zawodowe nauczycielek.

– To był komplement, a nie akt szykanowania czy... jak pani to nazwała...

– Była pani nauczycielką...

– Prowadziłam ćwiczenia na uczelni – poprawiła, ale kobieta jej nie słuchała.

– ...i wie pani, jak cienka granica przebiega między niewinnym żartem a naśmiewaniem się z kogoś. Zwłaszcza w świecie dzieci.

– Wyolbrzymiacie problem. – Kinga wbiła wzrok w dyrektorkę.

– Osobiście uważam, że pani go nie dostrzegła. – Niezdrowy rumieniec wystąpił na jej pomarszczonym dekolcie, ale kąciki jej ust wciąż delikatnie wędrowały ku górze.

– Zaszło jakieś nieporozumienie. – Kinga postanowiła dalej w to nie brnąć. Wzięła głęboki oddech. – Jestem tu dlatego, że to właśnie moja córka jest szykanowana, popychana i bita – wymieniała dobitnie – a nie odwrotnie.

– Rozumiem, że reakcja Zimal pozostawia wiele do życzenia i oczywiście nie pozostajemy bierni wobec tej sytuacji, ale sama pani widzi, że wszystko zaczęło się od niedopuszczalnego komentarza pani córki.

– Jeszcze raz powtarzam, to był komplement. Ola chciała być miłą, rozwiązać swój problem pokojowo. To wszystko.

– Odwołując się do koloru skóry Zimal?

– Nazywanie rzeczy po imieniu nie jest przestępstwem.

– Jest, jeżeli kogoś uraża. – Ton jej głosu był coraz bardziej protekcyjny. – Na razie mama Zimal nie wniesie skargi na pani córkę, ale to zachowanie zostało przez nas odnotowane. I z przykrością muszę stwierdzić, że to nie był jedyny raz.

– To jest absurd! – Kinga podniosła głos. – Ola prosi was o pomoc, a wy tymczasem robicie z niej nazistkę!

– Proszę się uspokoić – mówiła łagodnie Hinduska. – Chcemy rozwiązać ten problem tak samo, jak pani...

– Zawołajcie więc Zimal i jej bandę i spytajcie, dlaczego moja córka wraca do domu posiniaczona! – Kindze uderzenia gorąca wylały się czerwienią na twarzy. Ręce zaczęły jej niebezpiecznie drżeć.

– Nic ze szkolnej dokumentacji nie wskazuje na to, że Ola była ofiarą pobicia. – Asystentka wertowała jakiś segregator. – Może więc... – Nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, spojrzała wymownie na dyrektorkę.

– Może więc te ślady nie powstają w szkole? – Pani Watts wyglądała teraz jak rudy śledczy z kryminalnego serialu.

Lodowaty prąd przeszedł Kindze po plecach. Miała w rękach tylko jeden dokument ze szkoły stwierdzający, że Ola spadła z drabinek. Oczywiście nie sama, czego raport już nie zawierał.

– Co pani sugeruje? – Zdanie zawisło w gabinecie jak marznąca mgła.

– Absolutnie nic. – Pani Watts rozłożyła ręce w fałszywie przyjaznym geście. – Proszę tylko, by przyjrzała się pani uważniej, jak pani córka spędza czas wolny.

– Ja chyba śnię! Zostaję tu wezwana, bo uważacie, że znęcam się nad dzieckiem?! – Starła się, by jej głos nie przeszedł w krzyk,

a w konsekwencji się nie załamał.

– Proszę pani...

– Jednocześnie – tym razem Kinga nie dała sobie przerwać – mówicie mi, że moja córka jest jakimś ksenofobem?! I to wszystko w imię pieprzonej tolerancji?! Powiem wam jedno: ta cała tolerancja zaprowadzi was do Auschwitz!

Zimne oczy dyrektorki mrugały raz po raz, ale twarz pozostała nieruchoma. Sięgnęła po słuchawkę i poprosiła w recepcji o telefon na policję.

– Dziękuję, wyjdę sama! – Kinga trzasnęła drzwiami tak, że zadrżały cienkie ścianki z karton-gipsu. Była bliska płaczu, ale szła, w jaki wpadła, zmiotł spod powiek każdą łzę.

Pospiesznym krokiem opuściła mury szkoły, potrącając po drodze jakąś kobietę. Chciała jak najszybciej oddalić się od tego miejsca. Spieprzyła sprawę. Nie umiała tego załatwić po angielsku – z zimną krwią, perfidnie i uprzejmie.

– Pani Wolańska! Proszę zaczekać! – Usłyszała za sobą. – Pani Wolańska!

Kobieta dopadła ją przy samochodzie. Powoli złość przechodziła w bezradność i twarz Kingi lśniła teraz od łez. Otarła rękawem oczy.

– W czym mogę pomóc? – Uśmiechnęła się sztucznie.

Przed nią stała około dwudziestoletnia filigranowa dziewczyna z blond grzywką i kucykiem. Widywała ją często, gdy odprowadzała dzieci do sal lekcyjnych. Asystentka nauczycielki z klasy Zimal z trudem łapała oddech. Kolorowa sukienka pani Harbour łagodnie podkreślała jej zaokrąglony brzusek. Kinga oceniła go na czwarty, może piąty miesiąc.

– Czy spotkanie już się skończyło?

– Jak widać. – Kinga rozłożyła ręce w geście rezygnacji. Nie zamierzała jej niczego ułatwiać. – Przepraszam, ale trochę mi się spieszy. – Wsiadła do samochodu i chwyciła za klamkę, ale kobieta nie dała za wygraną.

– Powinna pani zabrać dziewczynki ze szkoły... – Za tym zdaniem nie kryła się groźba. Raczej troska.

– Nie podkulę ogona tylko dlatego, że jakieś brudasy tego chcą! – Trzasnęła drzwiami i odpaliła silnik, zostawiając nauczycielkę na parkingu.

Brawo Kinga, myślała, jadąc szeroką Vicarage Road. Prawdopodobnie odepchnęłaś ostatnią osobę w tym kraju, która chce ci pomóc.



Konieczność skrobania szyb całkiem zaskoczyła Kingę. Gdy pięć minut później zdyszana i zła przekręcała kluczyk w stacyjce, była pewna, że spóźni się na zabieg. Raz po raz próbowała odpalić samochód, ale stary diesel nie chciał współpracować. Nie wyobrażała sobie, żeby zadzwonić po taksówkę, bo ani nie było jej na nią stać, ani nie miała zamiaru odpowiadać na pytania, dlaczego jedzie do szpitala. Z tą ponurą myślą ostatni raz spróbowała włączyć silnik, który, o dziwo, zaskoczył. Wypadając z parkingu, prawie potrafiła listonosza. Odkoczył na trawnik, złorzecząc Kindze.

Spocone dłonie ślizgały się jej po kierownicy. Zamyślona wymusiła pierwszeństwo na małym rondzie pod samym szpitalem. Stare mondeo zatrzymało się z piskiem opon. Przeprosiła i dla odmiany z przesadną ostrożnością zaparkowała auto na tyłach szpitala St. Peter's.

Mężczyzna w recepcji wskazał jej drogę do poczekalni. Ogromna sala z kilkoma rzędami krzeseł przypominała lotniskowy terminal. Liczba ludzi i panujący wokół nich gwar przytłoczyły Kingę. Zajęła miejsce pod oknem i obserwowała, jak co chwilę w drzwiach pojawia się inna pielęgniarka i zabiera kolejnego pacjenta w podróż po korytarzach szpitala. Zastanawiała się, jak będzie wyglądać zabieg. Pamiętała, jak przy karmieniu Izy zrobił jej się zastój. Późniejsza punkcja wykazała, że to niewielki guzek. Wówczas chłonęła wszystko, co wypisywały spanikowane kobiety w internecie. Nasiąknięty tym mózg podpowiadał najczarniejsze scenariusze. Skończyło się na kilku godzinach w prywatnej klinice i niewielkiej bliźnie.

Teraz ograniczyła się do przeczytania na polskich stronach, że otrzyma znieczulenie miejscowe, a lekarz wkłuże się długą igłą i pobierze fragment nerki. To w zupełności wystarczyło jej wyobraźni.

Tak jak się spodziewała, nie czekała długo na personel. Nieprzeciętnej urody pielęgniarka podeszła do niej i zaprosiła do małej recepcji. Dopiero teraz Kinga zauważyła, że jest tu lustro weneckie, przez które widać poczekalnię. Zająła miejsce przy biurku i machinalnie odpowiadała na pytania pielęgniarki. Z zazdrością patrzyła na jej zadbane dłonie biegające po klawiaturze. W odruchu wstydu schowała swoje do kieszeni. Kiedy

skończyły wywiad, kobieta z uśmiechem wręczyła jej szpitalną koszulę i zaprowadziła do sali.

– Tu spędzi pani noc. – Wskazała łóżko. – Niedługo przyjdzie lekarz.

– Noc? – Kinga pobladła. – Ale *general practitioner* nic nie wspominał o nocy. Muszę wrócić do domu.

– To niemożliwe – zaprzeczyła kategorycznie, ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy. – Lekarz pierwszego kontaktu powinien pani powiedzieć, że po zabiegu trzeba leżeć dobie.

Kinga pożałowała, że zaufała lekarzowi i nie zerknęła chociaż na jedną angielską stronę o biopsji. Niestety prawo zezwalało na zajmowanie stanowiska lekarza pierwszego kontaktu osobom, które przeszły jedynie przeszkolenie. Przyzwyczaiła się, że odpowiedzią na większość dolegliwości był paracetamol i wątpliwie krzepiące „wszystko będzie dobrze”. Kilka razy słyszała opowieści, że lekarz wpisywał objawy do przeglądarki i z tego, co wypłuło Google, wróżył pacjentowi. Nie spodziewała się jednak, że ignorancja przedstawicieli służby zdrowia dosięgnie ją w takim momencie. Zrezygnowana usiadła na łóżku i przeprosiła pielęgniarkę, która, bojąc się wybuchu wściekłości Kingi, ulotniła się w sekundę.

Kobieta wyciągnęła telefon. Książka telefoniczna nie zajmowała nawet całej długości ekranu. Mając do wyboru Beatę, Pracę, Szkołę i Bartka, wybrała tego ostatniego. Bez odpowiedzi.

Beata za to wiedziała, gdzie ma telefon i przy drugim połączeniu Kinga usłyszała jej głos. Dziewczyna nie miała planów na popołudnie, więc obiecała zająć się dziewczynkami przez resztę dnia. Pozostało przekonać Bartka, że musi spędzić noc w domu. Oddzwonił po chwili i nie mając argumentów po ostatniej scysji, zgodził się zmienić Beatę koło osiemnastej.

Po zabiegu Kinga czuła się jak na lekkim haju. Przewieziono ją na salę pooperacyjną i przełożono na łóżko. Zaczynała odczuwać skutki wklucia. Pielęgniarka udzieliła jej instrukcji, że resztę dnia i noc ma spędzić na plecach i w miarę możliwości się nie ruszać.

Siostra już chciała wyjść, ale Kinga poprosiła o podanie telefonu, który zostawiła w torebce.

Zerknęła na ekran: słaba bateria, trzydzieści siedem nieodebranych. Natychmiast wybrała numer Beaty. Odpowiedział jej zapłakany głos:

– Kinga, nie wiem, jak to się stało, ale nie możemy znaleźć Izy...



Potok słów niespodziewanie zastąpił szloch, który Kinga Wolańska usiłowała zatrzymać. Redfern patrzył, jak walczy, łapiąc głębokie oddechy. Pokonana, z jękiem skryła twarz w bluzie Beaty i zastygła. Tylko cichy płacz potwierdzał, że żyje.

Redfern przyglądał się tej scenie z rosnącym żalem, a podświadomość podsuwała mu boleśnie znajome obrazy, które przeniosły go do ciasnego mieszkania w Edynburgu. Antonina Redfern leżała odwrócona do niego plecami i cicho szlochała, a on nie mógł nic zrobić. Raz po raz wysuwał i chował rękę, jakby bojąc się, że jego dotyk sprawi, iż mama rozsypie się na miliony kawałków. To, co czuł, stojąc w ciemnym pokoju, było tak bardzo inne od tego, co towarzyszyło mu jeszcze dwa dni wcześniej, gdy kąpał się w jeziorze z siostrą i najlepszym przyjacielem. Tamto lato wybuchło żarem już w czerwcu, więc gdy tylko zaczęły się wakacje, namówili dziadka na wyprawę za miasto. Schnąc na kraciastym kocu, David obserwował, jak Adrian Bones próbuje podtopić drobną Dominique. Pisk i śmiech dziewczynki raz po raz przerywał plusk i plucie wodą. W pewnym momencie przerwała zabawę i wyszła z jeziora. Założyła leżące na plaży klapki i pomachała bratu, krzycząc, że idzie do toalety. Dwunastoletni David widział, jak znika między drzewami. Nie przypuszczał wtedy, że migające między wysokimi sosnami włosy to ostatni widok siostry.

Patrzył na Kingę Wolańską, sparaliżowany wspomnieniami, i tak jak dwadzieścia trzy lata temu szukał słów pociechy. Żadne jednak nie wydawały mu się odpowiednie, a już na pewno nie zapewnienia, że znajdą dziewczynkę. Bał się składać takich obietnic.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie docierają do niego żadne dźwięki z ruchliwej ulicy. Ciszę przerywały tylko krople spadające z niedokręconego kranu, sprawiając, że chwila podzielona na równe odcinki stawała się nieznośnie długa.

– Powinnaś mu powiedzieć. – Wypowiedziane po polsku zdanie poraziło Redferna. Spojrzał pytająco na Beatę, która szeptała do ucha Wolańskiej. Matka dziewczynki tylko pokręciła głową.

– Wszystko OK? – zapytał, udając, że nie rozumiał. Czując, że może mu się to jeszcze przydać, nie zamierzał się zdradzać ze znajomością polskiego.

– Po prostu próbuję ją uspokoić. – Kłamstwo nie zostawiło żadnego śladu na twarzy Beaty.

– W tym bloku mieszkają jeszcze Ann Rudd i Martin Belam – wymienił cicho, patrząc w notes.

– Tak, Martin przez ścianę, pod jedyneką, a Ann nad nim – potwierdziła Beata.

– Co możesz o nich powiedzieć?

– Niewiele. Martin to taki trochę dziwak i samotnik, a Ann to przemiła staruszka – odparła, nie przestając gładzić Kingi po głowie.

– A drugi blok?

– Dwa dolne mieszkania są do wynajęcia, stoją puste, a ludzi z góry znam tylko z widzenia. Pod szóstką mieszka taki mrukliwy Mu... – Zmieszała się, po czym dokończyła szybko: – ...ciemnoskóry, a pod ósemką młode małżeństwo, chyba lekarze.

– Dzięki. – Dokończył notatkę i zamknął notes.

Kinga Wolańska nawet nie drgnęła, gdy Redfern zaczął się podnosić. Gestem dał znać Beacie, żeby nie wstawiała.

– Zajrzę do was później.

Za drzwiami czekał go zgiełk Old Woking High Street i wiatr, który o mało go nie przewrócił. Owinął się szczelniej kurtką i przeciął trawnik pod oknami, obchodząc budynek. Kiedy schował się za róg, poczuł wibracje komórki. Prokuratorka Bente Hansen dobijała się do niego, ale nie miał jej nic do powiedzenia. Odczekał, aż przestanie dzwonić, i podszedł do drzwi. Zapukał pod numer jeden, ale odpowiedziała mu tylko cisza. W drugim mieszkaniu miał więcej szczęścia i po chwili usłyszał kroki.

– W czym mogę pomóc?

Redfern pomyślał, że pomylił mieszkania. Zamiast miłej staruszki w drzwiach stanął potężny łysiejący mężczyzna. Konsternacja inspektora była tym większa, że był pewien, iż gdzieś go już widział.

– Martin Belam?

– Nie. – Słowa zlały się z piskiem zamykanych drzwi, ale Redfern był szybszy.

– Policja. Szukam Ann Rudd.

– Mama odpoczywa – burknął, ale zrobił krok do tyłu i wpuścił policjanta.

Wspięli się po wyłożonych wykładziną schodach. Syn Ann Rudd był starszy od inspektora i gdy znaleźli się na górze, sapał mocno. Opierając się o balustradę, wskazał policjantowi pokój w głębi korytarza. Wchodząc do niego, Redfern pomyślał, czy polskim zwyczajem ściągnąć buty. Jednak jego trampki zatopiły się w białym dywanie, zostawiając ciemny odcisk.

Staruszka drzemała w fotelu, łapiąc przez okno promienie jesiennego słońca. Raz po raz przez jej twarz przebiegał cień szarpanej wiatrem lipy, którą Redfern zauważył na parkingu.

– Mamo? – Mężczyzna stanął za inspektorem.

– Tak, Ronnie? – Przebudziła się i przetarła twarz kościstą dłonią. Na widok inspektora lekko się wzdrygnęła.

– Pan policjant chce ci zadać kilka pytań. Pewnie chodzi o tę dziewczynkę – zwrócił się do Redferna. – Chociaż wydaje mi się, że pana koleżanka wyciągnęła z mamy już wszystko.

– Właściwie to chciałem zapytać o pani sąsiadów. Co pani wie o Kindze i Bartoszu Wolańskich?

– Raczej niewiele. – Kobieta poprawiła się w fotelu i spojrzała na syna. – Ronnie, kochanie, zrób nam herbaty, proszę.

Zanim Redfern zdążył odmówić, mężczyzna posłusznie zniknął w drzwiach. Po chwili usłyszeli szum czajnika elektrycznego. Staruszka wskazała na fotel przed nią i inspektor usiadł.

– No cóż... – zaczęła. – Kinga czasem mnie odwiedzała. Urocza młoda kobieta. O ile mnie pamięć nie myli, to wprowadzili się jakieś dwa lata temu. Utkwiło mi, że całą przeprowadzkę organizowali sami i do późna w nocy wozili swoje rzeczy. Trochę dziwne, że nie mieli nikogo do pomocy. Z drugiej strony młodzi teraz z rzadka proszą o przysługę. Każdy własnym sumptem, a jak nie, to obcemu zapłacą, żeby tylko nie poprosić nikogo. Potem, nie daj Bóg, trzeba by się odwdzińczyć, a w całym tym zagonieniu ciężko znaleźć na to czas, prawda?

Redfern nie odpowiedział. Jego uwaga skupiona była teraz żółtym audi q8, które z charakterystycznym rykiem pokonywało zakręt przy Poundfield Court. Zdążył wychwycić, że auto miało ciekawą rejestrację „BEE”. Kiedy „pszczoła” zniknęła z pola widzenia, zabierając ze sobą hałas, inspektor zwrócił się do Ann Rudd:

– Jaką rodziną są Wolańscy? Wiem, że niedawno mąż Kingi się wyprowadził. Klócili się przedtem?

– Nie słyszałam, a Kinga nigdy się nie żaliła. On raczej z tych mrukliwych i nieprzystępnych.

– Klócili się jak diabli. – W progu stanął syn Ann z tacą którą postawił na stoliku przed Redfernem. – Słysząc ich było aż tutaj.

Inspektor zanotował słowo „klótnia” ze znakiem zapytania. Kątem oka widział, jak Ronnie przykucnął i posłodził matce herbatę, a następnie dolał mleko. Kiedy wreszcie postanowił usiąść, Ann poklepała się wymownie po kolanach. Mężczyzna podniósł się i podszedł do szafy, z której wyciągnął koc. Zahaczył przy tym o górującą nad filigranową etażerką wypchaną głowę jelenia. Cicho przeklinając, rozmasował czoło i okrył nogi matki.

– Mieszkają państwo razem? – zapytał Redfern, usiłując odczytać napis na mosiężnej tabliczce pod dziełem taksydermisty.

– Ależ skąd – roześmiała się staruszka. – Ronnie mnie tylko odwiedza.

– Zachodzę do mamy, kiedy odwożę żonę do pracy – wyjaśnił i usiadł na pufie.

– Gdzie pan był w momencie porwania?

– Co to za pytanie?

– Najprostsze. – Redfern, nie odrywając wzroku od mężczyzny, upił łyk herbaty. Była cierpka i paliła go w usta.

– Byłem w pracy – odparł. – Odbierałem telefony w sprawie mojego artykułu o Izzy Dix.

– O tej nękaniej nastolatce, która popełniła samobójstwo?

– Nie inaczej. To straszne, do czego te dzieciaki są zdolne. Zamęczyli tę biedną dziewczynę – powiedział sztucznie przejęty, po czym dodał już ostrzej: – Pracuję dla „Daily Mail”. Bacznie też przyglądamy się pracy policji. O ile dobrze pamiętam, swego czasu był pan na pierwszych stronach, nieprawdaż?

Redfern przypomniał sobie, gdzie widział tę nalaną twarz. To Ron Rudd był jednym z pierwszych pismaków, którzy pojawili się pod Guildford Cathedral, gdzie prawie pół roku temu David Redfern oddał śmiertelny strzał do Adriana Bonesa. Były policjant uciekł z zakładu dla psychicznie chorych, zdobył gdzieś broń i usiłował strzelać do przechodniów. Ronald Rudd dotarł do informacji, że zamachowiec był partnerem i najbliższym

przyjacielem inspektora. Dzięki temu uwaga opinii publicznej zamiast skupić się na zasługach Redferna, zrównała go z ziemią.

– Nigdy was nie ma, gdy potrzeba – ciągnął – a tu proszę, zjawia się pan i od ręki załatwia sprawę. Bohater.

– Inaczej pan to ujął w artykule – odparł Redfern.

– Taka praca. – Wzruszył ramionami. – Ale cóż, ktoś musi to robić, a ja mam to szczęście, że lubię swoją pracę.

– Jak widać, z wzajemnością. – Spojrzał przez okno na drapieźną linię nadwozia astona martina.

– Szybko się pan po tym wszystkim podniósł. – Mężczyzna zignorował uwagę. – Chociaż trochę zezowate to pana szczęście, co, inspektorze? Wybuch gazu było słycać u mnie w domu. Cud, że pan przeżył.

– Zaskakująca troska – rzekł Redfern.

– Taka praca – powtórzył Rudd, uśmiechając się sztucznie.

Inspektor nie miał ochoty go naprostować. W swojej wieloletniej karierze nie spotkał ani jednego dziennikarza, który wykazałby się ludzkimi odruchami, jeśli temat był gorący.

– Wracając do sąsiadów – zwrócił się do staruszki – mówiła pani mojej koleżance, że w chwili zaginięcia słyszała pani samochód.

– Tak, panie inspektorze. Po szumie żwiru było słycać, że jechał bardzo agresywnie.

– Ale nie zauważyła pani auta? Stąd doskonale byłoby je widać.

– Niestety, byłam wtedy w kuchni.

– A może widziała pani wtedy kogoś podejrzanego?

– Kręci się tu mnóstwo ludzi, panie inspektorze – odparła. – Przez nasz skwer skracają sobie drogę do Woking Palace albo do kościoła św. Piotra.

– A w zaułku, przy garażach?

– Och, tam też nigdy nie jest spokojnie. Przyjeżdżają do tych młodych jacyś mężczyźni, remontują samochody. Bywają głośni.

– Bywają? – wtrącił się Ron. – Oszaleć można. Cały dzień potrafią gazować jakieś złomy. I tylko „kurwa” i „kurwa”! – pieklił się, wyrzucając drobinki śliny. – Jedyne słowo, jakie znam po polsku. No, może jeszcze „na zdrowia”.

Jeśli już, to na zdrowie, pomyślał Redfern. Czuł, że niczego więcej się nie dowie. Pożegnał się i wyszedł, nie pozwalając się odprowadzić.

Wracając od staruszki, zapukał ponownie do Martina Belama, jednak nikt mu nie otworzył. Postanowił włożyć przez szparę na listy wizytówkę z prośbą o kontakt. Gdy przechodził pod oknami, był prawie pewien, że zobaczył we wnętrzu mieszkania ruch. Zanotował w pamięci, by sprawdzić informacje o mężczyźnie spod numeru jeden. Postanowił dać jeszcze trochę czasu Wolańskiej i poszedł do bloku obok. Tam też nikogo nie zastał, więc wyciągnął kolejny kolorowy kartonik i zrobił z nim to samo, co przy drzwiach Martina Belama, po czym wsiadł do samochodu i odjechał w stronę centrum. Musiał poznać drugą wersję historii zniknięcia Izabeli Wolańskiej.



Parkując pod marketem Asda, zauważył zieloną kopułę Szahdzahan – najstarszego meczetu w Wielkiej Brytanii. Zbudowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku, aż do lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku był centrum islamu na Wyspach. Niektórzy twierdzili, że to właśnie w jego murach powstała nazwa Pakistan, w języku urdu oznaczająca „kraj czystości”. Redfern przypomniał sobie opowieść Bohdana Siwiaszczyka, zdecydowanie bliższą prawdy. Dziadek, który od paru lat pracował jako wolontariusz w Centrum Historii Surrey, co rusz przynosił jakieś rewelacje z dalekiej przeszłości. Kiedyś opowiedział mu o Khwai Kamal-ud-Dinie, słynnym wykładowcy islamu. Przybył do Woking w tysiąc dziewięćset dwunastym, by przywrócić świetność meczetowi, który został czasowo zamknięty i od kilku lat popadał w ruinę. Gdy wszedł do zniszczonych wnętrz, zauważył rozłożony na pulpicie Koran. Podeszedł do niego i zaczął czytać pierwszą surę, którą dostrzegł. Mówiła o Mekce jako pierwszym domu ludzi, błogosławionym i będącym przewodnikiem dla narodów. Wzruszony Khwaja Kamal-ud-Din zrozumiał to jako znak dany od Boga i wypowiedział słynne słowa, że odtąd meczet Szahdzahan będzie Mekką na Zachodzie.

Mijając bramę parkingu, Redfern pomyślał o Abbasich, dla których bliskość tej zachodniej Mekki może i oznaczała dobre życie, ale z pewnością nie uchroniła ich przed straszną śmiercią.

Obok, w kontraście do wspaniałej historycznej budowli, wzniesiono ponury biurowiec z brunatnej cegły, w którym mieściło się kilka firm. Logo w kształcie srebrnego lwa odbijało ostatnie promienie słońca, przyjmując wszystkie barwy wieczora – od czerwieni po złoto. Redfern wszedł po kilku stopniach i nad szklanymi drzwiami przeczytał nic nieznaczącą nazwę firmy James Walker Group. Był wdzięczny, że korporacja Bartosza Wolańskiego znajduje się na parterze. Wszedł do środka. Już z daleka dobiegło go uderzanie setek palców o klawiatury, zlewające się w jeden buczący dźwięk, niczym cykanie świerszczy na egzotycznej wyspie.

– Zapomniał pan tokena? – zagadnął niski mężczyzna w czerwonych okularach i spodniach podtrzymywanych przez szelki w tym samym kolorze, które opinały mu się na wydatnym brzuchu.

– Właściwie to szukam Bartosza Wolańskiego. Podobno tu pracuje.

– Tak, zaraz go zawołam. Chociaż od porwania córki trudno z nim nawiązać kontakt.

– Jestem z policji – rzekł Redfern, wyciągając legitymację.

– To co innego. Wy tam macie swoje metody. – Rozciągnął usta w uśmiechu, ukazując rząd wybielonych zębów, ale na widok reakcji Redferna spuścił lekko głowę i chwycił za uchwyt drzwi, które otworzyły się z cichym bzyczeniem. Zastygł na chwilę i odwrócił się zaczerwieniony.

– Może napije się pan herbaty albo kawy?

Redfern podziękował, a mężczyzna wszedł do środka. Został sam, rozmyślając o tym, że młody człowiek musiał być na najniższym szczeblu złotej drabiny kariery. Chyba nawet tym jeszcze wkopanym w ziemię. Obserwował przez szybę biuro podzielone szarymi płytami na sektory. Chów klatkowy, pomyślał gorzko, widząc wpatrzony w monitory niemal nieruchome głowy.

Raj projektów i cyfr, głównie zer, znajdował się za zabezpieczoną magnetycznym zamkiem bramą i Redfern był wdzięczny, że wciąż pozostaje po tej jej stronie, choć miał w pamięci słowa ojca, który powiedział, że z pracy gliniarza to David nie wyżyje, a i prestiż to żaden. Wspomniał również, że on nie da pieniędzy na szkołę, która doprowadzi do tego, że jego syn będzie na usługach *sassenachs*, czyli obcych, jak często mawiał o Anglikach. Od tamtego czasu nie rozmawiali.

Z zamyślenia wyrwał go barczysty mężczyzna, który podobnie jak facet w szelkach otworzył drzwi z metalicznym buczeniem.

– Pan mnie szukał? – zapytał niskim głosem.

– Tak. Nazywam się David Redfern i jestem z policji. Zajmuję się sprawą pana córki.

– To już nie ta Winter? – zdziwił się Wolański i spojrzał na Redferna podejrzliwie, po czym jego twarz przeszło przerażenie. – Coś się stało. Znaleźliście...

– Nie, nie znaleźliśmy – uspokoił go inspektor. – Dlatego tę sprawę powierzono mnie. Czy możemy gdzieś usiąść?

– Tak. Myślę, że sala konferencyjna jest wolna. Proszę za mną.

Weszli do biura przesiąkniętego ostrym białym światłem z ledów. Bartosz Wolański poprowadził policjanta przez wąskie alejki między boksami. Każdy był lustrzanym odbiciem poprzedniego – monitor, klawiatura i przypięty do nich człowiek. Różniły się tylko detalami, takimi jak tablica korkowa. W jednym z boksów Redfern zauważył przejaw życia osobistego pracownika – zdjęcie uśmiechniętego chłopczyka na huśtawce.

– Ustaliliście coś w sprawie Izy? – Wolański przeszedł do ofensywy, gdy tylko weszli do sali i usiedli przy ogromnym stole.

Redfern opowiedział mu o wszystkim, czego udało mu się dowiedzieć.

– Skoro to porwanie, to dlaczego porywacze jeszcze się nie odezwali? – niecierpliwiał się Wolański.

– Nie wiem – odparł Redfern. – Może to ktoś z bliskich? Przy zaginięciu małoletnich najczęściej się okazuje, że dziecko jest u kogoś z członków rodziny.

Przez twarz Wolańskiego wolno przepłynął ledwie uchwytny cień, który natychmiast przeszedł w grymas gniewu.

– Sugeruje pan, że to ja porwałem własne dziecko? Oszalał pan?

– Miałem zasugerować, że to ktoś z krewnych, ale skoro przy tym jesteśmy, to dlaczego nie zajął się pan córkami pod nieobecność żony?

– Myśli pan, że sobie tego nie wyrzucam? Że mogę spać spokojnie? – Wolański zerwał się i zaczął chodzić wzdłuż stołu.

– Proszę usiąść – powiedział Redfern, ale Wolański pozostał niewzruszony. – Nerwy nie przybliżą nas do pana córki ani o milimetr. Proszę mi powiedzieć, czy pana żona utrudniała panu kontakt z dziećmi?

– Co? – Zmarszczył brwi. – Nie. Mogłem widywać dziewczynki, kiedy chciałem, kiedy tylko miałem czas.

– No właśnie... czas. Gdzie pan był, kiedy Iza zniknęła? – Redfern nie dawał za wygraną. W całej tej nieobecności Wolańskiego coś mu się nie podobało.

– W pracy – odrzekł sucho. – Miałem ważnych gości z Nicei, nie mogłem sobie pozwolić na absencję.

– Rozumiem. – Redfern pokiwał głową. – Pana żona musiała sobie poradzić sama i poprosiła panią Mikiewicz o pomoc.

– Lepiej nie mogła wybrać. – Skrzywił się nieprzyjemnie. – Sąsiadka-idiotka.

Redfern w ostatniej chwili się powstrzymał przed zwróceniem mu uwagi, że takie komentarze powinien zachować dla siebie.

– A jakie są pana relacje z córkami? – zapytał inspektor. – Dogadujecie się? Jak zniosły rozwód?

– Nie rozwiedliśmy się z Kingą – wyniośle poprawił inspektora Wolański.

Redfern wzruszył ramionami na znak, że nie widzi większej różnicy, czy odejście Wolańskiego zostało odnotowane przez jakąkolwiek instytucję, czy też nie. Podejrzewał, że podobnie myślały dzieci, które widywały tatę od wielkiego dzwonu. Starał się zachować bezstronność, ale musiał przed sobą uczciwie przyznać, że coraz mniej lubił ojca dziewczynek.

– Wróćmy do relacji z córkami.

– Ola wchodzi w wiek nastoletni, więc pewne rzeczy się między nami zmieniły – wyznał mężczyzna. – Iza to wciąż jeszcze bobas, łatwo ją rozśmieszyć, dotrzeć do niej. Często zabierałem gdzieś córki na weekend czy na ferie. Włączyliśmy się razem po kraju.

– Odwiedzały też pana w domu przy – Redfern zerknął w notatki – Oriental Road?

– Nie mam do tego warunków. Wynajmuję bardzo małe mieszkanie.

– Mhm – mruknął Redfern, choć w pierwszej chwili nie mógł pojąć, jak małe musiało być lokum, że Wolański nie mógł w nim przenocować dwóch dziewczynek. Przypomniał sobie jednak oferowane na rynku mieszkania i był w stanie zrozumieć, że są w Woking miejsca, do których nie powinno się wpuszczać ludzi, zwłaszcza tych małych.

– A może ktoś z państwa rodziny uznał, że lepiej będzie dziecku z dala od pełnego kłótni domu? – Inspektor zamierzał drażnić każdą szparę, którą dostrzegwał w tej sprawie. – Może pańscy rodzice?

– Moi rodzice są w Polsce – odrzekł Wolański. – Nie utrzymuję z nimi kontaktu. Nigdy nie lubili Kingi, a ja nie lubię, jak mi się mówi, co mam robić – wyjaśnił.

– A jednak ojciec dzwonił do pana parę dni przed porwaniem.

– Już tamta policjantka o to pytała. To przez tę biopsję Kingi – fuknął. – Nagle się przejęli, że dzieci stracą matkę, hipokryci.

Redfern miał wrażenie, że Bartosz Wolański jest jednym z tych ludzi, którzy każdemu przypinają łątkę, najczęściej w ciemnych barwach, jednocześnie nie dostrzegając własnych wad. Mikiewicz, która opiekowała się jego dziećmi, była idiotką, rodzice – hipokrytami. Tylko on sam miał monopol na nieomyślność. Redfern znał ten schemat, ten ton nieznośny sprzeciwu i krytyki pod własnym adresem. Inspektor pozbył się złudzeń co do uczuć, jakie budził w nim ojciec dzieci. Musiał tylko zachować pozory, co ostatnio przychodziło mu z coraz większym trudem.

– A skąd wiedzieli o biopsji?

– Z Facebooka, a jakże. Może mi pan powiedzieć, po co te pierdoły? Po co pyta pan o moich starych? Myśli pan, że jakimś magicznym sposobem ojciec się teleportował i zabrał wnuczkę do Polski?

– Moim zadaniem jest pytać, a pańskim odpowiadać – warknął, czując, że antypatia bierze jednak górę. – Im lepiej pan to zrobi, tym większą mamy szansę znaleźć Izę. Niech więc pan siada i zacznie mówić.

Wolański tym razem wykonał polecenie.

– No to proszę, niech pan pyta.

– Co się działo, kiedy otrzymał pan od Beaty Mikiewicz informację o tym, że nie może znaleźć Izy?

– Początkowo się nie przejąłem. Ta dziewczucha wiecznie zgłasza jakieś problemy. Pewnej nocy przybiegła do nas z krzykiem, że jej się gaz ulatnia. Idę na górę i czuję znajomy zapach. To nie był gaz, tylko zupa cebulowa, która sfermentowała w garnku. Beata nie ma nawet gazu w mieszkaniu. Ciągłe coś gubiła, wplątywała się w jakieś afery, no więc pomyślałem, że może znów jej się coś przywidziało i poradziłem, żeby poszukała dokładnie, bo Iza mogła się gdzieś schować. Kiedy zadzwoniła po raz drugi, wiedziałem już, że nie żartuje.

– A jednak przyjechał pan dopiero pół godziny później.

– Czekałem na taksówkę. Wyjątkowo długo nie przyjeżdżała.

– Nie ma pan swojego auta?

– Mam, ale wypilem z kontrahentami piwo i nie chciałem wsiadać za kierownicę.

– Jedno piwo? – Redfern nie dowierzał.

Inspektor pomyślał, że w kraju o najwyższym dopuszczalnym stężeniu alkoholu we krwi w Europie jedno piwo z pewnością nie dyskwalifikowało Wolańskiego jako kierowcy, a osiem dziesiątych promila wcale nie tak łatwo osiągnąć, zwłaszcza o dziesiątej rano. Patrzył więc z powątpiewaniem na ojca dziewczynek, aż ten odezwał się ostro:

– No niech panu będzie. Poprzedniego dnia zabalowałem, zostawiłem więc auto w garażu. Potem poprawiłem dwoma piwami do lunchu. Nic wielkiego.

Redfern nie podjął tematu. Miał alergię na tego typu wymówki. Od nich się zaczynało, a potem z wolna przeradzały się w słowny atak, aż osiągnęły pełną dojrzałość w postaci agresji. Na tym etapie nie chciał jednak wyrabiać sobie zdania.

– Co się wydarzyło, gdy przyjechał pan do domu?

– Biegaliśmy po całym osiedlu. To był totalny chaos. Usiłowałem się dodzwonić do żony, potem byłem nawet na mokradłach przy Woking Palace. Bałem się, że Iza utonęła. Wszyscy szukali, Ronald, Chege, nawet ci Chińczycy, co prowadzą tę knajpę New Golden House – wymieniał gorliwie. – Potem zauważyłem, że furka do naszego ogrodu ma urwany zamek, ale Beata wyjaśniła mi, że Kinga zgłosiła to w agencji, żeby właściciel mieszkania naprawił. A przecież mogła sama. Gdyby nie lenistwo mojej żony, to pewnie nic by się nie stało.

– A pan nie mógł zamontować tej zasuwki?

– Ja mam pracę – odparł szorstko i spojrzał wymownie w stronę biura, jakby było jego imperium.

I nic poza tym, pomyślał Redfern, choć lekko zapiekła go myśl, że on sam ma podobnie.

– Czy jest jakiś szczegół z tych wydarzeń, który utkwił panu w pamięci?

– Wszystko stało się tak szybko – oznajmił Wolański. – Widziałem ślady kół wyryte na kamieniach, którymi wysypany jest parking. Żaden z mieszkańców tego nie zrobił, dbają o ten zaułek.

– A z kim państwo utrzymują kontakty? Ktoś z pracy?

– U nas nikt raczej nie nawiązuje przyjaźni – odparł z lekkim smutkiem w głosie i ponownie spojrzał na salę.

Tym razem Redfern podążył za jego wzrokiem i napotkał ubranego w garnitur mężczyznę, który patrzył w ich stronę i wskazywał na zegarek.

– Moja żona utrzymuje trochę bliższe stosunki z kolegami z Gordon’s School. Kiedyś nas nawet jeden z nich odwiedził, taki sympatyczny ochroniarz. Wypiliśmy parę głębszych.

Redfernowi powoli wszystko zaczęło się składać – wyprowadzka z domu, przekonanie o własnej doskonałości, kłamstwa co do ilości spożytego alkoholu. Znał ten schemat aż za dobrze, a im dłużej o tym myślał, tym bardziej się obawiał, że osobiste doświadczenia z alkoholikami uniemożliwią mu precyzyjną ocenę sytuacji. Już teraz musiał je oddzielić ostrą brzytwą, by nie dać im wpłynąć na przebieg dochodzenia. Patrząc na Wolańskiego, Redfern pomyślał, że nie jest on zdolny do porwania własnego dziecka. Z drugiej strony ojciec Davida też nie wydawał się zdolny do niektórych rzeczy, a jednak się one wydarzyły.

Nagle poczuł wibrację telefonu w kurtce. Przeprosił Bartosza i odebrał połączenie z nieznanego numeru. Po kilku zdaniach wstępu okazało się, że dzwoni sąsiad Wolańskich z bloku obok. Gdy usłyszał, że inspektor jest teraz w biurze Bartosza, uciał rozmowę. Redfern obiecał, że przyjedzie możliwie jak najszybciej, rozłączył się i zwrócił się do Bartosza:

– Pozwoli pan, że jeszcze do pana zajrzę?

– Mam nadzieję, że tym razem z moją córką – odparł mężczyzna i wyszedł z sali.

Redfern wstał powoli z krzesła i również wyszedł. Gdy mijał kolejne boksy, nasza go refleksja, że jego praca również niebezpiecznie zbliża się do standardów korporacji – ostatnio więcej mieli siedzenia za biurkiem i na zebraniach na „asapie” niż faktycznej policyjnej roboty. Gdy opuszczał budynek, smętne myśli wyparło wspomnienie telefonu od sąsiada Wolańskich. Redfern wciąż działał w terenie i był pewien, że nic nie jest w stanie tego zastąpić.

Szedł do samochodu, zastanawiając się, dlaczego Joseph Chege nie chciał rozmawiać przez telefon i co spowodowało u niego taki konspiracyjny ton. Choć miał w planach zupełnie co innego, inspektor musiał wrócić do Old Woking, by się tego dowiedzieć.



Drewniane drzwi z odręcznie namalowaną szóstką ustąpiły, gdy tylko zbliżył do nich rękę. Starszy czarnoskóry mężczyzna musiał na niego czekać w przedpokoju.

– Pan Joseph Chege? – upewnił się Redfern.

– Proszę mi mówić Che – odparł, wpuszczając inspektora do środka.

Mieszkanie było kopią lokum Ann Rudd, ale w tym przypadku dekorator wewnątrz postawił na surowy minimalizm. Zamiast puszystej wykładziny drewniane schody pokrywał kurz, a za poręcz służyła przykręcona do ściany deska. Złe wrażenie natychmiast zatarł zapach, jaki dobiegał z kuchni. Przypomniał on Redfernowi, że od południa nie miał nic w ustach.

– Nyama choma – wyjaśnił Chege z uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko, że zjem. Właśnie wróciłem z pracy i padam z głodu.

– Oczywiście, proszę – odparł i wszedł za mężczyzną do pokoju, gdzie na stole stał talerz wypełniony pieczonym mięsem. Joseph Chege usiadł i wskazał Redfernowi miejsce naprzeciwko siebie.

– Strasznie szkoda tego dzieciaczka – powiedział, przeżuwając kęs. – Tak fajnie śpiewała, jak się bawiła w ogródku. Z siostrą grały czasem w piłkę między garażami. Takie dwie iskielki.

– Pani Rudd zeznała, że tego dnia słyszała samochód wjeżdżający między garaże – powiedział Redfern, czując, że żołądek zwija mu się z głodu. – Musiał zatrzymać się w przesmyku między blokami, tuż pod pana oknem.

– Niestety odsypiałem wtedy nocną zmianę. Pracuję w Tesco w Brooklands. – Wskazał na logo na granatowej polówce, którą miał na sobie. – Zamieniłem się z kolegą, bo się dowiedział, że zostanie ojcem. Poszedł świętować. Obudziła mnie dopiero ta ładna Polka, kiedy szukała dziewczynki.

– Zna pan rodzinę Wolańskich?

– Tyle o ile. – Odłożył ogryzioną do czysta kość na brzeg talerza i wziął kolejny kawałek. – Pani Wolańska jest bardzo miła, pełna życia. Pamiętam, jak zorganizowała kiedyś sąsiedzkie porządki. Przez weekend wrywaliśmy razem chwasty wokół parkingu, zgrabiliśmy liście, odmalowaliśmy płot pani Rudd. Wesoło było. Wolańska upiekła ciasto, ktoś zrobił lemoniadę. Trochę się wtedy poznaliśmy.

– Z jej mężem też?

– Nie, jego akurat nie było. Podobno wyjechał w delegację czy coś. Zresztą niespecjalnie miałbym ochotę bliżej się z nim zapoznawać.

– Dlaczego?

Joseph wyglądał, jakby czekał na to pytanie. Wytrzeł ręce w jedną z serwetek, które leżały przed nim na stole, i wstał. Odwrócił się w stronę okna i chwilę się czemuś przyglądał. Redfern zauważył, że mężczyzna ma doskonały widok na kuchnię Wolańskich.

– Kiedyś widziałem, jak znęcał się nad tą mniejszą.

– Bił?

– Nie, raczej chwycił za ramiona i potrząsnął tak, że upadła na szafkę jak szmaciana lalka. Uderzyła się w główkę i płakała. Wolański wrzeszczał coś, ale nie słyszałem co. Mała była przerażona, ja zresztą też. Takie małe dziecko... W głowie się nie mieści!

– Zgłosił pan to gdzieś? – zapytał Redfern, choć dobrze znał odpowiedź. Ludzie odwracają oczy, wolą się nie mieszać, a płacz maltretowanych dzieci skutecznie zatrzymują cztery ściany. Tak jak przypuszczał, w tym przypadku było tak samo. Mężczyzna tylko bezradnie pokręcił głową.

– Myślę, że to on stoi za zniknięciem dziewczynki. – Odwrócił się w stronę Redferna, ale inspektor wolał nie podejmować tematu. Wiedział, że podsycanie takich podejrzeń było niebezpieczne nie tylko dla przebiegu śledztwa. – Dziwnie się zachowywał, gdy szukaliśmy tej małej – dodał Chege.

– To znaczy? – Redfern dopatrywał się przyczyny dziwnego zachowania w liczbie promili we krwi Wolańskiego, jednak chciał mieć pewność, że niczego nie przeoczy. Każdy drobiazg może mieć znaczenie, a najmniejszy punkt może okazać się tym zapalnym.

Joseph Chege zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– Gdy przyjechał, nawrzeszczał na tę Polkę, ale w sumie to normalne. Zgubiła jego dziecko. Też bym krzyczał – przyznał. – Natomiast potem, jak już wszyscy się zbiegli, on zupełnie się zmienił, trzymał się jakby z boku. Szukał córki, ale jakoś tak... No nie wiem... Jakby wiedział, że poszukiwania nie mają sensu. A gdy przyjechała policja, zwymiotował, jakby go przestraszyli. Może to objaw stresu?

Albo kaca, pomyślał Redfern, ale nie podzielił się tym z Josephem. Pokiwał tylko głową i zanotował, by zapytać o to człowieka od Johanesa, który, jak wynikało z raportu, był pierwszy na miejscu zdarzenia.

– Czy wszyscy z Poundfield Court brali udział w poszukiwaniach?

– Niech się zastanowię. – Chege zanurzył się we własnych myślach i przez chwilę zapatrzył się na garaże za domem. – Oprócz Martina i Ann Rudd byli wszyscy.

– Znasz tego Martina Belama?

– Taaa – westchnął i opadł na krzesło. – Spotykam go na zebraniach wspólnoty mieszkańców. Kłopotliwy gość. Zablokował adaptację strychu moim sąsiadom, nie zgodził się na remont nawierzchni między garażami – wymieniał. – Wszystko mu przeszkadza: a to ktoś mu na koszu na śmieci kubek ze Starbucksa postawi, a to za szybko ruszamy z parkingu i rozjeżdżamy szuter. Ostatnio pod osłoną nocy ustawił wzdłuż trawnika kilka wielkich pniaków. Jak wracałem z popołudniówki, rozwaliłem o to draństwo zderzak i podwozie. Do tej pory mi nie zwrócił za naprawę. Uważa, że miał prawo, bo zieleniec przylega do jego mieszkania. Przystojny facet, w pana wieku, a zachowuje się jak stary dziad. Jego córka musi mieć anielską cierpliwość do tego dupka.

– Więc nie mieszka sam? – zdziwił się Redfern i zapisał w notatniku słowo „córka”.

– Mieszka, ale dziewczyna odwiedza go prawie codziennie. Czasem gdzieś razem jadą. Kiedyś widziałem ich w Rat & Parrot. Chyba mają dobry kontakt, bo śmiali się w restauracji do rozpuku. W życiu by pan nie powiedział, że to taki zrzęda.

Redfern uznał, że przesłuchanie dobiegło końca. Rodzinne relacje Martina Belama schodziły na dalszy plan wobec skręcającego bólu żołądka. Podziękował starszemu mężczyźnie i wygłosił standardową regułkę.

– Odprowadzę pana, muszę wziąć z auta identyfikator. Jak go zgubię, to mnie z roboty wywalą. – Zaśmiał się sztucznie.

Otworzył drzwi i puścił Redferna przodem. Inspektor postanowił skorzystać z okazji i skoczyć do auta po pozostawionego w nim batonika.

– Ty głupi bydlaku! – Redfern usłyszał głos Chegego, który natychmiast dodał speszony: – Jezu, to nie do pana!

– Co się stało? – Policjant patrzył, jak Joseph wykonuje dziwny taniec koło swojego auta.

– Ten cholerny pies Ruddów znów narobił na trawnik!

– Nie wiedziałem, że mają psa.

– To krowa, a nie pies i takie też placki zostawia – denerwował się mężczyzna, wycierając but o wyliniałą trawę.

– Mój dziadek też nie sprząta po moim Bandicie.

– Fajne imię dla psa policjanta. – Chege się uśmiechnął. – Sam pan je wymyślił?

– Sam – skłamał, czując dziwne ukłucie w sercu na myśl o prawdzie.

Siedział w zimnym samochodzie i usiłował uspokoić żołądek snickersem, jednak zamiast sytości poczuł nagły spadek sił. Postanowił odczekać, aż cukier wniknie w krwiobieg i da mu żłudny zastrzyk energii.

Zakole Poundfield Court zdążyła pokryć ołowiana szarówka. Lampa stojąca na parkingu miała stłuczoną żarówkę, więc jedyne światło, na jakie Redfern mógł liczyć, pochodziło z przejeżdżających obok aut, które raz po raz oświetlały ciemne bloki. Każde okno pogrążone było w czerni, jakby na znak solidarnej żałoby z Wolańskimi.

Kiedy wszedł do mieszkania, Kinga Wolańska wciąż siedziała w kuchni. Pomieszczenie oświetlała tylko zamontowana pod szafką jarzeniówka, która sprawiała, że kobieta przypominała cmentarne widmo. Trzymała w rękach parujący kubek i nieruchomo wpatrywała się w okno. Jej twarz zdążyła wyschnąć, ale oczy pozostały wilgotne i przekrwione.

– Czy możemy...

– Proszę – odpowiedziała, nie odrywając się od swoich myśli.

Redfern zajął ten sam niewygodny stółek, na którym siedział ostatnio.

– Potrzebuję listy osób, z którymi utrzymuje pani kontakt. Znajomi, rodzina.

Wciąż patrząc w okno, kobieta odstawiła kubek na blat. Redfern zauważył, że nie upiła z niego ani łyka.

– Mówiłam już pana koleżance... – powiedziała, ale napotkawszy wzrok inspektora, westchnęła: – OK. Najbliższa jest mi Bacia, ale to raczej ciepłe sąsiedzkie stosunki niż wielka przyjaźń. Mam też paru znajomych z pracy, mój mąż kilku kolegów, no i jakieś matki ze szkoły – zawahała się – dziewczynek. To wszystko.

Summer już o to pytała i widział ich nazwiska w skrupulatnych notatkach, ale miał nadzieję, że Wolańska wymieni jeszcze kogoś, kto nie występował na liście sierżant Winter. Szesnaście osób wydawało się Redfernowi czymś niemożliwym. Zastanowiło go, że rodzina, która przez wszystkich była określana jako sympatyczna, nie miała bliższych

przyjaciół. Wydało mu się to mało polskie. Sam pamiętał, że drzwi jego rodzinnego domu prawie się nie zamykały. Po powrocie z Edynburga na Hammersmith Antonina Redfern, zwana przez znajomych Polaków Toską, a przez Anglików – Toni, miała wokół siebie mnóstwo osób. Nie było dnia, żeby nie wpadli jacyś sąsiedzi, z których każdy z miejsca stawał się dla Davida wujkiem lub ciocią. Emigracja powojenna, ta napędzana strachem, scalała ludzi. Naszła go myśl, że w emigracji dwudziestego pierwszego wieku nie było miejsca na polską gościnność, na którą nikt w pogoni za funtem nie miał czasu.

– Pracuje pani w Gordon’s School, prawda?

– Tak, sprzątam tam wieczorami – wyznała z ledwie wyczuwalnym zażenowaniem, po czym szybko dodała: – Zresztą już niedługo, bo dziś jadę omówić warunki wypowiedzenia, które złożyłam parę dni temu.

Redfern odwiedził Gordon’s School przy okazji śledztwa Millerów i doskonale pamiętał, jak wielkie zrobiła na nim wrażenie. Pod względem liczby budynków szkoła wojskowa w West End przypominała przeciętną walijską wieś. Tym bardziej się zmartwił, że tych parę koleżanek z pracy, o których wspominała Wolańska, może stanowić całkiem sporą liczbę ludzi do przesłuchania.

– A gdyby miała pani wymienić najbliższych współpracowników?

– Najbliższych? – zdziwiła się. – Jesteśmy tylko we trzy, Michelle, Vanessa i ja.

Nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak szybko muszą pracować, by posprzątać kilkanaście budynków. Wytargał z notesu kartkę i podał kobiecie, by zapisała nazwiska pracownic.

– Jest jeszcze dwóch portierów, Carl i Ben. Z Carlem często rozmawiamy po pracy, a Ben to dupek – dodała, notując. – Myśli pan, że ktokolwiek z moich znajomych mógłby...

Ciężar tej świadomości niespodziewanie znów ją przygniótł. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je.

– Sprawdzam każdą możliwość – odparł Redfern. – Tak jak mówiłem, dzieci często znajdują się u jakiegoś znajomego. Jakiś przyszywany wujek czy ciocia wpada na pomysł, że weźmie je na wycieczkę niespodziankę. Dlatego pytamy o wszystkich, którzy mieli styczność z dzieckiem. – Kłamstwo uspokoiło kobietę. Ciągnął więc dalej: – Czy przed porwaniem zauważyła pani coś niepokojącego? Może kręcił się ktoś podejrzany?

Poundfield Court to kameralne miejsce, dwa bloczki, osiem mieszkań, jedenastu mieszkańców. Ktoś musiał coś zauważyć.

– Kameralne, ale nie ustronne – odparła nagle ze złością. – Już mówiłam, że nikt nic nie widział. Przez nasz mały parking codziennie maszerują hordy turystów idących do Woking Palace. Niemożliwością jest coś zauważyć. Zresztą każdy, z wyjątkiem Ann, pracuje. Obydwa bloki stoją przez cały dzień puste.

– Rozumiem. – Pokiwał głową. – W czasie porwania była pani w szpitalu. Dlaczego zdecydowała się pani powierzyć opiekę nad dziećmi Beacie Mikiewicz, a nie mężowi?

– Już mówiłam. Bartek nie mógł się zająć dziewczynkami. – Usiłowała przekonać bardziej siebie niż Redferna. – Miał wtedy ważne spotkanie z ludźmi z Sofii.

– Podobno z Nicei...

– Może z Nicei – westchnęła zniecierpliwiona.

– Nie wie pani dokładnie, co robił mąż podczas pani pobytu w szpitalu?

– Nie wiem...

– A zatem nie była to państwa wspólna decyzja?

– Nie. O tym, że mąż nie może mi pomóc, dowiedziałam się w ostatniej chwili, przecież mówiłam. Poprosiłam więc Beatę... – Głos jej się załamał i schowała twarz za kolanami.

– Nie żyją państwo w najlepszych stosunkach, prawda?

– A co to pana obchodzi?! Zajmijcie się znalezieniem Izy, a nie grzebaniem w naszym życiu! – Zerwała się z krzesła i wyszła z kuchni. Gdy tylko ucichł huk zatrzaskiwanych drzwi, Redfern usłyszał trzeszczenie kanapy.

Nie mógł jej tak zostawić. Najwyraźniej jej funkcjonowanie opierało się na środkach uspokajających. Redfern zdawał sobie sprawę, jaką siłą może być nadzieja. Pracując w Narodowej Agencji do spraw Przystępności, widział wiele matek, które nie mogły sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spały, a mimo to były w stanie chodzić do pracy, dbać o dom i biec co sił do każdej informacji o tym, że ich dziecko żyje. Adrenalina, nadzieja i prochy. Ale wystarczył mały bodziec, a rozsypywały się jak zostawiony na słońcu zamek z piasku. Redfern obawiał się, że właśnie kopnął jedną z wież.

– Przepraszam. – Staął w drzwiach, opierając się o futrynę.

Było mu głupio, że na nią naskoczył. Wiedział, że pogłębianie poczucia winy i wywoływanie fali łez nie doprowadzą go do informacji, które mogłyby pomóc. Tyle że Kinga Wolańska nie płakała. Siedziała na kanapie z zaciętym wyrazem twarzy. W zielonych oczach widać było tylko złość.

– O co panu chodzi, co?

– Chcę zrozumieć, co stało się z Izą. Muszę wiedzieć wszystko. Nawet jeśli to oznacza grzebanie w pani małżeństwie.

– W porządku. – Rozłożyła ręce w geście rezygnacji. – Niech pan pyta.

Redfern wszedł do pokoju i usiadł na drugiej sofie pod oknem. Dopiero teraz spostrzegł, że gdyby ściągnąć z kobiety szarość całego nieszczęścia, byłaby całkiem ładna.

– Zaczniemy zatem od początku. Dlaczego przyjechała pani do Anglii?

Spojrzała na niego zaskoczona. Podniosła do twarzy dłoń i odgryzła kawałek skórki. Redfern zauważył, że na niektórych palcach ma świeże rany.

– Wie pan, jak jest teraz w Polsce? – odezwała się.

– Nie wiem – odparł szczerze. – Ale domyślam się, że nie jest kolorowo.

– No to ma pan odpowiedź.

– Pracowała pani na uczelni, a pani mąż jest menadżerem w Lion House.

– Jest zakupowcem w James Walker Group – poprawiła. – W Polsce był gryzpiórkiem w banku.

– To chyba nie było aż tak źle.

– Za mało, by żyć, za dużo, by umrzeć – rzuciła lakonicznie. – Wie pan, jak to jest, kiedy zasuwa się na pełnych obrotach cały rok, a na koniec się okazuje, że nie ma pieniędzy nawet na to, by zabrać dzieciaki nad krajowe morze?

Nie wiedział. W Anglii, jeśli dwie osoby uczciwie pracowały, zawsze mogły sobie pozwolić na skromne wakacje, jakiś samochód. A już na pewno gdy jedno z nich było pracownikiem naukowym, a drugie – bankowym. David zastanawiał się, co w polskim kapitalizmie poszło nie tak.

– No więc ze wszystkich krajów, które nie chcą u siebie Polaków, wybraliśmy Anglię, a kierowała nami żądza pieniądza. Po prostu – podsumowała Wolańska.

– Nie nawiązaliście państwo żadnych przyjaźni przez cztery lata, prawda?

– Dziwne, co nie?

Sięgnęła do szuflady stolika, który stał koło sofy, i wyciągnęła z niej złote marlboro. Niezdarnym ruchem wydobyła jednego i odpaliła. Najwyraźniej była to jej pierwsza w życiu paczka. Kiedy dym szczelnie wypełnił pokój, dodała:

– Anglicy to tacy serdeczni i otwarci ludzie. Nie trzeba się z nimi umawiać z miesięcznym wyprzedzeniem, nie obrabiają nikomu dupy, nie są też rasistami, a tym bardziej ksenofobami. – Wstała i uchyliła okno. Do pokoju wpadł wiatr, przynosząc przesywające zimno, ale i świeże powietrze. Kobieta wróciła na sofę i dodała: – Powierzchowna grzeczność to jednak jeszcze nie przyjaźń, panie inspektorze. Tak więc nie, nie nawiązałam żadnych bliższych znajomości.

– A z Polakami?

– Powiedzmy, że Polacy są jeszcze lepsi na obczyźnie niż u siebie.

Nie wiedział, co miała na myśli, ale nie zamierzał w to brnąć. Starał się wykluczyć najbliższe środowisko i chyba właśnie się udało. Wciąż jednak poruszał się po minowym polu podczas tej rozmowy.

– Czy dzieci są tu szczęśliwe?

– Iza odnalazła się w Anglii całkiem nieźle, ale Ola wciąż tęskni za Polską – odparła. – Nie udało jej się znaleźć żadnej przyjaciółki w szkole ani poza nią. Starszemu dziecku zawsze jest trudniej. Poza tym trudno się z kimś zaprzyjaźnić poza szkołą, skoro do dwunastego roku życia nie można wychodzić na podwórko bez rodziców, prawda?

Redfern nie chciał komentować tego zarzutu. Wiedział, że zalecenia Narodowego Stowarzyszenia Przeciwko Okrucieństwu Wobec Dzieci są podyktowane troską o bezpieczeństwo najmłodszych. Nie było to wiążące prawo, choć przyjęło się, że przypadki puszczania dzieci poniżej dwunastu lat samopas należy zgłaszać na policję, i sprawy te kończyły się różnie. W sprzeczności z tymi zaleceniami stały szkolne przepisy, które w piątej klasie zezwalały na samotny powrót z zajęć, a jedynym warunkiem było posiadanie przy sobie telefonu.

Rodzice jednak nie zostawiali dzieci samych w domach ani też nie pozwalali wychodzić samodzielnie na plac zabaw czy do sklepu dopóty, dopóki te nie były w gimnazjum. Wcześniej zawsze musiał im towarzyszyć opiekun lub rodzic.

– Pani mąż nie mieszka z wami, prawda? – zapytał.

– Przecież pan wie. – Zdusiła papierosa w popielniczce obok licznych niedopałków slimów. Redfern zauważył też białe ustniki Benson & Hedges. Pierwsze przypisał Beacie, drugie zanotował w pamięci.

– OK. Czy w związku z tym spotyka się pani z kimś? Czy ktoś odwiedzał ostatnio pani dom?

– Nie – odparła szeptem i znów podciągnęła kolana, obejmując je ściśle.

Zaskoczyła go. Znowu. Spodziewał się ostrego ataku albo chociaż skrywanej złości. Tymczasem patrzył na skuloną w sobie kobietę. Tę samą, która przed chwilą trzaskała z furią drzwiami. W tym momencie zamek z piasku runął na jego oczach.

– Wie pan, ile razy dziennie się zastanawiam, który z mijających mnie bydlaków porwał moją córkę? – mówiła dobitnie. – Każdego dnia składam rodzinną układankę, myśląc, kto mógł chcieć nas skrzywdzić. W każdym widzę porywacza. Absolutnie w każdym. – Znów sięgnęła po papierosa, ale go nie odpaliła. – Od zniknięcia Izy zapukałam do każdego domu, który przyszedł mi na myśl. Do koleżanek z klasy i ich koleżanek, do domów znajomych z klubu gimnastycznego, do drzwi kościoła St. Dunstans. Każde z tych drzwi rozpałało na nowo nadzieję, by za chwilę wyrwać ze mnie kawałek duszy. Odwiedziłam wszelkie miejsca, w których kiedykolwiek byłam z Izą, a wszystko to w głupiej wierze, że to całe zniknięcie to tylko żart, psikus pięcioletniej dziewczynki. Ale tej pięcioletniej dziewczynki tam nie było. Rozumie pan?! Nie było! – Głos jej drżał, a papieros zmienił się w miazgę tytoniu i bibuły, które teraz sypały się z dłoni kobiety. – Niech mi pan więc oszczędzi tych durnych pytań! Niech pan znajdzie moje dziecko!

– Co tu się dzieje? – W progu stanęła dziewczyna w rogowych okularach. – Litości pan nie ma? – Podeszła do Wolańskiej. – Cholerne psy! Niech już pan lepiej sobie idzie! Cały dzień pan tu krąży jak jakiś sęp.

– Nie, w porządku. – Huśtawka nastrojów, na której siedziała Kinga Wolańska, znów się zatrzymała i kobieta mówiła spokojnym, matowym głosem.

Beata usiadła obok niej niezadowolona i poczęstowała się papierosem. Mimo że była dużo wprawniejsza niż jej sąsiadka, wyglądała jak rzucająca wyzwanie światu gimnazjalistka.

– Chciałbym jeszcze zapytać o pani rodzinę w Polsce – zagadnął Redfern.

Wolańska nie odpowiedziała od razu, jakby musiała się zastanowić, czy dobrze usłyszała. Pociągnęła nosem i przetarła wierzchem dłoni policzki.

– Mam ojca i starszą siostrę – powiedziała cicho. – Dzwonimy czasem do siebie. Mama umarła sześć lat temu. Mam kilkoro kuzynów, z którymi utrzymuję sporadyczny kontakt. To wszystko.

Redferna zastanawiała ta suchość relacji. Żadnych przyjaciół, dalsza rodzina trzymana na dystans. Zwykle od imigrantów słyszał słowa tęsknoty. Tutaj widział wyłącznie odcięcie, jakby Polska i jej sprawy zostały za dźwiękoszczelną szybą.

– Czy możemy dokończyć innym razem? – Wolańska wyrwała go z zamyślenia. – Jestem bardzo zmęczona.

– Oczywiście – odparł inspektor, pożegnał się z kobietami i wyszedł.

Do dudniącego wiatru dołączył deszcz i nim Redfern znalazł się w samochodzie, ciężkie krople przeniknęły przez kurtkę. Nie zapalając silnika, siedział w lodowatym wnętrzu i analizował to, co usłyszał tego dnia. Wszystkie rozmowy zbudowane były z twardych elementów, ale na ich styku coś się rozmywało i był przekonany, że w tym rozmyciu znajdzie Iżę Wolańską. Nie był tylko pewien, czy żywą.

Spojrzał na zegarek, który wskazywał wpół do ósmej. Nie była to dobra pora na odwiedziny, ale miejsce, do którego zamierzał się udać, zaczynało właśnie drugą fazę życia. Redfern włączył silnik i odjechał.

Poniedziałek, 4.11.2013, wieczór

Brama szkoły wolno ustępowała, kiedy Redfern wjeżdżał na podjazd. Zatrzymał triumpha na środku parkingu, oświetlonego tylko światłem padającym z okien hali sportowej, przez które widział grających w siatkówkę ludzi. Nigdzie nie zauważył samochodu Wolańskiej, więc uznał, że prawdopodobnie jeszcze nie dojechała do pracy. Siedział przez chwilę w samochodzie i obserwował główny budynek szkoły, od którego odcinała się jasna witryna recepcji. W głębi zauważył starszą kobietę, z ożywieniem rozprawiającą o czymś z portierem. Jej porysowaną zmarszczkami twarz okalały natapirowane blond włosy. Ubrana w czarny płaszcz, stała oparta o kontuar, wpatrując się z uwagą w pierś mężczyzny.

Kiedy Redfern otwierał drzwi wiatrołapu, zrozumiał, że portier raczy kobietę opowieścią o zebraniach w BASC. Podchodząc do kontuaru, zauważył, że mężczyzna schował odznakę stowarzyszenia myśliwskiego. W opinii inspektora portier zupełnie nie wyglądał na myśliwego, a już na pewno nie na członka tego chorego, w jego opinii, zgrupowania. Strzelanie

do dzikich zwierząt w żaden sposób nie wpisywało się ramy sportu i wstrząsało nim, ilekroć o tym pomyślał.

Redfern wszedł i strącił krople deszczu z mokrego polaru, komentując przy tym kaprysy angielskiej pogody. Blondynka zmierzyła inspektora wzrokiem i mruknęła coś o kwestii przyzwyczajenia. Na jej piersi obok żałobnej broszki wisiał zielony identyfikator Rady Hrabstwa Surrey, na którym inspektor przeczytał nazwisko umieszczone na liście Wolańskiej. Kimberly Small, menadżerka ekipy sprzątającej, patrzyła z niechęcią na mokre ślady na wykładzinie.

– My się chyba znamy? – zapytał portiera z uśmiechem. – Inspektor David Redfern – przypomniał mu.

– A, tak, policja. – Mężczyzna pokiwał głową i wymownie stuknął palcem w księgę gości, po czym dodał: – Julian Miller już do nas nie uczęszcza.

– Tym razem chodzi o Kingę Wolańską – rzekł, notując swoje dane w tabeli, tuż pod Lucasem Hornbeamem, ojcem ucznia, jak głosiła jedna z rubryk. Blondynka poruszyła się niespokojnie, ale Redfern ją zignorował.

– Bardzo miłe dziecko – odparł portier. – Wciąż nie możemy uwierzyć w to, co ją spotkało – powiedział i otarł wilgotne oczy dłonią. – Kiedyś przywiozła córeczki do pracy, bo nie miał się kto nimi zająć. Siedziały tu ze mną cały wieczór i buzie im się nie zamykały. Ale miałem pociechę... – Roześmiał się, ale urwał nagle.

Kimberly Small wyglądała, jakby właśnie dowiedziała się o czymś, o czym powinna przeczytać w księdze raportowej, którą trzymała pod pachą, a co specjalnie zostało przed nią zatajone. Wyczuwając ciężką atmosferę, Carl zaproponował Redfernowi herbatę i pokuśtykał do kuchni.

– Czy Kinga Wolańska miała jakieś problemy w pracy? – inspektor zwrócił się do kobiety.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odparła wyniośle. – Kinga to bardzo dobra pracownica, nigdy nie było na nią skarg ze strony władz szkoły.

– A ze strony innych pracowników?

Menadżerka wyglądała, jakby szukała w pamięci jakiegoś znaczącego incydentu, ale ostatecznie potrząsnęła głową.

– Nie przychodzi mi nic do głowy – rzuciła, kryjąc kłamstwo za filiżanką herbaty, z której upiła łyk. Szminka z jej żabich ust zostawiła na brzegach krwawy ślad.

– A jednak zaraz po porwaniu pani Wolańska złożyła wymówienie, prawda?

– Nie widzę związku. – Odstawiła filiżankę z trzaskiem i unikając wzroku Redferna, zaczęła czegoś szukać w torebce, która zwisała jej na ramieniu. Wyciągnęła z niej chusteczkę, którą wytarła kąciki ust.

– Może czegoś się bała? – zasugerował.

– Proszę pana, nie ustaliłyśmy jeszcze szczegółów wypowiedzenia – odparła. – O ile dobrze wiem, na razie Kinga Wolańska jest na urlopie. Nie widziałam jej od początku ferii.

– A reszta pracowników? Są dziś w szkole?

– Jak we wszystkich szkołach prywatnych, w Gordon’s wciąż mamy ferie – podkreśliła i zabrała z blatu księgę raportową. – Pracownicy wrócą dopiero w przyszłym tygodniu.

– Czy mogę zobaczyć? – Redfern wyciągnął rękę.

– To własność urzędu miasta. – Podeszła do drzwi.

– Tak się składa, że dla nich pracuję – odparł, wciąż trzymając wyciągniętą dłoń.

– Proszę. – Zawróciła i podała mu zielony wolumin.

Redfern rozłożył go na kontuarze i przejrzał pierwszą stronę, na której stworzono listę pracowników. Część nazwisk wydała mu się zupełnie obca i był pewien, że nie pokrywała się z tym, co otrzymał od matki zaginionej dziewczynki. Przyłożył palec do pierwszego z nich.

– Kim jest ten człowiek?

– To członek ekipy sprzątającej, która pracuje na ciężkich maszynach – wyjaśniła Kimberly i wskazała na jeszcze dwa hiszpańsko brzmiące nazwiska. – Przychodzą trzy razy w tygodniu, by doprowadzić do porządku basen, budynek plastyczny i kuchnię.

– Kinga Wolańska nie wymieniła ich jako współpracowników. Dlaczego?

– Niech ją pan spyta. – Złośliwy uśmiech wypełził jej na twarz. – Przepraszam, ale mam dzisiaj masę obowiązków – powiedziała, chowając księgę do torby, i wyszła.

Carl przekroczył próg portierni z tacą, na której ustawił imbryk i dwie filiżanki. Każdej brakowało ucha.

– Gdzie Kim?

– Chyba wróciła do swojej pieczary – wyrwało się Redfernowi, ale staruszek tylko się uśmiechnął. – Długo pan tu pracuje?

– Zdecydowanie za długo – odparł portier. – Niedługo odchodzę na emeryturę, by zająć się sobą.

– I polowaniami – zauważył inspektor.

– Stare dzieje. – Carl się zachmurzył, po czym wyciągnął przed siebie dłonie. Chude, zgrabiące palce zdradzały początek choroby Parkinsona.

– Kimberly Small wspomniała o drugiej ekipie.

– Brazylijczycy. Młode, wesołe chłopaki, ale mają łącie południowe podejście do pracy. Dlatego często dziewczyny muszą zasuwać na scrubberach. Ciężka robota, to i się wkurzają.

– Czyli były konflikty?

– Nie takie, jak pan myśli – powiedział portier. – To oczywiście tylko plotki, ale podobno jednemu z nich bardzo podobała się Kinga. Bez wzajemności. Po tym incydencie Kimberly dopilnowała, żeby obie ekipy pracowały w różnych godzinach.

– Nie został zwolniony? – zdziwił się Redfern, ale kąciaki ust Carla Straussa tylko lekko zadrżały.

Redfern upił duży łyk z filizanki. Deszcz nie przestawał zacinać, tworząc na szybie srebrne wężyki. Robiło się coraz paskudniej. Redfern zauważył za oknem ciemną postać. Po chwili drzwi od wiatrołapu się otworzyły i do recepcji wszedł młody mężczyzna.

– Pan dziś tutaj, panie Andrews? – zapytał portier, odstawiając filizankę na spodek.

– Tak, jak zwykle zapomniałem zabrać materiałów – oznajmił, zdejmując z głowy przemoczony kaptur. Na widok Redferna przystanął w progu, a przez jego piegowatą twarz przebiegł grymas. – Chciałem tylko powiedzieć, że się zdecydowałem.

– Doskonale – ucieszył się Carl Strauss. – W takim razie zapraszam piętnastego. Adres pan zna?

– Oczywiście – odparł i się pożegnał. Chwilę potem światła białego forda omiotły witrynę recepcji.

Redfern miał wrażenie, że był świadkiem niedokończonej sceny. Spojrzał pytająco na portiera.

– Nauczyciel historii – wyjaśnił. – Niedługo sprzedaję mu dom. – Niedawna radość ustąpiła żalowi i Redfern patrzył na zrezygnowaną twarz starca. – W Ramsgate. Wie pan, kupiłem go niedługo po odejściu ze straży lata temu i wkładaliśmy w niego z żoną wszystko, co udało nam się zebrać

od dnia ślubu. Miał być opoką na stare lata, a tak naprawdę nie zdążyliśmy się do niego wprowadzić.

– Dlaczego więc pan go sprzedaje?

– Z Judy, moją żoną, jest coraz gorzej – powiedział. – Schizofrenia to jedno, ale teraz jeszcze ten alzheimer.

– Bardzo mi przykro.

Carl Strauss przypomniał mu, że starość to stan pogłębiającej się samotności. Jak drzewo na skraju lasu, które z biegiem lat ma do zaoferowania światu coraz mniej – już nie szum liści, a trzeszczenie pnia, nie potęgę, a zgrabiałe gałęzie. Redferna ogarnął dziwny smutek, pozwolił więc ciągnąć mężczyźnie jego opowieść.

– Sprzedaję nasze mieszkanie w Woking i ten dom – westchnął starzec. – W to miejsce chcę kupić coś małego na wybrzeżu. W Canterbury jest ośrodek dla schizofreników. Ładny. Z kortem tenisowym. Będzie jej tam dobrze – przekonywał bardziej siebie niż Redferna. – Ja będę miał swoje morze, a ona nie będzie słyszała mew. Ostatnio ją drażnią. – Zaszklone oczy ukrył za filizanką, którą podniósł do ust.

– Czy Kinga Wolańska często mówiła o dzieciach? – Redfern zmienił temat.

Po kilku minutach spędzonych z Carlem Straussem inspektor mógł podpisać się pod zdaniem Wolańskiej, że staruszek jest przesympatyczny, ale w tej chwili Redfern nie mógł pozwolić sobie na rozmowę, która nie łączyła się ze śledztwem.

– Tak jak każda matka – rzekł, uśmiechając się. – Czasem pokazywała nam zdjęcia, chwaliła się sukcesami dziewczynek.

– Czyli macie raczej przyjacielskie stosunki? – zapytał, a gdy staruszek skinął głową, dodał: – Czy odniósł pan wrażenie, że coś ją niepokoiło w ostatnim czasie?

– Mówiła, że miała jakieś kłopoty w szkole Westfield. Chyba chodziło o starszą z córek, była nękana przez jakąś dziewczynkę z równoległej klasy, ale proszę mi wierzyć, nie mam pamięci do takich rzeczy – usprawiedliwił się. – Za to dobrze pamiętam, że latem przyszła do pracy w bardzo mocnym makijażu.

– Nie bardzo rozumiem.

– No cóż... powiedziała, że poślizgnęła się o leżącą na schodach zabawkę córki i spadła, ale z tego, co wiem, w jej mieszkaniu nie ma schodów.



Jarzeniowy księżyc wydobywał się spod grubej pierzyny chmur, gdy Redfern wyjechał na główną drogę prowadzącą do Woking. Nie zwalniając, minął średniowieczny kościół w Chobham, w którym ktoś zapomniał włączyć latarnie. Pozbawione elektryczności miasteczko wyglądało jak wymarłe. Gdy przejeżdżał koło stacji Esso, szczypiące poczucie winy przypomniło mu Martę. Pamiętał jej zaskoczenie i radość, kiedy wręczył kobiecie ciasto *lemon drizzle* i mapę Surrey w nadziei, że razem będą kiedyś eksplorować hrabstwo. Teraz nie miał pojęcia, na jakiej mapie miał szukać Sokolińskiej ani jak wyłuskać z doby choćby sekundę na to, by na serio zająć się tą sprawą.

Aby nie zwariować, pomyślał o Carlu Straussie i jego sytuacji. Na każdym kroku, czy to w markecie na kasie, czy w sklepach fundacji charytatywnych, pracowali pomarszczeni, ale zawsze uśmiechnięci i życzliwi staruszkowie. Wielu z nich mogło być po siedemdziesiątce. Przyczyną tego stanu była słaba, a może właśnie mocna polityka emerytalna. Kto nie odkładał sam, od państwa mógł liczyć jedynie na sto dwadzieścia funtów tygodniowo. Jeśli emeryt miał mieszkanie, to starczało mu na bardzo skromne życie. Jeśli nie, musiał dorabiać. Były też tego dobre strony, co doskonale widział u Bohdana – praca przedłużała im życie. Czuli się potrzebni, zaangażowani w coś, a przy okazji całkowicie niezależni. Efektem tego było ponad milion zatrudnionych.

Minął rondo Six Crossroads i podjechał pod delikatesy Harry's. Bohdan Siwiaszczyk nazywał je sklepem u Heńka, bo oprócz arabskiej i hinduskiej spożywki można było dostać polski chleb czy konserwę turystyczną, a w okolicy Wielkanocy nawet cukrowe baranki. Redfern wszedł do środka i omal nie wpadł na paletę zniczy. Mimo że było już po Wszystkich Świętych, wsadził kilka do niebieskiego koszyka. Dobrał bochenek z The Polish Bakery, dżem Łowicza, pasztet i ukochane przez dziadka kabanosy. Na dziale z karmą dla zwierząt zauważył zabawki dla psów. Wziął zieloną piszczącą piłeczkę i coś, co przypominało węzeł żeglarski na grubej linie, mając nadzieję, że któraś z zabawek spodoba się Banditowi. Przy kasie zaskoczyło go, że mógł zapłacić nową aplikacją od Apple, dzięki której nie

musiał już nosić przy sobie kart ani gotówki. Przyłożył telefon do terminala. Transakcja została przyjęta. Podziękował sprzedawcy i wyszedł na ulicę, gdzie natychmiast przeniknął go lodowaty wiatr. Zanim dotarł do samochodu, był kompletnie przemarznięty, ale wiedział, że czeka na niego ciepły dom. Z tą myślą odpalił silnik i ruszył w stronę Woking.



Niewietrzone wnętrze domu przy Princess Road przywitało go zimnem i zapachem starczego ciała. Bohdan Siwiaszczyk znów zapomniał przekręcić termostat i położył się spać. Redfern miał wrażenie, że staruszek robi to z premedytacją. Zły i zmęczony zastanawiał się, czy nie kupić natychmiast termostatu od Google'a i dzięki niemu sterować ogrzewaniem z komórki, ale uznał, że dziadek mógłby to odebrać jako zamach na swoją niezależność.

Przestawił pokrętko na dwadzieścia stopni i wysłał do zespołu SMS, że chce ich widzieć jutro w południe w konferencyjnej, po czym poszedł do kuchni, gdzie czekały na niego kanapki z pasztetem i ogórkiem. Usiadł przy stole i wziął jedną, uśmiechając się do siebie. Drobiazgi, które składały się na ich wspólne życie, niczym ziarenka piasku raz lekko przechylały szalę na stronę szybkiej wyprowadzki, to znów przekonywały Redferna do zakupu łóżka i lampy i ustawienia ich w pokoju z widokiem na ogródek warzywny. Na jutro miał umówione dwa spotkania z agentami nieruchomości, ale gdy patrzył na zadowolonego z długich spacerów Bandita, nachodziły go wątpliwości.

Czuł, że jesień znów szturmuje jego ciało, więc zawczasu sięgnął do szuflady i wziął naproxen, po czym zaparzył sobie mocną kawę i z gorącym kubkiem usiadł na kanapie w swoim pokoju. Bandit, nie posiadając się z radości, wskoczył na łóżko i położył się obok. Głaszcząc jego miękką sierść, Redfern wrócił myślami na Poundfield Court. Sprawca obserwował mieszkańców i znał ich nawyki, co wcale nie było trudne, biorąc pod uwagę, że jest ich niewielu. Jednak wizyta Wolańskiej w szpitalu była czymś, co wykraczało poza schemat dnia codziennego. Redfern przypomniał sobie, co matka dziewczynki powiedziała na temat tamtych wydarzeń.

Na widok facebookowego profilu Kingi Wolańskiej przełknął głośno ślinę. *Wall* kobiety składał się wyłącznie ze zdjęć dziewczynek – pierwszy mundurek szkolny Izy, portret Oli z dziesiątką filtrów, sąsiedzkie sprzątanie frontowego ogródka, potem Brighton i radosna fotka na plaży – obie w kostiumach do opalania, odsłaniających wszystko, co normalnie chciałoby się zakryć przed wścibskimi spojrzeniami ludzi. Mignęło mu ogłoszenie na tablicy „Sprzedaż/wymiana – okolice Woking”, gdzie Wolańska sprzedawała stare zabawki i ubrania córek. Pod każdym z ogłoszeń dopisała: „odbiór w Old Woking”.

Redferna ogarnęła wściekłość. Pomijając już prywatność dzieci, której rodzice tak beztrosko i bezmyślnie nadużywali, wstawiając zdjęcia swoich pociech, przerażało go, że z taką łatwością ludzie pozbawiają się anonimowości.

Pomyślał, że z tych zdjęć można by ułożyć szczegółowy plan dnia Wolańskich. Nie trzeba być wprawnym hakerem, by się dowiedzieć, do której szkoły chodzą dziewczynki, czym jeździ ich matka oraz kiedy jedzie do szpitala.

„Biopsja, trzymajcie kciuki”, głosił napis na ciemnym tle. Pod nim – wysyp lajków, pytań i zapewnień, że wszystko będzie dobrze. Jedna z osób zapytała o dziewczynki, na co Wolańska odpowiedziała, że będzie z nimi Beca, i zakończyła zdanie czerwonym serduszkiem. Wśród czterdziestu siedmiu kciuków w górę i smutnych buziek Redfern nie znalazł żadnego dodanego przez obcego. Kiedy skończył analizę wszystkich profili, zegar w korytarzu wybił pierwszą. Wyłączając komputer, myślał tylko o jednym: Facebook nie zrobił z ludzi głupców, ale ich obnażył.

Inspektor poszedł do łazienki i wziął gorący prysznic. Woda podziałała na niego kojąco. Wrócił do pokoju, który oświetlała migocząca dioda telefonu. Podniósł go i przeczytał wiadomość od Zhenga: „Margaret Nance z Leeds nie istnieje”.

Wtorek, 5.11.2013, rano

Nie był pewien, czy obudził go trzask przekładanych talerzy, czy ostry zapach, który wdzierał się przez szpary w drzwiach. Sięgnął ręką do okna i uchylił zasłonkę. Woking wciąż było spowite mrokiem. Spojrzał na zegarek, który wskazywał czwartą. Obolały i zmęczony bardziej niż przed

położeniem się spać, wstał i poszedł do kuchni, w której zastał krzątającego się dziadka.

– O, Dawidek. Już wstałeś – ucieszył się Siwiaszczyk i postawił przed Banditem miskę. Szczeniak wziął się ochoczo do jedzenia.

– Nie karm go byle czym, prosiłem cię przecież – powiedział Redfern, osłaniając oczy przed rażącym światłem żarówki.

– To nie jest byle co! – oburzył się starszy mężczyzna. – Grochówka pierwsza klasa! Bambi uwielbia, patrz.

– Bandit – poprawił go Redfern – uwielbia nawet mortadellę.

– Lepsza mortadela niż to wasze *honey ham* – fuknął dziadek i wrócił do pakowania zmywarki. – Skaranie boskie z wami wszystkimi!

Redfern podszedł do staruszka i zaczął układać naczynia razem z nim. Był zaskoczony, że Siwiaszczyk powiedział „wasze”. Dawno temu David zauważył, że dziadek bardzo przy nim uważa, by nie dzielić świata na „nasz” i „wasz”. Od czasu przeprowadzki do Anglii mężczyzna unikał zwrotu „u nas w Polsce”, tak typowego dla imigrantów, nawet tych z wieloletnim stażem.

– Dawidek, co się dzieje?

– Co?

– Przecież widzę. Jesteś nerwowy, nie da się z tobą pogadać.

– Jest czwarta nad ranem. Kiepska pora na pogaduchy – mruknął Redfern.

– Chodzi o tę Martę? – Siwiaszczyk odłożył talerz i oparł się o szafki, wpatrując się we wnuka.

Jako były funkcjonariusz polskiej milicji Siwiaszczyk miał doświadczenie w przesłuchaniach, więc i tym razem trafił w punkt. Redfern chciał mu powiedzieć, że w ostatnich dniach próbował ją odnaleźć, ale dziewczyna przepadła. Wiedział tylko tyle, że nie wsiadła do samolotu, który miał ją zabrać do Polski, a osoba, z którą opuściła hotel, nie jest tym, za kogo się podaje. Sprawdził, czy nie odleciała jakimś innym lotem, ale równie dobrze mogła się przedostać do Europy promem czy Eurostarem. Jej przyjaciółka utrzymywała, że Marty nie ma w mieszkaniu ani też nie stawiała się w pracy.

– Nie, to przez robotę. Sam wiesz, że spadły na nas dwa duże śledztwa – odparł Redfern zdawkowo, choć wcale nie był pewien, czy stary glina mu uwierzył.

– Rozumiem. To potrafi człowieka wykończyć.

– To był długi dzień. Idę się jeszcze położyć – oznajmił, by nie wystawiać się na pytania, na które musiałby odpowiedzieć półprawdą. Siwiaszczyk na to nie zasługiwał, a on sam nie miał ochoty uzewnętrzniać swoich obaw.

Zawołał Bandita i poszedł do siebie. Położył się na łóżku i rozważał telefon do Zhenga, ale ostatecznie wysłał mu tylko SMS-a z prośbą o sprawdzenie, czy Marta w jakiś inny sposób przekroczyła granicę.

Chciał jeszcze poukładać notatki z odpytania świadków, ale po kilku minutach stwierdził, że jedyne, na co ma jeszcze zapas sił, to wizyta w ubikacji. Wrócił do pokoju, gdzie Bandit wygrzewał mu miejsce na kołdrze i udawał, że śpi. Pamiętał, że gdy dostał szczeniaka, obiecał sobie, że nigdy nie pozwoli mu wejść do łóżka. Pierwsza noc pokazała, że nie ma obietnic nie do złamania. Zwłaszcza w obliczu merdającego ogona i małych wesołych oczu spoglądających zaczepnie.

Wcisnął się obok pieska i nakrył pozostałą końcówką kołdry. Zanim zapadł w sen, zdążył pomyśleć, że z jedną rzeczą nie skłamał dziadkowi – to był długi dzień, a nadchodzący miał być jeszcze dłuższy i trudniejszy.



Centrum Guildford nęciło wąskimi uliczkami ukrytymi wśród piętnasto- i szesnastowiecznych kamienic, każda z nich zastygła w swoich czasach. Strojne w mur pruski wykusze i rzeźbione ramy okien wystawowych wywoływały zachwyt turystów oraz sprawiały, że także miejscowi przechodzili przez deptak wolniej. Redfern do nich należał.

Budowlana siatka oblepiła zegar na Guildhall. Cztery wieki odliczone na jego tarczy wpłynęły na to, że często dostawał zadyszki w tych szalonych czasach. Ostatnio rzadko zdejmowano z niego szary woal rusztowań.

Pod wieloma względami był wyjątkowy. Czarno-złota kwadratowa koperta nie była przyklejona do ściany ratusza jak większość zegarów, które Redfern widywał w angielskich miasteczkach, lecz zawieszona na ozdobnym wysięgniku, a przez to widoczna z każdego punktu długiego deptaka. Podczas jednego ze spacerów była narzeczona powiedziała mu, że rok wyrzeźbiony pod zegarem to jedynie data zawieszenia go nad pasażem.

Sam mechanizm jest dużo starszy i może sięgać szesnastego wieku, a wskazówka jest z początków dziewiętnastego.

Redfern zdziwił się, że tak dobrze to zapamiętał. Od tamtej jesieni i spaceru po High Street minęły cztery lata. Dziś wtulone w jego dłoń palce Patricii były zamierzchnią historią. Równie odległą jak czasy Johna Aylewarda, twórcy najpiękniejszego zegara w Surrey.

Uciekając przed wspomnieniami, Redfern przyspieszył kroku i skręcił w Swan Lane. Schował się za budynkiem i po raz kolejny tego dnia wybrał numer Margaret Nance. Kobieta, która towarzyszyła Marcie w drodze na lotnisko, pozostawała nieuchwytna. Wciąż trzymając w dłoni telefon, wybrał z listy numer Zhenga, który odebrał niemal natychmiast.

– Słuchaj Dave. Ty się chyba za bardzo wkręcasz – powiedział agent, gdy Redfern podzielił się z nim swoimi obawami. – Sprawdziłem. Telefon Sokolińskiej zalogował się na Luton, więc mamy pewność, że tam dojechała.

– To dlaczego Margaret Nance ukrywa swoją tożsamość? – Inspektor nie odpuszczał, choć informacja o logowaniu nieco go uspokoiła.

– Może miała się zabawić z kochankiem i nie chciała się meldować na swoje nazwisko? Może przyjechała odpocząć i nie było jej na rękę podawanie swoich danych? – wymieniał Zheng.

– Nie wiem, coś mi tu nie pasuje.

– Bo nie myślisz jak gliniarz, tylko jak zakochany szczył. Jeśli cię to uspokoi, to faktycznie sprawdzę tę granicę, ale myślę, że Sokolińska po prostu wróciła do domu. Zobaczysz, że zanim to ogarnę, dziewczyna się odezwie i oznajmi, że zapomniało się jej zadzwonić.

– Pewnie masz rację – mruknął Redfern i rozłączył się, nieco pokrzepiony. Zawsze cenił Zhenga za jego logiczne, pełne profesjonalnego chłodu podejście, które w wielu sprawach okazywało się nieocenione. Także tym razem postanowił zdać się na starszego kolegę.

Listopadowe słońce zalało zimnym światłem plac przed Zakładem Medycyny Sądowej. Jesień rozsiadła się w Surrey na dobre. W przeciwieństwie do wnętrza budynku, w którym od zawsze panowała zima. Nie zmieniły tego nawet ubrane w kwieciste sukienki pracownice zakładu, z którymi David stał w windzie. Japonki na sinych stopach tylko potwierdzały, że tej pory roku nie da się już zdetronizować.

Zanim się zorientował, że nie nacisnął przycisku, winda szarpnęła i zamiast w dół, do gabinetu Teda, pomknęła w górę. Redfern pacnął nerwowo w panel, ale winda nie zareagowała i stała na każdym wybranym przez pasażerki piętrze. Z ulgą powiódł wzrokiem za wysiadającą na ostatnim poziomie kwiecistą dziewczyną, która o mało nie zderzyła się z jakimś mężczyzną. Redfern chciał krzyknąć, ale drzwi się zasunęły i winda ruszyła. Wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył, wciskał szybko przypadkowe guziki, by ją zatrzymać. Wreszcie winda stanęła i drzwi się otworzyły. Był tam, gdzie chciał dotrzeć. W piwnicach. Nie było sensu biec na górę – wiedział, że mężczyzna, którego widział na ostatnim piętrze, nie będzie na niego czekał.

Redfern był pewien, że Palacz też go zobaczył.



Ted Meiklejohn zastygł w takiej samej pozycji, w jakiej David widział go w domu przy Monument Road, choć minęła ponad doba. Pochylny nad stołem sekcyjnym, odciągał szczypcami tkanki odciętej od ciała głowy i najwyraźniej mówił do siebie. Zwisający z szyi dyktafon wskazywał, że jednak cały proces jest nagrywany. Redfern pomachał przez szklane drzwi i patolog zwolnił elektromagnes.

– I jak? – rzucił od progu inspektor, starając się nie patrzeć na brązowe skrzepy, które utworzyły się na szyi ofiary.

– Bez kawy nie odpowiadam na żadne pytania. – Ted zdjął maskę chirurgiczną i uniósł górną wargę, co przypominało uśmiech. Nie miał w tym doświadczenia.

Patolog ściągnął z siebie fartuch i umył ręce w zlewie pod ścianą. Redfern zastanawiał się, czy nie zapytać go o mężczyznę w brązowej bluzie, którego widział na ostatnim piętrze. Nie wiedział jednak, jak zagadać podejrzliwego Szkota, by nie narazić się na falę niewygodnych pytań. W milczeniu wyszli z laboratorium.

– Masz biuro na piętrze? – zdziwił się, gdy Ted podszedł do windy.

– Chwilowo – odparł Szkot. – U mnie jest remont. Zatrudnili jakąś ekipę ruskich czy innych Ukraińców i od pół roku się babrzą.

Redfern nie miał zamiaru słuchać zrzędzenia patologa. Nie podobał mu się sposób, w jaki wypowiadał się o ludziach narodowości innej niż szkocka.

– Słuchaj, a pracuje u was taki wysoki facet, co chodzi w bluzach z kapturem i ciężkich butach?

– Nie, u nas wszyscy raczej normalni.

Gdy winda się zatrzymała, patolog puścił Davida przodem i po chwili spaceru długim korytarzem znaleźli się w jego gabinecie. Parapet równał się z koronami drzew przyległego do budynku parku. Wyglądało, jakby wszystkie promienie skupiły się w jednym miejscu, a pokój pachniał jak szklarnia.

Ted zasiadł za biurkiem i wypił duży łyk z obtłuczonego kubka, który stał na blacie, po czym wyciągnął z szuflady kilka luźnych kartek – osobiste przemyślenia, jak je podpisał. Redfern zauważył, że oficjalny raport spoczywał w teczce na brzegu biurka.

– Właściwie nie wiem, co tu robisz, David – zaczął, głośno wypuszczając powietrze z płuc. – Powiedziałem ci już wszystko przez telefon.

– Chciałem wiedzieć, czy po drodze nie natknąłeś się na coś niezwykłego, czego nie chciałbyś przekazać w rozmowie telefonicznej.

– Taaa, Tinney też mi już o tym truł.

– Dzwonił do ciebie?

– Pewnie – odparł Ted, jakby rad z tego, że wie więcej niż Redfern. – Oni tam się uwijają jak w ukropie. McMahon założył im po chomącie i orze nimi jak dziki. Nic nie wiesz?

– Dostałem zadanie poboczne – bąknął.

– Uuu. – Ted pokręcił głową z dezaprobatą. – Nowa miotła lepiej zamiata?

– No tak jakby – odparł wymijająco, wciąż mając w pamięci nieprzyjemną rozmowę z McMahonem.

– Więc co tu robisz? Niesubordynacja?

– Oficjalnie wciąż prowadzę to śledztwo – powiedział Redfern. – I założę się, że stary Ted Meiklejohn ma swoją nieoficjalną teorię.

– OK – przyznał po chwili. – Jest coś, co mnie niepokoi w tym morderstwie. Siła uderzeń. To, które zabiło Muztara, było pewne, mocne i przyniosło natychmiastową śmierć. Natomiast drugie to totalna amatorszczyzna. Kobieta została uderzona z dużo mniejszą siłą. Znalazłem

też dwa inne nacięcia, jakby morderca chciał poprawić albo upewnić się, że ofiara nie żyje.

– Albo towarzyszyły jej inne uczucia – powiedział cicho Redfern. – Mogła mieć inną motywację.

– Albo płęć – zasugerował Ted.

– Bente dostanie zawału, jak to usłyszysz. – Redfern zdawał się nie słuchać patologa.

– Zawał to ostatnio modne słówko w firmie, nie?

– Tak, niestety. Byłem u Knighta – powiedział Redfern. – Kiepsko to wygląda.

– Nie panikuj. Malcolm to stary model, nie tak łatwo go zepsuć. Zanim się obejrzymy, będzie nas wszystkich rąbał jak dawniej.

– Jasna sprawa. Zbierzesz to do kupy na popołudnie? Chciałbym, żebyś przedstawił wszystko zespołowi.

– Powinienem dać radę. – Patolog udał zamyślenie, za którym chciał ukryć, że jest zadowolony z zaproszenia.

Nakreślenie motywu w tej chwili wydawało się Redfernowi niemożliwe, choć z doświadczenia wiedział, że zemsta to najczęściej spotykane paliwo zbrodni. Jedyne, czego mógł się uchwycić, to policyjny rejestr zbrodniarzy najcięższego kalibru. Zadzwoił do Chrisa Tinneya, by przygotował spis na popołudniowe zebranie.



Redfern zaparkował naprzeciwko niskich bloków. Bez większego rozczarowania stwierdził, że na zdjęciach znalezionych na stronie agencji prezentowały się dużo lepiej. Sięgające podłogi okna odsłaniały wnętrza ponurych mieszkań, choć niektórzy lokatorzy próbowali je ukryć. Redfern patrzył na pilśniowe tyły szaf i był coraz mocniej przekonany, że nie chce tam zamieszkać. Jedyne, co skłaniało go do wynajęcia mieszkania przy Davos Close, była bliskość Woking Park, do którego wciąż mógłby chodzić z Banditem. Postanowił więc dać agentowi szansę na przedstawienie choćby jednego pozytywu tego wyboru.

Ubrany w garnitur młody mężczyzna zjawił się na na parkingu spóźniony o ponad kwadrans. Wysiadł z oklejonej granatowymi literami srebrnej

toyoty i pomijając przeprosiny, poprowadził Redferna do mieszkania na pierwszym piętrze. Nie musiał się silić na uprzejmość – nieruchomości w Woking schodziły na pniu i agenci już dawno nauczyli się nie tracić czasu na prężenie mięśni.

– Dziewięćset pięćdziesiąt funtów za ten standard to niewielka cena – oznajmił mężczyzna, rozglądając się z podziwem po pustym salonie, wyłożonym wyliniałą wykładziną.

Kończyli oglądać mieszkanie i Redfern wiedział, że na ów standard składały się marnej jakości ogrzewanie elektryczne, zapleśniała łazienka i lodówka z oberwanymi drzwiami.

– Tak, kuszące – odparł inspektor, któremu od dłuższego czasu lodowate powietrze nieprzyjemnie rozsadało nos. – W sypialni nie zauważyłem grzejnika – napomknął.

– To celowe – odpowiedział mężczyzna. – Nie przebywa pan przecież w sypialni w dzień, a spanie w dusznym pomieszczeniu jest niezdrowe.

– Racja – zgodził się Redfern, czując, że dochodzi do ściany tej konwersacji. – A czy jest możliwość wymiany sprzętów? – Wskazał na pralkę, która stała we wnęcie kuchennej. Od wirnikowej poprzedniczki dzieliła ją najwyżej dekada. Nad pozólkłymi drzwiczkami zauważył tylko jedno pokrętko, przy którym czas zatarł opisy, oraz popękany ze starości przycisk. Wraz ze stojącą obok zmywarką tworzyła komplet, który ktoś mógł przytargać z Science Museum.

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby – odparł agent. – Nowe tylko się psują. Zresztą jeśli ma pan zamiar trzymać tu psa, to sam pan rozumie...

– Postaram się, żeby nie prał za często – wyrwało mu się, co agent skwitował krzywym uśmiechem.

Inspektor podszedł do okna. Spacerujący alejkami ludzie szalenie opatulali się szalikami. Park powoli szykował się do zimy, przykrywając trawniki warstwą czerwono-złotej kołdry, ale nawet ten widok nie był w stanie zrównoważyć tego, że mieszkanie było zimne i obskurne. Im dłużej Redfern mu się przyglądał, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że wyjdzie stąd bez podpisania umowy.

– Piece akumulacyjne mają mnóstwo zalet – wciąż komplementował agent. – Z ekonomicznego punktu widzenia nie ma nic lepszego, gromadzi pan energię w nocy na taryfie Ekonomiczna Siódemka, a grzeje, kiedy

energia jest droga. – Poklepał odrapany grzejnik. – No i mieszkanie pozostaje świeże.

Świeżość, o której mówił, przejawiała się parą buchającą z ust agenta z każdym jego słowem. Redfern był zdecydowany.

– Za pół godziny mam spotkanie w innym mieszkaniu – odparł i skierował się do wyjścia.

Młody mężczyzna został, czekając na kolejnych oglądających. Musiał być pewien sukcesu, bo nie wręczył Redfernowi wizytówki na odchodne. Lodowatą dłonią ścisnął dłoń inspektora i zatrzasnął za nim drzwi.

Do szukania nowego lokum wziął się zaraz po wybuchu na Constitution Hill, ale im więcej mieszkań widział, tym bardziej był przekonany, że będzie musiał zadomowić się na Princess Road. Zrezygnowany wysiadł z samochodu przy Claremont Drive i przywitał się z agentką. W drodze do dwukondygnacyjnego mieszkania opowiedziała mu pokrótce o zaletach nieruchomości, między innymi o ogrzewaniu sufitowym w każdym pomieszczeniu.

Jak świetne jest to rozwiązanie, Redfern przekonał się, gdy tylko wszedł do środka. Brązowoczarny grzyb pokrywał większość wnęk okiennych i każdy kąt, w który Davidowi udało się zajrzeć. Mimo to młoda kobieta nie przestawała się rozpląwać nad fenomenem braku grzejników. Powoływanie się na prawa fizyki Redfern uznał za bezcelowe i po kwadransie znów siedział w samochodzie z chmurą czarnych myśli. Wybór nieruchomości w Woking był tak marny, że czuł się przyparty do ściany. Z ponurych rozważań wyrwał go SMS od dziadka: „obiad”. Redfern, odpalając silnik, pomyślał, że mieszkanie z Bohdanem ma swoje plusy.



– Dawidek, ty się wcale nie wyprowadzaj – powiedział Bohdan, stawiając talerz ogórkowej. – Jakoś się dotrzemy. Mieszkaliśmy już razem i jakoś to było.

– Miałem wtedy trzynaście lat – odparł i wziął łyżkę zupy. Idealnie kwaśny płyn wypełnił mu usta przyjemnym ciepłem i zabrał w przeszłość.

David nieraz się zastanawiał, czy matka myślała o nim, kiedy wiązała linę do poręczy schodów w domu w Hammersmith, czy choć przez chwilę miała

świadomość tego, że syn, dla którego była całym światem, zostanie zupełnie sam. Czy gdyby wiedziała, że Dabhaidh Redfern, zajęty układaniem sobie życia z nową rodziną, odmówi opieki nad chłopcem, nie skoczyłaby? David Redfern nie mógł jej wybaczyć długich miesięcy w małym domu pod Częstochową, gdy nie wiedząc, co się z nim stanie, tęsknił za jej czułym dotykiem. Wstydził się tej złości i tej tęsknoty, zwłaszcza przed dziadkiem, więc na wszelki wypadek nie mówił nic. Za to nie mógł powstrzymać radości, gdy pewnego wieczora Siwiaszczyk oświadczył mu, że wracają na Wyspy.

– Przez sześć lat się nie pozabijaliśmy, to i teraz się nie pozabijamy – powiedział wesoło Siwiaszczyk. – Zresztą będziesz miał okazję побыć trochę sam.

– Nie rozumiem.

– Pojutrze lecę do Polski.

– Co? Nic mi nie mówiłeś.

– Bo ja to się muszę spowiadać – burknął, ale potem cicho dodał: – Lecę na badania.

– Nie możesz tutaj?

– Nikt mnie tutaj nie weźmie na badania, póki nie dostanę udaru albo innej sraczkii. Narodowa Służba Zdrowia ma ważniejsze sprawy na głowie niż ślęczenie nad starym pierdołą. Zresztą co mi poradzą? Brać paracetamol i chodzić na spacerki?

– Co ci dolega?

– A musi mi coś zaraz dolegać? Profilaktycznie jadę. Nawet dobrze się składa, odpoczniesz sobie przez te dwa tygodnie.

– Gdzie się zatrzymasz?

– U ciotki Jaśki – wyjaśnił, ale Redfernowi niewiele to mówiło. Musiało to być widoczne, bo staruszek dodał: – U mojej siostry, nie pamiętasz? Lot mam o ósmej. Zawiesziesz mnie?

– Jasne – odparł, szurając łyżką po prawie pustym dnie talerza.

– Chleba trzeba było sobie wziąć do tej zupy, bo bez chleba to się, Dawid, nie najesz – oznajmił Siwiaszczyk, wstając z miejsca, ale Redfern powstrzymał go gestem.

– Już jestem pełny – rzekł daleki od prawdy.

– Bambiemu też nalałem, zobacz.

Redfern spojrział na miskę wypełnioną chrupkami nasiąkniętymi zupą, ale nie skwitował dobrych chęci starsuszka ani tego, że przekręca imię psa. Były to drobiazgi, o które nie warto toczyć bojów. I choć zdawał sobie sprawę z tego, że nierozegrane potyczki mogą się przerodzić w wojnę podjazdową, odpuścił.

Wtorek, 5.11.2013, południe

Miejsce, do którego Redfern trafił po przeniesieniu z Guildford, na początku wzbudzało w nim zachwyty i złość. Zachwyty, że można przeżyć w mieście średniej wielkości, nie robiąc kompletnie nic, a jednocześnie to samo nieraz wywoływało wściekłość. Jednak sprawa Millerów zmieniła ten stan rzeczy. Mając na koncie międzynarodowy sukces, ekipa z ulicy Approach Station poczuła, że może dać miastu więcej niż tylko wypisywanie mandatów.

Pewnym krokiem wszedł do sali i nieco głośniej, niż zamierzał, zatrzasnął drzwi. Wciąż nabuzowany porannymi przemyśleniami, miał nadzieję, że zespół pomoże mu je wyklarować. Szum ożywionej rozmowy ustał. Dziesięć par oczu natychmiast skupiło się na nim. Część z nich pozwoliła sobie na ruch w stronę zegara ściennego, komunikując mu, że spóźnienie zostało odnotowane. Za nieruchomą zielenią oczu Summer czaiła się jakaś sensacja, której był ciekaw. Sierżantka zdawała się zapomnieć o ich wcześniejszej rozmowie i teraz wyglądała, jakby całą złość przekuła w entuzjazm. Redfern miał nadzieję graniczącą z pewnością, że dobrze go wykorzystała.

Zdjął marynarkę i zawiesił ją na najbliższym krześle.

– Wiem, że wszyscy są zdenerwowani nadmiarem pracy i brakiem wyników...

– Taaa, a najbardziej McMahon – rzucił posterunkowy, wywołując salwę śmiechu.

– Świetny żart, Puszka. Opowiedz go pani Wolańskiej.

Śmiech zmienił się w drażniącą ciszę, ale Redfern był zbyt przeładowany, by móc sobie pozwolić na odpuście zespołowi, choć rozumiał, do czego odniósł się policjant. Po sukcesie śledztwa Millerów wszyscy się spodziewali, że Tinney otrzyma upragniony awans i przeniesienie. Jednak Malcolm Knight nie zdążył uruchomić biurokratycznej maszyny, a McMahon nie miał zamiaru kiwnąć w tej sprawie palcem. Puszka

pozostał na posterunku w Old Woking. Redfern starał się zmniejszyć poczucie rozgoryczenia i włączył go do śledztwa, ale młody policjant przyjął to jak marną nagrodę pocieszenia. Inspektor obawiał się, że swoją postawą przekreśli szansę na przeniesienie. Obiecał sobie, że pogada z nim w najbliższym czasie. Na razie musiał się skupić na śledztwie.

– Dziś wyjątkowo dołączy do nas Ted – zwrócił się do zespołu. – Trochę się spóźnia...

Wskazał na drzwi, w których jak na zawołanie stanął patolog. Najwyraźniej podsłuchiwał, by wejść w najlepszym momencie. Wyglądał na zadowolonego ze swojej funkcji. Zwykle jego rola ograniczała się do sporządzania raportów na temat tego, kto lub co leżało na stole sekcyjnym. Dwa wyjątkowo brutalne morderstwa nie mieściły się jednak na formacie A4. Przywitał się krótkim skinieniem głowy i usiadł na ostatnim wolnym krześle.

Wciśnięty między Summer a Chrisa wyprostował się, by zrobić miejsce dla swojej zamaszystej gestykulacji i stosu papierów, które ze sobą przyniósł.

– Jak słusznie zauważył Chris, jesteśmy tutaj, bo szef trzęsie gaciami. – Ted uśmiechnął się złośliwie. – Żeby go uspokoić, przeprowadzamy śledztwo.

– Pieprzę cię, Ted – syknął Chris.

– Sądząc po kolorze koszuli, nie wątpię.

– Uspokójcie się! – rzucił David. Przez chwilę żałował, że poprosił patologa o konsultacje. Gdy na sali zapadła cisza, oznajmił: – Zaczniemy od sprawy z Monument Road, bo o niej wiemy najwięcej. Ted?

Patolog otworzył pierwszą z przyniesionych teczek i rozdał każdemu spoczywające w niej kopie notatek i zdjęć. Policjanci silili się na obojętność, ale obiektyw technicznych był bardzo precyzyjny i nie pozostawiał złudzeń, co przedstawiają fotografie.

– Czy kogoś zastanawia coś na tych zdjęciach?

– Za dużo krwi? – rzucił Chris zza komórki, którą miętosił od jakiegoś czasu.

– Bystrzacha. – Ted się skrzywił. – Chodzi mi o coś innego. Ułożenie ciała.

– Wyglądają, jakby spali – powiedziała Summer. – Nie ma śladów walki. Nikt ich nie zaskoczył.

– Właśnie. A zatem?

– To ktoś z domowników... – Przeciągnęła ostatnią sylabę, niepewna własnego osądu.

Drzwi do sali się otworzyły i wszedł McMahon. Dając znak, żeby sobie nie przeszkadzali, usiadł na końcu stołu. Redfern nie był pewien, czy chodzi o kontrolę jego pracy, czy przełożonego zwyczajnie znudziła papierkowa robota.

– Głównym podejrzanym jest Ansar, który od momentu morderstwa nie pokazuje się w domu. – Summer wyrwała go z zamyślenia. Redfernowi ta informacja wydawała się raczej echem słów McMahon'a aniżeli jej własnym pomysłem.

– W noc morderstwa pracował w Brooklands, w dużym Tesco – odparł Tinney, posiłkując się własnymi notatkami. – Skończył pracę o północy, odbił kartę i od tego czasu nikt go nie widział. Zatrudnił się niedawno na pół etatu jako wykładowca towaru.

– Miał jakiś samochód? – podsunął ktoś z sali.

– Czarna E klasa, blachy WB62 XBL – rzucił Tinney, nie odrywając wzroku i palców od telefonu. – Jak kamień w wodę. Wciąż sprawdzamy.

– Drogi wóz jak na wykładowca... – podsumował Redfern.

Często doceniał system tablic rejestracyjnych w Anglii, z których bez problemu można było odczytać rocznik. Auta wyprodukowane po dziewięćdziesiątym dziewiątym roku miały takie, które składały się z dwóch liter, dwóch cyfr mówiących o roczniku oraz trzech losowych liter. Sześćdziesiąt dwa oznaczało, że samochód Ansara był wyprodukowany w drugiej połowie dwa tysiące dwunastego. Redfern szybko skalkulował – minimum piętnaście tysięcy funtów.

– Benefity zobowiązują.

Redfern chciał wiedzieć, kto to powiedział, ale przesadnie pochylone nad aktami głowy niczego nie zdradzały.

Od momentu pojawienia się raportu na temat pobieranych od państwa świadczeń nastroje w Surrey się pogorszyły. Cztery tysiące funtów niebezpiecznie wyrzuciły menisk wypukły na czarze goryczy mieszkańców. Po cztery tysiące w prezencie za kombinatorstwo i lenistwo, jak uważało wielu obywateli, dostawało ponad sto rodzin w samym Woking. Oficer policji mógł liczyć średnio na trzydzieści kilka tysięcy rocznie. Brutto. Zaostrzenie prawa w żaden sposób nie ostudziło żarliwych,

choć szeptem prowadzonych rozmów. Tolerancja nad rozsądkiem, pobrzmiwało w nich z goryczą. Mieszkańcy uważali, że z państwowego worka szerokim strumieniem wyciekały pieniądze, które widać było na podjazdach w kiepskich dzielnicach; kłuły w oczy alufelgami i srebrnym amg na tylnej klapie. Płacący podatki byli zgodni, że pieniądze powinny być przeznaczone chociażby na wciąż kulejącą Narodową Służbę Zdrowia. McMahon, którego żona zmarła, nie doczekawszy się przyjęcia na oddział szpitala onkologicznego, mógł wiele na ten temat powiedzieć. David nie podejrzewał jednak, że to on był autorem komentarza.

– A co z małą Zimal?

– Wciąż przebywa w szpitalu St. Peter's. – Na policzki Summer wystąpił lekki rumieniec. Wydawała się zadowolona, że nie prowadzi już śledztwa Wolańskich. – Cały czas jest przy niej rodzina.

– Cholera, niedobrze. – Redfern się skrzywił. – Im więcej czasu upływa, tym mniej wiarygodne mamy zeznania.

– Nic nie poradzę. – Wzruszyła ramionami. – Za to mam punkt zaczepienia.

– Mów – ponaglił ją. Obawiał się, że sensacja, która kryła się za roziskrzonym spojrzeniem uczniaka, jednak nie przyniesie przełomu, na jaki czekali.

– Wczoraj byłam w szkole, do której chodzą Ola i Iza Wolańskie...

– Do dziewczynki dojdziemy – przerwał jej. – Chciałem maksymalnie wykorzystać czas Teda.

– To może mieć związek. – Nie dawała za wygraną. – Zimal chodziła do szkoły z Izą i Olą Wolańskimi. Rozmawiałam z jedną z mam z Westfield Primary School, dziewczynki podobno się nienawidziły.

– Pięciolatka ucieka z domu i morduje rodziców koleżanki – zaśmiał się Puszka, ale nie było w tym wesołości. – Westfield to jedna z większych podstawówek w Woking, Summer.

– Chris ma rację – zgodził się Redfern, ale nie podobał mu się komentarz posterunkowego. – To może być zbieg okoliczności. Możemy z tym poczekać. – Gestem przerwał potok słów, który cisnął się Summer na usta.

Odpuściła, taksując wściekłym wzrokiem młodszego policjanta.

– Ted? – zwrócił się Redfern do patologa.

– Jak wiecie, krew znaleziona w sypialni ofiar nie należała do żadnej z nich. Jest to świńska krew.

– Skąd ta pewność? – Chris najwyraźniej był w złym humorze i atakował każdego. Ted był przygotowany na to pytanie.

– Od Paula Uhlenhutha, który na początku dwudziestego wieku przygotował zestaw surowic do tego typu badań. Pomagały mu króliki, a od tego czasu nauka trochę poszła do przodu, wiesz?

– A zatem morderstwo na tle religijnym? – szybko wtrąciła Summer. – Odpadłby Ansar.

– Nie szafowałbym tym osądem przed opinią publiczną – oznajmił Ted, wyprzedzając Redferna.

– Albo to zmyłka przeciwnika – rzekł Tinney. – Od czasu Lee Rigby’ego wszystko stoi na głowie.

Redfern przypomniał sobie niedawne wydarzenia. W biały dzień w środku Londynu muzułmańscy ekstremiści z okrzykiem „Allah Akbar” zamordowali żołnierza batalionu Królewskiego Pułku Fizylierów. Po wszystkim jeden z nich podszedł do kamery. W zakrwawionej dłoni trzymał nóż rzeźnicki. Otwarcie mówił o swojej inspiracji Koranem. Nikt, kto oglądał oryginalne nagranie na YouTube, nie miał wątpliwości, z czym ma do czynienia. Oko za oko, ząb za ząb, jak grzmiały komentarze pod filmem. Jednak w każdej relacji, którą Redfern widział w telewizji, słowa te przykrywała dygresja dziennikarza. Głos mordercy słychać dopiero, gdy ten przeprosza kobiety, że musiały na to patrzeć.

Redfern pamiętał wystąpienie Davida Camerona, który chcąc uspokoić nastroje w państwie, mówił o islamie jako religii pokoju. Internetowe społeczności miały jednak inne zdanie niż rządzący. Redfern z przerażeniem czytał artykuły na stronach: „Angielska Liga Obrony mobilizuje siły”. „Tłumione zbrojnie demonstracje w Newcastle”. „Płonie meczet w Grimsby, kilka innych zostaje zaatakowanych przez protestujących”. Facebookowy profil EDL kipiał od antymuzułmańskich wpisów. Ludzie wciąż mieli w pamięci Londyn z dwa tysiące piątego i pięćdziesięciu dwóch zabitych. Policja aresztowała ludzi za „nawoływanie do działań rasistowskich i antyreligijnych”. Prześwietlano profile. Poprawna politycznie paranoja, przeczytał w jednym z komentarzy Redfern. Tymczasem gdzieś w Anglii dorastał dwuletni syn Lee Rigby’ego, a w szpitalu w Chertsey dochodziła do siebie mała Zimal – najtragiczniejsze ofiary bezsensownego konfliktu.

– Mnie bardziej interesuje, jak ktoś przyniósł tyle krwi. – McMahon niespodziewanie zabrał głos.

– Butelka po napoju?

– Za mała. Matt mówił, że tego mogło być nawet osiem litrów – zawyrokował Ted, przywołując słowa technika.

– Baniak po wodzie, kanister – wymieniał szybko Redfern, ale każda opcja wydawała mu się bez sensu. – Z czymś takim jesteś widoczny. Ktoś musiał coś widzieć. Tinney, pojedziesz tam dzisiaj i zajrzysz do każdego domu w promieniu stu metrów. Nikt nie paraduje z butlą pełną juchy bez zwrócenia na siebie uwagi.

– No i kolejne pytanie: skąd w ogóle wziął tyle krwi?

– Rzeźnia? – rzucił ktoś z sali.

– Albo prywatna hodowla – dodała Summer. – W naszej okolicy jest mnóstwo małych farm. Dla mnie to ślepa uliczka.

– Raczej trasa M25 – prychnął Chris. – Za dużo możliwości.

– Summer, sprawdzisz, ile rzeźni jest w Surrey – powiedział Redfern. – Nie może być ich dużo. Zadzwońisz do każdej i zapytasz, co robią z krwią spuszczoną ze zwierząt.

– OK. – Summer zanotowała coś na kserówkach otrzymanych od Teda.

– Wróćmy jeszcze na chwilę do młodego Ansara – odezwał się McMahon. – Ktoś przejrzał billingi? Karty płatnicze?

– Zaraz po pracy zadzwonił do niego brat, potem Ansar dzwonił na numer prepaid. Tutaj ślad się urywa – mówiła rzeczowo Summer. – Wyciągi z kart mamy dostać jutro.

– Jest jeszcze jedna rzecz przemawiająca za niewinnością Ansara – powiedział Redfern i skinął na Teda.

Patolog rozdał zdjęcia, które miał w drugiej teczce. Ekipa przeglądała je uważnie, słuchając dalszego komentarza Teda:

– Według mnie sprawców było dwóch. Świadczą o tym dwa narzędzia użyte do dekapitacji, a także fakt, że ofiary się nie obudziły.

– Na myśl o jednym robi mi się niedobrze – powiedziała Summer, odkładając fotografie – ale dwóch zwyrodnialców obcinających ludziom głowy... To już mnie przeraża.

– Jeśli chodzi o narzędzie, to sądząc po głębokości i szerokości ran, stawiałbym na siekierę. Ostrze u mężczyzny przerwało krtań i oparło się o kręg C4, u kobiety przerwało tętnicę szyjną. Musiała spać na boku,

a następnie przewrócić się na plecy, bo znalazłem drugie nacięcie, które podobnie jak u jej męża przeszło przez krtań.

– Jeden cios wydaje się straszny, a co dopiero poprawiać. – Summer się wzdrygnęła.

– Może to więc jakieś porachunki? – podrzucił McMahon.

– Nie wydaje mi się – odparł Redfern. – Ostatnimi czasy przestępczość zorganizowana załatwia swoje sprawy po cichu.

– Może to była taka mafijna pokazówka? – odezwał się Tinney znad komórki.

Redfern zerknął mu przez ramię na ekran i miał szczerą ochotę wyrzucić aparat przez okno. Niedawno powstała aplikacja randkowa zawładnęła umysłami samotnych albo spragnionych niezobowiązujących wrażeń. Przesuwający ciągle w lewo kciuk posterunkowego Tinneya świadczył o tym, że jeszcze nie znalazł tego, czego szukał.

– Ktoś sprawdził drugiego szefa firmy taksówkarskiej?

– Tak – odparł Tinney. – Wspólnik Abbasiego od dziesięciu dni pływa sobie po Morzu Karaibskim. Jak usłyszał, że Muztar nie żyje, to zbladł i obiecał, że w ciągu tygodnia zjawi się w Woking. Podobno byli kuzynami.

– Zbladł? – zainteresowała się Summer.

– Na Skypie z nim rozmawiałem – wyjaśnił policjant. – Ależ facet miał widoki!

– Teraz to ma widok na porządne przesłuchanie – skwitował Ted.

– Nie wiem. – Chris pokręcił głową bez przekonania. – Firma świetnie prosperuje, a sekretarka mi powiedziała, że mężczyźni się przyjaźnili, choć dość rzadko miała okazję oglądać Muztara. Odniosłem wrażenie, że był taką szarą eminencją.

– W porządku. – Redfern uciął rozważania młodego. – Poczekajmy, aż właściciel Star Cars się zjawi, a teraz skupmy się na faktach. Znalazłem odcisk buta na balkonie i czekam, co powie Matt. Według mnie wspięli się po ogrodzeniu dzielącym dom od delikatesów – kontynuował inspektor. – Niestety tamtejsza kamera to tylko straszak, a świadkowie są dość zamknięci w sobie.

– Skoro dostali się przez zaplecze sklepu, to może właściciel jest umoczony? – Summer głośno się zastanawiała, na co Tinney ostentacyjnie wydał wargi.

– Zlecę obserwację tego miejsca i zobaczymy – oznajmił Redfern, choć czuł, że to niewłaściwy trop.

Musiał dać zespołowi poczucie, że mają w nim poparcie, a McMahonowi wrażenie, że wszystko jest pod kontrolą. Tak naprawdę nie miał jeszcze pomysłu na to śledztwo, ale chciał zdjąć z siebie czujny wzrok nowego przełożonego.

– Aha – dorzucił Tinney. – Co do skarg na Muztara, to dyspozytor w Star Cars ma poszukać, bo podobno jakieś wpłynęły pisemnie, ale oni się szczególnie tym nie przejęli, bo chodziło o wścibstwo.

– O wścibstwo? – powtórzył McMahon.

– No jakoś tak. – Chris podrapał się w głowę zakłopotany.

– OK. – Redfern klasnął w dłonie, przerywając niezręczną ciszę. – A zatem ze sprawą Monument Road jesteśmy na czysto. – Podsumujmy: Summer sprawdza rzeźnie, a Tinney sklep przy domu Muztara Abbasiego. Dopytasz też, gdzie trzeba, o konflikt w szkole, Summer przekaze ci, czego się dowiedziała. Możecie jechać razem.

To był prztyczek w nos i posterunkowy wyglądał, jakby fizycznie go dostał. Redfern nie mógł dopuścić, by jeden członek zespołu umniejszał wartość drugiego, choć obecność Summer Winter jego również irytowała.

– Chcę to wszystko na wieczór. Spotkamy się o siódmej. Wtedy też zajmiemy się dziewczynką.

– O siódmej? Pracujemy do piątej.

– Powiedz to rodzinom ofiar, dobrze, Chris? – odparował Redfern.

– Niezła rzeźnia – skomentował pod nosem chłopak tak, że wszyscy słyszeli.

Idąc do siebie, Redfern myślał o nieudanym zespole. I o Lindzie, której tak bardzo w nim brakowało. Summer dawała z siebie wszystko, ale odnosił wrażenie, że nie miała serca do tej roboty. Zdecydowanie bardziej zależało jej na zaimponowaniu McMahonowi. Redfern wyczuwał od niej zapach kurzu szczurzego wyścigu. By go spowolnić, powierzył jej mało zadań.

Nie tylko jego złościła decyzja przełożonego o rozsadzie na komendzie. Inspektor zastanawiał się, czy nie wezwać Tinneya na rozmowę jeszcze dziś. Pomijając postawę wobec nowej członkini zespołu, zdziwiły go zdjęcia, które zobaczył na ekranie jego telefonu. Postanowił jednak dać sobie spokój z reprimendą, zanim porozmawia z McMahonem.

Stanął przy oknie swojego gabinetu i patrzył na zatłoczoną Approach Station. Ludzie przecinali pospiesznie jezdnię, narażając się dla kilku sekund. Nikt z pędzącego do i z Londynu tłumu nie zdawał sobie sprawy, że do spokojnego dotąd Woking podpełzła przemoc. Czy od teraz w Anglii każda zbrodnia będzie tak krwawa? Odcięte głowy, morze krwi. Redfern miał poczucie, że skończyła się era zabójstw w afekcie, a zaczęła bezduszna rzeź.



– Tak się nie da pracować. – Wszedł do biura Grega, zostawiając otwarte drzwi. – Skaczą sobie do gardeł, urządzają popisy...

– To nie ich wina – wszedł mu w słowo zastępca komendanta.

Siedząc za wielkim biurkiem Knighta, wydawał się kruchy i wątki. Ku zaskoczeniu Redferna nie było przed nim komputera. Odnotował w pamięci, żeby o to zapytać.

– Dostaliśmy dwie duże sprawy – usprawiedliwił się McMahon. – Nie mamy Lindy ani Malcolma. Wszyscy na nas patrzą, gazety krążą wokół jak sępy, góra nie daje żyć. Każdy ma dość.

– Taka jest praca policji, Greg – odparł. – Zapomniałeś czy biurko przysłoniło ci obraz?

– Nie, nie przysłoniło.

– Podziel formalnie zespół. – Redfern nie słuchał. – Nie możemy tak pracować.

– Dlaczego?

– Słuchaj, włączyłeś sierżantkę Summer, jednocześnie olewając Puskę, i co? Myślałeś, że będzie super?

– Nie ma być super, tylko efektywnie. Summer jest doświadczona, a Puszka dopiero raczkuje. Dziwi mnie, że go włączyłeś w sprawę Abbasich.

– Przy sprawie Millerów się spisał. Dobrze wiesz, że ten awans jest mu potrzebny.

– Sprawa Millerów wpadła mu przypadkiem, bo to ich rewir, ale osobiście uważam, że powinien jeszcze trochę posiedzieć na posterunku

w Old Woking. Musisz zrozumieć, że gramy do tej samej bramki, Dave, ale pozwól, że będziemy grać na moich zasadach.

– OK. Zostawmy Tinneya. – Redfern westchnął głęboko. – Dajesz Summer błędne wyobrażenie o jej przyszłości...

– Dave... – McMahon zdawał się go nie słuchać. – Pozwól, że coś ci powiem. Robisz tu te swoje korpozebranka i nie zaprzeczysz, że masz swoich faworytów. Niezauważalnie sam dzielisz zespół. – Greg westchnął. – Będę z tobą szczerzy: nikt cię tu nie lubi.

– Nie muszą mnie lubić. – Redfern wzruszył ramionami, choć dotknęła go ta uwaga. Tym bardziej że wydała mu się nieprawdziwa. – Muszą dobrze pracować.

– Mylisz się. – McMahon zmarszczył brwi. – To nie jest korporacja jak w Londynie czy nawet w Guildford. To jest rodzina. Rodzina ze wszystkimi swoimi miłościami i niechęciami, ale zdaje się, że ty tego nie łapiesz.

– To ty tego nie łapiesz! – Redfern nie dawał za wygraną. – Dostałeś zastępstwo tylko dlatego, że nie ma Knighta. Nikt przy zdrowych zmysłach by cię nie mianował na to stanowisko, bo jesteś, Greg, cholernym dupkiem!

Przesadził. Dobrze wiedział, że najsensowniejszym posunięciem w tej sytuacji było przekazanie zastępstwa właśnie jemu – był starszy, bardziej doświadczony. Redfern liczył jednak, że skoro pracowali razem już wcześniej, to Greg okaże wsparcie w tworzeniu zespołu. Niespodziewana krytyka z jego strony wytrąciła Davida z równowagi. Słowne manto spuszczone szefowi jak zwykle przyniosło poczucie porażki i wstydu. Jednak sam Gregory McMahon nie dał po sobie poznać, że go to uderzyło.

– Każdy ma świadomość, że kropnąłeś gliniarza – powiedział cicho. – W dodatku kumpla. Zabiłeś członka rodziny, Dave.

A jednak zabolalo, pomyślał Redfern. Zabolalo, bo Greg wyciągnął najcięższą artylerię. Biurko szefa dało mu możliwość wypowiedzenia wszystkich myśli na głos. Redfern został spoliczkowany. Rękawicą wypełnioną cementem.

– Nie musisz mi przypominać, kim był Adrian – odparł twardo. Krew buzowała mu w żyłach. – Co nie zmienia faktu, że był niebezpiecznym człowiekiem!

– A to nie zmienia faktu, że był cholernie dobrym gliną i nie zasługiwał na taką śmierć. – McMahon podniósł się z krzesła i teraz górował nad Redfermem.

– Nie mam ci nic do powiedzenia na ten temat. – Inspektor również wstał i podszedł do wyjścia. – Znasz fakty.

– Czyżby?

To ostatnie zdanie sprawiło, że przebiegł go dreszcz. McMahon się zmienił, a to mogło oznaczać tylko więcej kłopotów. Z tymi czarnymi myślami w głowie wyszedł z komendy. Wsiadając do triumpfa, doskonale wiedział, dokąd pojechać, by się ich pozbyć.

Wtorek, 5.11.2013, popołudnie

Otoczony obdartymi z zieleni drzewami szpital The Priory nasunął Redfernowi na myśl motyla w sieci pająka. David miał nadzieję, że Linda Wall odbiera ośrodek leczenia uzależnień dużo lepiej. Opłacił jej terapię, ale i tak pojawiły się wyrzuty sumienia, że odwiedza ją dopiero teraz. Braku zainteresowania nie mogły zrekompensować żadne pieniądze. Ostatni raz, kiedy widział sierżantkę, dochodziła do siebie po załamaniu nerwowym i próbie samobójczej, do której pchnął ją ciąg narkotykowy.

Zaparkował na końcu szutrowego parkingu i wysiadł z auta, o mało nie objając lakieru stojącego obok maserati. Kucnął między samochodami i polizał kciuk, by zetrzeć czerwony ślad z drzwi limuzyny.

– Rozumiem, że może się podobać, ale żeby od razu lizać? – Usłyszał nad sobą roześmiany kobiecy głos.

– Przepraszam, zbyt energicznie otworzyłem swoje drzwi – tłumaczył się, wstając.

– Nic nie szkodzi. To tylko samochód – oznajmiła elegancka brunetka i zniknęła we wnętrzu auta, które po chwili przyjemnie zamruczało. Przejeżdżając koło Redferna, pomachała mu z uśmiechem.

Minął szklane drzwi i wszedł do obszernego hallu. Na dźwięk jego nazwiska recepcjonistka podniosła słuchawkę telefonu i wcisnęła przycisk. Po chwili się połączyła i poinformowała osobę po drugiej stronie, że Redfern czeka. Wskazała mu miejsce w fotelu pod oknem, ale odmówił.

Przechadzał się wzdłuż wyklejonej kwiecistą tapetą ściany, zastanawiając się, w jaki sposób Adrian Bones uciekł z tej twierdzy. Do środka można było dostać się tylko przez drzwi uzbrojone w zamek magnetyczny. Trzeba też było minąć recepcję, w której, jak głosiła tabliczka, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ktoś czuwał. Wciąż brzmiały mu w głowie słowa Michelle Partner, która powiedziała, że nikt nie jest w ośrodku

przetrzymywany siłą, ale on odniósł zupełnie inne wrażenie. Czujne oczy kamer, uwieszonych pod sufitem jak drapieżne pająki, utwierdziły go w przekonaniu, że budynku nie można opuścić niezauważenie.

– Cześć – przywitała się Linda, która podeszła niepostrzeżenie.

– Cześć – ucieszył się Redfern. – Przejdziemy się?

– Może lepiej zostańmy – odparła i wskazała miejsce, na które wcześniej zaprosiła go recepcjonistka.

Usiedli i odgradzeni od szalejącego na zewnątrz zimna przeszklonym wykuszem łapali promienie słońca. Redfern z radością patrzył na zaokrągloną twarz, widać, że Linda przybrała tu na wadze. Mimo że w jej rudych włosach tańczyły promienie, oczy nie odzyskały jeszcze blasku.

– Dobrze wyglądasz.

– Dzięki tobie – odparła i położyła mu dłoń na kolanie, obdarzając go ciepłym spojrzeniem. – Dziękuję, Dave.

– Drobiazg – odparł, skrępowany dotykiem. – Jak się trzymasz?

Linda zabrała rękę i zatopiła się w głębokim fotelu, ale nie odpowiedziała od razu, zagapiwszy się na gołębia, który przysiadł na krzaku i z zacięciem skubał jakiś czerwony owoc.

– Tęsknię za dziećmi – odparła. – Obsesyjnie o nich myślę, ale paradoksalnie to dodaje mi sił w walce z... no, z tym. – Rozłożyła bezradnie ręce, a jej oczy się zaszklily.

– Dasz radę – powiedział, zdając sobie sprawę z banalności tych słów. – Twój mąż się odzywał?

– Tak. Dzwonił parę dni temu. Wycofał pozew o rozwód, ale nie pozwolił mi porozmawiać z dziećmi – powiedziała z wyrzutem.

– Daj mu trochę czasu – poprosił Redfern. – Przed tobą długa droga, Lin, ale sama widzisz, że on widzi dla was szansę.

– Wiem – westchnęła. – Wiem.

– Jak ci tu jest? – zapytał, chcąc sprowadzić rozmowę na bardziej neutralny grunt.

– Wszyscy bardzo się starają – odparła po chwili. – Adekunle Fowora najbardziej. Wspaniały pielęgniarz i jeszcze lepszy człowiek. A wiesz, że opiekował się też Adrianem Bonesem? – dodała z ożywieniem.

– Tak. Powiedział mi – rzekł Redfern, nie ciągnąc tematu. Uznał, że jeszcze za wcześnie na wtajemniczenie Lindy w sprawę. Miał ogromną ochotę podzielić się z nią kłopotami w firmie, ale wiedział, że nie może

zrzucić na jej i tak wątle barki takiego ciężaru. – Zespół się za tobą stęsknił.

– To fajnie – powiedziała smutno. – Wiedzą, że nie wrócę?

– Na razie nikt nie wie, co się dzieje.

– A jednak przydzielili ci kogoś z zewnątrz.

– Summer Winter – rzucił, zdając sobie sprawę, że Linda nie wie o zastępstwie McMahona. Żeby nie dokładać jej zmartwień, postanowił to przemilczeć.

– Summer Winter – zamyśliła się. – Ona chyba jest u nas od niedawna, w obyczajówce, u starego Johanesa?

Redfern zdziwił się, że była tak dobrze poinformowana.

– Zgadza się. Teraz jest u nas – oznajmił, ale widząc coraz bardziej zapadającą się w sobie Lindę, dodał: – Mamy na tapecie dwie duże sprawy i wszystkie ręce są potrzebne.

– Czytałam – odparła szybko, ale nie dała się odciągnąć od Summer. – Dobra jest?

– Jeszcze nie wiem, Lin – odparł. – Aktualnie sen z powiek spędza mi sprawa tej dziewczynki – wyznał w końcu.

– Nie widziałam córek od prawie miesiąca – zaczęła – ale przynajmniej wiem, że są bezpieczne. Nie mogę sobie wyobrazić, co czuje ta kobieta, matka... Czytałam w gazetach, że ojciec odszedł od nich niedługo przed tą tragedią.

– Tak, dziennikarze wyjątkowo nic nie pokręcili. Wolański nie mieszka z rodziną – odparł Redfern, ale nie chciał zdradzać szczegółów. Wspominanie o uzależnionym od alkoholu w takim miejscu uznał za niestosowne.

– Wiesz, że to może być ojciec dziecka? Zemsta na żonie, że wyrzuciła go z domu. Czy chciał jej udowodnić, że nie umie się zajmować córkami?

– Myślę, że przemawia przez ciebie złość na męża, Lin – powiedział spokojnie.

– Może masz rację. – Linda się zamyśliła.

Redfernowi podobało się w niej to, że potrafiła bez gniewu przyznać się do błędu. W tym całym życiowym bałaganie, który sobie zafundowała, była bardzo pokorna. McMahon nie miał racji – podczas terapii w niektórych zachodzą głębokie zmiany, tym głębsze, im bardziej pozwolimy się im rozwinąć, stojąc spokojnie z boku.

– Strasznie popieprzone to wszystko, Lin – odezwał się po chwili. – Przydałabyś się nam.

– Nie rób mi nadziei, Dave. Po tym wszystkim nie mam szans na powrót do służby, to jasne.

– Teraz jesteś na bezpłatnym urlopie – odparł, wstając. – I tego się trzymajmy.

Pożegnał się z Lindą i wyszedł na parking. Czując na sobie wzrok sierżantki, odwrócił się i pomachał jej. Obok kobiety jak spod ziemi wyrosła pielęgniarzka, która powiedziała coś, co sprawiło, że Linda Wall przestała się uśmiechać i dała się zaprowadzić w głąb ciemnego hallu. Zastanawiał się, na ile młoda policjantka była z nim szczerą.

Podszedł do drzwi triumpha i ocenił, ile lakieru zostawił na maserati. Z ulgą stwierdził, że w niewielkim ubytku prześwituje biały podkład, więc nie będzie musiał robić głębokich zaprawek, a jedynie uzupełni brak. Najpierw jednak musiał uporać się z brakami w zeznaniach świadków.

Wsiadł do auta i przejrzał papiery, które zabrał ze sobą z komendy. Summer stworzyła całkiem szczegółową notatkę z przesłuchania Beaty Mikiewicz, ale chciał jeszcze sam dopytać o kilka spraw, które nie dawały mu spokoju.

By dać sobie szansę przeczołgania się przez ten dzień, łyknął na sucho kolejny naproxen. Włożył kluczyk do stacyjki i chciał przekręcić, ale coś przykuło jego uwagę. Przez boczną szybę zobaczył znajomą postać znikającą za rogiem budynku. Pamiętał doskonale to miejsce. Wsiadł z samochodu i przebiegł wzdłuż ogrodzenia, docierając na tyły kliniki.

Ubrany w zielony uniform Adekunle Fowora odpalał papierosa. Bez cienia zdziwienia wyciągnął paczkę w stronę Redferna, ale ten odmówił.

– Był pan u Lindy? – zagadnął, gdy pierwsza błękitna chmura wypełniła przestrzeń między nimi.

– Jak ona się czuje? Tylko szczerze – powiedział Redfern.

– Jeszcze za wcześnie na ocenę – oznajmił. – Wie pan, gdy zacząłem tu pracować, dałbym sobie ręce poucinać za tych ludzi. – Zaciągnął się papierosem, patrząc w dal. – Dziś wiem, że to właśnie oni by mi te ręce poucinali za gram takiego czy innego gówna.

– Myślałem, że chce pan porozmawiać o Lindzie.

– Nie. Bardziej jestem ciekaw, co pan zrobił w sprawie Adriana Bonesa i Nathana Wooda.

- Nie jestem pewien, czy jest cokolwiek do roboty – skłamał.
- Matka Wooda uważa inaczej. Jej syn zaginął i tylko dlatego, że nie jest potomkiem członka Izby Lordów i pani adwokat, nikt nawet nie kiwnął palcem, by go odnaleźć. Była nawet u nas ostatnio.
- Po co?
- No właśnie to jest zastanawiające. Tuż po zaginięciu Nathana pojawiała się prawie codziennie dopytywać o syna. Przyznaję, że było to męczące. Przestała dopiero, gdy zginął Bones.
- Wie pan, gdzie mieszka?
- Na Finch Close, o ile mnie pamięć nie myli, pod trójką.
- To po przeciwnej stronie ulicy – zachmurzył się Redfern.
- No właśnie. Nie dziwi pana, że zdrowy młody człowiek ma do przejścia pięćset metrów do domu i znika bez śladu?



Wyminąwszy się na wąskiej Finch Close ze śmieciarką, zaparkował pod domem numer trzy, przed którym jako jedynym nie były wystawione kosze, choć tego, co leżało na podjeździe, starczyłoby na kilka pojemników. Redfern wysiadł z auta i przekroczył stertę zeschniętych liści, które musiał zgarnąć niedawny wiatr. W oknie pokrytym warstwą kurzu wychwycił lekki ruch firanki. Wszedł na ganek i zapukał. Po chwili usłyszał szczęk łańcucha, a w uchylonych drzwiach zobaczył parę wystraszonych oczu, okolonych głębokimi zmarszczkami.

- W czym mogę panu pomóc?
- Dzień dobry, nazywam się David Redfern i jestem z policji. Czy możemy porozmawiać o Nathanie?

Kobieta trzasnęła drzwiami. Redfern zrezygnował z dalszych negocjacji i zszedł jeden stopień, ale po kilku sekundach dobiegł go dźwięk zwalniania łańcucha. Staruszka gestem zaprosiła go do środka.

Wnętrze domu odpowiadało wystrojowi podjazdu, a kwaśny smród starczego ciała wdarł się Davidowi w nozdrza i nie pozwalał złapać głębszego oddechu. Opanowawszy odruch wymiotny, Redfern wszedł do pokoju i zachęcony gestem, usiadł na wskazanej przez korpulentną kobietę otomanie, ale stanowczo odmówił napicia się czegokolwiek.

Czekając na staruszkę, rozglądał się po pokoju. Rogi kwiecistej tapety odkleily się przy suficie i zwisały smętnie, upodabniając ją do zakurzonego zwoju pergaminu, który widział kiedyś w Centrum Historii Surrey. Komody przy ścianie wypełniały pamiątki z podróży. Widział wśród nich maski afrykańskich wodzów, rzeźby słoni z orientalnego drewna i kilka plecionych naszyjników. Przez zasnutą warstwą brudu okno sączyło się omszałe światło, które nadawało pomieszczeniu wygląd dawno nieodwiedzanego strychu.

– To dziwne, że policja zaczęła się interesować moim Nathanem – powiedziała staruszka, gdy weszła do pokoju z filiżanką herbaty, którą postawiła na stole. Usiadła na fotelu naprzeciwko Redferna i świdrowała go wzrokiem. – Dwa lata nikt u mnie nie był. Wiecie coś nowego?

– Właściwie to jestem tu prywatnie – wyznał. – Badam okoliczności śmierci Adriana Bonesa.

– No oczywiście! – zakrzyknęła i klepnęła się w kolano. – Bones, bo któż by inny? Normalnie by się pan w życiu nie pofatygował do biednej starej Beth Wood!

– Przeciwnie – odparł spokojnym głosem Redfern. – Te sprawy jakoś się łączą i myślę, że aby odnaleźć pani syna, musimy najpierw wyjaśnić, co działo się z Adrianem Bonesem przed śmiercią. Proszę mi opowiedzieć jak najwięcej o ich relacji. Od tego trzeba zacząć.

Kobieta ściągnęła siwe brwi, jakby nie do końca wierząc w to, co usłyszała. Milczała chwilę, po czym westchnęła i powiedziała:

– Wie pan, mój młodszy syn zawsze był inny.

– Inny?

– Teraz już nie wolno tak mówić – zganiła sama siebie – ale to bardzo dobrze! Nathan wiele wycierpiał przez okrutnych ludzi, a przecież to nie jego wina. Po prostu już jako dziecko ładniej bawił się z dziewczynkami niż z chłopcami. – Zadumała się i napiła herbaty. – Proponowano mi nawet terapię. Wyobraża pan sobie? Terapia dla geja? Potem było już tylko gorzej. W liceum zdał sobie sprawę ze swoich uczuć, a środowisko nastolatków jest bardzo czułe na takie rzeczy i mimo że mocno się ukrywał, dostał łatkę – przełknęła łyżę – pedała. Znosił tyle upokorzeń, tyle zła... Depresja była kwestią czasu.

– Dziś byłoby inaczej – powiedział Redfern.

– Myśli pan? A mnie się wydaje, że niewiele się od tamtych czasów zmieniło. Dopiero co w lipcu pozwolono im zawierać małżeństwa. A prawda jest taka, że prawie połowa społeczeństwa była przeciwna. W głowach ludzi, proszę pana, nic się nie zmieniło i lat trzeba, by się obudzili.

Redfern pomyślał o Bonesie i musiał jej przyznać rację. Już jako dzieciak wiele razy stawał w jego obronie. Słowa Beth Wood uruchomiły w nim swoisty fotoplastykon, który wyświetlił zatarte wspomnienia, na przykład takie, że ulubioną zabawą ich rówieśników było „walnij Kościotrupa”. Bones zyskał tę ksywę pierwszego dnia roku szkolnego, gdy koledzy z klasy skojarzyli jego mizerną posturę z charakterystycznym nazwiskiem. Oliwy do ognia dołał piórnik z kotkiem, a później resztki czerwonego lakieru na paznokciach, które przy całej klasie skrytykowała pani Smith.

„Walnij Kościotrupa” weszło do kanonu zabaw szkolnych i Redfern często musiał wdawać się w pyskówkę, a w cięższych przypadkach wysuwał argument pięści. Z biegiem lat tych sytuacji było coraz mniej, ale David ze wstydem musiał stwierdzić, że powodem tego nie była rosnąca w ludziach tolerancja. Odsunął się od Bonesa, by nie dostać rykoszetem.

Mógł sobie tylko wyobrażać, co działo się z Adrianem w gimnazjum. Po zaginięciu siostry Redferna nic już nie było takie samo. Wtedy nad jeziorem tak dobrze się bawili... Nikt nie przypuszczał, że będzie to ostatnie szczęśliwe lato tej trójki.

Pamiętał, że Adrian obwinił się o to, co się wtedy stało. Z dziecięcą naiwnością powtarzał, że gdyby jej wtedy tak nie rozśmieszał, Dominique nie poszłaby do toalety. Jednak nie było niczyjej winy w tym, że nigdy z niej nie wróciła.

Parę tygodni później, siedząc w pokoju Adriana, planowali, że razem odnajdą Dominique. Gdy Redfern dowiedział się o planach matki, spełnił się najczarniejszy z możliwych scenariuszy. Przeprowadzka do Hammersmith była najgorszym z koszmarów jedenastoletniego Davida.

Kiedyś wybrał się do Edynburga do ojca, mając nadzieję, że przy okazji spotka się z Adrianem. Kilka dni wcześniej zadzwonił do niego, chcąc uprzedzić o swojej wizycie, ale Isabelle Bones poinformowała go, że jej syn jest teraz z kolegami i nie ma dla Davida czasu. Podkreśliła przy tym, że chodzą oni z Adrianem do Stewart's Mellville College. Walcząc ze łzami, usłyszał też, że gimnazjum to kończyła taka gwiazda prawa jak Lord

Brailsford czy też pisarz Philip Kerr. Ze złością pomyślał wtedy, że do tej szkoły muszą chodzić same pedzie. Kiedy na zakończenie rozmowy Isabelle Bones rzuciła wyniośle, że niedługo cała rodzina przeprowadza się do Guildford, David nie mógł już zapanować nad płaczem i rzucił słuchawką.

– Panie Redfern? – dobiegł go nagle głos Beth Wood. – Dobrze się pan czuje?

– Tak, wszystko w porządku. – Otrząsnął się z letargu. – Proszę kontynuować.

– Mówiłam, że Nathan miał chwile szczęścia – powtórzyła. – Na studiach poznał miłą dziewczynę. Wzięli z Leonie szybki ślub, choć doskonale wiedziałam, jak to się skończy. Kiedy wróciły depresja i alkohol, Leonie nie wytrzymała i odeszła. Nat bardzo chciał udawać kogoś innego, ale tak naprawdę rozwinął skrzydła dopiero przy Adrianie. Na samym dniu znalazł miłość, uwierzy pan?

Redfern pokiwał głową ze zrozumieniem, choć ciężko mu było wyobrazić sobie Adriana w bliskiej relacji z kimkolwiek. W pamięci wciąż miał przyjaciela zamkniętego w swoim świecie. Jedynymi, których do niego wpuszczał, byli Patricia i David. Później już nikogo. Redfern pomyślał, że chyba czasem trzeba zwiedzić najciemniejsze zakamarki życia, by odnaleźć światło.

– Jak układały się relacje między Natem a Adrianem? – zapytał.

– Dobrze, naprawdę dobrze. Wspierali się w terapii, a gdyby nie państwo Bones, byłoby jeszcze lepiej.

– Może pani jaśniej?

– Oni byli przeciwni. W ogóle nie akceptowali tego związku. Odniosłam wrażenie, że nie mogli znieść myśli, że ich syn jest gejem.

– Tak pani sądzi? – zdziwił się, mając w pamięci zazdrość, z jaką patrzył na rodzinę Adriana.

– Oczywiście! – zaperzyła się Beth. – Isabelle Bones izolowała syna od świata. Ta relacja była, proszę pana, chora.

– To chyba normalne, jej syn przeszedł załamanie nerwowe. Ktoś musiał się nim zająć.

– Zająć? – zachnęła się. – Proszę pana, ta kobieta kontrolowała każdy aspekt jego życia.

Skoro sam nie miał nad nim kontroli, to może było to dobre rozwiązanie, pomyślał Redfern, ale nie zamierzał wdawać się w dyskusję.

– Czy syn zwierzał się pani z tego, co mówił mu Adrian?

– Nathan powtarzał, że największym wrogiem Adriana był strach. To samo zresztą zauważył mój starszy syn, Steven, kiedy Adrian nas kiedyś odwiedził. On się ciągle, proszę pana, bał. Myślę, że to ta jego praca w policji mogła mieć na to wpływ. Tyle ludzkich nieszczęść, co on się naoglądał, to zwykły człowiek by nie zniósł. Podziwiam was, policjantów, ale szczerze mówiąc, to nie ma wśród was normalnych, bo normalny to by sobie po miesiącu takiej roboty w łeb strzelił. Co, źle mówię?

– Coś w tym jest. – Redfern zgodził się dla świętego spokoju. Słowa kobiety nakreślały mglisty obraz tego, co działo się w szpitalu The Priory, ale wciąż nie przybliżyły go do prawdy. – Pamięta pani ostatnie miesiące przed zaginięciem syna?

– Tak, doskonale. Obaj powoli dochodzili do siebie. Wie pan, w tym ośrodku to stają na rżęsach, ale cudów nie ma. Każdy musi przejść swoją drogę krzyżową, a i tak nie ma gwarancji zbawienia.

– Co ma pani na myśli?

– Bo Adrian jakby od pewnego czasu się cofał – oznajmiła. – Nathan mówił, że miał więcej gorszych dni. Dlatego zdziwiło mnie, że opuścił ośrodek. Myślę, że nie był gotowy na taką próbę. Wie pan, ja przypuszczam, że wyjście Adriana to był pomysł jego matki. Podobno ona na to nalegała.

Wyciągnął z kieszeni kurtki notatnik i obok słów „akceptacja” i „strach” zapisał wyraz „wyjście”. Redfern pomyślał, że lista pytań do Bonesów robi się coraz dłuższa i jeśli nie zacznie ich szybko zadawać, to coś mu umknie.

– Przejdźmy do dnia zaginięcia. Co się wtedy dokładnie wydarzyło?

– To było dwa tygodnie po wyjściu Adriana. Nathan był rozgoryczony, że go w tym czasie ani razu nie odwiedził. Nie mógł sobie poradzić ten mój synek. Tłumaczyłam mu, że pewnie Adrian chce się nacieszyć rodziną, że lada dzień przyjedzie, ale Nat nie chciał mnie słuchać i poprosił o przepustkę. Właściwie to nie była przepustka, tylko przerwanie terapii. Byłam przeciwna, ale co ja mogłam. Przecież to dorosły mężczyzna, a Priory to nie więzienie. No więc zadzwonił do mnie osiemnastego lipca, że wychodzi z ośrodka i w południe będzie w domu i – zawahała się – była to nasza ostatnia rozmowa.

– Co się potem wydarzyło?

– Kiedy minęła trzynasta, zaniepokoiłam się i poszłam do Priory, ale na recepcji powiedzieli mi, że Nathan wyszedł przed południem, zabierając ze sobą torbę. Później się dowiedziałam, że podobno wsiadł do 39A, który jechał w stronę Chobham, ale policja miała wątpliwości, bo zgłosił się tylko jeden świadek, który go widział.

– Może pani syn pojechał prosto do Adriana, do Silver Manor?

– Nie. – Pokręciła głową. – To było pierwsze miejsce, które sprawdziłam. Isabelle Bones przyjęła mnie ładnie w ich posiadłości. Była bardzo przejęta i obiecała uruchomić wszystkie kontakty, żeby przyspieszyć poszukiwania. Długo wtedy rozmawiałyśmy. Oczywiście nie sądzę, żeby chodziło jej o mojego syna, co to, to nie. Bardziej martwił ją stan Adriana. Był roztrzęsiony, bliski załamania. Powiedziałam jej, że może powinien wrócić do ośrodka, ale pani Bones spojrzała na mnie wtedy tak, że przeszedł mnie dreszcz, i prawie bez słowa odprowadziła mnie do wyjścia. Chyba musiała sobie potem włosy rwać z głowy.

– Potem?

– Przecież parę tygodni po zaginięciu Nathana Adrian targnął się na swoje życie, prawda? Gdyby pani Bones w porę namówiła syna na powrót do Priory, uratowałyby go.

Redfern pokiwał głową i zapisał w notatniku słowo „samobójstwo”. Ilekroć myślał o wybuchu gazu w domku dla gości w Silver Manor, tym silniejsze nachodziły go wątpliwości, jak do tego doszło. Pamiętał, że Adriana w stanie krytycznym przetransportowano helikopterem do szpitala, a gdy tylko było to możliwe, Bonesowie przenieśli go do prywatnej kliniki gdzieś w Szkocji i tam przeszedł szereg operacji.

– Ale ostatecznie Adrian Bones wrócił do ośrodka?

– Tak słyszałam, ale podobno nigdy już nie doszedł do siebie. Śmierć mojego syna pociągnęła za sobą tyle złych wydarzeń: najpierw odszedł mój mąż, potem straciłam kontakt ze Stevenem...

– Śmierć? – przerwał jej Redfern.

– Ja go już pochowałam, proszę pana – wyznała. – Nie sposób żyć nadzieją tyle lat. Lepiej dać jej spokojnie umrzeć, by siebie za życia nie pochować.

Kobieta odprowadziła go do drzwi. Dopiero teraz zauważył, że każdy z mijanych pokoi jest pusty. Stał w progu i rozkoszował się napływem

świeżego powietrza. Naprzeciwko dostrzegł pracownika firmy sprzątającej. Młody mężczyzna, rozłożywszy drabinę, wspiął się po niej i włączył myjkę ciśnieniową. Ostry strumień z szumem rozbijał się o szklaną taflę uzbrojoną w szprosy. Tknięty przecuciem Redfern odwrócił się do Beth Woods i zapytał:

– A pamięta pani kraty w oknach w Priory? Dlaczego je zamontowano?

– On ten pokój chyba zajmował od początku. I wie pan, mnie się wydaje, że to nie było po to, żeby Adrian nie mógł wyjść, ale po to, żeby nikt nie mógł do niego wejść.

Wsiadając do triumpha, Redfern wciąż czuł na sobie wzrok Bethany Woods. Odwrócił się w stronę niszczonego domu, który był świadectwem największego poświęcenia. W jednym z okien dostrzegł jej postać – zmęczoną, połamaną, w której życie utrzymywało się tylko na cieniutkich nitkach nadziei, że jeszcze kiedyś zobaczy ukochane twarze. Pomyślał o tym, jak słabo znał swojego przyjaciela i czy McMahon miał rację, mówiąc, że Redfern nie rozumie więzi rodzinnych. Gdy odjeżdżał spod Finch Close, naszło go nasączone goryczą pytanie, czy zapewniając sobie bezpieczny dystans, nie sprawia, że najważniejsze przecieka mu przez palce.



Mijając rondo przy Kingfield, zastanawiał się, skąd Bethany Woods miała pieniądze na opłacenie The Priory. Był zły, że jej o to nie zapytał. Abonamenty w takich ośrodkach znacznie przekraczały możliwości zwykłych zjadaczy chleba, a co dopiero samotnej emerytki.

Zwolnił przy Poundfield Court, którego praktycznie cały wjazd zatarasował wóz „The Sun”. Wiedział, że szum medialny mógł mieć zarówno zbawienny, jak i katastrofalny wpływ na sprawę porwania Izabeli Wolańskiej.

Zjechał na parking i postawił auto wzdłuż muru. Kiedy wysiadał, matka dziewczynki właśnie zamykała drzwi za dziennikarzem. Zauważyła jednak Redferna i czekała, obserwując obu mężczyzn.

Mina dziennikarza świadczyła o tym, że nie został potraktowany z należytą, w jego mniemaniu, czcią. Na widok Redferna uśmiechnął się

szeroko i przyspieszył kroku, jakby zapominając o nieudanej próbie wydarcia z matki choćby strzępu, który można by przekuć w sensację. Jak hiena, która zobaczyła lepszy kawałek do wyszarpania z padliny, dopadł do triumpha.

– Pan z policji? – zagadnął.

– Nie, z „Daily Mail” – rzucił David, nie zatrzymując się.

– Jakoś pana nie kojarzę. – Dziennikarz obrócił się za nim i starał przyjrzeć się uważniej, ale inspektor minął go za szybko.

– Bo nie zadaję się z pijawkami! – Redfern usłyszał niski głos.

Dopiero po chwili zobaczył Ronalda Rudda, który wychynął zza budynku. W jednej ręce trzymał papierosa, a w drugiej smycz, na której końcu powłóczył łapami duży szary pies. Inspektor nie znał tej rasy, ale z lekką obawą pomyślał, że za chwilę Bandit osiągnie podobne rozmiary.

– Litości nie mają. – Rudd skrzywił się i cisnął peta na trawnik.

Obaj patrzyli, jak dziennikarz wsiada do samochodu i odjeżdża. Inspektor chciał skomentować hipokryzję Rona Rudda, który słynął ze swych metod zdobywania informacji, ale uznał, że wyrazem wdzięczności za interwencję będzie milczące kiwnięcie głową. Nagle poczuł na dłoni mokry nos psa. Redfern dał mu powąchać rękę.

– Swój, Dusty, swój – zapewnił psa Ron i poklepał go z czułością po głowie, na co zwierzę odpowiedziało merdaniem ogona i rozciągnięciem pyska w psim uśmiechu. – Teraz to pana zaliże na śmierć. – Roześmiał się serdecznie i odpiął psa ze smyczy.

Redfern był niemal pewien, że Rudd zwalniał zapięcie, zerkając w stronę okien Josepha Chegego, który narzekał na biegającego wszędzie olbrzyma. Dopiero teraz policjant zauważył, że w ogromnej paszczy pies trzyma piłeczkę tenisową. Właściciel wydał komendę i zwierzę posłusznie usiadło, upuszczając pod nogi zabawkę, którą Ronald podniósł i rzucił na drugi koniec parkingu.

– Przepiękny pies – skomentował inspektor. – Sam mam berneńczyka.

– Wspaniały wybór – pogratulował Rudd. – Wilczarze irlandzkie lubią się bawić, choć mają trudne charaktery – wyjaśnił, patrząc, jak pies dobiega do murku i zgrabnie łapie piłkę. – Mają jednego pana i wykonają każdy rozkaz. Wierne są niesamowicie.

Po chwili włochacz zjawił się między mężczyznami i Redfern poczuł pacnięcie w but, na co Ronald ponownie się roześmiał.

– Teraz to pan przepadł! On tak może godzinami.

Mimo że mu się spieszyło, wziął piłkę i rzucił w to samo miejsce, co stary dziennikarz. Miał nadzieję, że w jakiś sposób wykorzysta dobry humor mężczyzny.

– Byliśmy z żoną u Kingi – powiedział właściciel psa. – Wie pan, ona sobie kompletnie nie radzi. Dlatego też wkurzyłem się na tego pismaka. Są jakieś granice.

– Z żoną? – zapytał Redfern.

– Tak, Ginny zaraz zejdzie. Jeszcze pomaga mojej mamie zmienić pościel.

Pies przysiadł i bijąc Redferna ogonem w kostkę, wyraźnie się w coś wpatrywał. Inspektor odwrócił się i zobaczył zbliżającą się do nich kobietę.

– I o wilku mowa. To moja żona – oznajmił dziennikarz.

Podając inspektorowi suchą, wiotką dłoń, kobieta nieznacznie się uśmiechnęła. Nie wyglądała na starszą od Rudda, ale z pewnością była bardziej zniszczona. Długie mahoniowe włosy, wśród których przebijały siwe odrosty, upięła w kok, odsłaniając szczupłą, pomarszczoną szyję.

– Zajrzałam jeszcze do Kingi przed pracą – powiedziała zmartwionym tonem. – Zaniosłam jej obiad, chociaż tyle mogę zrobić. Mam wrażenie, że rzeczywistość przecieka jej przez palce. Chętnie bym z nią posiedziała, ale muszę już iść. Mam dziś sporo papierów. – Poklepała dużą torbę, która zwisała jej z ramienia.

– Pewnie pan policjant do niej zaraz pójdzie – uspokoił żonę dziennikarz.

– Leć, bo się spóźnisz.

Ginevra pożegnała się i odeszła w stronę Westfield, a po chwili zniknęła za szeregiem kamienic.

– Żona jest kierowniczką w tutejszej fabryce – powiedział Rudd. – Wie pan, starałem się wydusić z mamy, czy pamięta, jaki samochód zabrał Izę, ale jak grochem o ścianę. Nie mogę tego zrozumieć, normalnie przesiaduje w oknie całe dnie, a akurat w tamtej chwili parzyła sobie ziółka czy inne świństwo.

– Może coś odwróciło jej uwagę?

– Co niby na tym zadupiu mogłoby odwrócić uwagę starszej pani? Lis przebiegający przez drogę? Z drugiej strony tutaj nawet przelatująca mucha jest nie lada atrakcją. Zapytam mamę, czy nie stało się wtedy coś niezwykłego – zapewnił. – Może jednak sobie coś przypomni.

– Często odwiedza pan matkę?

– Gdy żona ma wieczorną zmianę, to ją odwożę i przy okazji zaglądamy do mamy. Wzięlibyśmy ją do siebie, ale ona idzie w zaparte. Wie pan, jacy uparci potrafią być starsi ludzie.

– Tak, znam jeden całkiem uparty egzemplarz. – David uśmiechnął się krzywo i poczochnął łeb psa, który wciąż siedział przy jego nogach w oczekiwaniu na piłkę. Popatrzył w okolone szczecinowatą sierścią oczy i powiedział: – Szkoda, że cię tu nie było parę dni temu.

– Dobrze pan mówi – westchnął smutno Rudd. – Dusty nie da swojego ruszyć. Prawda, Dusty?

Pies szczeknął przyjaźnie, jakby chciał potwierdzić słowa pana. Mężczyzna pożegnał Redferna i wsiadł do swojego astona, wpuszczając uprzednio olbrzyma, który natychmiast zajął tylną kanapę.

Mieszkanie Wolańskich przypominało to, które opuścił godzinę temu. Od domu matki Nathana Wooda różnił je tylko zapach, który tutaj nie powodował odruchu wymiotnego.

Kinga miała mokre ręce. Komentując wścibstwo dziennikarzy i wychwalając pomoc Ruddów, powiodła Redferna za sobą i wróciła do przerwanej czynności.

– To chyba nie najlepszy pomysł – skwitował, widząc opróżniony do połowy słoiczek z lekami na uspokojenie.

– To chwilowa kapitulacja, która, mam nadzieję, mnie ocali – oznajmiła i zaczęła wrzucać tabletki do zlewu, spłukując je obficie wodą z garnka.

– Jest pani pewna?

Z wykrzywionych ust zwisał jej złoty marlboro. Strużka dymu wiła się po jej twarzy, wymuszając grymas. Zaciągnęła się mocno, a potem zgmiotła papierosa w popielnicze.

– Jestem bliska szaleństwa, inspektorze – wyznała. – Ale to nie jest rozwiązanie. – Odkręciła kran i spłukała resztę pigułek. – Noc jest najgorsza i żadne leki nie są w stanie tego zagłuszyć.

Wyciągnęła zza szafki dwa rozkładane stołki i podała jeden Redfernowi. Sama rozłożyła swój szybkim ruchem i usiadła.

– Pyta pan, jak się czuję? – zaatakowała, gdy Redfern zagadnął. Trzęsącymi się rękami sięgnęła po kolejnego papierosa i go odpaliła. – Naprawdę chce pan to wiedzieć? Więc panu powiem. Co noc leżę na łóżku, na wpół śniąc, na wpół błagając, by otworzyły się drzwi tego przekłętego

mieszkania, a za nimi stała moja Iza, ale, jak pan wie, to nie następuje. Zwijam się więc w kłębek i walczę z bólem. Chcę się schować przed swoimi myślami. Jednak im mocniej zaciskam powieki, tym bardziej rozrywa mnie szaleństwo. Kiedy próbuję sobie wyobrazić, gdzie jest teraz moja córeczka, staram się nie myśleć o najgorszym. Tyle że umysł podsuwa mi potworne obrazy. – Zaciągnęła się papierosem, po czym wrzuciła go do zlewu. Niedopałek zasyczał cicho, oznajmiając swój zgon. – Co noc mam nadzieję, że ten, u którego jest Iza, położył ją wygodnie spać, ale zaraz potem dopada mnie myśl, że moje dziecko wcale nie śpi, tylko czeka przerażone pod zatęchłym kocem, aż po nią przyjdę. Widzę, jak ten, który ją więzi, właśnie uchyla drzwi do piwnicy, jak zakrada się do łóżka, jak jej małe rączki nie mają siły, by się bronić – mówiła coraz ciszej, łamana płaczem. – Przed oczami staje mi obraz miotającego się drobnego ciała, zdzieranych ubrań i wielkiej dłoni zatykającej rozedrgane od łkania małe usta. Nieraz słyszę, jak mnie wołają... A ja tak bardzo chcę biec, jechać. Tylko dokąd? Niech mi pan powie, dokąd mam biec?

Kinga Wolańska patrzyła z wyrzutem na Redferna, a on czuł, że to wyznanie mimo oskarżycielskiego tonu było dla niego na swój sposób oczyszczające.

Pamiętał doskonale tamten dzień. Wrócił ze szkoły weselszy niż przez ostatnich kilka miesięcy. Chciał opowiedzieć mamie o jakiejś dobrej ocenie albo innej bzdurze, która, miał nadzieję, sprawi, że choć na chwilę go zauważy. Gdy otworzył drzwi mieszkania, na wysokości twarzy zobaczył jej ubrane w rajstopy nogi i wykrzywione halluksami stopy. Zrobił kilka kroków w tył i upadł, potykając się o próg. Wstał i rzucił się biegiem w zatłoczoną ulicę, aż zatrzymał go jakiś przechodzień. Dwunastoletni David nie płakał. Był zbyt wściekły na łzy. Na pytanie, co się stało, odparł sucho, że mama nie żyje.

Nie potrafił jej wybaczyć tego, że go opuściła. Mieli tylko siebie, a ona po prostu odeszła. Siedząc w zatęchłym pokoju w domu pod Częstochową, próbował wszystko zrozumieć. Tyle że nic w jego dziecięcej głowie nie chciało się poukładać. Przypominał sobie, jak zaraz po lekcjach jeździł rowerem nad jezioro szukać siostry, jak chodził po lesie i pytał kolejnych zdziwionych ludzi, czy nie widzieli czarnowłosej dziewczynki w żółtym kostiumie kąpielowym. Jego mama nigdy tego nie zrobiła, ani razu nie

pojechała z nim nad Harlaw Reservoir, choć tak bardzo ją prosił. Zamiast tego wróciła na Hammersmith, zostawiając Dominique samą sobie.

Ta dziecięca złość, choć całe życie próbował ją zagłuszyć, tkwiła w nim aż do dziś. Tchórzostwo, które zarzucał matce, ustąpiło zrozumieniu, bo Antonina Redfern się nie poddała, ona po prostu nie wiedziała, dokąd biec.

– W głębi duszy czuję, że ona żyje, inspektorze – usłyszał nagle zza grubej kotary wspomnień.

W pierwszym odruchu chciał odpowiedzieć, że się myli, ale w porę zrozumiał, że nie siedzi już w pokoju w małym domu gdzieś w Polsce.

– Dzięki temu sama jeszcze funkcjonuję – dodała Wolańska, przyglądając mu się uważnie. – Dobrze się pan czuje, inspektorze?

– Czy w ostatnim czasie wydarzyło się coś szczególnego? – Oprzytomniał całkiem.

– Poza setkami telefonów to nic. W tym tygodniu dzwonili kilkanaście razy na dobę. Ronald Rudd zrobił świetny reportaż, może to dzięki niemu? – powiedziała pobudzona. – Rzucam się na każdy dźwięk dzwonka, wierząc, że któryś z nich przyniesie głos Izy. A niech mi pan wierzy, dzwoni każdy, komu wydawało się, że ją widział. Sprawdzanie wszystkich tropów doprowadza nas do obłądu. Dwa dni temu wsiedliśmy z mężem do samochodu w środku nocy. Zadzwoiła kobieta, która twierdziła, że u jej sąsiadów w Kendal nagle zamieszkała dziewczynka podobna do Izy. Po sześciu godzinach jazdy okazało się, że nawet nie miała blond włosów.

Redfern zdziwił się, że Wolańscy nie powiadomili o tym fakcie policji. Uznał jednak, że dopytywanie o to niczego nie wniesie do sprawy.

Wiedział, że prawdziwą przyczyną tych telefonów była wyznaczona przez Wolańskich nagroda. Pięćdziesiąt tysięcy funtów, jak powiedziała matka dziewczynki w oficjalnym oświadczeniu, które wydała zaraz po zaginięciu Izy. Transmitowały je wszystkie stacje telewizyjne. Wolańska odrzuciła propozycję nagrania w studiu. Wybrała pokój dziewczynek. Chciała pokazać, że Iza to nie tylko zdjęcie w porannej gazecie, że to żywa istota, która ma swój pokój, swoje zabawki, kredki i miejsce przy biurku. Chciała uzmysłwić porywaczowi, że dziewczynka powinna teraz bawić się lalkami, kłócić z siostrą, skakać przez skakankę, cokolwiek, ale na pewno nie powinna być tam, gdzie jest teraz. Podczas transmisji Wolańska cały czas trzymała kurczowo jedną z ukochanych maskotek córki i płakała.

W ostatnich sekundach nagrania osunęła się na kolana i błagała cały świat, by zwrócił jej dziecko.

Słońce przeszło już na drugą stronę budynku przy Poundfield Court, zapowiadając przyjemny wieczór. Możliwe, że ostatni tej jesieni. Wolańska wstała i zasłoniła okno.

Redfern pomyślał, że dzieci musiały już skończyć lekcje i biegły na plac zabaw, by wyczerpać do cna energię, która została im po szkole. Jakby czytając w jego myślach, Wolańska powiedziała:

– Gdyby nie ten koszmar, stałabym teraz pod bramą szkoły.

Usłyszeli ciche pukanie. Było tak nieśmiałe, że z pewnością nie przynosiło znaczących wieści. Kinga podniosła się i chwiejnym krokiem podeszła do drzwi, starając się poprawić przetłuszczone włosy. Była osłabiona. Redfern wiedział, że jedyne posiłki, jakie spożyła w ciągu ostatnich dni, składały się z kolorowych pigułek i wody.

– Jesteś, kochanie – usłyszał głos Wolańskiej z korytarza. – Jak było w klubie?

Po chwili wprowadziła do kuchni jasnowłosą dziewczynkę w ciemnoszarym mundurku. Jej przestraszone oczy i blada twarz wskazywały, że obecność Redferna jest dla niej szokiem. Stała nieruchomo i milcząc, wpatrywała się w inspektora. Dopiero szturchnięta przez matkę przywitała się, ale zaraz potem się odwróciła i zniknęła w swoim pokoju. Dobiegła ich cicha muzyka.

– Chciałbym porozmawiać z pani córką – oznajmił.

– Widział ją pan? – Wolańska minęła go i usiadła na swoim miejscu. Nie sięgnęła jednak po papierosa. – Ona nie ma siły na więcej rozmów. Zresztą już ją przepytywaliście. Wystarczy.

– Aleksandra jest świadkiem w sprawie o porwanie. Zgodnie z prawem nie muszę pani pytać o zgodę – wyrecytował.

– Chcę być przy tym obecna. Czy tego też mi nie wolno?

Redfern spojrział na nią wymownie.

– W takim razie będę stała za drzwiami – odparła wściekle.

Dziewczynka siedziała po turecku i otoczona płataniną kolorowych sznurków wiązała supełki. Za krótką kurtyną blond włosów nie mógł dostrzec jej twarzy, ale posturą przypominała matkę. Jej palce jak blade pajęczki wyplatały kolejne rzędy szmacianego paska. Nie podniosła wzroku, kiedy Redfern kucnął obok niej.

– Cześć. Mam na imię Dawid – przedstawił się po polsku i podał zdziwionej dziewczynce dłoń. Mała uściśniła ją krótko i wróciła do plecenia bransoletki.

– Chciałem z tobą o czymś porozmawiać – kontynuował, ale Ola, udając skupienie, nie zwracała na niego uwagi.

– Ładne – skomentował, bo praca dziewczynki naprawdę zrobiła na nim wrażenie.

– Robię dla koleżanek. Bardziej im się podobają niż *loom bands*.

Redfern chciał się dowiedzieć, czym są tajemnicze *loom bands*, ale Ola go uprzedziła, pytając smutno:

– Chce pan porozmawiać o Izie, prawda?

– Nie – odparł, a pajęczki zwolniły. – Chcę porozmawiać o tym pokoju.

– O pokoju?

– Tak, to bardzo ładny pokój. Musiałaś włożyć w niego dużo pracy. – Wskazał na rysunki przyklejone do szafy. – Lubisz tu mieszkać?

– Nie.

– Dlaczego? Mnie się tu podoba.

– *I don't like it.* – Oderwała wzrok od wyplatanki i wbiła go w Redferna. – To zły dom.

Powiedziała to z taką powagą, że przeszedł go dreszcz. Bardzo chciał się dowiedzieć, co jedenastolatka ma na myśli, ale bał się, że dodatkowymi pytaniami tylko ją spłoszy. Starał się więc, by dziewczynka nie zauważyła jego przejęcia.

Otakował wzrokiem niższą część łóżka, z której wysypywały się przytulanki, wszystkie w kształcie kotów. Wśród nich rozpoznał pomarańczowego Garfielda, kota z Cheshire oraz popularnego ostatnio Simon's Cata. Ten widok jednocześnie go rozbawił i zasmucił. Patricia była tak samo zafiksowana na punkcie mruczków. Mieli nawet jednego, którego Redfern miło wspominał.

– Widzę, że lubisz kotki – zagaił ostrożnie. – Ja też.

– To są kotki mojej siostry – odparła i wróciła do bransoletki. – Ja wolę *sloths*.

Redfern uniósł głowę, by poszukać na to dowodu. Dopiero teraz zauważył, że na górnym piętrze łóżka leży pluszowy przedstawiciel tego gatunku, a z przyklejonych do ścian zdjęć zerkają zwisające z gałęzi szare

zwierzęta. Jedno z nich, podpisane „Moim patronusem jest leniwiec”, sprawiło, że się uśmiechnął.

– Lubię je, bo są takie pozytywne. Są świetne przed *predators* – dodała dziewczynka. – Zazdroszczę im życia.

– Ludzie nie mają tak źle – odparł wesoło Redfern, czując, że zbliżają się do sedna rozmowy. – Ja bym tam nie chciał załatwiać się raz na tydzień.

Miał nadzieję rozśmieszyć dziewczynkę, ale zamiast tego rzuciła bransoletką w kąt i rozpłakała się.

– Iza mówiła to samo! Kłóciłyśmy się kiedyś o to, bo powiedziała, że *sloths* są *hopeless*, bo mają *algae* i robią kupę raz w tygodniu! Ciągłe się kłóciłyśmy. *It's all my fault!*

– To nie twoja wina, kochanie. – Redfern starał się ją pocieszyć.

Ola Wolańska podciągnęła kolana pod brodę i ukryła za nimi buzię. Chciał objąć ją ramieniem, ale się powstrzymał. Przysiadł bliżej dziewczynki i czekał, aż ochłonie. Trwało to zaskakująco krótko. Podniosła czerwoną od płaczu buzię i wytarła rękawem bluzy nos.

– Kłóciłam się z nią o różne rzeczy. Najczęściej o zegarek. Ciągłe mi go podbierała, a to przecież ja go dostałam od taty. Wtedy też nie mogłam go znaleźć. Wyrzuciłam ją z pokoju i kazałam jej bawić się w *sand pit*. Spakowała swój plecak z kotkiem i sobie poszła do tej... piaskownicy. To moja wina.

– Dlaczego tak mówisz? – Redfern starał się, by jego głos brzmiał spokojnie. – To wina jakichś złych ludzi, nie twoja, kochanie.

– Gdybym pobawiła się z Izą, to nikt by jej nie zabrał – mówiła twardo Ola. – Ona mnie prosiła, a ja byłam na nią zła i wolałam grać na *mobile phone!*

– Olu, nie wolno ci tak myśleć. Pamiętaj, to nie jest niczyja wina. To był przypadek. Zwykły przypadek.

– A *auntie* Becia? Gdyby wtedy pilnowała Izy, toby się nic nie stało!

– Nic nam nie pomoże obwinianie ani siebie, ani innych. To wszystko zaplanowali bardzo źli ludzie i nic nie mogło im przeszkodzić.

– Mama powiedziała, że jak Iza wróci, to wyjedziemy daleko – mówiła przez łzy. – Tam, gdzie nas nie znajdą.

– Kto was nie znajdzie?

– Nie wiem. Chyba źli ludzie. – Otarła dłonią oczy. – Mama powiedziała, że pojedziemy w bezpieczne miejsce.

– A tata z wami pojedzie?

– Chyba nie. – Dziewczynka spuściła głowę i znów ukryła twarz pod zasłoną włosów. – Mama bardzo się zdenerwowała, jak przyłapała tatę na wkładaniu czegoś do buzi Izie.

Redfern wiedział, że dziecko nie odpowie na pytanie, o jaką rzecz chodziło, więc o nią nie zapytał. Skupił się na tym, by zachować spokój i nie wybiec z pokoju, by zapytać Wolańską, co się działo w tej rodzinie.

– Prosiłam Pana Boga, by oddał nam Izę. Bardzo bym chciała już być w tamtym miejscu. Myśli pan, że mnie wysłucha?

– Trzeba mieć nadzieję – odparł David i podniósł się z kolan.

Wbrew zapowiedziom matka dziewczynki nie stała pod drzwiami. Znalazł ją w drugim pokoju, przeglądającą korespondencję, otuloną światłem lampy podłogowej. Podniosła głowę i ze zdziwieniem patrzyła, jak Redfern domyka szczelnie drzwi.

– Dlaczego pani mąż się wyprowadził? – syknął, usiłując zapanować nad gniewem.

– Już mówiłam, nie układało się nam – odparła zdawkowo i wróciła do listu, który trzymała w dłoni.

– Proszę przestać ze mną pogrywać!

– O co panu chodzi?

– Wiem, że dziewczynki były molestowane. Nie zaprzeczy pani.

– Co?! – Wolańska zerwała się z miejsca. Lampa za jej plecami sprawiła, że wyglądała jak anioł śmierci. – Skąd pan ma takie informacje?!

– Ola właśnie mi powiedziała – odrzekł. – Podobno pani mąż zrobił krzywdę Izie i dlatego pani go wyrzuciła.

– Niech pan nie będzie śmieszny! Bartek nigdy by czegoś takiego nie zrobił! Ola musiała coś przeinaczyć.

– A Joseph Chege też coś przeinaczył, gdy zobaczył przez okno kuchenne, jak pani mąż bije Izę?! – Redfern nie wytrzymał.

– W moim domu nikt nigdy nie podniósł ręki na dziecko! – krzyknęła rozsierzona. – Nigdy!

Zza własnego ciężkiego oddechu usłyszał ciche skrzypnięcie. Spojrzał w stronę drzwi, które się uchyliły, ukazując parę przestraszonych oczu. Utkwiwszy wzrok w matce, dziewczynka czekała na wyjaśnienie. Jej wykrzywione usta świadczyły o tym, że była bliska płaczu.

– Wszystko w porządku, kochanie. – Wolańska zmieniła ton, podeszła szybko do córki i objęła ją czule. Ponad ramieniem dziecka rzuciła Redfernowi oskarżycielskie spojrzenie. – Zaraz podam obiadek, myszko. Nakryjesz do stołu?

Dziewczynka kiwnęła głową i zniknęła w korytarzu jak duch. Usłyszeli dźwięk otwieranej szuflady i brzęk sztućców.

– Zadowolony? – warknęła Wolańska, gdy upewniła się, że córka jej nie usłyszy.

– Te kłamstwa tylko oddalają panią od dziecka – powiedział już spokojniej Redfern i skierował się do wyjścia. – Proszę to przemyśleć.

Wciąż nabuzowany wszedł po schodach do mieszkania, które pod każdym względem było lustrzanym odbiciem lokalu Ann Rudd. Jednak w przeciwieństwie do domu staruszki tutaj pachniało kadzidełkiem z drzewa sandałowego, a na ścianach w przedpokoju zauważył powycinane z kalendarzy akty. Takie, jakie mają na celu poprawę morale załóg warsztatów samochodowych w każdym zakątku świata. Beata Mikiewicz zaprosiła Redferna do pokoju, który u Ann Rudd stanowił elegancką bawialnię, a tu był jednocześnie biurem, sypialnią i salonem piękności. Usiadł na fioletowej kanapie, o mało nie rozgniatając miseczki z chipsami ukrytej pod zarzuconym niedbale kocem. Dziewczyna wzięła ją od niego i zniknęła w kuchni, by przygotować herbatę. Po chwili pojawiła się z dwoma kubkami i paczką polskich herbatników pod pachą. Postawiła szklankę na jedynym pustym rogu stołu i spychając papiery na podłogę, zrobiła miejsce na drugą.

Redfern wodził wzrokiem po meblościance, która nieśmiało prześwitywała przez kalejdoskop gratów. Rozpoznał w tym chaosie parę hantli, pudełko prezerwatyw, lampę do paznokci i machającego łapką złotego kotka. Na ekranie ogromnego telewizora na kuli wyburzeniowej przelatywała naga piosenkarka.

Inspektor chciał zerknąć przez okno, żeby sprawdzić, czy kobieta mogła przez nie coś zobaczyć w momencie porwania, ale jego wzrok wyłapał coś ciekawszego. Na uchylonych drzwiach szafy wisiały liczne obroże i smycze w różnych kolorach.

– Też mam psa. – Uśmiechnął się. – Też takiego dużego.

– Ja nie mam psa. – Beata z hukiem zatrzasnęła drzwi i usiadła bez cienia zakłopotania. – Mieszkam sama. Jestem singielką – podkreśliła.

– Chciałbym, żeby wróciła pani pamięcią do dnia porwania – poprosił Redfern, starając się ignorować obrazy, które podsunęła mu wyobraźnia. – Najlepiej gdyby opowiedziała mi pani wszystko, począwszy od momentu, kiedy Kinga Wolańska poprosiła o pomoc.

– To było dzień wcześniej. Kinga przyszła do mnie w czwartek rano i zapytała, czy zajmę się dziewczynkami. Zgodziłam się, bo nie miałam wtedy nic innego do roboty. Zresztą te dzieciaki nie są kłopotliwe i właściwie same się sobą zajmują.

– Co było potem?

– Rano Kinga zapukała do mnie i powiedziała, że jest gotowa do wyjścia. Zabrałam więc laptopa i zeszłam do ich mieszkania, a Kinga pojechała do szpitala.

– Mówiła pani komuś, że będzie się zajmować dziećmi tego dnia?

– Napisałam na swojej tablicy na fejsie – oznajmiła.

– OK – powiedział, powstrzymując się od głębokiego westchnięcia. – Jak minął wam dzień?

– Kiedy przyszłam, dziewczynki jeszcze spały, więc siadłam sobie w kuchni i przeglądałam net na laptopie. Potem zadzwoniła Kinga i powiedziała, że jednak musi zostać na noc i że po południu zmieni mnie Bartek. Spoko, zgodziłam się – opowiadała. – Koło dziesiątej wstała Iza i poprosiła o płatki z mlekiem, a chwilę potem przyszła Ola. Jak zjadły śniadanie, to wróciły do swojego pokoju i grzecznie się bawiły. Aż do awantury.

– Awantury?

– Pokłóciły się o jakiegoś kotka czy coś i mała poszła do ogródka, obrażona na cały świat. Nawet plecak spakowała! – Beata uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Daleko jednak nie poszła, bo widziałam z kuchni, że robi babki z piasku. Zniosłam jej kurteczkę, żeby nie zmarzła.

– Co robiła w tym czasie starsza córka Wolańskich?

– Słuchała muzyki i grała na telefonie.

– Kiedy wyszła pani z mieszkania?

– Jakoś koło południa. Wbiegłam na górę, bo usłyszałam, że dzwoni stacjonarka. Wie pan, te ściany są strasznie cienkie – wyjaśniła.

– Mam rozumieć, że dziecko zostało w ogródku?

– Krzyknęłam, żeby weszła do domu, i wydawało mi się, że widziałam, jak wchodzi do środka – powiedziała, jakby nie mogąc uwierzyć, że się

pomyliła.

Redfern wiedział, że nie minęła się z prawdą. Iza była w domu, ale siostra wygoniła ją z powrotem.

– Pobiegłam do siebie, ale nie zdążyłam – ciągnęła Beata. – Na szczęście babka za chwilę zadzwoniła ponownie.

– Dzwoniono z budki telefonicznej przy Old Woking Road. Z kim pani wtedy rozmawiała?

– Z klientką – odparła i wzięła ciastko, które natychmiast zniknęło w jej ustach. – Chciała umówić się na paznokcie.

– Przedstawiła się?

– Nie, raczej nie – mruknęła, przełykając herbatnik. – A może jednak tak? Tak, pamiętam, Gill albo coś w ten deseń.

– Czyli nie znała jej pani wcześniej? – Redfern zanotował imię w notesie, choć był pewien, że Beata je przekreśliła.

– Nie, to był ktoś nowy. Na pewno Angielka.

– Jest pani pewna, że to była kobieta? – dopytywał.

– Jak bum cyk cyk! – Uderzyła się w pierś.

– Skąd mogła się dowiedzieć o pani usługach?

– Mam wizytówki. – Beata sięgnęła do szuflady w meblościance i wyciągnęła z niej plik różowych kartoników. – Niech pan weźmie parę. Da pan żonie.

– Nie mam żony.

– To policjantkom na komisariacie. – Beata nie traciła optymizmu. – Mam też katalogi z Avonu i Oriflame, niech się do mnie zgłoszą. To, że odwalają męską robotę, nie znaczy, że mają wyglądać jak faceci, co nie?

Redfern dla świętego spokoju wziął wizytówki i schował do kieszeni kurtki.

– Rozdałam je po koleżankach, mam też trochę zdjęć na Fejsie.

– Rozumiem – mruknął Redfern, niezadowolony z odpowiedzi, która ani trochę nie przybliżyła go do znalezienia porywacza. Uznał, że przeglądanie osób, które w ostatnim czasie odwiedzały profil Beaty Mikiewicz, byłoby jak poszukiwania w mrowisku.

– Czy ta klientka się z panią umówiła?

– Co?

– Czy przyszła na umówioną wizytę?

– Jezu, nie pamiętam. Tyle się teraz dzieje. – Beata zaczęła nerwowo przetrząsać swoją torebkę, którą wydobyła spod stołu. W jej ręku błysnął wyszyty cekinami notes, który szybko przewertowała. – Ja pierdaszę, miała być wczoraj! Na śmierć zapomniałam! – Wpatrywała się chwilę w notatkę, przygryzając dolną wargę. – Ale wie pan co, ja byłam wczoraj w domu cały dzień. Ona po prostu nie przyszła.

– Wiem, że rozmawiała pani też z Bartoszem Wolańskim.

– No, gadałam z nim chwilę.

– Dłuższą chwilę – podkreślił i zerknął do notatek. – Trochę ponad sześć minut.

– Mówiłam gamoniowi, co ma kupić po drodze. Dziewczyny miały prawie pustą lodówkę!

– Kto zadzwonił, pani czy Bartosz Wolański?

– Ja, to znaczy Bartek. – Zmieszała się. – To znaczy ja puściłam głuchego z komórki, a on oddzwonił.

– Dlaczego nie zeszła pani z telefonem na dół?

– Cholercia, nie wiem. Miałam go na ładowarce – wyznała, wskazując na przedłużacz wystający spod kanapy. – Nie pomyślałam...

– I nie słyszała pani, że samochód wjeżdża na parking?

– Nie – szepnęła i wygrzebała ze stosu papierów paczkę papierosów, z której wyciągnęła jednego i odpaliła. – Nic nie słyszałam ani też nie widziałam.

– Co było potem?

– Zeszłam na dół i spytałam Olę, czy jest głodna. Musiałam wejść do jej pokoju, bo miała na uszach słuchawki. Byłam pewna, że Iza jest z nią, ale jej nie zastałam. Poszłam więc do kuchni i wyjrzałam przez kuchenne drzwi do ogródka. Izy nie było. Myślałam, że wyszła się bawić między garaże, do zaułka, ale tam też jej nie było. Nigdzie jej nie było – wyznała matowym głosem. – Potem próbowałam się dodzwonić do Kingi, ale nie odbierała, więc zadzwoniłam po Bartka. Czekaając na niego, poleciałam do sąsiadów, potem na Poundfield Garden, gdzie mała czasem jeździła na rowerku. Sprawdziłam każdy zakamarek. Pukałam do sąsiadów. Wielu z nich pomagało w poszukiwaniach. Potem przyjechał Bartek i zadzwonił na policję.

– Między pani telefonem do Bartosza a telefonem do nas minęła godzina.

– Redfern przeglądał notes. – Wolański pracuje przy małej Asdzie, czyli nie

więcej niż dwie mile stąd. Dlaczego nie przyjechał od razu?

– On chyba myślał, że coś pokręciłam albo że nie upilnowałam Izy i się schowała. Musiałam zadzwonić drugi raz, a wtedy przyjechał taksówką. A tak w ogóle to on za bardzo za mną nie przepada – dodała.

– Co może pani powiedzieć o rodzinie Wolańskich?

– Rodzinie? – Zaśmiała się lekko i sztucznie. – To nie była rodzina. Na początku jeszcze tak wyglądali, ale te ściany wszystko powiedzą.

Odwróciła się i przyciszyła piosenkarkę, która w na wpół ludowym stroju przekonywała o tym, że podstawową zaletą Słowianek jest zgłębienie tajników mowy ciała. Jej głos umilkł i teraz było słycać tylko dochodzącą z dołu audycję radiową.

– Kłócili się? – zapytał Redfern, gdy Beata przywróciła dźwięk.

– No raczej.

– O co?

– O kasę, o dzieci, o Polskę, o obiad – wymieniała beznamiętnie. – Aż wreszcie Bartek się wyprowadził.

– Miał kogoś?

– Z tego, co wiem, to nie. Zresztą kto by z nim wytrzymał? – Zgasiła papierosa w popielniczce z rysunkiem listka marihuany i przeczesła dłonią krótkie włosy. – To on prowokował każdą kłótnię.

– A po wyprowadzce interesował się dziećmi?

– Średnio. Raczej bez szalu – odparła. – Zabierał dziewczynki na lody czy na jakieś wycieczki, ale w tygodniu się nie pojawiał. Wszystko było na głowie Kingi.

– A wcześniej, kiedy mieszkał tutaj, jak wyglądały jego relacje z dziewczynkami?

– Chyba OK. Wie pan, Bartek to raczej z tych ojców, co to dobrze zarobią, ale z dziećmi to raczej na chłodno. Surowy był dla nich i tyle, więc dzieci też się do niego nie garnęły.

– Krzyczał na nie?

– Zdarzało się – odparła. – Nie owijajmy w bawełnę, OK? Bartek potrafił być bardzo przykry, nerwowy w cholerę. Nieraz słycałam, jak ubliżał Kindze. Na każdą jej prośbę o pomoc odpowiadał wykładem, jak to Kinga powinna włączyć myślenie, że gdyby nie jej charakter, toby nie było problemów, że zawsze wszystko na jego głowie i tak dalej. Musiała prosić

o pieniądze. Awanturowali się często, nie powiem, ale nie wierzę, że to on mógł coś zrobić Izie.

Redfern nie był przekonany. W historii tej rodziny dostrzegał luki, których żadne zeznania nie były w stanie uzupełnić. Zupełnie jakby rozmawiał z widzami, którzy właśnie wyszli z seansu filmowego. Każdy z nich starał się opisać najbardziej interesujący go wątek i żaden nie mijał się z prawdą, ale jednocześnie nikt nie uchwycił sensu fabuły.

Z rozdrażnieniem pomyślał, że przesadził, rzucając oskarżenie na Bartosza Wolańskiego, zanim sprawdził prawdziwość słów jego córki. Musiał przed sobą przyznać, że w tym dochodzeniu emocje zwyciężyły z logiką, przejmując nad nim kontrolę. Po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że odejście z agencji było jedyną słuszną decyzją.

Ukradkiem zerknął na zegar za plecami Beaty. Z przerażeniem zobaczył, że za kwadrans zaczyna się zebranie.

Wtorek, 5.11.2013, wieczór

Zabrał z auta notatki i pobiegł do sali zebrań. Otworzył drzwi z zamiarem przeproszenia zespołu za spóźnienie, ale przywitały go puste stoły. Usiadł przy jednym nich i jeszcze raz przejrzał to, co miał do przekazania. Pierwsza pojawiła się Summer. Przywitała się i milcząc, usiadła na jednym z krzeseł. Redfern był pewien, że chciała coś powiedzieć, ale po chwili sala zaczęła się zapełniać.

Kwadrans po siódmej mieli komplet. Każdy był przygotowany. Redfern pomyślał, że wieczorne spędy mają swoją zaletę. Ludzie są zbyt zmęczeni, by narzekać, a jednocześnie nakręcenii wizją szybkiego wyjścia do domu. Miał nadzieję, że pójdzie sprawnie. Jego żołądek skręcił się niebezpiecznie.

– Czego się dowiedziałeś w szkole? – zwrócił się do Tinneya.

– Dyrektorka nie ma wątpliwości, że w tym domu nie działa się dobrze, ale nie potrafi sprecyzować, co było nie tak. Dziewczynki stroniły od rówieśników, czas na przerwach spędzały raczej ze sobą. Wychowawczynie jednej z nich zauważyła, że ta starsza miała na ciele siniaki, ale w sumie o to nietrudno, jak ma się dziesięć lat.

– Jedenaście – poprawiła go Summer. – Ola ma jedenaście lat.

– Mam sprzeczne sygnały – oznajmił Redfern, ignorując przepychanki w zespole. – Sąsiad, Beata Mikiewicz i szkoła twierdzą, że u Wolańskich był jakiś problem, tymczasem główna zainteresowana twierdzi, że wszystko

było poprawnie. Do tego konflikt, o którym mówiła Wolańska, a istnieniu którego zaprzecza szkoła.

– Pytanie, czy ma to jakiś związek ze zniknięciem dziewczynki? – podrzuciła sierżantka. Redfern zauważył, że zmieniała strategię. – Może nie warto się rozdrabniać?

– A co zeznał ojciec dziecka? – zapytał Tinney.

– W czasie porwania miał spotkanie biznesowe w biurowcu Lion House.

– Summer uprzedziła Redferna. – Sprawdziłam to w siedzibie jego firmy i wszyscy potwierdzili, że cały dzień spędził z kontrahentami z Francji.

– Trzeba będzie go obserwować – rzekł Redfern. – A ty, Chris, przyjrzyj się tej awanturze, OK? Nie chciałbym niczego przegapić.

– Jasne – odparł policjant i zanotował coś w telefonie.

– Zastanawia mnie jeszcze jedna rzecz – podrzuciła Summer. – Dlaczego Iza, a nie Ola?

Kobieta wzbudziła zainteresowanie zebranych i teraz wszyscy patrzyli w jej stronę, gdy snuła swoje rozważania.

– No bo przecież łatwiej było porwać Aleksandrę, która często wracała ze szkoły z koleżankami. Z tego, co wiem, rozstawały się koło spożywczego Sainsbury. Z Westfield do Old Woking jest z półtorej mili. Porywacz miał więc wiele okazji, by wciągnąć Olę do auta, a jednak zdecydował się podjechać pod sam dom w ferie i praktycznie na oczach wszystkich porwać młodszą dziewczynkę. Dlaczego?

– Słuszna uwaga – pochwalił ją Redfern, odrobinę zły na siebie, że o tym nie pomyślał. – Tylko że to bardzo ruchliwa droga i trudno by było niezauważenie wciągnąć do samochodu dziecko.

– A gdyby ją znał? Mógłby jej zaproponować podwiezienie, a jednak tego nie zrobił. Wybrał młodszą dziewczynkę i bardzo dużo ryzykował, podjeżdżając na Poundfield Court.

– Tym bardziej jestem za tym, że to ktoś z otoczenia Wolańskich – oznajmił Redfern. – Ktoś z pracy, ze szkoły, z tego gnuśnego zaułka. Musimy sprawdzić życiorysy osób najbliższych rodzinie. Biorę to na siebie – dorzucił, wiedząc, o co za chwilę ich poprosi. – Dobra, zostawmy to na moment. Musimy się przyjrzeć morderstwu Abbasich. Puszka, co masz na temat człowieka z Monument Road?

Chris zerknął w telefon, ale Redfern nie był pewien, czy sprawdza notatki, czy aplikację randkową.

– Nie znalazłem nikogo, kto by widział człowieka z dużym pojemnikiem czy butlą – odparł wywołany. – W ogóle wszyscy twierdzą, że było wtedy wyjątkowo pusto. Ktoś za to widział samochód na awaryjnych przed mostkiem na Monument Road, ale nie miałem już czasu się temu przyjrzeć.

– Sprawdzisz to – powiedział Redfern, zły, że on sam zdążył po południu przesłuchać kilku świadków, a Puszka złapał trop, a potem odpuścił. – Rozejrzyj się za monitoringiem, tam jest kilka firm, może coś zarejestrowały.

– Tam jest DB Apparel – wtrąciła sierżantka.

– Co? – spytali jednocześnie Tinney i Redfern.

– Sklep z bielizną. Bardzo dobrą. – Summer się zmieszała. – Mają duży parking, więc pewnie jest też monitoring.

– No to wiesz, co masz robić, Chris – powiedział inspektor. – Dzięki, Summer. A jak wygląda sprawa kart i połączeń telefonicznych Ansara?

– W noc morderstwa wyciągnął z karty pięćset funtów z bankomatu na stacji benzynowej w West Byfleet, a jego telefon ostatni raz zarejestrował przekaznik przy polu golfowym New Zealand – referował Tinney. – Potem Ansar musiał się go pozbyć.

– Trasa wskazuje na to, że jechał do domu – powiedziała Summer.

– Niekoniecznie. Droga A245 dociera do ronda Six Roads, które rozgałęzia się na kilka ciekawych kierunków: Old Woking, Chobham, autostradę.

– Gdyby chciał jechać do Old Woking, to ze stacji mógłby pruć prosto Old Woking Road – powątpiewała sierżantka, rozrysowując schematyczną mapę na kartce, z której jasno wynikało, że ma rację.

– Na drodze do Chobham nie ma żadnych kamer, więc nic nie ustalimy. Trzeba zobaczyć, czy nie pojawia się na zjeździe na M25. – Redfern zwrócił się do Tinneya. – Aha, chciałbym, żebyś się dowiedział, co z małą Zimal. W noc morderstwa rodziców ta dziewczynka musiała coś słyszeć. Zajrzyj do szpitala i zapytaj, jak się czuje.

– Coś jeszcze?

– Nie, to tyle.

– OK, to ja się zmywam. – Tinney podniósł się z krzesła, ale Redfern go powstrzymał.

– Wolalbym, żebyś został.

Chris usiadł, ale przez jego twarz przebiegł grymas, który mówił, że robi to niechętnie. Nie zwracając na to uwagi, Redfern zwrócił się do Summer:

– Co masz dla mnie?

Sierżantka wręczyła mu listę najbliższych rzeźni, na której znajdowało się osiem pozycji.

– Dzwoniłam już do wszystkich – uprzedziła Redferna, który zamierzał zapytać, co się dzieje ze spuszczaną ze zwierząt krwią. Wiedział, że była podstawą *black pudding*, ale podejrzewał, że nie cała jucha jest używana do produkcji angielskiej kaszanki, której, w przeciwieństwie do polskiej, nienawidził.

– Krew w większości jest utylizowana. Raczej trudno o wyniesienie jej z zakładu, a przynajmniej w takiej ilości. A zatem zostają małe prywatne farmy.

– Czyli jesteśmy w ślepych zaułku – westchnął Redfern, przecierając czoło. – Ktoś włamuje się do domu w centrum miasta, odrąbuje głowy dwóm osobom i nikt niczego nie widzi? Pięcioletnia dziewczynka rozpląwa się we mgle? Minęło pięć cholernych dni, a my nie wiemy nic! – Walnął pięścią w stół. Leżący na brzegu zszywacz upadł z brzękiem na podłogę. – Szlag mnie zaraz trafi!

– To nie nasza wina, jest nas po prostu za mało – zawyrokował cicho Tinney. – Umykają nam rzeczy oczywiste, bo skaczemy między dwiema sprawami.

– Najważniejsza jest bez dwóch zdań Izabela Wolańska – powiedziała Summer. – Myślę, że to na niej musimy się skupić, a w międzyczasie poprosić McMahona o wsparcie.

Na to nie licz, pomyślał cierpko Redfern.

– Dobra, słuchajcie, jest już późno. – Inspektor spuścił z tonu. – Spotkajmy się jutro koło dziesiątej, OK?

– Jasne – mruknęli i zaczęli zbierać się do wyjścia.

David poszedł do siebie i włączył komputer. Jednak zanim zobaczył okienko logowania, zamroczył go ból. Starał się nad nim zapanować, ale ostatecznie wybiegł na korytarz. Zgięty wpół oparł się ręką o ścianę, a drugą trzymał się w pasie, dziękując niebiosom, że nikt nie przechodził korytarzem. Zimny pot wystąpił mu na czoło, a usta wypełnił żwir. Odliczając każdy krok, doszedł do łazienki.

Otworzył z hukiem drzwi i o mało nie zderzył się z Tinneyem. Redfern wyprostował się nagle, nie chcąc dać mu poznać, że źle się czuje.

– Nie boisz się? – Chris odchodził właśnie od pisuaru, zasuwając rozporek.

– Czego? – zdziwił się Redfern.

– No nie wiem, gwałtu, obmacania? – wymieniał, przyglądając się swojej twarzy w lustrze przy umywalce. Odkręcił kran i zaczął myć ręce.

– O czym ty mówisz, Puszka?

– Nikt nie wchodzi do kibla, kiedy w nim jestem – odparł, wciąż nie patrząc na Redferna. – A nawet jak już się napatoczy jakiś nieświadomy, to zaraz wychodzi. Spotkanie z biseksem w małym pomieszczeniu może skutkować zarażeniem, co nie? – Zakręcił kran i wyszedł, wycierając dłonie o jeansy.

Redfern stał przez chwilę oszołomiony, przypominając sobie słowa Beth Wood: „miną lata, zanim coś się zmieni”. Następnie zgięty skurczem wymiotował na podłogę.



Wchodząc do domu, był wdzięczny, że dziadek już spał i nie zasypał go gradem pytań. Przetoczył się przez korytarz i nie zapalając światła, położył się do łóżka, o mało nie zgniatając śpiącego w nim Bandita. W półśnie widział, jak wbiega do zasnutej mgłą katedry w Guildford. W każdej ławie siedzieli pochyleni w modlitwie ludzie. Jak na komendę wszystkie twarze skierowały się w jego stronę: widział Beth i Nathana Woodów, McMahona, na którego kolanach siedziała Summer. Obok nich – dziewczyny z windy w zakładzie medycyny sądowej i Pałac. Redfern starał się nie zwracać na nich uwagi. Stał pośrodku głównej nawy i nasłuchiwał, ale jedyne, co do niego docierało, to rotor helikoptera, który krążył nad dachami miasta. Choć wiedział, że musi się skupić, uderzenia łopat rozdzierały jego zmysły. Nagle zza jednej z kolumn wychylił się Adrian. Był zakrwawiony i trzymał na rękach Martę, która coś do niego mówiła. Redfern wydobył z kabury pistolet i czekał. Na czole Marty pojawiła się mała kropka, która natychmiast rozciągnęła się do długiej czerwonej smugi. Krzyknął, ale zarówno Marta, jak i Bones pogrążyli się we mgle.

Zlany potem siedział na łóżku i wpatrywał się w ciemność. Niezgrabnymi ruchami wydobył z kieszeni spodni telefon i wybrał numer Marty. Uzyskał połączenie, ale Marta nie odebrała.

ROZDZIAŁ III

*Rogom byka nie ufaj więc,
Ani zębom dobermana ani mnie.*

*Nie oczekuj
Nic, człowieku!*

Tom Waits, *Starving in the Belly of a Whale*,

przeł. Kazimierz Staszewski

Środa, 6.11.2013, rano

Zasłonięte fioletową roletą okna przypominały ołtarz wielkopostny. Redfern pamiętał taki z kościoła św. Augustyna, kiedy odwiedził go zaraz po przeprowadzce z Edynburga. Szczególnie utkwił mu w głowie obraz klęczącej matki na tle zrobionych z szarego papieru skał przykrytych ciemnym całunem. W mieszkaniu przy Poundfield Court oczekiwano na zmartwychwstanie. Na wielki powrót.

Zapukał cicho, ale nie doczekał się odpowiedzi. Wciąż brzmiały mu w głowie słowa Summer, by skupić się na znalezieniu dziewczynki. Zmienił więc początkowy plan pojechania na Walton Road, by przepytac starszego syna zamordowanych małżonków. Nie uprzedził jednak o swojej wizycie Wolańskich, więc mógł się spodziewać, że nikogo nie zastanie. Postanowił jeszcze raz obejrzeć to miejsce.

Przyglądał się wąskiemu przesmykowi między budynkami, który prowadził do garaży na tyłach. Żeby szybko zabrać dziecko z ogródka, porywacz musiał sprawnie wślizgnąć się autem między bloki i zatrzymać tyłem przed furtką.

Wyobraził sobie furgonetkę. Sprawca podjechał, wysiadł z auta i otworzył tylne drzwi. Następnie szybko wszedł do ogrodu. Mała nie krzyknęła. Nie zaalarmowała nikogo. Możliwe, że go znała. Możliwe, że czymś ją odurzył. Musiał wiedzieć, że będzie sama w ogródku.

Obserwował i czekał na dogodną chwilę. Redfern rozejrzał się w poszukiwaniu dobrego miejsca. Garaże ściśle przylegały do ścian sąsiednich gospodarstw. Ślepa uliczka. Tam by się nie dostał. Policjant wrócił na parking.

Po drugiej stronie ulicy w kontraście do angielskiej szarzyzny stał okolony szutrowym podjazdem georgiański dworek. Redfern spodziewał się dostrzec obok zieloną tablicę z charakterystyczną gałązką dębu. Jednak zamiast znaku National Trust z za niskiego murku wystawał nic niemówiący napis „Life Works”. Policjant wyciągnął z kieszeni komórkę i włączył przeglądarkę. Wyniki, które wyrzuciła, sprawiły, że na chwilę zamarł, a pamięć zaczęła pracować na wysokich obrotach. Nie spodziewał się, że w takim miejscu może być klinika uzależnień, choć był pewien, że nazwa nie jest mu obca.

Ostry łuk High Street nawet o tej porze przypominał Picadilly Circus i Redfern z trudem przebiegł przez jezdnię. Przyglądał się blokom przy Poundfield Court. Doskonale widział drzwi Wolańskich. Z tego miejsca porywacz mógł zobaczyć, jak sąsiadka wychodzi. Wykorzystał ten moment bezbłędnie.

Redfern odwrócił się w stronę dworku, starając się określić miejsce, gdzie mógł zaparkować sprawca. Bielony budynek robił niesamowite wrażenie. Od ponad dwustu lat pokrojone szprosami okna patrzyły na przemianę tego niegdyś zacisznego zakątka. Dziś robiła to mała kamera kliniki uzależnień, która mieściła się w posiadłości. Na kremowej fasadzie czujna soczewka obserwowała ganek, na którym stawali ci, którzy zapili lub zaćpali swój sukces. Inspektor zastanawiał się, czy kamera obejmuje coś więcej niż wejście. Podejrzewał, że podobnie jak w The Priory, gdzie przebywała Linda, jest nie tylko jedna, która mogła zarejestrować okolice dworku.

Miał wrażenie, że masywne szare drzwi ustąpiły pod wpływem pukania. Pielęgniarka uśmiechnęła się szeroko i zaprosiła go do poczekalni, którą inspektor z miejsca nazwał salą kominkową. Poproszony usiadł na jednym z obitych ciężkim perkalem foteli. Kobieta zaproponowała kawę, ale odmówił. To miała być krótka wizyta.

W przeciwieństwie do ruchliwego ośrodka The Priory w posiadłości panowała nieznośna cisza. Zupełnie jakby wszystkie dźwięki były pochłaniane przez puszyste wykładziny i kotary, zanim jeszcze dotarły do uszu ciekawskich. Nawet światło zdawało się nie przenikać przez okna,

sprawiając, że Redfern poczuł się jak w kapsule deprivacyjnej, którą lekarz mu zalecił, by zmniejszyć toczniowe dolegliwości. Wzdrygnął się na samą myśl o ponownym zamknięciu w pojemniku z siarczanem magnezu i odcięciu od zmysłów.

Niespodziewanie na opadających do salonu schodach pojawiła się wysoka postać, niczym zjawa nawiedzająca tę wiekową rezydencję. Przywitała się chłodno i usiadła po drugiej stronie śmiesznie małego stolika do kawy. Charlotte Connel przedstawiła się jako dyrektora ośrodka. Jej skuta fluidem twarz nie zareagowała żadnym mięśniem na dźwięk słowa „policja”. Ruchome pozostały wyłącznie powieki i zarysowane brunatną kreską usta. Redferna krępowało, że nie zdradzała żadnych emocji. Na pytanie o nagrania z kamery tylko wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że raczej przyjechał pan oddać płyty.

– Nie bardzo rozumiem.

– Pana koleżanka zabrała je prawie tydzień temu. Życzyłabym sobie zwrotu możliwie jak najszybciej.

W Davidzie zawrzało. Zrobił z siebie kompletnego idiotę. Summer nie powiedziała mu, że była już w Life Works. Nie zostawiła żadnej notatki. Pomyślał gorzko, że właśnie zyskał dowód na to, że jej angaż jednak był błędem.

– Sprowadza mnie nie tylko kamera – skłamał.

– Myślę, że zadano już wszystkie pytania w tej sprawie – mówiła z niechęcią dyrektorka. – Pana koledzy skutecznie utrudniali mi pracę przez kilka dni.

– Przepraszam, że taki drobiazg jak zaginięcie pięcioletniej dziewczynki zaburzało pani rytym dnia – odparował.

– Chodzi mi o dobro moich pacjentów – odrzekła. Uwaga Redferna stopiła wierzchnią warstwę makijażu, przez którą zaczęła prześwitywać purpura. – Co chce pan wiedzieć?

– Jak dużą swobodę mają pacjenci kliniki?

– Wszystko zależy od przypadku, panie Redfern. Generalnie mogą się poruszać po całym kompleksie, mają dostęp do ogrodu. Pacjenci z Cottage mają do dyspozycji cały dom dla siebie. Chodzi nam o to, by odzyskali równowagę w możliwie domowych warunkach, ale pod okiem naszych specjalistów. – Słowa kobiety brzmiały jak reklamówka puszczana w telezakupach.

– Proszę wybaczyć ignorancję, ale co to jest Cottage?

– Z drogi tego nie widać, ale na kompleks składa się pięć budynków. Między innymi The Cottage, mały domek, który urządziliśmy jak luksusowy apartament.

– Rozumiem – powiedział i zanotował w pamięci, by sprawdzić na zdjęciach satelitarnych układ budynków. – Swoją drogą, bardzo ciekawe miejsce na klinikę – zauważył.

– Wprost idealne – powiedziała dyrektorka wyniośle. – Nasi goście mają zapewniony spokój i pełną dyskrecję w zabytkowych wnętrzach.

– Jeszcze jedno pytanie. Jaki samochód nie wzbudziłby pani podejrzeń? Czy są auta, które zatrzymują się tutaj na dłużej?

Kobieta zamyśliła się chwilę, patrząc na granitowy kominek, jakby w nim tkwiła odpowiedź.

– Z pewnością furgonetka Detection Unit, van British Telecom czy innego dostawcy internetu, wóz pocztowy – wymieniała. – Wachlarz jest spory.

Pierwsza możliwość przykuła jego uwagę. Rzeczywiście biały van z detektorem wyszukującym nierzetelnych abonentów mógł stać na podjeździe nawet pół dnia i nikt nie zwróciłby na to uwagi. Wóz listonosza Royal Mail również. Van British Telecom zwykle jest otwarty i stoi blisko montera, który grzebie przy wybebeszonej skrzynce pełnej kabli – odpada.

Pożegnał się z dyrektorką ośrodka, obiecując oddanie płyt, i wrócił na Poundfield Court. Chroniąc się przed deszczem, wszedł do auta. Nabrzmiące krople rozbijały się z hukiem o dach triumpha, dając koncert na bębny i karatale. Zziębnięty wyciągnął telefon i wstukał numer Wolańskiej. Odczekał kilka sygnałów, ale nikt nie odebrał. Spróbował jeszcze zadzwonić do jej męża, ale miał wyłączony telefon.

Wysiadł z samochodu i przeszedł na tył bloków. Przesmyk między dwoma bliźniaczymi budynkami prowadził do garaży ustawionych w podkowie. Ślepa uliczka, do której doklejone były cztery maleńkie ogródki, uniemożliwiała ucieczkę. Sprawca mógł tylko wjechać od parkingu, wcisnąć się między budynki i zabrać dziecko prosto z ogrodu, ale pod warunkiem, że wysoka furtka była otwarta. Redfern pchnął ją, a ta bez oporu ustąpiła. Z drewnianego skrzydła smętnie zwisał zamek, o którym wspominał Wolański. Redfern zastanawiał się, czy czytał o nim w raporcie.

Raport. Raport Summer i płyty. Wybrał jej numer, ale bez odpowiedzi. Po chwili komórka rozdzwoniła się w jego dłoni.

– Nie zdążyłam – wytłumaczyła się na powitanie sierżantka. – Wchodziłam akurat do firmy.

– Spoko. Możesz mi powiedzieć, gdzie podziały się nagrania z Life Works? Uroczą właścicielką o nie dopytuje.

– Są w pudle, które przekazałam ci parę dni temu – wyjaśniła rzeczowo Summer.

– Nie było ich, kiedy przeglądałem materiały.

– To niemożliwe – zaprzeczyła żarliwie. – Miałam je odwieźć do Life Works, ale kiedy się dowiedziałam, że przejmujesz sprawę, po prostu zostawiłam je w twoim biurze. Notatkę też.

– Możesz teraz iść tam i zobaczyć, czy przypadkiem mi coś na oczy nie padło?

– Jasne. Daj mi chwilę.

Usłyszał szum komendy. Czyjeś kroki uzbrojone w obcasy. Summer z kimś się przywitała, nie dosłyszał imienia. Potem skrzypnięcie drzwi, szelest kartek, pospieszny rumor, jakby ktoś szybkim ruchem zamieszał w beczce pełnej gwoździ.

– David?

– Jestem.

– Płyty zniknęły.

– Już jadę.



Każdy siedział oparty o stół, zerkając zmęczonym wzrokiem na towarzyszy. Jedynie Summer z zaróżowionymi policzkami usiłowała wyłapać spojrzenie Redferna, ale dał jej znak, by nie poruszała teraz tematu zaginionych płyt. Pierwszy odezwał się posterunkowy Tinney:

– Ponieważ Wolańscy wywieźli córkę do Polski, nie miałem z kim skonfrontować fantastycznych doniesień Summer. – Zrobił teatralną pauzę, na którą policjantka zdawała się nie reagować.

– Co zrobili?! – huknął Redfern, zrywając się z miejsca. Wiedział już, dlaczego na Poundfield Court nie zastał nikogo.

– Pani Wolańska godzinę temu oznajmiła mi, że jej córka wraz z mężem opuścili Wielką Brytanię. Zrobili to z obawy o bezpieczeństwo Oli – mówił Tinney, próbując przy tym naśladować matkę dziecka. – Na moje oburzenie wrzasnęła, że miała do tego pełne prawo.

– Bo miała – westchnął Redfern i zaczął przechadzać się po sali. – Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu?

Tinney wzruszył ramionami, ale inspektor nie zamierzał skupiać się na oskarżeniach. Najchętniej pojechałby teraz na Poundfield Court i wygarnął Wolańskiej, co myśli o takim postępowaniu. Najbardziej zdenerwowało go to, że nie będzie miał możliwości ponownie przesłuchać Bartosza. Mógłby do niego zadzwonić, ale w tej sprawie było zbyt dużo półcieni, które można odkryć, tylko stojąc ze świadkami twarzą w twarz.

– No w każdym razie pojechałem znów do szkoły – ciągnął beznamiętnie Tinney – i dotarłem do przyjaciółki tej Oli. Podobno cała awantura zaczęła się od jakiegoś konkursu plastycznego, który wygrała mała Wolańska. To wkurzyło Zimal, bo to ona uchodziła za najlepszą w rysunkach w Westfield School. W ogóle to gwiazda i pupilek. Nauczycielka pokazała mi profil facebookowy Zimal i faktycznie ma dziewczynka talent.

– Kto pozwolił jej założyć profil na Facebooku? – wtrąciła Summer, ale jej pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– W każdym razie – mówił dalej Chris – konflikt przybierał na sile. Sprawa dotarła do dyrekcji, bo młoda Wolańska wyciągnęła najcięższy kaliber: rasistowskie wyzwiska.

– Świat stoi na głowie – skwitowała Summer.

– Co było później?

– Stara Wolańska zrobiła awanturę w szkole. Podobno nie przebierała w słowach. Oberwało się muzułmanom. I to tyle – zakończył, nie kryjąc satysfakcji. – Tak jak mówiłem, tracimy czas na siedzenie w podstawówce. Dzieci się kłócą i godzą z najgłupszych powodów. Tak jak moje siostrzenice.

Redfern zastanawiał się, jak można czuć się zadowolonym, że się niczego nie znalazło. Zaraz potem przypomniał sobie zeznanie Wolańskiej, która zupełnie inaczej przedstawiła konflikt dzieci i próbę jego rozwiązania.

– Czy szkoła zorganizowała konfrontację obu rodzin? – dopytał Redfern.

– Chyba żartujesz. Takie tematy zamiata się pod dywan i liczy, że umrą śmiercią naturalną. – Tinney wydał wargi, jakby oznajmił jakąś

oczywistość. – Dzieciom nakazano trzymać się od siebie z daleka, a nauczycielom pilnować tego stanu.

Redfern był nieco zaskoczony, że żadna ze stron, a zwłaszcza szkoła nie podjęła działań, by rozwiązać problem. Kiedy on był w podstawówce, inaczej załatwiano się te sprawy. Zastanawiał się, która metoda jest skuteczniejsza.

– Aha – przypomniał sobie Tinney. – Co do tego obcego, który podobno obserwował szkołę, to okazało się, że to nowy listonosz, który szukał adresu.

– Od lat mówi się, że okrzyk *stranger danger* przynosi więcej szkody niż pożytku – mruknął Johanes, który na polecenie McMahona dołączył do zebrania.

Słyszając jego świszczący, rwący się oddech, Redfern miał ochotę go wyprosić z sali. Inspektor obawiał się, że w takim stanie policjant pozaraża wszystkich pozostałych. Johanes przetarł wierzchem dłoni spocone czoło i dodał:

– Wspólnym mianownikiem wydaje się ta mała Zimal.

– Nonsens – odparła kwaśno Summer. – Nie ma żadnego motywu. Konflikt dzieciaków nie popchnąłby nikogo do morderstwa, nie bądź śmieszny.

– No to odwróćmy sytuację – nalegał Johanes. – Może ci z Monument Road mają coś wspólnego z zaginięciem Izabeli Wolańskiej?

– Powinniśmy przesłuchać Zimal – oznajmiła sierżantka, ignorując starego policjanta.

– W tym momencie to niemożliwe – powiedział Chris. – Rozmawiałem rano z jej lekarzem i mała od momentu przyjęcia na oddział nie wypowiedziała ani słowa.

– Skoro już przy tym jesteśmy... – Redfern nie dał rozgorzeć dyskusji. – Puszka, dowiesz się, jakie auta TV Licence patrolowały ostatnio Old Woking w poszukiwaniu nierzetelnych abonentów. No i nie zapomnij o samochodzie, który parkował na awaryjnych przy Monument Road.

– Wporzo. – Chris ponownie zanotował informację w telefonie i zaczął zbierać się do wyjścia. Summer zrobiła to samo.

– Zostań jeszcze chwilę, OK? – zwrócił się do kobiety Redfern, a potem spojrzał na Johanesa, który miał problem z podniesieniem się z krzesła. –

Chcę, żebyś spróbowała znaleźć Ansara. To kluczowy świadek. Musi się znaleźć.

– Albo podejrzany – wysapał mężczyzna, gdy udało mu się wstać. – Na razie, dzieciaki – pożegnał się i wyszedł, zanosząc się kaszlem.

– Chcę pogadać o dyskach – zaczął Redfern, gdy zostali z sierżantką sami. – Jesteś pewna, że zostawiłaś je w materiałach?

– Absolutnie pewna.

– Zastanów się. Może ktoś je brał od ciebie i nie oddał?

– Gdy je zostawiałam, był komplet. – Zirytowała się. – To dla ciebie szansa, żeby się mnie pozbyć, no nie?

– Że co?

– Nie ma notatki z mojej wizyty w Life Works, zgubiłam dowód rzeczowy. Lepszego pretekstu nie mogłeś sobie wymarzyć. – Wstała, odsuwając z piskiem krzesło, i zaczęła zbierać swoje rzeczy. – Puszka oszaleje z radości.

Myśl, że za zniknięciem płyt stoi posterunkowy Tinney, przecięła umysł inspektora niczym błyskawica i tak samo szybko zgasła. Nie wierzył, że młody policjant mógłby się do tego posunąć, co nie zmieniało faktu, że podobnie jak po uderzeniu pioruna Redfern czuł, że powietrze jest niemal naelektryzowane.

– Usiądź – powiedział łagodnie. Summer przez chwilę mierzyła go wzrokiem, ale w końcu zastosowała się do prośby. – Wyjaśnijmy sobie coś raz na zawsze. Jesteś świetną policjantką, a przypadki się zdarzają. Nie zmienia to faktu, że wciąż nie wiem, co tobą kierowało, gdy zgłaszałaś się do nas, ale mam nadzieję, że kiedyś się dowiem.

Ku zaskoczeniu Redferna sierżantka Winter westchnęła i pochyliła głowę, chowając roziskrzone dotąd oczy, jakby mierzyła się z zamiarem wyznania czegoś ważnego. Jednak kiedy znów na niego spojrzała, wciąż miała nieprzenikniony wyraz twarzy. Redfern musiał się uzbroić w cierpliwość. Miał tylko nadzieję, że żarliwość, z jaką wykonuje swoje obowiązki, to oznaka miłości do tej roboty, a nie czegoś innego.

– Mając do wyboru ciebie albo Puskę, McMahon podjął jedyną słuszną decyzję. Cieszę się, że tu jesteś – powiedział nieco zbyt patetycznie.

Przypomniał mu się Malcolm Knight, kiedy parę tygodni temu wrzeszczał na młodego dyżurnego, który przyjął do depozytu jeden z najważniejszych dowodów w sprawie Millerów i zapomniał o tym

komukolwiek zameldować. Pamiętał zawstydzoną nagłym wybuchem twarz przełożonego i słowa „Przecież to jeszcze dzieciak”. Jeśli miał brać z kogoś przykład, to z Knighta. Z tym że chciał pominąć etap wrzasku.

– Niestety nie zdążyłam skopiować tych płyt – wyznała Summer cicho.

– Czasu nie cofniemy – odparł inspektor. – Domyślam się, że nic szczególnego na nich nie znalazłaś?

– Nie. Widziałam te nagrania kilka razy i nic. Samochody wjeżdżają i wyjeżdżają. W momencie porwania na parkingu są tylko auta pracowników. Mam kilka zrzutów ekranu na pendrivie.

Z torebki wyciągnęła pęk kluczy. Odpięła od niego zabawny brelok w kształcie ludzkiego palca i podała Redfernowi. Policjant uśmiechnął się i włożył go do stojącej w rogu drukarki. Po chwili miał w rękach ciepłe wydruki. Cały parking, wraz z numerami aut widoczny był jak na dłoni.

– Dobra robota!

– Nie podniecaj się. Nic tam nie ma. – Zmieszła się. – Patrzyłam na nie godzinami.

– Zerknę świeżym okiem.

– Co robimy z CD? – zapytała, stojąc w drzwiach. – Zgłosić to?

– Daj spokój. I bez tego jest zamęt w zespole. Bądź jednak czujna.

– Myślisz, że...

– Ja już nic nie myślę – przerwał jej i zebrał swoje notatki.

Wychodząc z sali, zobaczył w głębi korytarza opierającego się o ścianę Johanesa. Pomyślał, że choć każdy podśmiewał się z niego, był dobrym, lojalnym gliną. Przede wszystkim miał zanikające na komendzie poczucie obowiązku, które Redfern cenił ponad wszystko. Podszedł do starego policjanta.

– Co jest, Al?

– Chyba mam zapalenie płuc – wyznał, trzymając rękę na sercu. – Rwie mnie w klacie tak, że nie mogę złapać oddechu.

– Weź chorobowe. Poradzimy sobie bez ciebie, spokojnie. Jedź do domu i odpocznij.

– Przecież widzę, co się dzieje, Dave – powiedział cicho. – Ledwo dajecie radę.

Redfern nie odpowiedział. Pokiwał głową w milczeniu, zastanawiając się, czy zaprzeczanie ma jakikolwiek sens. Braki kadrowe w Woking, które podobno miał uzupełnić, wyszły na jaw szybciej, niż ktokolwiek się

spodziewał. Przekształcenie komendy wisiało w powietrzu i zarówno on, jak i Johanes mieli tego świadomość.

– Dobra, muszę się zbierać – oznajmił stary policjant, odklejając się od ściany.

– Nadal szukasz tego chłopaka?

– Tak. Narzeczona zeznała, że pracował w myjni samochodowej IMO, ale to tylko pół prawdy, bo podobno gdzieś dorabiał. Jadę jeszcze raz do domu, w którym wynajmował pokój.

– Poczekaj, pojedziemy razem.

– Coś ty, przecież masz co robić.

– Załatwimy to raz-dwa, bo jak się całkiem rozłożysz, to wepchną nam jeszcze twoją robotę – zażartował Redfern, choć szczerze obawiał się takiego scenariusza. – Zaraz potem odwiozę cię do domu. W takim stanie i tak nie możesz prowadzić.

– Dobry z ciebie kumpel, Dave – rzekł Johanes.

– Czasami – rzucił Redfern z krzywym uśmiechem i wszedł do swojego biura, by zabrać z niego kurtkę.

Wyszli z Johanesem z komendy, wsiedli do samochodu i pojechali w stronę dzielnicy Maybury.



Zaginiecie Malika Tayyaba zgłosiła kobieta, od której mężczyzna wynajmował pokój. Pod adresem wskazanym przez Johanesa stał pobielony dom z epoki wiktoriańskiej, urodziwy jak ówczesna królowa. Zanim Redfern zdążył pokonać podjazd, z budynku wytoczyła się okrągła muzulmanka. Miała na sobie długą czarną suknię bez ozdób. Siwe włosy ukrywała pod kolorowym chimarem, który zupełnie nie pasował do jej nastroju.

– Pokój już nieaktualny. Może pan iść! – rozkazała surowo, gdy tylko zobaczyła Redferna.

– Jestem z policji – wszedł jej w słowo. – Szukam Malika.

– On tylko wynajmował pokój. Już mówiłam, o, temu tam. – Wskazała na wysiadającego z triumpha Johanesa. – Nic więcej o nim nie wiem. – Trajkotała głośno, tak żeby sąsiedzi na końcu ulicy nie mieli wątpliwości.

– Dobrze, dobrze – pacyfikował ją Redfern. Jednocześnie podszedł na odległość, która pozwalała przestać krzyczeć. – Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Jakoś chyba ze dwa tygodnie temu. Pamiętam, bo mieliśmy przedłużyć umowę najmu. Obiecał, że do mnie zajrzy następnego dnia, ale nie zajrzał. Oczekałam jeszcze dwa dni i zgłosiłam zaginięcie, bo winien był mi pieniądze. On to chyba żadnej rodziny nie miał – dodała.

– Czy przed zniknięciem zachowywał się dziwnie?

– Ja nic nie wiem. Miałam tylko dać to pudło z jego rzeczami – zapierała się, ale po chwili dorzuciła: – Mrukliwy był, wiecznie oglądał się za siebie, rzadko gdzieś wychodził, ale jak już polazł, to go długo nie było.

– Odwiedzał go ktoś?

– Nigdy. – Staruszka była bardzo pewna tego, co mówi.

– Nawet dziewczyna?

– O, jeszcze czego! – zaperzyła się.

– Możemy obejrzyć jego pokój? – Johanes wciąż stał za autem, opierając się o dach.

– Nie ma czego oglądać – oznajmiła. – Nie podpisał umowy, to wynajęłam komuś innemu. To dobra okolica, więc chętnych nie brakuje.

Redferna ogarnęły wątpliwości. Przejeżdżający za ogrodzeniem pociąg zatrząsł szybami w oknach, a porozwalane po podwórku śmieci i ciasnota nie zachęcały do szybkiej decyzji o wynajmie. Jedynym plusem była bliskość centrum, co dla pracowników Fidessy czy Peacock Centre mogło mieć jakieś znaczenie.

– A co się stało z jego autem?

– Ja nie wiem, czy on miał auto, czy nie miał. Co rusz innym jeździł, ale czy to jego było, czy nie jego, to już pojęcia nie mam – skrzeczała.

– Czy w takim razie możemy dostać jego rzeczy?

– Już mówiłam, że same śmieci miał w pokoju. Zebrałam to razem z pocztą, co to wciąż do niego przychodzi. Zaraz wszystko przyniosę.

Zanim David zdążył dopytać o te śmieci, kobieta kołyszącym krokiem poszła do domu. Poczuli, jak w kieszeni wibruje mu telefon. Zdążył tylko zobaczyć, że pisze do niego Patricia, a kobieta już wróciła, trzymając pudełko wypełnione listami, książkami i paroma szmatami. Policjant przejrzał je pobieżnie, zastanawiając się, czego może chcieć od niego była

narzeczona. Na pierwszy rzut oka w pudełku nie było nic, co mogłoby ich doprowadzić do zaginionego.

– Dużo tego nie miał – skwitowała kobieta, patrząc na przerzucane przez Redferna kabelki, kartki i przybory toaletowe. – W dodatku nic wartościowego. Dziwne.

Miała rację, rzeczy było bardzo mało jak na człowieka, który spędzał w samotności całe dni. Kolejny freelancer minimalista, pomyślał Redfern, wrzucając karton do bagażnika triumpha. Zatrzasnął klapę i wsiadł do samochodu.

– No i co o tym sądzisz? – zapytał Johanes, kiedy mijali klinkierowy biurowiec Dukes Court.

– Chyba to samo, co ty. Facet zwyczajnie się ulotnił – odparł Redfern i wjechał na małe rondo, kierując się na Sheerwater, gdzie mieszkał stary policjant. – A co powiedzieli w pracy?

– Że ma jeszcze tydzień urlopu, więc chyba pojechał na niego bez narzeczonej.

– Najwyraźniej – podsumował Redfern, gdy wrócili na Monument Road i zjechali w Albert Drive, przy którym mieszkał Johanes.

Podjechał pod jedną z szeregówek. Johanes, zanosząc się kaszlem, nie był w stanie wydobyć z siebie słowa pożegnania. Gdy był w połowie podjazdu, machnął tylko ręką i zgięty zniknął w drzwiach domu.

Dopiero gdy Redfern wjeżdżał na Monument Road, zorientował się, że stary policjant nie zabrał kartonu z rzeczami Malika. Chciał zadzwonić, ale uznał, że Johanesowi potrzebny jest teraz przede wszystkim kubek gorącej herbaty i dużo odpoczynku. Z tą myślą zjechał na Princess Road i wysiadł pod bungalowem, z którego dochodził zapach duszonej karkówki.



– Niepotrzebnie przyjeżdżałeś, Dawidek – powiedział wesoło Siwiaszczyk, gdy Redfern stanął w progu. – Byliśmy już na spacerze z Bambim.

Nie było wątpliwości – szczeniak leżał pod stołem i spał jak zabity. Redfern usiadł w salonie i patrzył, jak Bohdan pakuje koszule do małej walizki na kółkach.

– Powariowali z wymiarami tych toreb – marudził, wskazując na kupkę ubrań na kanapie. – Mam zmieścić cały majdan w tym pudełeczku.

– Dokup sobie bagaż rejestrowany – poradził mu Redfern.

– Jeszcze na głowę nie upadłem, żeby złodziejom kabzę nabijać! Prawie trzydzieści funtów za walizkę w jedną stronę. Niedoczekanie! Za tyle to ja cały bilet kupiłem – oburzał się.

Redfern obserwował, jak dziadek zwija majtki w ciasne ruloniki i upycha w walizce. Nie chciał mu uświadamiać, że na bilecie za trzydzieści funtów linia lotnicza nie zarobiła ani pensa, a ograniczenia bagażu są między innymi po to, by choć trochę tę stratę wyrównać. Zawsze go dziwiła ta przesadna oszczędność dziadka, która w mniemaniu Redferna graniczyła z chorym skąpstwem. Wychodził z założenia, że jeśli ktoś wykonał usługę czy coś sprzedał, to trzeba za to zapłacić, a nie kombinować. Tę skłonność do kombinowania dziadek wyniósł z pożaru komunizmu i pielęgnował jak ocalony skarb.

– No nic, najwyżej założę dwie koszule na siebie, a skarpetki wezmę do kurtki – zawyrokował, gdy nie udało mu się zasunąć zamka. – Wyglądasz na zmęczonego.

David nie miał siły odpowiadać na pytania. Zapadł się w fotelu i przetarł zmęczoną twarz. Dziadek poszedł do kuchni i wrócił po chwili z parującym talerzem pełnym klusek śląskich pływających w aromatycznym sosie. Podsunął Redfernowi, ale on tylko pokręcił głową.

– Sprawa Kingi Wolańskiej? – zagadał Siwiaszczyk.

– Gdyby tylko to.

– Przepieprzone macie – stwierdził. – Czytałem dziś trochę prasy. Cała Polska aż huczy, ale media nic nie mają. Same spekulacje i rzyganie sensacjami. Widzę, że u ciebie nie lepiej. Wiecie już coś?

– Tylko tyle, że to porwanie i że rodzina nie jest święta. – Redfern nie mógł się oprzeć zapachowi, który szturmował jego nos, wywołując nieokiełznaną falę apetytu. Złapał za widelec i włożył sobie kluskę do ust. Nie ulegało wątpliwości, że jego matka potrafiła gotować, ale dziadek mógłby spokojnie bić się tym daniem o gwiazdki Michelin.

– Zawsze do przodu. – Siwiaszczyk nie okazał entuzjazmu i usiadł naprzeciw wnuka.

– Sam nie wiem. – David się zamyślił. – Szukam jakiegoś punktu zaczepienia. Stare rodzinne sprawy, jakieś zaszłości. Mam przeczucie, że to

ktoś z otoczenia Wolańskich.

– Wiesz, zawsze mogę zajrzeć do siebie – zaproponował tajemniczo dziadek. – Mam tam jeszcze paru synków, którzy pamiętają starego Siwka.

Komenda policji w Częstochowie, zwana Trójkątem, niegdyś zastępowała mu rodzinę. Nigdy o tym nie mówił, ale David domyślał się, że Siwiaszczyk był świetnym gliną. Kiedy lata temu Redfern pomieszkiwał w domu na Lisińcu, Siwiaszczyka często odwiedzali młodszy milicjanci. David pamiętał dochodzące z pokoju ciche, podniecone rozmowy, które ciągnęły się w nocne godziny. Pewnego wieczora, nie mogąc znaleźć sobie zajęcia, zaglądał do szafek w meblościance. W jednej z nich zobaczył drewnianą kasetkę, nie zdążył jednak jej otworzyć. Dziadek nakrył go i wyrwał ją z jego rąk. Po raz pierwszy w życiu David widział go wściekłego. Rzucił pudełkiem o ścianę tak, że się rozpadło, a na podłogę posypały się poźółkłe zdjęcia i medale. Gdy Bohdan ochłonął, powiedział, że nie powinien był przyjmować tego ścierwa. Lata później David zrozumiał, że odznaczenia otrzymał od zniechęconej władzy.

– Możesz popytać, choć równie dobrze można to pchnąć drogą oficjalną – odparł zniechęcony.

Wiedział, że z pomocą starego gliny mógłby się dowiedzieć znacznie więcej, ale nie chciał angażować dziadka. Nie miał pewności, czy powrót na stare śmieci dobrze mu zrobi, choć podskórnie czuł, że obudzony w nim pies gończy domaga się pościgu. Ten chart, mimo siwej głowy, nie stracił węchu.

– To już jak chcesz, Dawidek – odparł i wstał od stołu, zbierając szklanki i wyczyszczony do dna talerz.

Redfern przejrzał wiadomości ze Skypie. Dwóch kumpli ze starego teamu chciało go wyciągnąć wieczorem na piwo. Miesiąc temu.

Otworzył wiadomość od Patricii, która pisała do niego, kiedy był z Johanesem w mieszkaniu zaginionego. Od byłej narzeczonej spodziewał się raczej rozkazu zabrania rzeczy; niegdyś żądała tego regularnie, ale tym razem była to prośba. W dodatku zupełnie niezrozumiała, ale w stylu Patricii: „Czy możesz się zaopiekować kotem? Dostałam delegację”.

Odruchowo złapał się za kieszeń i słysząc znajomy brzęk, wyciągnął jej zawartość. Pęk kluczy, który nosił przy sobie, przypominał różaniec. Na jego paciorkach można było odtworzyć życie inspektora Davida Adama

Redferna, począwszy od tajemnicy radosnej, a na bolesnej skończywszy. Na chwalebna, pomyślał, przyjdzie mu jeszcze poczekać.

Przełożył na kółku kilka kluczy, upewniając się, że ma właściwe. Ostatnio dołożył do nich zestaw do domu Siwiaszczyka, tuż obok tych otwierających drzwi mieszkania w Guildford. Podrzucił je kilka razy w dłoń, jakby chciał sprawdzić ich ciężar, i odpisał: „OK”, choć sam nie wiedział, kiedy miał znaleźć na to czas. Zanim błogość po spożytym posiłku wzięła górę nad ciałem, wstał i pożegnał się z dziadkiem, obiecując, że wróci, by zawieźć go na lotnisko. Poklepał wciąż śpiącego Bandita i wyszedł z domu. Wolańska powinna mu coś wyjaśnić.

Środa, 6.11.2013, popołudnie

Wiatr napierał na auto, sprawiając, że lekko się zakołysało. Redfern z obawą patrzył na zgrabiałe gałęzie lipy, ale stare drzewo zdawało się robić uniki przed uderzeniem każdego podmuchu. Nie chcąc dokładać rys na sfatygowanym lakierze, na wszelki wypadek przestawił triumpha dwa miejsca dalej. Jego manewrom przyglądał się wilczarz irlandzki, którego monstrualny łeb wystawał z okna mieszkania Ann Rudd.

Wolańskiej wciąż nie było, ale pozostawione w kuchni światło dawało nadzieję, że kobieta niedługo wróci.

Po kilku minutach zobaczył, jak przechodzi obok łysego krzaka bzu oddzielającego Poundfield Court od parkingu przy luksusowych bungalowach Poundfield Garden. Osłaniając się od wiatru, przecięła parking, nie zauważywszy Redferna.

Policjant wysiadł z auta i podbiegł do drzwi. Wolańska skrzywiła się na jego widok.

– Dlaczego wywiozła pani córkę z kraju? – zaatakował.

– Nie wywiozłam z kraju, tylko zawiozłam do kraju – odparła, przekrzykując wiatr, który w przesmyku między blokami zdawał się dąć jeszcze mocniej. – Muszę ją chronić!

– Pani córka jest świadkiem – zgromił ją. – To nierozsądne.

– Ola wszystko już powiedziała – fuknęła. – Musi teraz odpocząć. Niech mi już pan nie mówi, co jest nierozsądne, OK?

Trzęsącą się ręką przekręciła klucz w zamku. Skrzydło drzwi nie chciało ustąpić pod naporem listów nagromadzonych w przedpokoju.

– Jestem już nimi zmęczona – powiedziała i zaczęła składać koperty w jedną paczuszkę. Podniosła pierwszą z nich i pokazała Redfernowi, jakby rozmowa na progu nie miała miejsca. – Listy z wyrazami współczucia, czyli wiemy, co przeżywasz. Nie, nie wiecie – skomentowała i wzięła do ręki kolejny. – List z fałszywymi tropami, czyli widziałem twoją córeczkę, jak bawi się w Parku Monbijou. Musisz przylecieć do Berlina! – Wolańska sięgnęła po szarą kopertę. – Listy z wyrzutami, a w nich: ty nieodpowiedzialna suko! Jak mogłaś zostawić dziecko samo w ogrodzie?! Pojebało, cię, kurwa?! – zaintonowała męski głos. – Jest też trochę tych ciepłych, pełnych pocieszenia, niektórzy nawet dołączają drobne kwoty. Codziennie kilkanaście, czasem kilkadziesiąt przesyłek. Listonosz zapytał, czy mógłby je zostawiać na progu w jakimś pudełku, ale odmówiłam. A gdyby przez to przepadł ten jeden, ten najważniejszy, dla którego co dzień otwieram ten syf?

Redfern milcząco przyznał jej rację, jednak wciąż był wściekły, że Wolańscy zdecydowali się zabrać dziecko.

– Kiedy wróci pani mąż?

– Jutro wieczorem będzie z powrotem. Ola zostanie z jego rodzicami – uprzedziła jego następne pytanie.

Gdy zebrała wszystkie listy, podniosła się i zabrała je do pokoju. Redfern usiadł przy stole i patrzył, jak mechanicznymi ruchami oddzielała te prywatne od rachunków i reklam. Pierwsza koperta była szara, wielkości zeszytu. Matka dziewczynki przesuwała szybko wzrokiem po drobnych, ręcznie napisanych literach.

– To ten podnoszący na duchu. – Zgięła kartkę na pół i z namaszczeniem włożyła ją do pudła z napisem „Miłe”. Otucha nie była teraz zbytkiem.

Redfern zauważył, że kilka wylądowało w pudle opisanym słowem „Tropy”. Z dwóch wyciągnęła banknoty. W sumie dwadzieścia pięć funtów. Listy spoczęły w „Miłych”, a pieniądze w skarbonce w kształcie kotka.

– Jak na razie żadnych oskarżeń, żadnego kopania leżącego – skomentowała.

Przed kolejną porcją zrobiła im herbatę. Redfern zapomniał już, jak dobra i rozgrzewająca potrafi być herbata z malinami.

Otworzyła kolejną kopertę. Redfern zauważył na wyciągniętej przez Kingę kartce wydrukowanych kilka słów po polsku.

Wolańska zerwała się, strącając kubek wprost do jednego z kartonów. Czerwony płyn przesiąkał teraz przez wszystkie fałszywe tropy.



Autostrada M25 zdawała się sprzyjać Redfernowi. Zaraz za lotniskiem Heathrow triumph mógł rozwinąć skrzydła i teraz sunęli gładko środkowym pasem, mijając konwoje zielonych ciężarówek Eddie Stobart.

– Coś tu popiskuje – odezwał się Bohdan i wskazał na przylegający do szyby róg deski rozdzielczej.

– Tak, wiem – odparł Redfern. – Muszę tam coś dokręcić albo włożyć jakiś kartonik.

– No, najlepiej z napisem „na sprzedaż”.

Redfern nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy zdenerwować. To samo tyczyło się wyjazdu staruszka do Polski. Cieszył się, że dziadek wciąż ma siłę i ochotę podróżować, że chce o siebie zadbać. A przede wszystkim, że nie sili się na heroizm, który zwykle kończy się wraz z przykuciem do łóżka i prośbą o podanie szklanki wody i zmianę pieluchy. Martwiło go natomiast, że Bohdan wypuszcza się sam, a decyzję o wyjeździe podjął tak niespodziewanie.

– Co z tą Martą? – zapytał dziadek, sprawdzając po raz kolejny paszport i wydrukowaną kartę pokładową, która zaczynała przypominać starą mapę.

– Nie wiem – powiedział David i zmienił pas, zapominając o kierunkowskazie. – Najpewniej miała jakieś plany związane z Anglią.

Ale ja nie byłem ich częścią, dodał w myślach. Mimo że udało mu się ostatnio uzyskać połączenie z jej telefonem, Marta nie odebrała. Chciał zlecić komuś sprawdzenie, skąd się logowała, ale nie znalazł na to czasu. Albo chęci.

– A ten list? – dopytywał staruszek.

– Jest w laboratorium, ale szczerze wątpię, że coś z niego wyciągną – odparł Redfern.

– Miałem na myśli notatkę od Palacza, a nie ten, co dostała matka Wolańska – powiedział Siwiaszczyk.

– Aaa – zmieszał się. – Bez związku. Palacz usiadł na dupie i nie wyściubia nosa.

Redfern poczuł się sam sobą rozczarowany. Powinien powiedzieć dziadkowi prawdę o ostatniej wizycie tajemniczego mężczyzny na miejscu zbrodni i o spotkaniu w Zakładzie Medycyny Sądowej, ale nie chciał martwić staruszka. Zwłaszcza teraz, gdy ten ma się zmierzyć z polską służbą zdrowia.

– A co z ekspertyzą pożarową?

– Jeszcze nic nie wiadomo – skłamał i znów ostro zmienił pas, wymijając kolejną ciężarówkę. Dziadek złapał za uchwyt w drzwiach, poprawiając się wymownie w fotelu.

– Skoro tak – odezwał się po chwili – to może chociaż powiesz mi o liście do tych biednych ludzi?

– Ktoś wysłał rodzicom dziecka rysunek i kartkę, na której wydrukował parę słów.

– Co napisał?

– „Ona jest w porządku” – wyrecytował Redfern.

– Prawie po polsku – skwitował Siwiaszczyk.

– No właśnie. Czyli to Anglik.

– Albo zmyłka przeciwnika – zamyslił się staruszek. – Skąd go nadano?

– Nie było znaczka – odparł Redfern. – List został podrzucony, kiedy Wolańska odwoziła męża i córkę na lotnisko. Kolejny argument za tym, że to osoba z ich otoczenia.

– Ktoś z wami pogrywa i dziecko nie jest tu kluczem, Dawidzie. – Dziadek pokręcił głową i włożył paszport do kieszeni kurtki. – Co było na tym rysunku?

– To, co na rysunkach większości pięciolatków: koślawy dom, płot, słońce i koślawe drzewo. Nic szczególnego, choć Wolańska jest święcie przekonana, że narysowała to jej córka.

– Nie wierzysz jej?

– Ona widzi to, co chce zobaczyć – odparł. – A ja nie widzę żadnego sensu w wysyłaniu do zrozpaczonej matki takiego sygnału. Po jaką cholere ktoś wysyła rysunek? Oddałem go wraz z listem do analizy. Jakiś magik ma się nad tym pochylić.

– Zaangażuj trochę emocji, Dawidek. Nie każdą sprawę można rozwiązać na zimno.

Dotarli na Luton przed siódmą. Bohdan Siwiaszczyk wyciągnął z bagażnika małą walizkę na kółkach i po raz kolejny zaczął przetrząsać

kieszenie w poszukiwaniu paszportu i karty pokładowej. Redfern rozejrzał się po roziskrzonym światłami terminalu. Tak jak powiedział mu przez telefon Zheng, to stąd ostatnio logował się telefon Marty, a zatem dotarła na lotnisko i wyłączyła aparat. Tylko dlaczego nie dała znać, że dojechała? Pod taflą żelaznej logiki znów zaczęło drgać przecucie, że coś się nie zgadza. Redfern wiedział, że jeśli tego nie sprawdzi, wciąż będzie wracał do tego myśłami.

Z zadumy wytrąciło go pacnięcie w stopę. Coś najwyraźniej spadło mu na but. W pierwszej chwili nie wiedział, co to jest. Zakłopotany dziadek zebrał szybko przedmiot i schował do płaszcza, ale Redfern go rozpoznał.

– Majtki? Dziadku, naprawdę?

– No co? Nie zmieściły się do walizki!

– Trzeba było kupić bagaż rejestrowany – fuknął Redfern.

– Po moim trupie – powiedział Siwiaszczyk i odwinął się na pięcie, prowadząc za sobą podrygującą walizkę. – Cześć!

– Cześć! – Redfern westchnął głęboko i zamknął bagażnik, po czym wsiadł do auta i podjechał do bramki. Ucieszony, że może zapłacić aplikacją Apple Pay, przystawił telefon do terminala płatniczego. Mina mu zrzedła, gdy zobaczył wysokość opłaty za pięciominutowy postój. Siedem funtów sprawiło, że przyznał dziadkowi rację.

Zjechał za hotel Holiday Inn i zastanawiał się, czy dobrze robi, chcąc uzyskać informacje o Marcie. Powinien wracać do Woking i szukać morderców z Monument Road, powinien jeszcze raz przejrzeć wszystkie osoby kręcące się wokół rodziny Wolańskich albo po prostu wziąć ketonal i dać ciału odpocząć. A jednak stał na pogrążonym w ciemności placu i obmyślał plan, który zrodził się w jego głowie, gdy patrzył na unoszący się nad triumphem szlaban lotniskowego parkingu.

Zapamiętał logo na automacie przyjmującym monety i teraz szukał w internecie firmy, która za niego odpowiadała. Po chwili wybrał numer podany na stronie. Mężczyzna, który odebrał, poinformował go, że dodzwonił się do centrali firmy, a powinien do jednostki odpowiedzialnej za dany parking. Gdy wreszcie otrzymał prawidłowy numer, a po drugiej stronie odezwał się przyjemnie niski kobiecy głos, Redfern wytłumaczył, o co mu chodzi. Kobieta obiecała pomoc i spytała, który dzień najbardziej mu odpowiada na spotkanie.

– Najlepszy będzie najbliższy kwadrans – powiedział.

– Dobrze, proszę podjechać – odparła i przekazała mu, jak ma dojść do jej biura. Zaskoczyło go, że znajduje się ono na terenie lotniska, wciśnięte za Centrum Podróży.

Turkot setek walizek ciągniętych przez spieszących się ludzi złał się w nieznośny hałas wbijający się ostrym klinem w głowę Redferna. Inspektor sięgnął do kurtki po ibuprofen i na sucho połknął cztery tabletki. Wciąż się zastanawiał, czy dobrze robi, powołując się na swoją odznakę. Starał się usprawiedliwić przekroczenie uprawnień i gdy mijał przystanki autobusowe, doszedł do wniosku, że owszem, Marta miała włączony telefon, ale to wcale nie oznaczało, że jest bezpieczna. Zimny wiatr, rozpędzony na niezmiernych połaciach płyty lotniska, uderzał z wielką siłą w podróżnych. Redfern z ulgą schował się w skrzydłach ogromnych obrotowych drzwi terminala i podążając za wskazówkami kobiety z firmy parkingowej, znalazł jej biuro, z którego wraz z kilkoma innymi ludźmi miała oko na podlegający jej obiekt.

– Pan policjant z Woking? – zagadała przyjaźnie, gdy zamykał za sobą drzwi. Jej głos bez filtra połączenia telefonicznego wydawał się nieco wyższy, ale i tak nie pasował do jej drobnej figury.

– Tak, inspektor David Redfern – oznajmił, kładąc na wysokim kontuarze swoją legitymację. – Prowadzę dochodzenie w sprawie zaginięcia młodej kobiety. Mam informacje, że była na parkingu, ale muszę to jeszcze potwierdzić.

– Zaginęła? To okropne – zatroskała się operatorka. – Jak mogę panu pomóc?

– Chodzi mi o nagranie z dnia piętnastego października. Wiem, że zaginiona przyjechała na lotnisko taksówką.

– Tu przyjeżdżają tysiące taksówek. – Kobieta pokręciła głową. – Ma pan numery? Mamy system rozpoznawania tablic rejestracyjnych, więc pójdzie szybko.

– Niestety wiem tylko, że była to turkusowa toyota prius i mogła się tu zjawić między dziewiętnastą a dwudziestą – przypomniał sobie godzinę logowania telefonu Marty, którą podał mu agent Zheng.

– To już coś. Turkusowy to rzadko spotykany kolor, a już w ogóle pierwszy raz słyszę, żeby mężczyzna używał tej nazwy. – Mrugnęła do niego.

– Znam jeszcze mahoniowy. – Redfern się uśmiechnął.

– Taki? – wskazała na swój długi kucyk, który miała przerzucony przez ramię.

– To jest oberżyna – odparł.

– Dobry jest – powiedziała teatralnym szeptem do siedzącej obok koleżanki i obie zachichotały.

Redfernowi zrobiło się zwyczajnie miło. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się poczuł. Nawet nie pamiętał, żeby z kimś kiedyś flirtował. Może z Patricią, ale chyba tylko na początku, gdyż w świecie umeblowanym pragmatyzmem była narzeczona nie znajdowała miejsca na gesty.

Dziewczyna spoważniała i zaczęła szukać w komputerze.

– Skoro pani przyjechała taksówką, to z pewnością wjechali na parking do podwożenia Meet & Greet – mamrotała do siebie. – OK. Mam ten przedział czasowy – oznajmiła głośniej i odwróciła monitor w stronę inspektora.

Zacząła powoli przesuwając suwak programu do odtwarzania, ale żadne z setek migających przed oczami Redferna aut nie było turkusową toyotą. Zatem Marta nie dotarła na lotnisko, pomyślał i przełknął głośno ślinę. Kobieta z obsługi parkingu sprawdziła jeszcze nagranie z godziny przed i po podanym przez policjanta przedziale.

– Skoro nie było jej na M&G, to może będzie na krótkoterminowym. To się czasem zdarza. Zwłaszcza gdy taksówkarz czeka na kogoś, kto wraca do kraju.

– Proszę spróbować.

– OK. Tutaj korzystamy z bardziej zaawansowanego sprzętu – wyjaśniła.

– Wjeżdża pan, cyk, kolorowe zdjęcie i bilecik, a potem przy wyjeździe opłacony bilecik i cyk, rozpoznanie i szlaban się podnosi. Zaraz sprawdzimy te godziny. – Znow zaczęła coś przeglądać i mrużyć do siebie.

– O, chyba mam! Nawet dwie takie kolorowe toyoty.

Odwróciła monitor, na którym Redfern wyraźnie widział poszukiwaną toyotę. Kierowca miał na sobie czapkę z daszkiem. Nie ulegało wątpliwości, że jest w samochodzie sam. Na przednim siedzeniu nie było ani Margaret Nance, ani tym bardziej Marty.

– To nie oni – zawyrokował.

– Spróbujmy jeszcze trochę przewinąć – zaproponowała kobieta i wróciła do jeżdżenia kursorem po ekranie, a Redfern patrzył z rezygnacją. – No

i mamy drugie trafienie – ucieszyła się i popukała w ekran. – W tym widać kobietę.

Miała rację. Na siedzeniu obok kierowcy siedziała długowłosa brunetka. Oboje byli jednak odwrócenii, jakby mówili coś do siedzącej na tylnej kanapie osoby.

– To ona?

– Niestety nie. – Redfern wpatrywał się w puste miejsce między dwojgiem ludzi, mając nadzieję, że zobaczy tam Martę. – Ma pani coś do pisania? – zapytał.

– Zaraz panu wydrukuję zdjęcia obu aut. Będzie miał pan numery – powiedziała i po chwili włożyła wydruki do teczki z logo lotniska. Wręczając ją Redfernowi, uśmiechnęła się blado. – Mam ogromną nadzieję, że ta kobieta się znajdzie.

– Ja też.

Redfern podziękował za pomoc, pożegnał się i wyszedł. Późna pora wcale nie sprawiła, że lotnisko opustoszało. Przeciwnie, miał wrażenie, że rozpędzony tłum zgęstniał i uporczywie na niego napierał, kiedy uciekając od czarnych myśli, przeciskał się ku wyjściu.

Środa, 6.11.2013, wieczór

Przez korek przy lotnisku Heathrow nie zrobił zakupów. Przegląd lodówki wypadł wyjątkowo słabo – dwie zwiędłe marchewki, paczka malin z zielonym futrem, jogurt grożący eksplozją oraz paczka parówek. Te ostatnie wrzucił do mikrofalni, a mocno wczorajszy chleb odświeżył w tosterze. Na osłodę zrobił sobie herbatę z miodem. Usiadł przy stole i przeżuwał powoli każdy kęs, czując, jak gliniane kulki spływają mu do żołądka. Bandit wpatrywał się w niego, licząc na choćby kawałek z tych wątpliwych delikatesów, i Redfern wiedział, że to żebracze spojrzenie zawdzięcza dziadkowi, który zdążył nauczyć psiaka, iż pod stołem można coś dla siebie ugrać.

W kieszeni zawibrował mu telefon. Wyciągnął go i spojrzał na ekran, na którym było tylko jedno słowo. „Katowice”, brzmiał SMS. Ucieszył się, że staruszek dotarł na miejsce. Z tą myślą poszedł do siebie, by przejrzeć zdjęcia, które przywiózł z lotniska.

Nie spodziewał się dzisiaj kogokolwiek jeszcze zobaczyć. Tym bardziej zdziwiło go, gdy Bandit pobiegł do przedpokoju nastroszony i zaczął

powarkić przy drzwiach. Dopiero po chwili Redfern usłyszał szuranie i dzwonek. Podniósł się z krzesła i niechętnie otworzył drzwi.

– Co tu robisz? – wypalił Redfern, odciągając Bandita, który garnął się, by przywitać przybysza.

McMahon miał trudny do przeniknięcia wyraz twarzy. Ubrany jak właściciel domu pogrzebowego wyglądał niczym czarna dziura, która zasysa wszystko, a przede wszystkim spokój.

– Przyjacielskie odwiedziny – odparł i wyciągnął z torby dwie butelki fosterów. – Mogę?

– Jasne, wchodź. – Redfern cofnął się i wpuścił gościa.

Poszedł do kuchni, zostawiając Grega w pokoju. Wydobył z szafki octowe chipsy i nasypał do ostatniej czystej miski, jaką znalazł. Gdy wrócił, przełożony właśnie otwierał o siebie butelki. Podał jedną Redfernowi. Szyjkę swojej wytarł, jakby sam kapsel nie wystarczył do zachowania higieny. Kiedy już usiedli w fotelach i wychylili parę łyków, McMahon wyciągnął z kieszeni telefon.

– Chciałbym, żebyś czegoś posłuchał – powiedział, czochojąc sierść szczeniaka, który przysiadł koło jego nóg.

– OK. Jakiś hicior?

– Ty mi powiedz. – McMahon położył telefon na stoliku przed nimi i włączył nagranie. Redfern znał ten głos.

– Halo!

– No i co, laluniu? Role się odwróciły?

– Kto mówi?

– Sprzątnęłaś ważnego dla mnie człowieka, mała.

– Boże...

– Trafna uwaga.

Usłyszeli, że nieznajomy odpala zapalniczkę, a po chwili rozległ się syk wypuszczanego z płuc dymu.

– Twój los w moich rękach, mała.

– Oddaj mi córkę, bydlaku!

– Nie tak szybko. Fajnie się tu bawimy, co, kochanie?

Obaj byli pewni, że w tle słychać było głos dziecka.

– Co jej zrobiłeś?!

– Tylko bez hysterii. Długo mi zajęło, żeby cię znaleźć, mała. A tu proszę, Anglia. Uciekłaś...

- Błagam... – przerwała mu. Płacz zawęził jej głos do szeptu.
- Jak już mówiłem, uciekłaś. – Zignorował ją. – Tak się nie robi...
- Oddaj mi moje dziecko!
- Najpierw pogadajmy o kasie. Ile tego było? Sześćdziesiąt koła?
- Pięćdziesiąt – szlochała.
- Niech ci będzie sześćdziesiąt. Masz mi oddać tę kasę, suczko. Nie wiem, jak to zrobisz, ale chcę te pieniądze.
- Błagam cię...
- Odezwę się w swoim czasie, a teraz idę pobawić się z dzieckiem. Mam nadzieję, że się jej spodoba.
- Nie... – Dało się słyszeć na nagraniu, zanim Redfern je zastopował.
- Skąd to masz? – spytał twardo Dave.
- Ze swojego źródła.
- Duża Elsa nie dała pozwolenia na podsłuch.
- Nie potrzebuję pozwolenia – rzekł McMahan i oparł się wygodnie w fotelu. Wydobył z kieszeni marynarki paczkę papierosów i odpalił ostatniego, jaki mu został. Czekał.
- W co ty grasz, Gregory? – Redfern się zirytował. – Przeprowadzasz prywatne śledztwo? Chcesz mnie wygryźć? Ośmieszyć? Odświeżę ci pamięć. Nie prosiłem o tę robotę.
- Tylko się nie popłacz, dobra? A teraz tłumacz. – Strzepnął popiół do pustego opakowania i dodał z naciskiem: – Proszę.
- David przesłuchał nagranie kilkakrotnie, McMahan notował. Po ponad kwadransie mieli pełny stenopis.
- No to mamy nowy wątek. – McMahan z zadowoleniem klepnął w blat.
- Masz cholerną rację. Tylko co teraz?
- Teraz siedzimy cicho. Poczekamy na kolejny telefon i zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja.
- Co tu się odpięrdala? – Redfern nie wytrzymał.
- Twarz McMahona stężała. Sięgnął do paczki, ale zrozumiał, że nic w niej nie znajdzie, cofnął dłoń.
- Nie bardzo rozumiem – powiedział. – Co ma się twoim zdaniem odpięrdalać?
- Jeśli to agencja założyła podsłuch, to wiedzą o każdym dotknięciu telefonu przez Wolańskich. Nie mógłbyś ot tak zatrzymać tego dla siebie,

nie potrzebowalbyś mnie, by to przetłumaczyć. Kto zatem o tobie wie, Greg?

– Co ty pieprzysz?

Redfern zerwał się na równe nogi i parzył z niedowierzaniem na policjanta, który nie zdradzał żadnych emocji.

– Służyłem w agencji ładnych parę lat. Słyszałbym o tobie. Byłeś dłużej w zespole Knighta, a jednak nie dostałeś sprawy Millerów. W dodatku ktoś dopilnował, żebyś nie grzebał przy innych dochodzeniach, sadzając cię za biurkiem. Więc pytam: co tu się odpięrdala?

– Powiedzmy, że przyglądam się pracy naszej komendy – odparł po chwili namysłu. Jego stalowe oczy pozostawały nieruchome i Redfern poczuł się nieswojo.

– Komu konkretnie? – Usiadł znów na fotelu.

– Przecież wiesz, że ci nie powiem – odparł ostro i Redfern zrozumiał, że nic więcej nie wskóra.

Korciło go, by zapytać, czy ma to coś wspólnego z Palaczem. Wiedza o tym, że Gregory McMahon jest z wydziału wewnętrznego, musiała mu na razie wystarczyć. Jego doświadczenie mówiło mu jednak, że skoro przysłano tajniaka, to sprawa jest gruba.

– Teraz zadanie dla ciebie. – McMahon skierował palec w jego stronę. – Wiem, że masz wtyki w polskiej policji. Jakiś wujek czy inny pociotek...

– Dziadek – sprostował Redfern.

– Niech będzie dziadek. W każdym razie gliniarz. Musisz go przycisnąć, żeby dyskretnie, ale kurewsko dyskretnie dowiedział się, kto dzwonił do Wolańskiej i co teraz robi w Polsce jej mąż.

– A list? – Redfern usiłował zapanować nad nerwami. – Jak to się ma do listu?

– Wolańska pewnie sama go podrzuciła i zgrabnie cię wkręciła. Nagranie jest z wczorajszej nocy. Wyjazd Wolańskiego nie jest więc przypadkowy, wrócił do Polski, by szukać dzieciaka. Wszystko zaczyna się składać, Dave. Najpewniej mamy przełom, więc nie spieprz tego. Jeśli się uda, dostaniesz swoją laurkę. Najważniejsze, by na razie nikt się o niczym nie dowiedział, rozumiesz?

– Tak mi się zdaje.

– No to super – skwitował, ale Redfern nie wyczuł w tym krztyny zadowolenia. Wstał, dopił piwo i wyszedł, jakby w ogóle go nie było.

Redfern złany zimnym potem siedział w fotelu i nie był pewien, czy jego stan jest spowodowany przeziębieniem, czy tym, co usłyszał na nagraniu. Próbując przewyciężyć napływające pod powieki zmęczenie, szukał odpowiedzi na pytania, które piętrzyły mu się w głowie i zaczęły go przygniatać. Kim był mężczyzna, który dzwonił do matki dziewczynki? Czy mógł faktycznie uprowadzić dziecko? Sięgnął po stenopis, ale na stole została tylko pusta paczka po sterlingach.

Wstał i poszedł do kuchni. Po drodze chciał zgasić światło w przedpokoju, ale na szafce z butami leżało coś, co nie pasowało do obrazka. Pendrive. David obrócił nim kilkakrotnie w palcach. McMahon mu jednak zaufał.

Włączył laptopa i przegrał plik z pendrive'a, a potem wrzucił na telefon. Odtworzył kilka pierwszych sekund. Wszystko było OK. Sprawdził na Skypie profil dziadka. Dostępny. Założył słuchawki i wybrał jego numer. Przez dłuższy czas nikt nie odpowiadał. Po dziesięciu sygnałach wreszcie usłyszał zachrypnięty głos mężczyzny.

– Wisła się urwała? – rozpoczął gniewnie Siwiaszczyk.

– Co?

– Nie, nic. Tak się mówi – wyjaśnił. – Co się stało? Masz przełom w sprawie?

– Skąd wiesz?

– Inaczej nie zadzwoniłbyś po północy do starego pierdziela – odparł. – No więc masz ten przełom czy nie?

– Coś w tym rodzaju. Pojawił się polski trop i nie wiem, jak go ugryźć. Chciałbym ci coś pokazać.

– Prześlij na maila, zerknę jutro. Dopiero wszedłem do ciotki Jaśki.

– Wolałbym tego nie robić – powiedział ostrożnie David. – To nagranie.

– Następna maruda – jęknął Siwiaszczyk. – Z deszczu pod rynnę. Dobra. Puszczaj.

Redfern przystawił telefon do mikrofonu i nacisnął przycisk włączania. Odsłuchanie nagrania po raz kolejny w ogóle nie zmniejszyło napięcia, jakie odczuwał.

– Skąd dzwonił?

– Z jakiejś wiochy pod większą wiochą w Polsce, ale to ślepy zaułek.

– Budka telefoniczna?

– Jakbyś zgadł.

– Trafił nam się tradycjonalista – skwitował dziadek. – Co ci mogę powiedzieć, Dawidek? Brzmi jak jakiś dresiarz spod budki z piwem. Nie brałbym tego na poważnie. Pewnie to facet z blokowiska, z którego Wolańska uciekła do Anglii. A już na pewno nie ktoś, kto zorganizowałby międzynarodowe porwanie.

– Łatwo wydajesz wyroki – powiedział Redfern.

– Bo na takich sucharach zęby zjadłem.

– Tak czy inaczej sprawdź co i jak, dobra?

– Jutro zadzwonię gdzie trzeba – uspokoił go. – A ty kładź się spać, Dawid. Odpocznij, bo jeszcze zaśniesz za kierownicą.

– Dobrze, już dobrze.

– Zmęczenie wyolbrzymia problemy i podsuwa najgłupsze rozwiązania. Odezwę się jutro. Cześć.

Redfern leżał w łóżku i starał się wszystko uporządkować, ale myśli wirowały i nie dały się ułożyć w sensowną całość. Z chaosu cały czas wyławiał trzy fakty: Bartosz Wolański pije, jego żona ma mroczną przeszłość, a McMahon w najlepszym przypadku jest wtyką z wewnętrznego. Tyle się dziś dowiedział, a ciągle nie wiedział nic. Do rozwiązania spraw nie przybliżył się ani o cal. Z jednej odkrytej tajemnicy wyrastały kolejne dwie.

Jednego był pewien – nie przyłapał tymczasowego szefa. Gregory McMahon chciał, żeby Redfern wiedział.

Czwartek, 7.11.2013, rano

Nie było mu po drodze do Guildford, ale nie wiedział, ile żarcia Patricia zostawiła kotu i czy ten przypadkiem nie uznał, że kuweta nie spełnia już standardów czystości i nie zamienił jej na dywan albo łóżko. Wciąż buzowały w nim myśli o wczorajszym wieczorze. Poza tym nie potrafił opanować złości na samego siebie, że zgodził się na prośbę Patricii. Doszedł do wniosku, że zbawianie świata będzie musiał połączyć z asertywnością. W każdym aspekcie swojego życia.

Na miejscu szybko stało się jasne, że była narzeczona okazała pełne zaufanie do Redferna i jego odpowiedzialności, zostawiając trzy wielkie miski pełne jedzenia, dwie z wodą i trzy kuwety. Szlag, pomyślał, mógł sobie odpuścić.

Wymienił wodę i zajrzał do kuwet, które wyglądały jakoś dziwnie znajomo. Pochylił się, by sprawdzić, czy się nie myli. Nie mógł uwierzyć, że to zrobiła! Stał jak wryty, patrząc na kociego batona uwalonego na jego ukochanym komiksie. Patricia Bones wyłożyła kocie kuwety unikatowym *Little Archie* z 1956 roku. Na amerykańskim eBayu mógłby wziąć za niego z dwieście dolarów. Zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Na stole w kuchni znalazł kartkę z opisem czynności, które miał wykonywać przez najbliższy tydzień. Listę otwierało karmienie kota (tylko ze względu na niego, pomyślał), czyszczenie kuwet (jak wyżej), dalej wietrzenie (zapomnij), podlewanie kwiatów (jak wyżej) – orchidee co trzy dni, paprocie codziennie (mowy nie ma!), sukulenta (co to, do cholery, jest?) raz na tydzień i kaktusa wcale (masz to jak w banku). Dalej przeczytał coś o wyciąganiu poczty ze skrzynki (niech będzie) i zamieciecie ganku, żeby złodzieje nie widzieli, że jest zaniedbany (akurat). No i oczywiście gwóźdź do trumny programu: zabierz swoje łachy. Zrobione.

Zabrał torbę z rzeczami i zatrzaskał ze złością drzwi. Klucze wepchnął do kieszeni dzinsów. Gotowało się w nim. Odjechał z piskiem opon, zostawiając biednego Archiego na łaskę kociego trawienia.

Gdy dojeżdżał do Woking, rozdzwonił się telefon. Zerknął na siedzenie, gdzie aparat wyświetlał nieznany rząd cyfr. Redfern odebrał.

– Halo! – usłyszał znajomy głos, którego nie mógł dopasować do żadnej osoby. – Pan Redfern?

– Tak. Kto mówi?

– Ron Rudd z tej strony – oznajmił mężczyzna. Mówił dość cicho i Redfern przycisnął telefon do ucha. – Dzwonię do pana w tajemnicy, zanim to wszystko wypłynie.

– Co się stało? Coś z Wolańską?

– Nie, tutaj sytuacja bez zmian, Kinga wciąż przeżywa ten list od porywaczy – referował szybko. – Dzwonię z czymś innym. Właśnie się czegoś dowiedziałem i myślę, że to może być ważne. Mój kolega pracuje nad sprawą samolotu, który rozbił się w Deal, kojarzy pan?

– Tak, jasne – odpowiedział Redfern, przypominając sobie gazety, które widział ostatnio na stacji benzynowej. – Zginęli pilot i pasażer.

– Właśnie – potwierdził Rudd. – Chodzi o to, że pilotem ponoć był Muztar Abbasi. Chyba coś pokręciliście przy identyfikacji zwłok.

– Może pan jaśniej? – dopytywał, czując narastające napięcie. Podjechał właśnie do ronda. Obok zatrzymał się biały mercedes, z którego jakiś mężczyzna zaczął mu wygrażać, wskazując na telefon Redferna. Inspektor uśmiechnął się krzywo i pokazał mu kciuk w górę. Facet machnął ręką i wystrzelił do przodu, pokonując rondo z piskiem opon.

– Ten kolega – kontynuował dziennikarz – powiedział mi, że samolot podobno wyleciał z lotniska Fair Oaks i należał do Muztara Abbasi. Zadzwoiłem tam i ktoś potwierdził, że Abbasi w noc morderstwa faktycznie wyleciał swoim samolotem.

Redfernowi wszystko podeszło do gardła.

– Nie wiem, jak się panu odwdzięczę, panie Rudd – wydusił z siebie.

– Przestańcie o nas mówić „hieny” – zaśmiał się i rozłączył.

Zjechał na pobocze i próbował się uspokoić, a gdy opanował pierwszą falę gniewu, która podpowiadała mu najgorsze, zadzwonił do całego zespołu i kazał każdemu stawić się za kwadrans w konferencyjnej. Miał dość i nie zamierzał dłużej tego ukrywać. Włączył kierunkowskaz i zajeżdżając drogę jakiemuś daihatsu, wystrzelił w stronę komendy. Był pewien, że za sterami samolotu siedział inny Abbasi, niż twierdził Rudd.



– Będziemy tu siedzieć tak długo, aż wyprujemy z tych spraw wszystko. Może na początek dowiem się, jakim, do ciężkiej cholery, cudem przeoczyliście to lotnisko? Gdy pytałem, dokąd jechał Ansar Abbasi po wyjściu z pracy, to powiedzieliście, że nie macie pojęcia, bo z jednej strony autostrada, a z drugiej coś tam. A pod waszym nosem jest lotnisko cywilne!

– Nie przyszło nam do głowy, że taksjarsz może mieć prywatny samolot – mruknął Tinney niechętnie.

– Już ustaliliśmy, że to nie był zwykły taksjarsz – fuknął Redfern. – Idźmy dalej. Dlaczego jego syn, Ansar, nie był całą zmianę w Tesco?

– Zamienił się z kimś – powiedział ktoś z sali.

– A dlaczego się zamienił? Co się wtedy stało? Czy ktoś może zacząć wreszcie znajdować odpowiedzi na podstawowe pytania? – Oparł się o blat stołu i mierzył wszystkich wzrokiem. – Puszka, co z kamerami w tej firmie bielizniarskiej? Wiesz już, co za auto stało w noc zabójstwa na moście?

– Firma ochroniarska obiecała...

– Zleciłem ci to wczoraj, a ty mi tu o obietnicach? – Redfernowi pociemniało w oczach. – Szlag mnie zaraz trafi! Morderca...

– Może to jednak Ansar... – odezwała się Summer znad swoich notatek.

– To nie jest zgadywanka ani loteria, do ciężkiej cholery! – Redfern spiorunował ją wzrokiem. Więcej się po niej spodziewał. – Następna rzecz: Wolańscy i wóz, z którego prawdopodobnie ktoś ich obserwował.

– W TV Licence powiedzieli, że ostatnio nie przeprowadzali badań w Old Woking, nie szukali nierzetelnych abonentów za pomocą wozu detekcyjnego.

– Świetnie. Odrzuciliśmy TV Licence. – Inspektor nie tracił impetu. – Co jeszcze przychodzi wam do głowy?

– Myślałam o busach pocztowych Royal Mail – ożywiła się Summer. – Łatwo je nabyć, podpicować, by wyglądały jak te, które są w użytku. Nie wzbudzają podejrzeń, nawet jeśli stoją pół dnia w dziwnym miejscu.

– OK, sprawdźcie to.

Opadł na krzesło i patrzył przez chwilę przez okno, za którym wiatr przesuwał po sinym niebie nabrzmiące od wody chmury. W sali zapanowała nieznośna cisza, przerywana cichym trzaskiem jarzeniówek. Redfern miał nadzieję, że McMahan coś powie, ale on również milczał, czekając na rozwój wydarzeń. Tinney wyjątkowo nie grzebał w telefonie, a sierżantka przestała mazać w zeszycie swoje freski.

– Słuchajcie wszyscy – odezwał się w końcu Redfern. – Macie czas do rana, by zebrać wszystko do kupy. Puszka, chcę wiedzieć wszystko o tym samochodzie, Summer, zorientujesz się, co wiedzą ci z Deal.

– A ty? – zainteresował się nagle McMahan. Odchylił się na krześle i zaciskając szczękę, wymownie zamilkł.

Redfernowi nie podobała się jego bierność, która mogła oznaczać, że zastępca komendanta szykuje większą petardę na inną okazję. Inspektor przez chwilę myślał, żeby spotkać się z nim w cztery oczy, ale chciał się do tego lepiej przygotować. Ostatecznie porażka zespołu była przede wszystkim jego porażką. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to spróbować wszystko naprawić, zanim sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót. Wiedział nawet jak.

– Ja jadę na lotnisko – odparł i wyszedł.

Czwartek, 7.11.2013, popołudnie

Na wąskiej drodze wjazdowej na Fair Oaks ledwo wyminął się z rozpedzonym land roverem. Przeklął siarczyście i wolno wjechał na teren lotniska.

Nie sposób było zaparkować na wyznaczonym dla gości miejscu. Z wolna minął plac, na którym zatrzymała się chyba cała stajnia Jeremiego Clarksona. Zostawił wóz w pierwszej lepszej zatoczce i poszedł w stronę budynku z napisem „Flight Centre”. Ściany pomieszczenia w kolorze gołębiej szarości, które skutecznie tłumiły hałas z zewnątrz, obwieszane były plakatami z awionetkami i mapami lotniczymi. Redfern powiedział mężczyźnie siedzącemu przy biurku, z czym przychodzi, a on podniósł słuchawkę telefonu i zaanonsował go.

Redfern patrzył przez okno na podrywający się do lotu samolot i z rozrzewnieniem pomyślał, że najchętniej znalazłby się teraz na jego pokładzie.

Rozmyślenia przerwał mu dyrektor lotniska. Łysiejący, ogorzały mężczyzna samym swym pojawieniem się zaprowadził spokój. Przywitał się z Redfermem mocnym uściskiem dłoni i podziękował mężczyźnie z recepcji za informację. Kiedy drzwi pokoju się zamknęły, dyrektor przeszedł do konkretów.

– Od razu mówię, że bez nakazu niczego panu nie pokażę ani nie udostępnię.

– W porządku. – Redfern pozostał niewzruszony. – Nie muszę sprawdzać papierów. Wiemy, co się stało. Chodzi mi raczej o tak zwaną miękką informację.

– Proszę zatem pytać.

– Czy wie pan, kto wyleciał samolotem Muztara Abbasiego?

– Nie mam żadnej pewności. Wiem natomiast z całą pewnością, że samolot został, hmm... powiedzmy uprowadzony.

– Co to znaczy „powiedzmy uprowadzony”?

– Że wprawdzie nie uzyskano pozwolenia na start, ale w samolocie wcale nie siedziała osoba niepowołana.

Redfern domyślał się, że za sterami siedział Ansar, ale musiał to usłyszeć od wiarygodnego świadka. Miał też nadzieję, że dowie się, kim była kobieta, która zginęła razem z chłopakiem.

– Czy zgłoszono to policji?

– Nie, nie mamy takiego obowiązku, bo, tak jak mówię, maszyna nie została skradziona. Zaraportowaliśmy to jedynie kontroli lotów w Heathrow, choć to również nie jest obligatoryjne. Niestety już po godzinie lotu samolot się rozbił.

– I nie skojarzył pan, że w Woking został zamordowany właściciel? – Redfern nie mógł uwierzyć, że coś takiego mogło komukolwiek umknąć.

– O morderstwie słyszałem – przyznał mężczyzna – ale nie dociekałem, kto zginął. W Woking nie bywam w ogóle. Mieszkam w Londynie i szczerze mówiąc, makabry tam mamy pod dostatkiem.

– Czy może pan jednoznacznie stwierdzić, kto odleciał z Fair Oaks? – Inspektor nabierał przekonania, że dyrektor z nim pogrywa.

– Jeden z mechaników widział, jak do samolotu wsiada pan Muztar z kobietą, ale jak mówiłem, pewności nie mam żadnej. Podobno próbował ich nawet zatrzymać.

– Czy nie dziwi pana zatem fakt, że po godzinie lotu maszyna rozbija się na plaży jak zabawka?

– Podzielę się z panem pewną teorią, która, mam nadzieję, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. Ostatecznie to moje lotnisko, więc śledziłem doniesienia prasowe, dużo myślałem. Moim zdaniem mężczyzna uciekał i w tej ucieczce wsiadł nie do tego samolotu.

– Pomylił samoloty?

– Otóż Muztar Abbasi miał u nas dwie maszyny. Jeśli chciał się dostać do Europy, a kierunek lotu i miejsce katastrofy właśnie na to wskazują, to wybrał nie ten samolot. Powinien wziąć cessnę 172, która na połowie mocy spokojnie przeleci tysiąc sto kilometrów. Tymczasem wyleciał piperem i zwyczajnie skończyło mu się paliwo.

– Skąd pan wie?

– Nie czytał pan gazet? – obruszył się dyrektor. – Świadkowie twierdzą, że słyszeli silnik, potem nastąpiła cisza, a następnie huk. Nie było ognia. To wskazuje na brak paliwa. To po pierwsze, a po drugie piper to mało awaryjny samolot, a nasi mechanicy dbają, by maszyny były w nienagannym stanie.

– Czy Muztar był doświadczonym pilotem?

– Oczywiście. Jest naszym klientem od wielu lat.

– To skąd pomyśl, że pomylił maszyny?

– Bo dzień wcześniej cesseną latał starszy z synów pana Abbasiego i zaraz po wylądowaniu wstawił maszynę do serwisu. Koło hangaru został więc tylko piper. Podejrzewam, że gdy pan Muztar się zorientował, że nie ma samolotu, było za późno na zmianę.

– A może to błąd pilota? Pogoda? – dopytywał Redfern.

– Mało prawdopodobne, jeśli wierzyć raportom meteorologów.

– Bardzo mi pan pomógł. – Redfern uznał, że usłyszał już wszystko. – Dziękuję. Czy miałby pan coś przeciwko, gdybym się trochę rozejrzał?

– Jeśli mam być szczery, to tak.

– Rozumiem. W takim razie jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

Podszedł do triumpha i przejrzał rzeczy, które była narzeczona wepchnęła do torby. Obok zapomnianej koszulki Stonesów i kilku par wyszukanych majtek pamiętających najlepsze momenty tego związku znalazł swoją starą skórzaną kurtkę oraz czapkę z daszkiem, która reklamowała gazetę „Independent”. Naciągnął ją na głowę na wypadek, gdyby jednak dyrektorowi przyszło do głowy obserwować go na kamerach, gęsto rozsianych po lotnisku.

Wywalił połowę rzeczy z torby i zarzucił ją sobie na ramię, a następnie założył skórę. Kamuflaż idealny. Pewnym krokiem minął centrum lotów i udał się do hangaru z napisem „Gama”. Na trawie stało kilka maszyn. Redfern rozpoznał pipera oraz kilka cessen.

Wślizgnął się do środka przez otwartą bramę i rozejrzał się. Hala pachniała smarem i kerozyną. Jeśli nie liczyć trzech samolotów, hangar był pusty. Gdyby tylko potrafił, Redfern mógłby odpalić którąkolwiek z maszyn i odlecieć. Zanotował to w głowie. Głos zza jednego ze skrzydeł uświadomił mu, że jednak się mylił.

– W czym mogę pomóc?

Do Davida zbliżał się dobrze zbudowany mężczyzna ubrany w drelichowe spodnie i niegdyś biały firmowy T-shirt. Miał kartoflowatą twarz i burzę blond włosów. Na złotej przypince Redfern przeczytał, że ma do czynienia z Jamesem.

– Szukam kogoś. – Machnął odznaką wydobytą ze spodni.

– Kogo? – Mężczyzna przyjrzał mu się nieufnie.

– Mechanika, który widział, jak ktoś ukradł samolot.

– Dobrze pan trafił – odparł, szczerząc się. – Nie ma go.

– A co w tym dobrego?

- Dobrze, bo musi pan wyjść. – Promieniał od udanego żartu.
- Bardzo śmieszne. – Redfernowi nie drgnął żaden mięsień. – Gdzie go znajde?
- Pochorował się biedaczek, jak go dyrektor zaczął o coś tam wypytywać. Wziął pół dnia wolnego. Najpewniej znajdzie go pan w domu.
- Daleko?
- W centrum Chobham. Za kościołem skręci pan w lewo w mały przesmyk między agencjami nieruchomości. Chyba Waterfalls i In Villages. Łatwo przeoczyć. Numeru nie znam, ale tam są tylko trzy domy. Nazywa się Mike Thain.
- Dam sobie radę, dziękuję. – Redfern skierował się do wyjścia. – U was zawsze tak pusto? – zapytał w pół kroku.
- Przerwa na lunch. – Mężczyzna wzruszył ramionami i wrócił do swoich zajęć.



Chobham o tej porze było jak hangar Fair Oaks. Tylko kilku facetów raczyło się piwem w pubie White Hart koło kościoła.

Mechanik miał rację – Redfern przegapił wjazd. Zawrócił na rondzie koło stacji benzynowej i złożył triumpha do ciasnego zakrętu. Słabo ustawiona zbieżność dała o sobie znać ostrym piskiem. Zaparkował na pierwszym wolnym miejscu i wysiadł.

Na placu faktycznie stały trzy domy, ale mechanik zapomniał wspomnieć, że to bliźniaki. David się rozejrzał. Szansa jeden do sześciu. Zadanie ułatwił mu czarny land rover wciśnięty w podjazd pierwszego domu. Redfern nie miał wątpliwości, z kim minął się w Fair Oaks.

Zapukał do drzwi. I jeszcze raz, i jeszcze, tym razem głośniej. Dzwonek odpowiedział tylko cichym cyknięciem. Pozostało mu tylko jedno. Schylił się do szpary na listy, uchylił klapkę i zbliżył do niej usta.

– Halo! Jest tam ktoś?

Cisza, choć wydawało się mu, że ktoś stoi blisko drzwi.

– Proszę otworzyć!

Jakiś szelest.

– Jestem z policji!

Słowo wytrych sprawiło, że ktoś po drugiej stronie zwolnił łańcuszek, a następnie zamek. Oczom Redferna ukazał się rozporek jeansów i skórzany pasek oblany brzuchem. Policjant wyprostował się szybko.

– Mike Thain?

– Tak. W czym mogę po... – Nagle na twarzy mężczyzny pojawiła się mieszanina furii i strachu. – Nie da się przed wami uciec, co? – wrzasnął. – Hieny cholerne!

Redfern zdał sobie sprawę, że na głowie wciąż miał czapkę reklamową z gazety „Independent”.

Mike Thain chciał zatrzaskać drzwi, ale trampek Redferna wysunął się na prowadzenie i wygrał wyścig. Jednocześnie policjant sięgnął do kieszeni i pokazał dokumenty. Ubrany w błękitną polówkę czterdziestolatek stopniął i skurczył się w sobie. Redfern pomyślał, że trochę za ostro zareagował, blokując drzwi.

– Obiecuję, że nie zajmę panu dużo czasu – zapewnił spokojnie. – Chodzi o...

– Wiem, o co chodzi – powiedział mężczyzna i wyszedł na ganek, nie wpuszczając policjanta do środka. Włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Powiesił jednego na wardze i odpalił.

– Niech pan pyta.

– Nie będę owijał w bawełnę. Kto zabrał maszynę z Fair Oaks?

– Muztar.

– Jest pan absolutnie pewien?

– Wszystko działo się bardzo szybko – odparł obronnym tonem mechanik. – Przygotowywałem akurat inny samolot do nocnego lotu, gdy zobaczyłem ich, jak przebiegają za hangarem. Trzymali się za ręce. Muztar i ta kobieta. Pobiegnę za nimi, ale za wolno. – Poklepał swój brzuch. – Potem usłyszałem ryk silnika pippera. Zakołowali i odlecieli. Nie mogłem nic poradzić.

– Nic więcej pan nie widział?

– Nic. – Wyglądał, jakby czegoś szukał w zakamarkach pamięci. – Niech pan poczeka.

Wszedł do domu, a kiedy wrócił, miał w ręku biały, płaski przedmiot.

– Wypadł im, kiedy wsiadali. Właściwie to chciałem go zatrzymać, ale jakoś tak wydaje mi się, że jest na nim krew. – Miał bardzo speszoną minę

i chyba spodziewał się co najmniej aresztowania. Redfern docenił jednak szczerłość i o nic więcej nie zapytał.

Obejrzał telefon. Najnowszy model Samsunga na próbę uruchomienia zareagował lekką wibracją, ale nie włączył się. Redfern miał nadzieję, że technicy będą w stanie coś z niego wyciągnąć. Z tą myślą schował aparat do kieszeni.

– Dziękuję panu.

– Czy to prawda, że pan Muztar nie żyje? – Na nalanej twarzy Thaina malowała się troska.

– Niestety.

– Niech pan jeszcze chwilę zaczeka – powiedział i ponownie zniknął w domu, a gdy wrócił, miał w rękach mały plik dwudziestek. – Pięćset funtów – szepnął. – Syn pana Abbasiego dał mi pięćset funtów, żebym powiedział, że ktoś inny wziął samolot. Myślałem, że po prostu chce zaszpanować przed dziewczyną albo nie wiem... zrobić ojcu na złość.

– Dał panu pieniądze za milczenie? – upewnił się Redfern.

– Wszystko przeze mnie... – Mike Thain się trząsł. – Gdybym się na to nie zgodził, to nic by się nie stało.

– A pamięta pan, jak Ansar się zachowywał, kiedy dawał panu pieniądze? Był zdenerwowany?

– Trudno poznać, co za taką brodą się kryje. Wydaje mi się, że mówił rzeczowo i spokojnie. Miałem pod żadnym pozorem nie mówić, kto wziął maszynę albo wymyślić jakieś kłamstwo. No i wymyśliłem...

Redfern zostawił mężczyznę na podjeździe i wszedł do triumpfa.

Siedział przez chwilę w aucie, odpierając chęć napicia się czegoś mocniejszego. Obawiał się, że jeśli zatopi kłopoty w półlitrowce, to jego nadwyrężony żołądek zafunduje mu przejazd na sygnale do szpitala St. Peter's. Odpalił silnik i odjechał w stronę jedyne miejsce, gdzie mógł skutecznie zaważczyć o abstynencję.



Dzień powoli umierał, zostawiając na horyzoncie krwistoczerwone i brunatne plamy. Mimo to szpital The Priory wydał się Redfernowi dużo przyjaźniejszy niż za pierwszym razem. Nawet Linda wyglądała lepiej

i choć jej matowe oczy wciąż unikały bezpośredniego kontaktu, dała się nawet namówić na spacer wokół ośrodka.

– Jak sobie radzisz? – spytała, gdy znaleźli się w parku.

– To moje pytanie. – David się uśmiechnął.

– Nie świruj, mów – powiedziała, naciągając mocniej na uszy wełnianą czapkę. – Słyszałam, że macie kociół w firmie.

– Kto ci powiedział?

– Tinney tu był.

– Mogłem się domyślić. Nie ma czasu sprawdzać tropów, za to na herbatkę jak najbardziej.

– A ty co? McMahan? – ofuknęła go. – Zręczysz jak stary gliniarz. Chris to zdolny policjant, ale oboje wiemy, że przydział do Old Woking równał się zawodowej śmierci. Wkurza go, że McMahan nie chce go awansować.

– No to niech przestanie pretendować do roli szeryfa Pierdołowa i zamiast osłaniać je własną pierśią, weźmie się do prawdziwej roboty.

– To nie jest takie proste, Dave – odparła. – Jego staruszek zginął na służbie dla Metropolitan Police. Zostawił Chrisa samego z siostrą, a co z niej wyrosło, to już wiemy. Puszka zawsze chciał być gliną, ale mając pod opieką siostrzenice, wybrał bezpieczne Police Community Support w Old Woking. No i naraziło się biedaczysko na kpiny „prawdziwych” policjantów. Już nie wspominając, że...

– Wiem, wiem. Dupa ze mnie, a nie szef zespołu.

– Ej, nie samobiczuj się tutaj. Po prostu ludzie to nie sprawy do rozwiązania. Rusz trochę to swoje gliniane serce. – Pacnęła go w ramię jak starego kumpla, a on miał wrażenie, że gdzieś już to słyszał.

Zbliżali się do końca parku, który od reszty świata odcinało niskie drewniane ogrodzenie. Chrząszczący pod ich stopami żwir spłoszył pasące się konie. W dogasającym świetle dnia ich ciepłe oddechy odznaczały się złotymi kłębamii pary.

– A jak reszta? Summer się sprawuje?

Redfern wiedział, że Linda o to zapyta. Chciała wiedzieć, czy młoda policjantka jest w stanie ją wysadzić z siodła.

– Radzi sobie – odparł, czując, że wkracza na pole minowe. – Wydaje mi się, że coś ją łączy z McMahanem.

Linda uniosła brwi, ale nie odpowiedziała od razu. Pokiwała głową w zamyśleniu, przyglądając się kraciastym derkom koni.

– To by się w sumie zgadzało – rzekła.

– Jak to?

– No wiesz, ten jej nagły przydział do zespołu. Puszka mówił mi też, że słyszał kiedyś ich kłótnię i podobno padło słowo „żona”.

– Cholera, mam wrażenie, że wiele mi w tym zespole umyka. W Londynie wszystko było prostsze, ludzie przychodzili do pracy, robili swoje i wychodzili.

– Małomiasteczkowy smrodliwy klimacik, mój drogi, radzę przywyknąć.

Czwartek, 7.11.2013, wieczór

W domu przywitał go ucieszony Bandit. Redfern wypuścił psa do ogrodu, nie dbając o to, co szczeniak na nim zostawi, po czym otworzył wszystkie okna i delektował się chłodnym powietrzem wieczora. Rzucił kilka razy piszczącą piłeczkę, którą piesek uwielbiał. Nie widział go, ale słyszał, jak małe, ostre zęby wbijają się w gumę, sprawiając, że lodowate powietrze raz po raz przecina przeraźliwy pisk.

Czuł się dziwnie rozpalony, więc zdjął spodnie i półnagi przygotował sobie kolację – jajecznicę i fasolkę w sosie pomidorowym. Oderwał od stołu przyklejone wydruki zrzutów ekranu, które dostał od Summer. Dziewczyna miała rację – niczego na nich nie było.

Miał przed sobą długą noc z raportami, na które kompletnie nie znajdował siły. Wisząc nad talerzem, myślał o Patricii i usiłował uchwycić moment, w którym ich związek stanął nad przepaścią. Sądził, że chodziło głównie o to, że nie mogli mieć dzieci. Lekarz podczas długiej rozmowy wyjaśnił, że technicznie rzecz biorąc, nic nie stoi na przeszkodzie. Są w idealnym wieku, zdrowi, przygotowani. Praktyka jednak pokazała co innego. W pierwszym odruchu zrzucili wszystko na pracę i przemęczenie – ona kończyła aplikację adwokacką, on zaharowywał się w Narodowej Agencji do spraw Przestępczości. Jednak trzytygodniowe wakacje na Malediwach nie przyniosły upragnionych rezultatów. Każde zaczęło więc na własną rękę rozglądać się za winowajcą, a wnioski z tych poszukiwań przemycali między wierszami rozmów i późniejszych kłótni.

Sprawa Adriana nie ułatwiała dialogu. Redfern był idiotycznie zazdrosny o czas, który Patricia spędzała z bratem, unikał z nimi kontaktu. Wiedział, że to pograża przyjaciela, a jednak nie umiał się przełamać, by poświęcać mu każdy wieczór. Poza tym wciąż miał wątpliwości, co tak naprawdę

zaszło w Dover. Nie potrafił zdobyć się na szczerą serdeczność wobec niedawnego partnera ani nawet udawać, gdy z tyłu głowy brzęczał alarm.

Reszką sił wstał od stołu, żeby włożyć ubrania do pralki. Z rzuconych na podłogę spodni wypadł biały telefon. Zwabiony hałasem Bandit przybiegł i radośnie zamerdał ogonem. Nie zwracając na niego uwagi, Redfern odszukał w szufladzie pod telewizorem jedyną ładowarkę z USB, jaką miał. Na szczęście samsung był tylko rozładowany i po chwili wyświetlił się ekran powitalny. Po arabsku.

Redfern sięgnął po swojego iPhone'a i włączył aplikację Word Lens. Niedawno Apple zaskoczył świat programem umożliwiającym szybkie przekłady. Wystarczyło nakierować aparat na tekst, a na ekranie pojawiał się już przetłumaczony. Inspektor wybrał odpowiedni zestaw języków i skierował aparat na telefon Ansara. Na ekranie pojawił się angielski tekst. Wyglądało to tak, jakby Redfern oglądał telefon pod lupą. Uzbrojony w ten sposób znalazł menu, zmienił ustawienia języka i samsung przestał być tajemnicą.

Nie wiedział właściwie, czego szukał i co telefon mógłby mu powiedzieć o wydarzeniach tamtej nocy. Poszukiwania bardzo utrudniały wciąż przychodzące SMS-y. Wybrał ostatnie połączenia. Były tylko dwa, jedno przychodzące o 0:57, a drugie wychodzące o 0:59. Dzwonił Ismail. Rozmawiali przez dwadzieścia sześć sekund. Przez dwadzieścia sześć sekund można komuś co najwyżej życzyć dobrej nocy. Redfern wątpił, by bracia kochali się aż tak bardzo. Po rozłączeniu z Ismailem Ansar zadzwonił do .H. Redfern nie miał pojęcia, kim jest .H. Mógł się tylko domyślać, że ktoś ważny, skoro mężczyzna dopilnował, żeby osoba ta znalazła się na pierwszym miejscu na liście kontaktów. Z .H rozmawiał przez jedenaście sekund.

Redfern chciał wybrać ten numer, ale nie mógł się zdradzić, że ma telefon. Otworzył więc galerię. Zajmowała prawie całą kartę pamięci, choć nie znalazł żadnego filmu. Widział zdjęcia roześmianej Zimal w parku rozrywki Chessington, jakąś uroczystość rodzinną, kilka widoczków. W albumie z zapisanymi obrazami obok kilku śmiesznych memów zobaczył coś, co zjeżyło mu włosy na karku.

Zmył talerz i zaparzył herbatę. Ból stawów znów dał o sobie znać ostrym kluciem w kolanach, a mięśnie nóg rozrywały mu tysiące ostrych haczyków. Odruchowo pomasował oba uda, ale ucisk tylko spotęgował

nieprzyjemne uczucie. Zaczynał poważnie rozważać podanie sobie zastrzyku metotrexatu. Przez koszulkę dotknął swojego brzucha, pokrytego licznymi zgrubieniami. Myśl o kolejnym zroście sprawiła, że odrzucił tę o strzykawce.

Noc zdążyła już poprzyklejać gwiazdy do czarnego materiału. Powietrze stało się ostre. Zerwał się wiatr. Redfern zamknął okna i wślizgnął się do łóżka, zapominając o parującym w kuchni kubku. I raportach. Powoli cały chaos informacji, które do niego docierały, zaczął składać się w spójny obraz. Musiał tylko sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

ROZDZIAŁ IV

W płytkiej studni prawda kona.

Tom Waits, *Starving in the Belly of Whale*,

przeł. Kazimierz Staszewski

Piątek, 8.11.2013, rano

Obudził się jak na ciężkim kacu. Przeładowany wczorajszymi emocjami pierwsze kroki skierował do łazienki. Łyknął cztery naproxeny, zapijając wodą z kranu. Miał wrażenie, że kamień strzela mu w zębach. Rzucił przepocone bokserki w kąt i wszedł pod prysznic. Po szybkim spacerze z Banditem i jeszcze szybszym śniadaniu stanął w przedpokoju gotowy do wyjścia. Gdy wiązał trampki, poczuł na sobie wzrok szczeniaka, który położył się na podłodze i łypał na niego smutno.

– Jak trochę podrośniesz, to będziesz ze mną jeździł – powiedział. – Jesteś jeszcze za młody do tej roboty. – Poglaskał pieska po głowie i obiecał: – Będę niedługo, a wtedy porzucam ci piłkę, żebyś wyrósł na dużego psa, jak ten Dusty. I od dzisiaj żadnej toruńskiej.

Prostując się, zobaczył swoje uśmiechnięte odbicie w lustrze i z dezaprobatą przejechał ręką po twarzy.

– Jezu, gadam do psa – powiedział i wyszedł.

Szpital St. Peter's w Chertsey przypominał miasteczko. Wraz z sieciami uliczek posplatanych w ciasne ronda był istnym labiryntem. Oddział psychiatrii znajdował się w najodleglejszym budynku kompleksu. Redfern zaparkował jednak na pierwszym wolnym miejscu i resztę drogi przebył pieszo, gubiąc się dwa razy.

Spodziewał się awantury z którymś z członków rodziny Zimal, jednak przed salą, w której dochodziła do siebie mała, czekała na niego tylko psycholożka. Korpulentna kobieta po pięćdziesiątce miała na sobie czarne spodnie i szarą bluzkę przyozdobioną broszką z wielkim kotem, na głowie

czarny hidżab, na nogach zaś crocsy – zakałę przemysłu obuwniczego i zbawienie personelu medycznego. Kashmala Tariq nie była przekonana, czy słusznie postępuje, wpuszczając Redferna do sali, w której przebywała mała pacjentka. Dopiero gdy powiedział jej, że w świetle prawa dziewczynce nie musi towarzyszyć nikt z opiekunów, odpuściła.

– Będę z panem szczerą – oznajmiła, gdy wymienili uprzejmości. – Obawiam się, że nic pan nie wskóra. Od czasu tego – zawiesiła głos, szukając właściwego słowa – wypadku Zimal nic nie mówi. Dziś jest na lekach i może być nieco apatyczna.

– Poradzę sobie – odparł twardo Redfern, zostawiając ją w hallu.

Po chwili jednak kobieta uchyliła drzwi i dołączyła do niego. Zajęła miejsce w kącie pokoju i na przyniesionej podkładce zaczęła sporządzać notatkę.

W sali, która wystrojem przypominała huczną imprezę urodzinową, ktoś groteskowo ustawił szpitalne łóżko, na którym siedział szkielet ubrany w fioletową piżamę. Pokój wypełniony był maskotkami, balonikami i kartkami z życzeniami. Na ich tle Zimal wyglądała makabrycznie. Pluszaki Redfern mógł jeszcze zrozumieć, ale balony nie mieściły się w jego wyobrażeniu o rekonwalescencji. Ktoś założył, że foliowa torba wypełniona helem pomoże przewyciężyć tragedię dziewczynki, a kolorowa kartka przesłoni obraz, który zobaczyła tamtej nocy. Zimal Abbasi nie złamała nogi podczas jazdy na rolkach, nie miała też wycinanych migdałków. Zimal Abbasi widziała odcięte głowy swoich rodziców i pokój tonący we krwi.

Redfern przysunął sobie do łóżka stołek i usiadł. Dziewczynka nie spojrzała na niego. Zastygła w pozycji siedzącej, a jedyną ruchomą częścią jej ciała były powieki i wątłe dłonie, które miętosiły małego pluszaka. Redfern usiłował złapać choć strzępek spojrzenia.

– Cześć, jestem David – przywitał się, a Zimal tylko skinęła głową. – Musisz mieć bardzo dużo przyjaciół. Tyle kartek, prezentów. Pewnie już bardzo chcą cię zobaczyć, dowiedzieć się, jak się czujesz. Jak myślisz?

– Chyba tak – szepnęła.

– Twoja pani ze szkoły powiedziała, że jesteś świetna w rysunkach i chętnie pomagasz innym dzieciom na zajęciach plastycznych.

Potaknęła, wciąż przyglądając się swoim chudym kolanom.

– To super. – Ucieszył się. – A zatem wierzę, że mnie też pomożesz narysować pewien obrazek.

– Spróbuję – powiedziała Zimal tak cicho, że właściwie Redfern odczytał to z ruchu jej spierzchniętych warg.

– Chodzi mi o tamten wieczór...

– Ja nic nie wiem, naprawdę. – Pokręciła energicznie głową, a jej czarne włosy rozsypały się z luźno związanego kucyka.

– A pamiętasz, co robiłaś tamtego dnia?

– Byłam z koleżanką w galerii.

– Co kupiłaś?

– Poszliśmy do kina.

– Na co? – zainteresował się. Nagłe skrzypnięcie krzesła w rogu sali przypomniało mu, że nie są sami. Psycholożka wstała i pokazała na komórkę, którą trzymała w dłoni. Redfern podniósł kciuk w górę i Kashmala Tariq wyszła.

– Na *Carrie* – wyznała Zimal po namyśle, w ogóle nie zwracając uwagi na wyjście kobiety.

– To horror, prawda? – dopytywał Redfern, mając na myśli sfilmowane dzieło Stephen Kinga.

– Tak.

Inspektor przypomniał sobie makabryczne okładki gier z pokoju Ansara.

– Twój brat też lubi horrory, co nie?

– Tak.

– Był w domu, gdy wróciłaś?

– Tak. Wieczorem pojechał do pracy. Nie podobało mu się, że oglądałam ten film, a sam gra w takie straszne gry.

– Starsi bracia już tacy są. – Uśmiechnął się serdecznie, a dziewczynka pierwszy raz na niego spojrziała.

– Widziałaś się później z Ansarem?

– Nie, nie zdążyłam dać mu kwiatków, a on pojechał do pracy.

– Jakich kwiatków? – zdziwił się Redfern.

– Rano kazał mi kupić na ryneczku koło galerii najładniejszy bukiet, jaki znajdę.

Redfern nie pamiętał, żeby w domu zamordowanego małżeństwa widział jakiegokolwiek kwiaty.

– Tata, jak je zobaczył, to się bardzo zdenerwował. Wyzywał na Ansara, a potem wyrzucił je do kompostownika. A takie były ładne.

– Co krzyczał?

– Nie pamiętam – pokręciła bezradnie głową. – Potem czekałam, aż Ansar wróci, żeby mu o wszystkim opowiedzieć, ale zasnęłam przy biurku. Śniła mi się Carrie.

Redfern czuł, że jest jeszcze za wcześnie, by pytać dziewczynkę o okoliczności znalezienia rodziców. Nie był pewien, czy zmuszanie do tych wspomnień niewinnego dziecka może w jakikolwiek sposób popchnąć sprawę do przodu.

– A Ismail, twój starszy brat, pozwoliliby ci oglądać *Carrie*?

– Nie, on jest taki jak tata. Na nic nie pozwala.

– Musi być jednak dobrym bratem, skoro zadzwoniłaś do niego w nocy.

– Tak. Ismail jest dobrym bratem – powtórzyła jak automat.

– A co było później?

– Nic – odrzekła, jakby w jej głowie natychmiast zatrasnęły się wszystkie furtki prowadzące do tamtej makabry.

Redfern zdał sobie sprawę, że źle sformułował pytanie. Musiał zrobić krok w tył, żeby nie spłoszyć dziecka.

– Wiem, że Ismail przybiegł do ciebie na pomoc.

Dziewczynka znów tylko kiwnęła głową i wróciła do miętoszenia pluszowego króliczka.

– To super. Dobrze mieć takiego brata, na którego można liczyć.

Kiwnięcie.

– Twoje biurko stoi przy oknie, prawda?

– Tak.

– Rysujesz czasem to, co za nim jest?

– Samochody, ale tata mówi, że to niedobrze.

Redfern ograniczył komentarz do mruknięcia, które nie zdradzało, co naprawdę myśli o podcinaniu dzieciom skrzydeł. Chciał zadać kolejne pytanie, ale przerwała mu wibrująca w kieszeni komórka. Odrzucił połączenie, ale aparat po chwili znów zaczął dzwonić. Posterunkowy Tinney nie dał się zbyć.

– Przepraszam cię, ale muszę odebrać – zwrócił się do Zimal, ale ona wciąż wpatrywała się w zabawkę. – Co tam, Puszka?

– Słuchaj, spóźnię się nieco na zebranie, bo mam awarię z siostrzenicami
– mówił szybko, a Redfernowi się wydawało, że w tle słyszy płacz dziecka.
– Weź mnie kryj przed McMahonem. Podobno ma być, a ja i tak już mu podpadłem.

– Nie ma sprawy. Widzimy się w firmie – powiedział Redfern i się rozłączył.

– Puszka – powtórzyła dziewczynka. – Śmiesznie.

– Widziałaś kiedyś kiedyś *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*?

– Tata mówi, że magia jest *haram* – odparła.

Redfern chciał skomentować, że film o nawiedzonej dziewczynie tym bardziej jest nieczysty, ale zamiast tego powiedział:

– To film o sympatycznej dziewczynce, która szuka pewnego pana i pomaga innym, czyli jest trochę jak ty.

– A jest na Netflixie? – zaciekała się.

– Nie mam pojęcia, ale obejrzyj koniecznie. Jest tam taki blaszany drwal. Jak na niego spojrzysz, to zobaczysz mojego kolegę Chrisa. Możesz spróbować go narysować.

– Jestem bardzo zmęczona – oznajmiła i wciągnęła nogi na łóżko.

– Jasne, połóż się – powiedział Redfern, nakrywając ją wiszącym na oparciu kocem. – Dziękuję ci za pomoc.

Podszedł do drzwi i chwycił za klamkę.

– Proszę pana? – usłyszał słabiutki głosik z głębi pokoju.

– Tak, Zimal?

– Pani w czerwonych włosach. Na ulicy – szepnęła i zamknęła oczy, a Redfern stwierdził, że jest coraz bliżej prawdy.

Siedział w samochodzie i przeglądał zdjęcia w telefonie, który Ansar zgubił na lotnisku. USG podpisano Amelie Harbour i oznaczono datą dwudziesty ósmy października i notatką o płci dziecka. Chłopczyk, który rósł pod sercem ukochanej Ansara, miał szesnaście tygodni, kiedy jego rodzice zdecydowali się na dramatyczną ucieczkę. Redferna ścisnęło za gardło. Odszukał na Facebooku kobietę z Chobham i przejrzał jej tablicę. Na ostatnim zdjęciu, z sierpnia, jej twarz okolona była kosmykami czerwonych włosów.

Nagle przeglądanie zdjęć przerwał mu komunikat z własnego telefonu. Ktoś dzwonił do niego na Skypie.

– Coś się stało? – Nacisnął zieloną kamerkę.

– A musi się coś stać, żeby dziadek zadzwonił do wnuka? – obruszył się Siwiaszczyk. – Wszystko w porządku? Bo wyglądasz jak śmierć na chorągwi.

– Dzięki – skwitował Redfern i uśmiechnął się, by zatrzeć ślady przemęczenia i stresu.

– Ruszyło się coś? – dopytywał dziadek.

– Sam nie wiem – mruknął niechętnie. – Jeśli chodzi o to podwójne morderstwo, to wszystko jest bardziej skomplikowane, niż zakładałem na początku.

– A co zakładałeś?

– Że to mafijne porachunki albo kwestie religijne. Z drugiej strony tutejsza mafia nie afiszuje się ze swoimi usługami sprzątającymi. – David próbował żartem zamaskować rosnącą frustrację. – A tak poważnie, to sprawa wygląda mi na porachunki, ale rodzinne. Po śmierci tych dwojga znika ich młodszy syn i dziwnym trafem ginie w katastrofie lotniczej wraz z ciężarną kobietą, która, jak mi się zdaje, została rozpoznana na miejscu zdarzenia.

– To mieli też starszego syna?

– Tak, ten najpierw zeznał, że o śmierci rodziców dowiedział się od sąsiada dopiero rano, ale wyszło na jaw, że jednak od siostry przez telefon. Problem polega na tym, że dziewczynka zadzwoniła na policję dopiero koło szóstej.

– Dziwne.

– Mówił, że to w wyniku szoku, ale sam nie wiem. Na miejscu zbrodni znaleźliśmy jedynie odcisk buta. Ktoś duży i ciężki, więc to nie Ismail. No i ta świńska krew. Możesz się śmiać, ale podświadomie mu wierzę. Przynajmniej częściowo.

– A ta kobieta pod ich domem?

– Czerwonowłosa. Tyle się dowiedziałem.

– A ta Wolańska nie jest przypadkiem ruda?

– No jest.

– Ten telefon, który odebrała od Polaka, nie dawał mi spokoju – zaczął ostrożnie Bohdan.

– OK, ale co to ma wspólnego z Monument Road?

– Bo pani Wolańska ma w Polce kartotekę. Zabójstwo w afekcie.

Redfernowi ścierpła skóra na całym ciele, a żołądek ścisnął zimny skurcz. Milczał przez chwilę, wpatrując się w truchtającą ku niemu kobietę.

– Jesteś?

– Oddzwonię do ciebie – powiedział i rozłączył się, odsuwając szybę.

Psycholożka dobiegła do auta zdyszana. Redfern zauważył, że zmieniała klapki na pełne buty. Minęła chwila, zanim złapała oddech.

– Wyszedł pan tak nagle, że nie zdążyłam pana zapytać o Zimal – powiedziała, ale patrząc na twarz Redferna, dodała: – Dobrze się pan czuje?

– Tak – odparł zza grubej kotary własnych myśli. Ostatnio tak często słyszał to pytanie, że odpowiedź przyszła automatycznie. – Wszystko w jak najlepszym porządku.

– Jedzie pan może do Woking? – zapytała kobieta z nadzieją w głosie. – Nie chce mi się czekać na 446. Wieczorem znów mam nocny dyżur, zanim obrócę, to...

– Jasne, proszę wsiadać – zaproponował, choć uczucia, które krążyły pod skórą, nie nastrajały do rozmów z wesołą psycholożką. Tym samym położył plan wprowadzenia w życie asertywności.

– Ma pan podejście do dzieci, wie pan? – zagadła, gdy mijali parkingowy szlaban.

– Jest pani pierwszą i zapewne jedyną osobą, która tak twierdzi.

– Chyba nie spotkał pan na swojej drodze zbyt wielu miłych ludzi – zadumała się. – W każdym razie zanim wezwano mnie na oddział położniczy, słyszałam część pańskiej rozmowy z Zimal i muszę przyznać, że świetnie pan sobie poradził.

– Dziękuję – mruknął i wjechał na rondo, a z niego odbił na długą prostą, która wbijała się w Woking.

– Bez rodziny Zimal jest zupełnie innym dzieckiem – wyznała Kashmala Tariq. – Oni otoczyli ją bardzo szczelnie i o ile wsparcie bliskich jest w takich sytuacjach bezcenne, o tyle w tym przypadku uważam je za nadmierne, jeśli nie szkodliwe. Szczególnie ten jej brat, Ismail.

– Może chce ją zwyczajnie chronić?

– Wie pan, ja mam wrażenie, że to nie dziecko ma być chronione.

– To znaczy?

– To znaczy, że całe to milczenie to nie jest trauma, ale rozkaz brata. Zimal to bardzo dzielna dziewczynka. W życiu nie widziałam aż tak

twardego dziecka, a może być pan pewien, że mam różnych pacjentów. Myślę, że Zimal szybko stanie na nogi.

– Straciła rodziców w najgorszy z możliwych sposobów. – Redfern powątpiewał w optymizm psycholożki.

– Wie pan, ile dzieciaków z obozu dla uchodźców przerobiłam w ostatnim czasie? Przyjeżdżają tu, a ich oczy są pełne śmierci. Widziały w rodzinnej Syrii takie rzeczy, że nawet pan sobie nie wyobraża. Potem dostają się tutaj, żyją w warunkach, o jakich lepiej nie wspominać, pomagamy im, a one wspaniale rosną, zapominają. Zimal sobie poradzi, jestem pewna – podsumowała, patrząc na przesuwające się za oknami drzewa. – Natomiast wciąż nie wiadomo, co z tą małą zaginioną dziewczynką – dodała smutno. – Wiem, że nie wolno panu o tym mówić.

Kiwnął głową powoli, choć czuł, że za chwilę eksploduje od nadmiaru myśli. Miał ochotę wysadzić psycholożkę na środku drogi i zadzwonić do Siwiaszczyka.

– Będzie pan jechał koło stacji? – Kashmala przerwała milczenie. – Tam bym wysiadła i złapała 34 do Kingfield.

Redfern spojrział na zegarek, który wskazywał, że za chwilę podzieli los Tinneya i sam się spóźni na odprawę. Nie zdąży już zadzwonić do dziadka. Zamiast trzymać się Guildford Road, wpadł prosto do miasta i odbił w lewo na stację kolejową. Wysiadając, psycholożka przedłużała pożegnanie niekończącymi się podziękowaniami. Kiedy wreszcie życzyła mu miłego dnia, odjechał, prawie zrywając zabytkową kostkę z jezdni.



Kiedy wszedł do sali, zespół był w komplecie. Nawet posterunkowy Tinney dotarł przed czasem. Trzech policjantów od Summer usiadło w rogu stołu, pofatygowało się kilku od Johanesa, zapewne popchnięci przez starego glinę. Redfern kojarzył, że byli z dzielnicy, w której zamordowano Abbasich. Uznał, że można zacząć burzę mózgów. Przedstawił im to, czego się dowiedział, ale po krótkiej wymianie zdań okazało się, że zamiast burzy mieli wiosenną mżawkę. Ktoś postulował zatrzymanie Ismaila, ktoś odparł, że Elsa uzna zeznania mechanika za słaby dowód, a Redfern potwierdził, że prokuratorka na to nie pójdzie. Tinney się upierał, że wszystko wskazuje na

Ansara, bo miał najsilniejszy motyw, z kolei Summer – że najważniejsze jest powiadomienie rodziny Amelie Harbour.

Redfern był zły. Na tym etapie potrzebował spoiwa, otwartego spojrzenia na sprawę i konkretów, a nie propozycji chaotycznych działań. Wstał, sięgnął po flamaster, który leżał pod białą tablicą, i zaczął na niej pisać.

0:22 – telefon Zimal do Ismaila (Ismail zaprzecza)

0:40 – odbicie karty w Tesco przez Ansara (potwierdzone)

0:47 – telefon od Ismaila do Ansara (zaprzecza)

0:49 – telefon Ansara do Amelie (potwierdzone)

1:45 – kradzież samolotu

2:30 – katastrofa

6:10 – powiadomienie policji o zwłokach przez Zimal

Wszyscy umilkli, przyglądając się zapiskom. Ostatnia ucichła Summer i Redfern zdążył podchwycić, że powiedziała coś o Wolańskiej, która była na komendzie dopytać o list od porywacza. Przypomniało mu to rewelacje, które przekazał mu Siwiaszczyk, i poczuł, że traci grunt pod nogami. Ze wszystkich sił starał się skupić na osi sprawy.

– Mamy kilka dziur, które musimy uzupełnić – powiedział i wskazał na ostatnią linijkę. – Wciąż nie wiemy, co przez ten czas robił Ismail. Według mnie te parę godzin jest dla nas kluczowe, żeby znaleźć mordercę.

– Nie możemy sobie pozwolić na spekulacje – zawyrokował Tinney. – Trzeba przesłuchać Ismaila. Prawdopodobnie zna sprawcę i go ukrywa.

Summer pokręciła głową.

– No więc co? – zaatakował posterunkowy.

– Też uważam, że musimy przesłuchać Abbasich, ale nie Ismaila, tylko jego żonę. Jako jedyna z tej rodziny trzyma się z boku. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że to tylko teściowie, to jednak wydaje się to trochę dziwne.

Redfern pokiwał głową z uznaniem i wstawił znak zapytania nad pierwszą linijką.

– O której na moście na Monument Road pojawia się tajemnicze auto? – Spojrzał na Tinneya, który tym razem był przygotowany.

– Na kamerach z firmy bieliźniarskiej widać, że o jedenastej.

– Czyli w czasie, gdy Ansar jest w pracy, a mała Zimal czeka na niego w domu. Nie słyszy włamywaczy, więc o tej porze ich jeszcze nie ma. Co jeszcze mamy?

– Tablice są nieczytelne, zresztą z tej odległości to nic dziwnego. Ma zapalone światła postojowe i przez to trochę trudno określić markę, choć według mnie to ford mondeo. – Wyciągnął z plecaka zdjęcia i pokazał reszcie.

– Albo stara omega.

– Wiem natomiast na pewno – Tinney dał znak, że się zgadza – że wysiada z niego kobieta, raczej drobnej budowy. Możecie zobaczyć na odbitkach. Poza tym w aucie jest jeszcze kierowca, który opuścił pojazd i przebiegł na drugą stronę ulicy. Niestety nagranie jest za słabe, żeby stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta. W każdym razie widać, że stoi przed mostem i rozmawia przez telefon.

– Może auto im się popsuło? – podrzucił ktoś z sali. – Przecież nikt nie zatrzymuje się na środku mostu, bo to z miejsca wzbudza podejrzenia.

– Auto tak naprawdę nie stoi na moście – zauważyła Summer. – Zobaczcie, jak się przyjrzeć, to oni zaparkowali w starej zatoce autobusowej.

– Czy ona coś wyciąga z bagażnika? Niesie coś?

– Nie, ma puste ręce. Potem oboje idą Monument Road, wracają po półgodzinie i odjeżdżają. To mogą być oni.

– No właśnie nie. – Tinney wyglądał tak, jakby tylko na to czekał. – Oni, owszem, idą Monument Road, ale w przeciwnym kierunku. Jak dla mnie to spacerowicze, którzy albo poszli na nocne zwiedzanie muzeum cmentarza wojskowego, albo...

– Albo weszli na biegnącą wzdłuż kanału tak zwaną ścieżkę Saturna i ominąwszy park przemysłowy, doszli do domu Abbasich – dokończyła Summer, na co Tinney powiedział coś zgryźliwego.

Redfern miał ochotę skomentować ich zachowanie. Ostatecznie skapitulował, ale spodziewał się ciągu dalszego. Jak na razie tarcie między Puską a Summer wywoływało tylko iskry, ale obawiał się, że groziło poważnym pożarem. Sam miał w zanadrzu kilka dREW, jednak nie zamierzał ich dorzucać.

– Nie jestem pewien, ale po ostatnich aktach wandalizmu chyba zamontowano kamerkę przy wejściu na ten cmentarz – zasugerował policjant siedzący na rogu stołu. – Swoją drogą, nie rozumiem, po co ludzie to niszczą. Przecież tam nawet nie ma zwłok tych muzułmanów.

– A gdzie są? – dopytał Redfern, by rozładować napięcie i dać zespołowi trochę odetchnąć. Poza tym od sprawy Millerów stare cmentarze przyciągały go swoją historią.

– Chyba z końcówką lat sześćdziesiątych przenieśli całą dwudziestkę poległych w pierwszej wojnie do Brookwood, a ziemię znów przejęło Horsell.

– A po co w ogóle go zakładali?

– Bo walczyli z propagandą sianą przez Niemców, że niby Brytyjczycy nie chowają muzułmańskich żołnierzy hinduskich zgodnie z obrządkiem.

Redfernowi słowo „obrzątek” wbiło się w głowę, a zaraz po nim „propaganda”. Krew rozlana w pokoju była manipulacją kogoś, kto wiedział, że wystraszy religijne osoby, sprowokuje, zburzy ich ład.

– OK – powiedział głośno, tak żeby wszystkie głosy ucichły. – Spotkamy się jutro rano. Summer, ty pójdziesz ze mną. Puszka, dalej kopiesz w sprawie tej dwójki z mostu. Muszą się znaleźć.

Redfern wyszedł z sali, a za nim podążyła Summer. Rumieniec na jej policzkach zdradzał podekscytowanie. Zeszli schodami prowadzącymi na tył komendy, ale na progu zatrzymała ich Bente Hansen, która właśnie wchodziła do budynku.

– Inspektorze Redfern, musimy porozmawiać.

– Wiem. Pracujemy ze wszystkich sił.

– Tyle że nie widzę wyników – powiedziała z naciskiem na ostatnie słowo. – Już nie wspomnę o tym, że nie odbiera pan telefonów ode mnie.

– Wszystko w swoim czasie, pani prokurator, a na razie muszę przeprosić, trochę mi się spieszy – oznajmił i ominął ją.

– Proszę do mnie zadzwonić – dotarło do niego, zanim drzwi się zatrzasnęły.

Wsiedli do samochodu. Summer spojrzała na Redferna pytająco, ale inspektor nie zamierzał niczego wyjaśniać. Żeby przerwać przedłużającą się ciszę, włączył radio. W BBC właśnie zaczynały się wiadomości. Słuchali w milczeniu komentarza meteorologa na temat siły tajfunu Haiyan, który parę godzin temu z pełną siłą uderzył w Filipiny. Kiedy specjalista ogłosił, że liczba ofiar jest szacowana na ponad sześć tysięcy, Redfern sięgnął do odbiornika.

– Dość tej makabry – rzucił i przekręcił stare pokrętło, sprawiając, że sierżantka odzyskała głos.

– Co się stało?

Ważył chwilę myśli, zastanawiając się, czy dobrze robi, po czym przedstawił wszystko, czego dowiedział się w szpitalu. Pomiął jedynie wiadomość od Siwiaszczyka. Uznał, że póki nie pozna całej prawdy, nie podzieli się tym z nikim.

– Nie spiesz się z wyrokiem – powiedział ostrożnie. – Co ci mówi nazwisko Harbour?

– Ofiara z samolotu w Deal. Rozmawiałam z jej rodzicami. To asystentka nauczycielki z Westfield Primary School, konkretnie z klasy Zimal.

– To ona radziła Wolańskim zabranie dzieci ze szkoły.

– No fajnie, ale co z tego wynika? – Podniosła nagle głowę. – Cholera... Tylko mi nie mów, że...

– Lepiej. – Redfern pokazał jej telefon Ansara. Na ekranie było zdjęcie z USG podpisane „Amelie Harbour”. – Mogę ci nawet przedstawić scenariusz tamtej nocy. Ansar oświadcza, że ma ciężarną dziewczynę. Rodzice nie zgadzają się na ślub z Amelie, więc młodzi w jakiś sposób ich zabijają i uciekają.

– Trochę im nie wyszło z tą ucieczką – skwitowała Summer z chłodem, który zupełnie do niej nie pasował. – Jak to się mówi? Karma?

– Najwidoczniej – zgodził się David, choć w głowie huczał mu wir myśli.

– Dyrektor lotniska sprzedał mi ciekawą hipotezę. Według niego pilot pomylił samoloty i wybrał ten o małym zasięgu. Skończyło mu się paliwo i samolot runął na plażę.

– To się trzyma kupy. Do momentu, aż dojdziemy do tematu świńskiej krwi. I Zimal, która powiedziała ci, że widziała rudą kobietę koło ich domu. Ile znamy rudych związanych z tym śledztwem?

– Wolańska nie miała motywu. W ogóle nie pasuje.

– No, tyle że Amelie Harbour też nie była już ogieńcie ruda w dniu zabójstwa.

– Co?

– Mamy listopad, a zdjęcie było zrobione latem, kiedy pewnie jeszcze nie była w ciąży. Założę się, że od tamtej pory nie farbowała włosów. Ciężarne tego nie robią, by nie szkodzić dzieciom chemią.

Redfern się skrzywił. Summer mogła mieć rację, ale podskórnie czuł, że jeśli te sprawy coś ze sobą łączy, to nie jest to postać Wolańskiej.

– OK. – Sierżantka przerwała ciszę i zaczęła szukać czegoś w torbie, którą wciąż miała przewieszoną przez ramię. – Z jakiegoś powodu nie chcesz widzieć oczywistego. Wierzę, że wiesz, co robisz. – Znalazła batonika, otworzyła go i odgryzła spory kawałek. – Albo wiesz więcej niż ja – dodała.

– Skupmy się na Ansarze – odparł sucho. W uszach wciąż brzmiały mu słowa dziadka, ale nie miał zamiaru się nimi dzielić. – Większość zabójstw zostaje popełnionych przez członków rodziny. Myślałem o tej krwi. W noc morderstwa Ismail dzwoni do brata. Najprawdopodobniej już wie, co się stało. Rozmawiają bardzo krótko. Podejrzewam, że Ansar prosi brata, by tamten coś zrobił.

– I nagle Ismail morduje świnie i zalewa wszystko krwią? Wyżej cię ceniłam, Dave. Głupie to i naciągane.

– Posłuchaj, mała Zimal dzwoni do nas dopiero o szóstej. Mieli sześć godzin, by coś wymyślić. Dlaczego nie dolać oliwy do ognia i nie zwalić wszystkiego na wojnę religijną?

– Daj spokój. – Summer nie dała się przekonać, ale w jej głosie nie było już tyle pewności, co przed chwilą. – To idiotyzm, ale z jednym możesz mieć rację, bracia w jakiś sposób maczali w tym palce. Zastanawia mnie inna rzecz. Znowu mamy na tapecie szkołę Westfield.

– W tym momencie to ciebie poniosła fantazja – prychnął Redfern i odpalił auto.

– Gdzie teraz, szefie?

– Do Ismaila – powiedział i włączył silnik.

– Mówiłeś McMahonowi o telefonie? To cholernie ważna sprawa.

– Nikt nie zabrania mi przeglądania dowodów – zbagatelizował Redfern.

– Żebyś się nie zdziwił – prychnęła Summer i zgmiotła puste opakowanie po batoniku. – Puszka odpowiadał dziś jak z nut, bo miał osobiste konsultacje u McMahona. Ciebie też to nie ominie.

Redfern wzruszył ramionami i włączył się do ruchu, zastanawiając się, czy jednak młoda policjantka może mieć rację i za chwilę przyjdzie mu się zmierzyć z gniewem McMahona. Z tą myślą przeciął skrzyżowanie z Chertsey Road, wpadając w Boundary, stanowiącą bramę do najciemniejszej części Woking.

Piątek, 8.11.2013, popołudnie

Żeby nie rzucać się w oczy, zostawili auto przy blokach na Boundary Road. Redfern zawsze, kiedy jechał na zakupy do Asdy, z rozbawieniem patrzył na wysmarowane sprayem napisy „RTS” oraz „Żydzew”. Walka rycerzy ortalionu przeniesiona na pole międzynarodowe, pomyślał, przechodząc koło starego bloku.

Wiatr nieco odpuścił, więc szli wolniej, delektując się chwilową poprawą pogody. Myślał o Amelie Harbour. Dwudziestosiedmiolatka mieszkała w West Byfleet, od dwa tysiące dziesiątego roku pracowała dla Urzędu Hrabstwa Surrey jako asystentka nauczyciela w podstawówce Westfield, miała uniwersalne, a przez to nijakie zainteresowania. Posiłkował się największą policyjną skarbnicą wiedzy. Facebook był paradoksem dążenia świata zachodniego do prywatności.

Na rogu Walton i Monument Road zobaczyli budynek obłożony wszelkiej maści kilimami i dywanami. Nie licząc kota wylizującego sobie z czułością łapę, na podwórku nie było żywej duszy. Jednak gdy tylko przekroczyli bramę, jak dżin z lampy wyskoczył do nich drobny, ciemnoskóry mężczyzna.

– Witam państwa policjantów – przywitał się z udawaną uprzejmością. – Mam nadzieję, że przynosicie dobre wieści.

– Właściwie to wciąż pracujemy. – Redfern odzyskał głos i pewność siebie. – Potrzebujemy kilku informacji.

– A co jeszcze mogę wam powiedzieć? – wybuchł niespodziewanie Ismail. – Moi rodzice nie żyją, brat zginął w wypadku. Czego jeszcze chcecie?

– Wciąż szukamy sprawcy – powiedziała spokojnie Summer. – Wiemy, że w noc morderstwa w okolicy domu pana rodziców była widziana kobieta.

– To faktycznie dużo się dowiedzieliście przez tydzień – skwitował nie bez racji. – Proszę wejść do sklepu.

Poprowadził ich do środka, zostawiając małe zgromadzenie, które niepostrzeżenie zebrało się za nimi. Redfern pomyślał, że to zaskakujące, jak zaludniona momentalnie może się stać opustoszała ulica.

– Kobieta może być kluczowa – odezwał się Redfern, gdy przystanęli w obszernym magazynie. W nozdrza wwiercał się zapach gumy, kleju i owczej wełny. – Sprowadza nas jednak sprawa pańskiego brata. Kiedy ostatnio rozmawiał pan z Ansarem?

– Odwiedził mnie w dzień śmierci rodziców. Był bardzo podekscytowany, ale nie powiedział, o co chodzi. Umówiliśmy się na lunch na następny dzień.

– I później już pan się z nim nie kontaktował?

– Nie.

– Z billingu wynika, że dzwonił pan do niego w noc morderstwa.

– To nieprawda! – obruszył się mężczyzna. Wściekłość wykrzywiła młodą twarz. – Co sugerujecie?! Przyszliście mnie zastraszyć?

– Proszę się uspokoić – rzekła Summer pojednawczo. – Chyba że woli pan rozmawiać na komisariacie.

– OK, OK. – Ismail podniósł ręce w obronnym geście. Przechadzał się w kółko, jakby szukając odpowiedzi. – Przysięgam, że nie rozmawiałem z Ansarem tamtej nocy. Może przypadkowo wybrałem jego numer?

– To raczej niemożliwe, połączenie trwało minutę – odparł Redfern. – Niech pan się dobrze zastanowi.

– Próbowałem się dodzwonić do brata dopiero, gdy sąsiad przybiegł i powiedział, że pod domem rodziców jest policja – utrzymywał Ismail.

– No dobrze, a co pan robił, zanim przybiegł sąsiad?

– Przecież już mówiłem, spałem.

– A wcześniej?

– Od dziewiątej do prawie jedenastej rozmawiałem z kontrahentem z Islamabadu. Możecie sobie to potwierdzić – westchnął ciężko.

Redfern czuł, że emocje biorą nad nim górę. Mogli tak stać w oparach zapewnień i zwierzęcej sierści do rana, a mężczyzna nie będzie współpracował. Redfernowi zostało jedno. Wyciągnął komórkę i pokazał zdjęcie Amelie.

– Rozpoznaje pan tę kobietę?

– Nie. – Ismail przyglądał się w skupieniu ekranowi. – Czy to jest dziewczyna, która leciała z Ansarem?

– Tak podejrzewamy, ale na ostateczne wnioski przyjdzie nam poczekać – mówiła rzeczowo sierżantka. – Zatem jest pan pewien, że nigdy nie widział pan Amelie Harbour?

– Jestem pewien.

Drzwi do magazynu uchyliły się z metalicznym szczękiem. Śniady mężczyzna powiedział coś po arabsku, ale Ismail tylko zmarszczył brwi. Facet zniknął tak szybko, jak się pojawił, odesłany krótkim, surowym

gestem. Redfern pomyślał, że Ismail albo nie lubił być zaskakiwany, albo usłyszał coś, czego nie chciał usłyszeć.

– Czy możemy porozmawiać z pana żoną? – zapytał inspektor.

– Nie ma jej – odpowiedział szybko mężczyzna. – Odwiozła dzieci do szkoły i pojechała na zakupy. Jak znam życie, siedzi teraz z koleżankami w Peacock Centre i popija kawę.

– Mimo wszystko chcielibyśmy się z nią spotkać. Może pan ją poprosić, żeby do nas zadzwoniła? – Summer chciała wręczyć mu wizytówkę, ale cofnęła rękę, napotkawszy wzrok Ismaila.

– Moja żona rozmawia z mężczyznami tylko w mojej obecności.

Akurat, pomyślał Redfern. Policjant był pewien, że Ismail Abbasi chciał się zabezpieczyć przed długim językiem żony. W głowie inspektora wyświetliła się mapa popularnych kawiarni. Starbucks koło galerii, Pret A Manger na głównym placu, Rouge naprzeciwko i jeszcze jedna w pasażu na High Street. Jeśli się pospieszą i dopisze im szczęście, znajdą Saimę.

– Nie mamy nic przeciwko, żeby przyszedł pan na komisariat razem z żoną – odparła pojednawczo Summer.

– Oczywiście – poparł ją Redfern. – A może...

– Państwo wybaczą – Ismail nie dał mu dokończyć – ale muszę jechać do siostry. Jej stan się pogorszył. Wizyta policji jak zawsze pomogła, prawda?



Ku ich zaskoczeniu placyk przed sklepem znów był pusty. W drodze do samochodu minęli tylko kilka kobiet z dziećmi. Słońce zupełnie schowało swoją twarz i raczej nie zamierzało jej pokazać do końca dnia.

Triumph źle reagował na obniżenie temperatury zewnętrznej. Rozrusznik przekręcił się kilka razy, ale silnik nie odpowiedział.

– Kiedy wreszcie sprzedasz ten złom i kupisz coś z tego stulecia?

– Jak się ono skończy – odparł ze złością Redfern i przekręcił ponownie kluczyk w stacyjce. Odpalił silnik i zaczął manewr, planując najszybszą drogę do Peacock Centre. – Co sądzisz o sklepiku z dywanami?

– To raczej sklep z kłamstwami kolorowymi i śmierdzącymi jak te kilimki. – Sierżantka próbowała zażartować. – Ismail łże. A my mamy

niewiele czasu, by złapać jego żonę, która pomoże nam te kłamstwa zdemaskować.

– No więc do centrum.

Gigantyczny korek uniemożliwił im wjazd do galerii. Wbrew świetnemu planowi musieli zostawić auto przy polskim sklepie. Biegiem minęli futurystyczną bramę przy końcu ulicy i wpadli na główny plac Woking. Stanęli, rozglądając się nerwowo. Widzieli dwie kawiarnie, sklep sportowy oraz wejście do galerii handlowej.

– Ty bierzesz tę, a ja Rouge – rzucił zdyszany Redfern.

– Nie rozmawiałam z Saimą – powiedziała Summer. – Nie mam pojęcia, jak wygląda.

– Świetnie! Właśnie zmniejszyłaś nasze szanse do zera. – Inspektor nie krył złości. – Która pierwsza?

– Ta. – Wskazała na kawiarnię po lewej, o trudnej do wymówienia nazwie.

Weszli do środka. Jak przystało na najpopularniejszy lokal lunchowy, była wypełniona co do krzesła. Do kasy, przy której uwijali się młodzi ludzie w brązowych uniformach, przypięty był potężny ogon. Niektórzy trzymali kanapki, inni kubki z zupą. Przy stolikach siedzieli ludzie, śmiejąc się i rozmawiając. W końcu sali ktoś uspokajał rozwrzeszczane dziecko. Było nieznośnie głośno.

Każda twarz wyglądała tak samo nieznajomo. Zdecydowali się sprawdzić jeszcze na antresoli. Zdyszani wspięli się po schodach, ale tam też nie zastali Saimy.

W ciasnym Rouge było jeszcze gorzej niż w Pret A Manger. Ubrani elegancko ludzie tłoczyli się do kasy, chcąc zdążyć posilić się przed kolejnym firmowym sprintem. Dla kontrastu przy stołach siedzieli ci, którym nie zależało na karierowym wyścigu. Matki z dziećmi, zakochane pary, uśmiechnięci emeryci oraz kilku mężczyzn, którzy wyścig już wygrali i teraz tylko odcinali kupony.

Nie mogąc wypatrzeć Saimy Abbasi, opuścili lokal. Kolejny na liście był Starbucks. Kawiarnia rekompensowała brak miejsca przylegającym do budynku ogródkiem z kilkoma stolikami. O dziwo, było tam trochę luźniej. Klienci łapali podpisane imieniem kubki i biegli do swoich spraw. Redfern pomyślał, że są raczej marne szanse, żeby kobieta wybrała się tam z koleżankami na plotki. Po minucie już wiedzieli, że chybili.

Z bardziej znanych zostało Carluccio's przy pasażu Wolsey Place. Bieg z przeszkodami zakończył się rozczarowaniem. W kawiarni zastali wprawdzie kilka muzułmanek, ale żadna z nich nie była poszukiwaną.

Na poprawę nastroju i dla złapania chwili na uporządkowanie danych Summer zaproponowała kanapkę w Subwayu. Redfernowi wydało się to stratą czasu, ale ostatecznie się zgodził, bo i tak musiał przyjąć tabletki.

Weszli do galerii od strony Toys„R”Us i skierowali się ku ruchomym schodom. Galeria Peacock była prawdziwym mokrym snem marketingowców. Zaprojektowana tak, że aby skorzystać z ruchomych schodów, trzeba było obejść wszystkie witryny na każdym piętrze. Wreszcie dotarli na sam dół i próbowali ustawić się w kolejce po kanapki.

– Niemożliwe. – Redfern stanął jak wryty.

Inspektora nawiedziła myśl, że co by człowiek robił i kim by był, wcześniej czy później w trakcie pełnej atrakcji zakupowej wędrowki trafi do galeriowej ubikacji. Saima nie była wyjątkiem. Obładowana torebkami i torbami z najdroższych sklepów wchodziła do toalety. Redfern szturchnął sierżantkę i wskazał brodą na kobietę. Żadne z policjantów nie zauważyło asysty koleżanek. Stanęli w krótkim korytarzu i oparli się o ścianę, ale Abbasi nie kazała na siebie długo czekać.

– Saima Abbasi? – zaczęła ją sierżantka.

– Tak – odpowiedziała ostrożnie. Jej twarz rozpogodziła się, gdy zauważyła Davida. – O, pan Redfern! Miło pana znów widzieć. Czy coś się stało? – zatroskała się.

– Może usiądziemy? – Redfern wskazał pobliski stolik.

– Wolałabym nie. – Rozejrzała się nerwowo. – Czy możemy się spotkać za pół godziny przy moim aucie? Stoi na niebieskim parkingu, na drugim piętrze. Czarna toyota land cruiser.

– Wolałbym nie – odpowiedział Redfern.

– Nie mam powodów do ucieczki – rzekła łagodnie. – Przynajmniej nie przed policją.

Zostawiła ich tak, jak stali. Nie mogli jej zatrzymać siłą. Nawet jeśli uciekłyby teraz pod skrzydła męża, nic nie mogli zrobić. Zaufanie to słaba waluta, ale mieli tylko to, pomyślał Redfern.

Wystarczyło im czasu, by zjeść, więc zamówili w Subwayu po kanapce i w milczeniu delectowali się szybkim posiłkiem. Chwilę wytchnienia przerwał telefon Redferna, który oznajmił nadejście maila o temacie

„Analiza listu”. Inspektor przeglądał to, co napisał zespół analityków, i z każdym słowem narastała w nim irytacja. Na pytanie Summer o powód kwaśnej miny machnął ręką, zebrał pełne okruchów opakowanie i wstał, kierując się w stronę wyjścia na parking. Pół godziny wydawało im się mnóstwem czasu, jednak w galeryjnej czasoprzestrzeni minuty ulegają skróceniu. Bali się, że Saima pojedzie do domu, nie czekając.

Zobaczyli ją, gdy pakowała rzeczy do bagażnika. Miała na sobie świetnie skrojony czarny kostium w delikatne szare prążki. Chabrowy hidżab podkreślał doskonale rysy twarzy. Jej zapierająca dech w piersi uroda i płynność ruchów przywodziły na myśl perską księżniczkę.

– Już myślałam, że się nie spotkamy – powiedziała, patrząc na zegarek.

– Miałam to samo wrażenie – bąknęła Summer, jakby czuła się zakłopotana swoim polarem i jeansami.

– O co zatem chodzi?

– O Ansara – powiedział Redfern, przejmując pałeczkę. – Chciałbym, żeby przypomniła sobie pani wydarzenia z tamtej nocy. Mamy billing, który wskazuje, że pani mąż dzwonił wtedy do brata. Tymczasem Ismail twierdzi, że tego nie robił.

– Bo nie robił. To ja dzwoniłam do Ansara.

– Po co?

– Zimal zatelefonowała do męża, a ja odebrałam, bo Ismail ma ciężki sen. Krzyczała, ale nic nie rozumiałam. Wiedziałam, że stało się coś złego. W pierwszym odruchu zadzwoniłam do Ansara. Próbowałam parę razy, ale odebrał dopiero, gdy skończył pracę. Powiedziałam mu, że musi natychmiast wracać do domu. On jednak się rozłączył. Pomyślałam, że jest poza zasięgiem, bo jego telefon przestał odpowiadać. Obudziłam męża i kazałam biec do rodziców.

– Czyli nie dowiedzieliście się o morderstwie od sąsiada?

– Nie.

– Zimal zawiadomiła policję dopiero o szóstej. Czy wie pani, co robił mąż przez sześć godzin?

– Nie wiem. Nakazał mi zostać w domu. Potem zadzwonił i powiedział, bym przyszła po Zimal, ale nie pozwolił mi wejść do domu. Pod żadnym pozorem nie mogłam jej dotykać. Miałam ją zabrać do ogrodu, by się tam umyła pod kranem. Ona była cała we krwi. Ja nie wiedziałam, że to...

– Co pani mąż robił tyle godzin?

– Myślę, że był w meczecie po fatwę.

– Po co? – zapytała Summer, chociaż Redfern słyszał już to słowo.

– Żeby nie zagłębiać się w zawilosci pisma – tłumaczyła Saima – to Ismail był po poradę u imama, co zrobić w sprawie tej... krwi.

– Skąd wiedział, co to za krew? – Summer zmrużyła oczy, a Redfern w duchu pochwalił jej czujność.

– Nie wiem... Musiał się domyślić... Przecież zdarzały się już świńskie łby w meczetach, oblewanie krwią – odparła butnie, po czym dodała ciszej:

– Cała sypialnia podobno była czerwona. Oboje byli brudni... – Pod naporem tych słów głos jej się załamał.

– Czy wie pani, kim jest ta kobieta? – Redfern podstawił jej telefon pod nos. Nie chciał słuchać o tym, że mokre zmarznięte dziecko stało w listopadową noc na dworze, bo tak nakazywał obrządek.

– To Amelie, dziewczyna Ansara – odparła Saima pewnym tonem, choć inspektor był przekonany, że zanim to zrobiła, spojrzała mu przez ramię.

– Skąd pani wie?

– Kiedyś natknęłam się na nich przypadkiem w Guildford – odparła. – Potem raz widziałam ją w szkole Zimal w Westfield.

– Wie pani, że była w ciąży? – podrzuciła Summer.

– Tak. Wiem też, że w domu moich teściów była o to straszna awantura. Ansarowi zaaranżowano małżeństwo z kuzynką z Murree w Pakistanie. Miał lecieć w przyszłym tygodniu na zaręczyny, a później ściągnąć ją do Anglii.

– Czy wiedziała pani, że młodzi planują ucieczkę?

– Ucieczkę? Nie. – Pokręciła głową. – Ansar podobno oznajmił, że się wyprowadza. Chyba mieli szukać czegoś w Londynie. Tam wszyscy są mniej zauważalni – dodała smutno.

– Czy dopuszcza pani myśl, że to Ansar i Amelie Harbour stoją za morderstwem?

– Nie. – Spochmurniała nagle. – Ansar nie byłby do tego zdolny. Nie chciał poddać się tradycji, ale kochał rodziców.

– A jednak chciał ostro zerwać więzi rodzinne – rzucił Redfern.

– Wie pan, jest różnica między wyprowadzką a ucięciem komuś głowy.

Saima miała rację. Nawet jeśli Ansar poróżnił się z rodzicami, to ten wieczór miał zaplanowany zupełnie inaczej. Redfern podejrzewał, że gdzieś na plaży w Deal leży pierścionek z brylantem.



Wracali przez główny plac. Pomnik poległych w drugiej wojnie światowej obłożony wieńcami ze sztucznych czerwonych maków rzucał długi cień, który kończył się na schodach Kościoła Chrystusowego. Czerwona tarcza słońca odbijała się w witrażu, sprawiając, że budynek wyglądał, jakby stanął w płomieniach. Zewsząd dochodził trzask krat i szum zasuwanych rolet. Sklepiarze kończyli dzień. Tylko w Marii, jedynym polskim sklepie w mieście, wciąż panował ruch. Policjanci siedzieli w aucie i bezmyślnie obserwowali uwijającą się sprzedawczynię.

– No i co teraz? – odezwała się Summer.

– Główny podejrzany nie żyje i przestaje być głównym podejrzanym – skwitował Redfern, wciąż zastanawiając się nad tym, co powiedziała Saima.

– OK, ale to nie zmienia faktu, że Ismail kręci lody nie w tę stronę. – Sierżantka nie dała się przekonać. – Trzeba go przycisnąć.

– Pojedziesz rano do meczetu i sprawdzisz, czy Ismail faktycznie tam był.

– Nie pojedziesz ze mną?

– Myślę, że doskonale sobie poradzisz – powiedział. – Imam Hashmi to bardzo fajny człowiek – dodał, widząc napinające się mięśnie twarzy sierżantki.

– A co myślisz o Saimie?

– Mówi prawdę – zawyrokował, ale gdy Summer pokręciła głową, dorzucił: – Ona nie kłamie, ale też wie lub podejrzewa, dlaczego Ansar zdecydował się na tak desperacki krok.

– Może Ansar chciał zwać przed gniewem ojca?

– Może – odparł Redfern, któremu cały ten wieczór powoli układał się w całość.

– Zastanawia mnie, po co był cały ten cyrk z Zimal. – Summer przerwała ciszę. – Dlaczego Ismail kazał jej do nas zadzwonić?

– Żeby samemu tego nie robić i nie zdradzić, że był na miejscu zdarzenia.

– Nie uważasz, że to trochę okrutne? Przecież to mała dziewczynka.

– Wiele rzeczy w tej sprawie jest cholernie okrutnych.

Redfern podrzucił Summer do domu w jednym z setek zaułków dzielnicy Goldsworth. Oboje powinni wrócić teraz do biura i sporządzić szczegółowe raporty z dzisiejszego dnia, ale oboje nie mieli na to najmniejszej ochoty. Dzień wycisnął ich jak cytrynę, pozostawiając w ustach kwaśny smak. Jutro nie zapowiadało się lepiej. Czekala ich nierówna walka z prokuratorką. Mając tak słabe dowody, nakaz zatrzymania Ismaila można było włożyć między bajki. Redfern jednak nie zamierzał się poddawać. Musiał mieć po swojej stronie McMahona i chciał nad tym popracować jeszcze dziś. Odrzucił zaproszenie sierżantki na kolację i mecz i odjechał na Princess Road.



Do domu zajrzał tylko po Bandita i smycz. Słońce zdążyło się schować za horyzont, gdy stanął na brzegu rozszalałej o tej porze Old Woking Road. Sznury aut zarówno do, jak i z West Byfleet długo uniemożliwiały im przejście do Pyrford Common Park. Gdy dotarli na drugą stronę, Redfern poczuł w kieszeni wibracje telefonu. Wyciągnął go i spojrzał na wyświetlacz. Numer kierunkowy nie pozostawiał złudzeń.

– Dzień dobry, z tej strony Florian Pontus. – Londyński rozmówca miał bardzo niski tembr głosu. – Czy otrzymał pan moją ekspertyzę?

– Tak mi się wydaje – odparł Redfern, poirytowany wyniosłym tonem grafologa. – Chociaż z ekspertyzą to chyba mało ma wspólnego.

– Nie bardzo rozumiem. Opisałem dokładnie rysunek dziecka. Użyte kolory wskazują, że jest przerażone, rysowało we wzburzeniu, prawdopodobnie jest przetrzymywane w domu wśród drzew. Nieproporcjonalny do budynku płot mówi nam...

– Czy mamy pewność, że rysunek namalowała Izabela Wolańska? – Przerwał mu w nadziei, że usłyszy w końcu najważniejsze.

– Stuprocentowej gwarancji nie ma.

– A chociaż pięciolatka?

– Nie można tego ustalić z...

– No to niech pan posłucha: kolory co najwyżej wskazują na to, że porywacz dziwnym zbiegiem okoliczności nie kupił dziecku w papierniczym WHS mith dwudziestoelementowego zestawu kredek.

Proszę mi zatem powiedzieć coś, czego nie wiem, coś, co rzuci światło na tę sprawę.

Dalsza rozmowa przypominała kłótnię z żoną bądź koncert rockowy – na początek nowości, potem stare szlagiery o wchodzeniu na nie swoje poletko i kompetencjach. Rozłączył się, nie mając ochoty słuchać wynurzeń grafologa. Już w momencie wysyłania listu do analizy wiedział, że cały ten szarlatański bełkot nie przyda im się w śledztwie, a jedynie je opóźni. Jak na razie najwięcej dowiedział się od ekipy Matta – list został wydrukowany na zwykłej atramentówce i podrzucony przez kogoś, kto albo znał się na swojej robocie, albo naoglądał się seriali kryminalnych. Informator, chcąc zachować anonimowość, nie pozostawił niczego, co nadawało się do identyfikacji.

Wpychając do kieszeni telefon, napotkał wzrok Bandita, który przysiadł naprzeciw niego i zdawał się przysłuchiwać rozmowie.

– No co się tak patrzysz? Źle mu powiedziałem?

Szczeniak przekręcił lekko głowę, po czym sięgnął za ucho tylną łapą i zaczął się drapać. Redfern cmoknął na niego i razem weszli na poprzecinaną korzeniami dębów ścieżkę. Przy każdym mocniejszym podmuchu z parasoli drzew sypał się deszcz liści. Bandit raz po raz podskakiwał i próbował złapać pyskiem choć jeden z nich. Redfern pomyślał, że do pełni szczęścia brakuje mu kogoś obok. Kogoś, kto ogrzewałby sobie dłoń w jego dłoni, kto ukoiłby zażenowanie po rozmowie z nadętym grafologiem i skłamałby, że Redfern ma rację. Wyciągnął znów telefon i przejrzał listę ostatnio wybranych numerów. Przy literze M zakręcił kciukiem nad ekranem, ale nie zdecydował się nacisnąć. Skoro ostatnim razem nie odebrała, to teraz też nie było na to szans.

Piątek, 8.11.2013, wieczór

Czując w kolanach piasek, wszedł powoli na pierwsze piętro i podążył pogrążonym w mroku korytarzem. Gdy zbliżał się do swojego biura, usłyszał na schodach ciężkie kroki. Chwilę potem zza rogu wyłoniła się znajoma postać.

– Cześć, Ted – poniosło się po korytarzu.

Patolog nie odpowiedział od razu i Redfern był pewien, że chce go zignorować. Ostatecznie zatrzymał się w pół kroku.

– Cześć, Dave. Co tu robisz o tej porze?

– To ja powinienem zapytać. To chyba nie są twoje godziny urzędowania, co?

– I całe szczęście – odparł patolog. – Zajrzałem do McMahona, by zaprosić go jutro na krykieta.

W głowie Redferna natychmiast zakwitła myśl, że mógł się umówić telefonicznie, ale wiedział, jaki stosunek do komórek miał Teodor Meiklejohn.

– W jakim jest nastroju?

– W wyśmienitym – odparł patolog bez cienia uśmiechu i nie zegnając się, kontynuował swoją wędrówkę na dół.

Tak jak Redfern podejrzewał, McMahon zabijał nudę raportami. David, stojąc w drzwiach, przyglądał się, jak szef nieudolnie wali w klawiaturę prywatnego laptopa. Technologia wdarła się do policyjnych biur w bardzo niekorzystnym dla Grega momencie. Za młody, by odpuścić, a za stary, by nadażyć, klepał litera po literze wszelkie pisma, jakie na niego spadały. Niestety nie wszystko mógł zrzucić na sekretarkę.

– Gdzie jest komputer Knighta? – zapytał Redfern, wchodząc do gabinetu.

– Jesteś u mnie na cenzurowanym, David. – McMahon zignorował pytanie. Uderzał palcami w klawiaturę, nie odrywając od niej wzroku. – Dobrze wiesz, że telefon Ansara powinien najpierw wylądować w laboratorium. Nie wiemy, co przez ciebie straciliśmy.

– Nie przesadzaj. – Redfern machnął ręką i odkleił się od futryny. – Co można przeoczyć, podłączając telefon do ładowarki?

– Nie będę cię uczył procedur. Z Londynem też się nie popisałeś. Jak mogłeś nazwać uznanego doktora psychologii nadętym idiotą?

– Powiedziałem mu tylko, że każdy idiota doszedłby do jego wniosków, a z nadętym mi się wymyknęło. Nadinterpretował to jak obrazki, które analizuje. – Redfern nie mógł powstrzymać kącików ust przed wędrówką ku górze. Usiadł naprzeciwko McMahona i czekał na burę.

– Ja tego nie ogarniam, David. – Przełożony ściągnął okulary i przetarł kąciki oczu. Wyglądał jak zmęczony mops. – Chcesz tworzyć w Woking zgrany zespół, wściekasz się, że się to nie udaje, a jednocześnie działasz na własną rękę. Przy sprawie Millerów olewasz Elbę, teraz akcja z telefonem, wizyta w szpitalu. Mogę długo wymieniać. W dodatku wciągasz w to wszystko Chrisa Tinneya i Summer Winter.

Redfern chciał skomentować brak awansu dla Puszki, ale uznał, że to nie ten czas. Interwencja inspektora mogłaby doprowadzić do kolejnej nieprzyjemnej rozmowy posterunkowego z zastępcą komendanta.

– Ja bym nawet przymknął na to oko – ciągnął McMahon – ale David, nie widzę efektów. Góra też nie. Daj mi coś, co ich uspokoi.

– Potrzebuję nakazu zatrzymania Ismaila – wypalił Redfern, olewając wykład szefa. Nie miał zamiaru się tłumaczyć jak żółtodziób. – Byliśmy z Summer u niego, a potem rozmawialiśmy z jego żoną. Oni coś wiedzą, Greg, ale nie wyciągnę z nich tego przy herbatce.

– Nie ma mowy! Miałem dziś bardzo przyjemną rozmowę z prokuratorką. Bente Hansen ma dość twojej nieudolności.

Mógł się tego spodziewać. McMahon tracił cierpliwość i nie zamierzał nadstawiać karku.

– Masz ich zostawić w spokoju i szukać mordercy, rozumiesz? – kontynuował. – Masz znaleźć świra, który odciął głowy parze przyzwoitych obywateli tego miasta. Dotarło?

– Nie traktuj mnie jak dzieciaka, OK?

– To się tak nie zachowuj! – huknął McMahon. – Jutro chcę otrzymać sprawozdanie z twoich działań, Redfern. Wszystkich! Może przestaniesz wreszcie odgrywać rolę samotnego szeryfa.

– Chcę ci przypomnieć, że to nie ja tu lecę w kulki z całym zespołem.

– Co masz na myśli? – Zastępca komendanta poczerwieniał, a lampa, która oświetlała jego twarz, nadała mu demoniczny wygląd.

– Przecież wiesz – odparł spokojnie Redfern, nie zamierzając mówić na głos, że na czyjeś zlecenie Gregory McMahon prześwietla komendę w Woking. – Gdy wróci Knight, wszystko wskoczy na swoje tory.

– Jesteś bardzo tego pewny.

– Tylko to trzyma mnie w pionie.



Redfern szedł korytarzem do wyjścia, próbując zapanować nad sobą. Postanowił zostawić auto na parkingu i przejść się do domu. Musiał ostygnąć. Wieczór był chłodny i smagał podmuchami wiatru jego twarz, od

czasu do czasu odbierając oddech. Po drodze David zahaczył o Asdę i zgarnął to, co mu podyktował głód.

Pierś z kurczaka zanurzona w kormie z dużą ilością ryżu basmati przyjemnie wypełniła żołądek. Redfern, syty i senny, wziął komputer i kliknął kontakt dziadka na Skypie.

– Co masz na Wolańską? – wypalił, gdy tylko usłyszał głos staruszka. Napięcie wzięło górę.

– Dobry wieczór. – Ku zdziwieniu Redferna dziadek przywitał się po angielsku. – Co słyhać?

– Ciotka Jaśka podsłuchuje? – dopytał, choć doskonale znał odpowiedź. – Co masz na Wolańską?

– Sprawa wygląda tak, że Kinga W. zaprosiła do domu Marcina Z. Nie muszę dodawać, że pod nieobecność ówczesnego narzeczonego. W trakcie spotkania doszło do szarpaniny. Załatwiła faceta szklanym tulipanem.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu – powtórzył Siwiaszczyk. – Miała ślady gwałtu, więc taką linię obrała obrona.

– Niech zgadnę, sąd olał, bo sama zaprosiła mężczyznę, a butelka była po dobrym szampanie?

– Sąd olał, bo zaprosiła mężczyznę, ale butelka akurat była po dobrej wodzie mineralnej – odparł Siwiaszczyk z przekąsem.

– Zaprasza faceta i popijają wodę mineralną?

– Słuszna uwaga – zgodził się dziadek. – W każdym razie w momencie morderstwa nazywała się Kinga Gers, potem zmieniła nazwisko na Anzorge, by ostatecznie stać się panią Wolańską.

– Coraz lepiej... – skwitował. – Co z ofiarą?

– Miejscowa menda. Wymuszenia, lichwa, dziwki. Płotka, ale upierdliwa. Prawdę mówiąc, ta Wolańska zrobiła policji wielką przysługę. Prokurator uznał jednak, że życie skurwiela było warte dziesięć lat życia młodej doktorantki. Wysłała po pięciu. Zaraz potem zniknęła.

– Czemu nie przekroczenie obrony koniecznej? – dociekał Redfern, nie mogąc uwierzyć w taki obrót wydarzeń.

– Prokurator założył, że ostro się zabawiali, a Marcin tylko przekroczył granicę... hmm, dobrego smaku. Zanim do niej przyszedł, wysłała mu SMS-a „Jestem sama”, a gdy impreza przestała się jej podobać, zatłukła gościa.

– Tylko tyle? „Jestem sama”? – zirytował się David. – Jaką miała wtedy bieliznę? Jeśli zaprosiła kochanka, to musiała mieć seksowną bieliznę? Co z tą wodą mineralną? To tak w Polsce prowadzi się śledztwa?!

– Czy ty przypadkiem jej nie bronisz? Nie wiem, jakie miała majtki. Może sam sprawdź.

– Jesteś niemożliwy!

– Ja ci tylko mówię, że to nie jest słodki aniołek.

– Jednak ktoś porwał jej dziecko, a ty zachowujesz się jak te polskie stare baby wiszące całymi dniami na oknach z poduszeczką i pieskiem.

Dźwięk zakończonej rozmowy zabrzmiał niczym trzaśnięcie drzwiami. David przegiął. Połączył się znów, nie licząc na to, że Siwiaszczyk odbierze. Po ośmiu sygnałach staruszek zmiękł.

– Sprzątnęła miejscowego gangstera. – Redfern nie dał mu nic powiedzieć, czując, że nowy trop może przynieść odpowiedzi na wszystkie pytania. – Może to porachunki i dziecka należy szukać w Polsce?

– Wątpię – skwitował sucho dziadek. Wciąż urażony nie dał się wciągnąć w dyskusję.

– Przyłóż ucho, gdzie trzeba, OK?

– Dawidzie, to nie Chicago – usłyszał echo własnych słów. – Polskie chłopaczki nie wyściubiają nosa ze swojego podwórka, a już na pewno nie angażują się w międzynarodowe afery. Tej dziewczynki szuka cała Europa. Za jednego sutenera nikt nie spaliłby Rzymu.

– Chyba że to ktoś z jego rodziny?

– Naciągasz fakty. Na twoim miejscu skupiłbym się na wyspie, a przeszłości pani Wolańskiej dałbym spokój.

– Dlaczego?

– Może i ona jest komuś coś winna, ale mylisz kolejność. Pomyśl: porwanie, media huczą, facet widzi Wolańską w telewizji i stara się na tym coś ugrać. Pierwsza wzmianka w polskiej prasie pojawia się po trzech dniach. Porywacze zwykle kontaktują się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jak dla mnie telefony z Polski są bez związku. Dawid, zmarnowaliście cały tydzień. Szukajcie ciała dziewczynki.

– Chciałbym, żebyś się mylił.

– Ja też.

– W każdym razie dzięki za pomoc – powiedział Redfern i już chciał się rozłączyć, ale przyszedł mu do głowy pewien pomysł. – Czy mógłbyś dla

mnie jeszcze coś sprawdzić?

– Zależy co. – Stary milicjant wciąż był w złym nastroju. Zapomniał, że ma mówić po angielsku i automatycznie przełączył się na język ojczysty.

– Chciałbym, żebyś sprawdził pewien numer, gdzie się logował i w ogóle – mówił nieskładnie, skrępowany własną prośbą.

– Tej Marty? – Siwiaszczyk ułatwił mu zadanie.

– Mhm.

– Da się załatwić, Dawidek, nie bój żaby. – Dziadek roześmiał się wreszcie z typową dla siebie serdecznością i pożegnał wnuka, a Redfern przełykał wstyd.

Deszcz zacinał, siekąc szybko tysiącami kropel, które pchane wiatrem natychmiast niknęły za linią ramy okiennej. Redfern wklepywał kolejne zdania raportu. Chciał, żeby chociaż na tym polu McMahon dał mu spokój. Dobrze wykonana robota papierkowa była widocznym efektem, możliwym do zmierzenia i nagrodzenia. Adrian Bones powiedział kiedyś, że łatwiej było się piąć na szczyt po stosach zapisanych ryz papieru, niż spędzając czas na ganiu przestępców. Wspominając słowa przyjaciela, Redfern pomyślał, że najchętniej zamknąłby laptopa i poszedł z nim na piwo, by ponarzekać na zły, przesiąknięty biurokracją system. Stawiając kolejkę, stary kumpel odwodziłby go od poszukiwania Marty, a on mógłby się po ludzku nad sobą pouzalać.

Stukot klawiatury powoli zlewał się z cichnącymi uderzeniami o parapet w jeden szemrzący dźwięk. Redfern nie miał siły walczyć ani z napływem smutku, ani zmęczenia.

Sobota, 9.11.2013, rano

Gdyby nie zasnął, zobaczyłby wiadomość ze szpitala St. Peter's. Spełnienie prośby szefa pochłonęło go jednak bez reszty i dopiero przejeżdżająca nad ranem śmieciarka przywróciła mu świadomość. Gdyby nie zależało mu na merytoryce raportu, miałby do oddania jakieś dwa tysiące stron. Tyle wypracowała przez pięć godzin spoczywająca na klawiaturze głowa. Wściekły na siebie rozmasował wytatuowane klawiszami czoło i w całości usunął plik. Bolało go dosłownie wszystko.

Pochłonął na szybko pozostałą w garnku kormę i zmienił ubranie. Wczorajszy spacer przypominał mu, że lepiej zrezygnować z krótkich bojówek na rzecz jeansów i polówki. Najchętniej odpuściłby dzisiejsze

zebranie i pojechał prosto na Poundfield Court. Musiał wydusić z Wolańskiej prawdę.

Dopiero gdy złapał za telefon, zdał sobie sprawę, że i jedno, i drugie musi zejść na dalszy plan. Na ekranie zobaczył wiadomość od psycholożki: „Proszę zadzwonić, jeśli pan nie śpi”. Snem bym tego nie nazwał, pomyślał i potarł obolały kark, a następnie nacisnął symbol słuchawki. Kashmala Tariq odebrała błyskawicznie.

– A jednak pan spał? – zapytała.

– Jak dziecko – odpowiedział, mając na myśli to, że zasnął w najgłupszej możliwej pozycji, śliniąc się na laptopa.

– Chyba mam coś, co może pana zainteresować – mówiła szybko. Redfern był pewien, że idzie teraz po szpitalnym korytarzu. – Po waszym spotkaniu Zimal krzyczała przez sen. Powtarzała jedno słowo, ale trochę niezwykle jak na małą dziewczynkę.

– Jakie?

Redfern, przechodząc kiedyś koło placu zabaw, stwierdził, że raczej żadne słowo nie wydaje się dzieciom dziwne. Może co najwyżej wywołać zdziwienie na twarzach dorosłych.

– Mówiła „puszka”. Może pan wie, co to znaczy?

– Tak. Mój podwładny, z którym rozmawiałem przez telefon przy Zimal, ma na nazwisko Tinney.

– Racja! Znam go, bo był u nas dopytywać o dziewczynkę, ale myślałam, że przywisko wynika z podobieństwa do drwała z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. – Zaśmiała się.

– To też – odparł Redfern, rozbawiony tym, że psycholożka również dostrzegła w Puszcze Johna Haleya.

Podziękował kobiecie i założywszy trampki, wybiegł na dwór. Wsiadł do auta i po drodze zadzwonił do Chrisa, prosząc, by ten przejechał się na Monument Road. Tinney nie był zachwycony wizją kolejnego spaceru po ulubionej dzielnicy. Ale powiedział, że właściwie dobrze się składa – zupełnie jakby chciał się pocieszyć – bo właśnie jest na muzułmańskim cmentarzu, gdzie natknął się na nowego świadka.

– Facet twierdzi, że widział tę kobietę – referował podekscytowany. – Szła od strony mostu, ale nagle rozplynęła się we mgle.

– Trzymała coś w rękach?

– Świadek twierdzi, że nie.

– A co z kamerami przy cmentarzu?

– Kilka dni temu uległy aktowi wandalizmu, że tak się wyrażę – odparł Tinney. – Dlatego świadek był tu tamtej nocy. Potwierdził też, że na moście stało mondeo, ale nie widział numerów. Aha, jeszcze coś. Ta kobieta miała czerwone włosy.

Redfern zamknął na chwilę oczy, starając się zebrać myśli, ale te zdawały się gnać tylko w jednym kierunku.

– OK – odezwał się wreszcie. – Wyciśnij z niego, ile się da, ale raportujesz prosto do mnie. Widzimy się w konferencyjnej.

Chciał odłożyć telefon na siedzenie, ale ten niespodziewanie zaczął wibrować. McMahon.

– Słuchaj, przesunij zebranie na dwunastą – zaczął bez powitania. – Mam pół dnia wolnego, ale chciałbym w nim uczestniczyć.

– Dobrze się składa, bo Puszka jeszcze szuka tej dwójki z mostu koło DB Apparel.

– Niska kobieta, jasne mondeo – mruknął McMahon. – Trochę oczywiste, nie sądzisz?

– Naprawdę wierzysz, że Wolańska sprzątnęła tych muzułmanów? – Redfern zdziwił się szybkim wyrokiem zastępcy komendanta.

– Nie wiem. – McMahon zamyślił się na chwilę. – Może zwariowała po stracie córki i dała temu upust? Miała zatarg z rodziną Abbasich, więc jest motyw. I ma na koncie morderstwo.

– Zabójstwo – poprawił szybko.

Nagle zatrzymał samochód, narażając się na reprimendę ze strony kierowcy jadącego za nim. Zakręciło mu się w głowie.

– Gdzie to jest?! Gadaj!

McMahon nie odpowiedział od razu. Redfern słyszał w słuchawce, jak odpala papierosa, chcąc dać sobie trochę czasu. Wreszcie odparł:

– Na pendrivie. Mój błąd.

Redfern nie wierzył, że tak łatwo dał się podejść. Sam sobie, dobrowolnie i z uśmiechem na ustach, zainstalował oprogramowanie szpiegujące. Teraz pół wydziału wewnętrznego wiedziało o jego rozmowach z dziadkiem i cholera wie o czym jeszcze. Jedyna satysfakcja, że stary wyga McMahon stracił czujność. David opanował galopujące ku katastrofie myśli.

– Masz to usunąć – warknął.

– Nie wiem jak.

- Gówno mnie to obchodzi. Szpieg ma zniknąć, rozumiesz?
- Nie jestem informatykiem – obstawał przy swoim McMahon.
- W takim razie będziesz sponsorem – cedził Redfern. – Kupisz mi komputer. Dzisiaj. W mojej obecności.
- Chyba żartujesz!
- Nie. Jestem kurewsko poważny.

Rozłączył się i odjechał w stronę komendy. Nawet nie zapytał, dlaczego jest na celowniku. Zresztą McMahon i tak by mu nie powiedział. Redfern czuł się osaczony, a pod jego skórę podpełzła bezradna wściekłość.



Koło południa zajął miejsce koło Summer i ze wszystkich sił starał się nie pokazać, jak bardzo jest wściekły. McMahon usiadł niedaleko niego i zagłębiał się w dokumenty, które przyniósł ze sobą, unikał jego wzroku. Redfern przysłuchiwał się wybiórczemu sprawozdaniu sierżantki, wdzięczny za to, że młoda policjantka pominęła gonitwę po centrum. Na sali rozpętała się burza, którą obserwował zza szyby własnych przemyśleń. Gregory McMahon przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy. Nikt z zebranych nie mógł się domyślać, że robi za kreta. Redfern miał przemożną ochotę wyjść na środek i dać mu w twarz. W całej tej sytuacji najgorsze było jednak to, że polubił tego gbura i cieszył się, że pracują razem. McMahon był częścią czegoś większego i jako trybik tej maszyny musiał się kręcić zgodnie z zasadami jej działania. Redfern nie miał prawa czuć się zdradzony czy oszukany. Dostał rykoszetem, to wszystko. Trudno mu jednak było schować dumę do kieszeni i grać w profesjonalizm.

A profesjonalizm miał polegać na tym, by myśleć o dwóch dochodzeniach jednocześnie i o każdym z osobna. Morderstwa na Monument Road oczywiście wymagały wykrycia sprawcy, ale to Wolańscy cały czas byli największą zagadką. Redfern poprosił Tinneya o coś do pisania i narysował na kartce wykres, usiłując podzielić uwagę między tym, co działo się w sali, a własnymi przemyśleniami. W dwa tysiące drugim roku rodzi się Ola, nieco ponad rok później Kinga zabija miejscową szumowinę i trafia do więzienia, z którego wychodzi po pięciu latach. Pod koniec dwa tysiące ósmego rodzi się Izabela. Im dłużej patrzył w zapisane

daty, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że teoria Lindy Wall o ojcu dziewczynek mogła być prawdziwa. Machinalnie stawiał na kartce znaki zapytania.

– Wspaniale, że robisz notatki, David. – Wyrwano go z zamyślenia. Wszystkie twarze były skierowane na niego.

– Tak, jasne. – Otrząsnął się z otępienia. Nie zauważył, że McMahon przejął pałeczkę, a Summer zamilkła.

– A co wiemy o alibi Ismaila?

– Wszystko się zgadza – oznajmiła sierżantka. – Ismail faktycznie rozmawiał z kontrahentem do późna, a imam potwierdził, że był u niego prawie do rana. Byli tam też inni mężczyźni ze wspólnoty.

– Ale wciąż miał okazję zabić rodziców – rzucił dobitnie posterunkowy Tinney. – Zeznanie Saimy, że niby w tym czasie spał, jest co najmniej śmieszne.

– Po pierwsze miał alibi – wtrącił z całą surowością McMahon. – Po drugie odcisk buta z balkonu nie pasuje, a po trzecie i najważniejsze nie miał motywu, by zabić oboje rodziców. Nie zapominajmy, że współwłaściciel firmy taksówkarskiej sponsorował całą rodzinę, a nie zabija się kury znoszącej złote jajka. Sprawę rozlanej krwi już pomijam – podsumował.

– No właśnie – podchwycił Redfern. – Tinney, miałeś pogadać z drugim właścicielem Star Cars.

– Jeszcze się nie odezwał po powrocie z rejsu.

– To do niego zadzwoń – rzucił McMahon dobitnie, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Chris potwierdził przyjęcie rozkazu krótkim kiwnięciem. Zanurzony po uszy w swoich notatkach, wertował zeszyt kartka po kartce. Zdobycze z Monument Road najwyraźniej bardzo go wzburzyły. Widząc to, Redfern postanowił nie dopuszczać młodego policjanta do głosu. Wybuchające w tym śledztwie bomby najczęściej okazywały się niewypałami, a przy okazji burzyły pracę zespołu.

– Dziesięć minut przerwy – zarządził ku zdziwieniu McMahon. – I niech mi ktoś zorganizuje kawę, OK?

Policjanci wydawali się zaskoczeni. Nie tyle przerwą, co prośbą o kawę. Po minucie nie było jednak już nikogo, a po drugiej Chris stanął

w drzwiach z dwoma kubkami kawy. Jeden podał Redfernowi, a drugi przystawił do ust i opróżnił niemal do połowy.

– Co masz? – zaczął inspektor.

– Nie będziesz zachwycony. – Chris usiadł na swoim miejscu i rozłożył zeszyt.

– Powiedzmy, że ostatnio niewiele mnie zachwyca. Dawaj.

– Tak jak mówiłem, samochód, który zatrzymał się w noc morderstwa na Monument Road, to chyba ford mondeo. Niestety nadal nie mamy blach, za słaba jakość nagrania. Widać, że ktoś z niego wysiada. Jeden mężczyzna z Arnold Road zeznał, że była to ruda kobieta. Nie był do końca pewien, ale wydaje się mu, że to Wolańska.

Redfern zdawał sobie sprawę, że dłużej nie może odsuwać podejrzeń od kobiety.

– Czy miała coś w rękach? – wołał się upewnić.

– Nie, nic nie miała.

– Czy możesz zatrzymać to dla siebie do jutra? – Redfern nie chciał, by ta informacja wypłynęła, zanim nie zapyta Wolańskiej o jej polską przeszłość.

– Jak to? – Brwi Chrisa prawie złączyły się z linią gęstych włosów.

– Musimy wszystko sprawdzić, zanim odpalimy tę bombę – odparł Redfern, ale Tinney wydawał się nieprzekonany.

– Tyle że nie tylko ja o tym wiem. – Podrapał się po zaroście, który wątpliwie zdobił jego pucułowatą twarz.

– Kto jeszcze?

– McMahan – wyrzucił z siebie

– Dzwoniłeś z tym do McMahona?!

– Nie, spotkałem go na Arnold Road, gdy szedłem wypytać ludzi o Wolańską.

– Nie wiemy, czy to Wolańska – poprawił go dobitnie Redfern.

– OK, OK. – Chris uniósł ręce, jakby się poddawał. – W każdym razie McMahan wyglądał, jakby nie chciał mnie zobaczyć albo jakby chciał, żebym to ja nie zobaczył jego. Za to bardzo się ucieszył, gdy usłyszał, że to może być Wolańska.

– A jakim autem jeździła Amelie Harbour?

– Szarym volvo. – Tinney zerknął w notatki, by się upewnić. – Tak, volvo s40.

– Dobrze się spisałeś. – Redfern próbował odciągnąć myśli Chrisa od dziwnego zachowania przełożonego i chyba mu się udało. Młody policjant wyglądał, jakby miało go rozsadzić od środka.

– Spoko. To moja praca, nie? – Uśmiechnął się szeroko. – Chyba zdążę jeszcze wyskoczyć po drugą kawę – oznajmił i wyszedł.

Sala zaczęła się z powrotem zapełniać. Ostatni wszedł Puszka. Redfern pomyślał, że automat do kawy musiał się w ostatniej chwili zepsuć, bo w ręce młodego policjanta nie było kubka. Pozbawiony niedawnego entuzjazmu usiadł przy stoliku i udawał, że coś notuje.

Redfern nie miał czasu, by zebrać myśli. Na szczęście Summer wykazała się entuzjazmem i opowiedziała o rozmowie z Saimą.

– A co z małą Zimą? – podrzucił ktoś z sali.

– Na razie nie wiemy nic – odrzekł Redfern. Wobec rewelacji Tinneya wolał nie mówić o tym, czego się dowiedział w szpitalu, a zwłaszcza o czerwono włosów kobiecie.

– Moim zdaniem to Ansar – odezwał się policjant z końca stołu.

– Poczekajmy na transport zwłok z Deal – powiedziała ostrożnie Summer. – Może Ted znajdzie na nich coś, co jednoznacznie przesądzi o jego winie – przekonywała.

– Wątpię, żebyśmy znaleźli cokolwiek na zwęglonych ciałach – odezwał się Tinney.

– Może pojedę dziś do rodziny tej Amelie Harbour i popytam – zaproponowała Summer.

– Dobry pomysł – pochwalił Redfern, a następnie zwrócił się do posterunkowego: – Puszka, ponawiam propozycję sprawdzenia skarg na Muztara Abbasiego. Jeśli trzeba, to poprosimy o nakaz, ale najpierw mów, że działamy po dobroci.

– Nie da rady – odparł Tinney.

– Jak to? – Redfern się wyprostował.

– Mam zaległe wezwanie do Old Woking – rzekł, przyglądając się czubkom swoich butów.

– Do czego?

– Na Carters Lane ktoś zgłosił porzucony samochód.

– To może poczekać – rzucił ostro Redfern. – Na tym emerytowicie nic nigdy się nie dzieje.

– Nie może – odparł z naciskiem Puszka. – To mój rejon i muszę to sprawdzić. Zresztą mój szef się upiera, by szybko uprzętać tego złoma.

Redfern patrzył wyczekująco na Chrisa, licząc na choćby strzęp wyjaśnienia, ale ten uciekł wzrokiem. Inspektor zdawał sobie sprawę, że formalnie Puszka wciąż podlegał pod posterunek Old Woking i współpraca z zespołem nie zwalniała go z obowiązków.

– Auto zostawiono przy studiu filmowym – ciągnął młody – a Carters Lane to jedyna droga dojazdowa, w dodatku wąska. Ludzie mają praktycznie zatarasowany wjazd.

– Chcesz powiedzieć, że na środku mokradeł, przy szutrowej drodze donikąd jest ważne dla naszej władzy studio nagrań? – drwiła Summer, za co Redfern spiorunował ją wzrokiem. Nie podobał mu się jej protekcjonalny ton.

Chris tylko wzruszył ramionami.

– Ciekawe, co tam nagrywają? – zapytał policjant z końca stołu.

– Pewnie jakieś niezależne filmy – zarechotał drugi. – Nie ma jak dowieźć aktorek!

– Albo aktorów – dorzucił inny ze śmiechem. – Słyszałem, że takie chłoptasiowe produkcje...

W odpowiedzi usłyszeli trzaśnięcie drzwiami. Redfern w pełni rozumiał Tinneya. Bał się jedynie, żeby w nerwach nie narobił głupot. Młody był zespołowi potrzebny.

– Dobra, koniec wygłupów – uciął ostro Redfern. – Skoro jesteśmy przy autach... Możemy przypuszczać, że Iza Wolańska została uprowadzona jednym z vanów Royal Mail. Summer, co wiemy o tych pojazdach?

– Niestety bardzo łatwo je kupić – oznajmiła. – Najczęściej trafiają na Brytyjskie Aukcje Samochodowe, a potem to już totalna kaplica. Wąska rzeka wpada do morza eBay, Gumtree i innych serwisów sprzedażowych.

– Tak go nie znajdziemy. – Redfern, przeciążony informacjami, tracił rezon. Na jego oczach każdy trop zderzał się ze ścianą. – Czy naprawdę nie mamy nic? Dwa dochodzenia i żadnego nie możemy popchnąć? Ruszcie głowami! Coś nam umyka!

– Utknęliśmy, David – zawyrokowała Summer. – Zostaje nam przyglądać się Ismailowi i czekać, aż porywacz Izy się odezwie.

– Koniec zebrania – oznajmił nagle McMahon, zerkając nerwowo na telefon. Wstał i podszedł do wyjścia. – Przejrzyjcie jeszcze raz wszystko

dokładnie. David ma rację, nie widzimy czegoś oczywistego.

Zatrzasnął za sobą drzwi, ale Redfern słyszał jeszcze przez chwilę jego szybkie kroki niosące się po korytarzu. Powtórzył jeszcze raz przydział zadań, by niczego nie przeoczyć.

Parę osób zdążyło wstać, kiedy w drzwiach znów pojawił się McMahon w asyście dwóch mężczyzn w garniturach. Redfern domyślał się, co oznacza to najście. Wiedział też, dlaczego zastępca komendanta nie podjął tematu Wolańskiej.

– Siadajcie – rozkazał Greg. – To są agenci Ying Lee i Ibrahim May z Narodowej Agencji do spraw Przestępczości. Od dzisiaj będą nam pomagać.

Redfern spodziewał się, że przez salę przejdzie pomruk, ale nic takiego się nie stało. Nikt nawet się nie poruszył, przyglądając się przybyszom, a cisza, jaka nastąpiła po ogłoszeniu McMahona, jasno mówiła, że zespół ma poważne wątpliwości co do znaczenia słowa „pomoc”.

Sobota, 9.11.2013, popołudnie

Redfernowi huczało w głowie. To było do przewidzenia. Skopali poszukiwania małej i cierpliwy dotąd Wydział Przeciwdziałania Porwanom i Wymuszeniom przyjechał popatrzeć im na ręce z bliska. Policjantom z Woking skończyły się pomysły i będąc uczciwym, Redfern musiał przyznać, że potrzebowali kogoś z zewnątrz. Przez chwilę myślał, że Londyn przyśle po prostu wsparcie, ale sprawa miała rozgłos międzynarodowy i dłużej nie można było grzebać lokalnie. Niewykluczone, że McMahon przyczynił się do przyspieszenia procedury. Pozostało nie pokpić reszty spraw.

Gdy godzinę później wychodzili z konferencyjnej, każdy w milczeniu udał się do swoich zajęć. Gęste sito pytań agentów obnażyło bolesną prawdę, że tak naprawdę to, nad czym pracowali, i co tak ładnie wyglądało w raportach, nadawało się wyłącznie na szmelc.

Redfernowi pozostała ostatnia i najmniej przyjemna część dnia. Z komendy nie miał daleko na Poundfield Court. Jednak trzy runda i dwie proste inspektor minął wyjątkowo wolno. Nie miał czasu na pozbieranie myśli. Nie wiedział, jaką przyjąć strategię w rozmowie z matką zaginionej dziewczynki. Sprzedała mu stek kłamstw i niewykluczone, że pogrzebała szanse znalezienia córki.

Pukanie do białych, przeszklonych drzwi nie przyniosło żadnego efektu. Gdy zbierał się do odejścia, usłyszał szuranie czegoś ciężkiego z tyłu budynku.

Furtka w ogrodzie wciąż nie była naprawiona. Pchnął ją pewnie i dostrzegł Wolańską siłującą się z dużą, kamienną donicą, spod której w popłochu uciekały popularne w tej części Anglii stonogi, pająki i inne robactwo. Nie mógł zobaczyć obrzydzenia na twarzy kobiety, ale jej osobliwy taniec wskazywał, że nie darzy tych stworzeń sympatią.

– Pani Wolańska?

– Jezu! Ale mnie pan wystraszył! – Podskoczyła. – Macie coś? List coś wykazał?

– Z listu nie da się nic wyczytać. Porywacz jest ostrożny.

Kinga Wolańska, zapominając o insektach, usiadła na pokrywie piaskownicy. Była ubrana w jeansy i różową koszulkę na ramiączkach, która fatalnie podkreślała wychudzone piersi. Naciągając kaptur na głowę, Redfern pomyślał, że kobieta musi znów być na jakichś prochach, skoro nie odczuwa dojmującego zimna.

– Przecież to niemożliwe. – Kręciła głową bezradnie. – Macie taką technologię, tylu specjalistów, laboratoria! W telewizji pokazują, jak dużo informacji można uzyskać, mając tylko strzępek materiału czy choćby zapach. Macie list, kopertę i rysunek. Czy to nie wystarczy?

– Nie wystarczy. To nie jest telewizja, tylko...

– Więc co pana sprowadza? – Nie chciała słuchać tłumaczeń. – Minę ma pan, jakby nie miał dobrych wieści. Proszę powiedzieć, że się myślę.

– Agencja z Londynu przejęła śledztwo. Pojawia się nowi ludzie i nowe pytania – oznajmił. – Chciałem panią uprzedzić.

– Tylko po to pan przyjechał?

– Tak, chciałem panią ostrzec, że agenci nie będą już tak mili jak my i prześwietlą pani rodzinę na wylot.

Wolańska milczała.

– Wiem, dlaczego przyjechaliście państwo do Anglii. – Przysunął sobie stojące pod płotem krzesło i usiadł. – Są dwa rodzaje emigracji. Jedna oparta na przyciąganiu, a druga na wypchnięciu. Was nie miało co tutaj przyciągnąć. Zostaliście wypchnięci z kraju i wiem, co było powodem.

– Wie pan, bo panu powiedziałam. – Drżącymi dłońmi zapaliła papierosa. Wyglądała z nim jak ćpunka z York Road. Patrząc na nią, Redfern

pomyślał, że Kinga Wolańska została pozbawiona życia, choć wciąż żyła.

– Wiem, co się stało w Polsce – oznajmił po chwili. – Wiem o zabójstwie, o więzieniu. Resztę chcę usłyszeć od pani. Może dzięki temu znajdziemy Izę.

Nie była zaskoczona. Przez jej twarz nie przebiegł żaden cień, nie zaszklily się oczy, nie było furii ani strachu. Nie zdarzyło się nic z tego, co Redfern sobie wyobrażał. Kinga Wolańska była przygotowana na tę chwilę. Wstała i poprowadziła go do domu. Po drodze utopiła papierosa w pełniej petów popielniczce. Wskazała mu miejsce na kanapie, a sama usiadła z podciągniętymi pod brodę kolanami na podłodze. Objęła je rękami, jakby chciała przytulić samą siebie.

– Zabiłam Marcina Ziętale – oznajmiła pozbawionym emocji głosem. – Może się pan oburzać, ale zasłużył. A ja odsiedziałam swoje i jestem teraz wolnym człowiekiem. Co chce pan wiedzieć więcej? – Jej ton stawał się coraz ostrzejszy. – Że mnie zgwałcił, że dziwnym trafem nikt nie słyszał moich krzyków, że dostałam najgorszego adwokata w mieście, a sędzia był skorumpowany? To ma mi pomóc znaleźć Izę?!

W jej głosie słyszał nadciągającą burzę. Spokojnym tonem starał się ją stłumić.

– Wiemy, że ktoś pani groził. Kto to był?

Wolańska przetarła nabrzmiałe łzami oczy.

– Młodszy brat, przydupas i współnik Ziętali, Piotrek.

– O jakich pieniądzach mówił? Wzięła pani pieniądze mafii?

– Nie miałam wyjścia.

– Zawsze jest wyjście.

– Naprawdę? – Zirytowała się. – To może mi pan powie jakie. Bo ja nie wiedziałam, co robić, gdy lekarze poinformowali, że serce Oli się zatrzyma, jeśli nie przejdzie operacji w klinice w Niemczech.

Redfern milczał. Spodziewał się zupełnie innego powodu.

– Mieliśmy z Bartkiem oszczędności, ale te okazały się za małe na berlińskie sale operacyjne. Na szczęście miałam wspaniałych studentów i kolegów na uczelni – ciągnęła, wciąż mierząc Redferna wzrokiem. – Nie wiem, jakim cudem, ale udało im się zebrać brakujące pieniądze. Wystarczyło wpłacić je na konto i mogłam szykować córkę do drogi.

– Więc co się stało?

– Mój ojciec się stał – oznajmiła. – Hazardzista i pijak, ale niezbyt groźny. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Tydzień przed wyjazdem przyszedł do nas do domu. Pytał o małą, czy mamy pieniądze, jak się trzymamy. Zabawkę nawet dla Oli przyniósł. Rozczulił mnie tą wizytą. Zawsze tak na mnie działał. Jak idiotka poprosiłam go o opiekę nad naszym psem i dałam mu zapasowe klucze. Następnego dnia po pracy miałam wpłacić kasę na konto kliniki. Niestety karton pod łóżkiem był wtedy pusty.

– Poszła pani po tym na policję?

– Proszę się zastanowić. Dostałam pięćdziesiąt kaflów od obcych ludzi, trzymałam je w domu, unikając urzędu skarbowego. Kasa, która nie istniała, nagle znikła. Jak to pana zdaniem wygląda?

– OK, a pan Bartosz? Chyba jemu mogła pani powiedzieć?

– Był na szkoleniu w Gdańsku. Wie pan, co by się stało, gdyby się dowiedział? Gdyby wszyscy się dowiedzieli?

– Chyba tak.

– No więc miałam kiedyś kumpla w podstawówce. Spadochroniarz z szóstej klasy i łobuz. Trząsł całą szkołą. Nie wiem czemu, ale zaprzyjaźniliśmy się. Może dzięki mnie poszedł później do technikum? – Zadumała się. – W każdym razie całe życie nasze ścieżki gdzieś się przecinały. Czasem wpadaliśmy na siebie w mieście. Zawsze mówił, że jest moim dłużnikiem i w razie czego mogę na niego liczyć. Wie pan, takie tam puste zapewnienia.

– Rozumiem.

– Kiedy ojciec mnie okradł, nie wiedziałam, co robić. Słyszałam, że Marcin prowadzi lewe interesy na Śląsku. Był na swój sposób sławny. Powtórzę: nie miałam wyjścia.

– Jak to się stało, że...

– Że go zabiłam? – dopowiedziała szybko. – Ola szczęśliwie przeszła operację i dochodziła do siebie. Zbliżał się czas spłaty, a ja nie miałam pojęcia, co zrobić. Gdy Bartek pojechał w kolejną delegację, zaprosiłam Marcina do domu, by pogadać o przedłużeniu terminu. Resztę pan zna.

– Wierzy pani, że Piotr Ziętała mógł porwać córkę?

– Za głupi jest na to. – Pokręciła głową.

– A jednak panią tu znalazł. – Redfern nie dał się przekonać.

Prawda jednak była taka, że słowa Bohdana Siwiaszczyka nabierały coraz bardziej realnego kształtu. Zmarnowaliście tydzień. Szukajcie ciała

dziewczynki, huczało mu w głowie.

Wzruszyła ramionami, patrząc na przesuwające się po stalowym niebie chmury. Kołysała się przy tym lekko w tył i w przód, i Redfern nie miał już wątpliwości, że tabletki, które z takim zapałem ostatnio wyrzucała, znów zastąpiły porządne posiłki. W końcu odezwała się powoli:

– Jesteśmy w każdej gazecie od Londynu po Moskwę.

– To fakt, a mimo to jest pani taka spokojna, jeśli chodzi o Polskę? Nie dopuszcza pani myśli, że córka tam jest?

– Mam list od Izy. Podrzucony przez kogoś stąd. Wiem, że ona żyje – mówiła jak w transie. – Głupi mały Piotrek nie wyściubiłby nosa poza Częstochowę.

– Na nagraniu jest pani bardzo przejęta. Jakby wierzyła pani, że to on za tym stoi.

– A pan jak by zareagował? Nie myślałam wtedy trzeźwo. – Nagle podniosła głowę. – Zaraz! Na jakim nagraniu?! Policja nie mówiła nic o podsłuchu! Kto mnie nagrywa?

Nie wiedział, co jej powiedzieć. Jeśli powie, że policja, to Wolańska zacznie dociekać, a tym samym zdemaskuje McMahona. Jeśli powie, że to pracujący dla wewnętrznego McMahon, będzie mógł się pożegnać z pracą w wydziale. Została tylko jedna możliwość.

– Ja. Uznałem, że tak będzie lepiej dla pani bezpieczeństwa.

– Dla mojego bezpieczeństwa grzebiecie w mojej przeszłości? – wybuchła nagle.

– Musimy podjąć każdy trop – tłumaczył spokojnie. – Wszystko może być ważne.

– Wie pan, co jest teraz ważne? – Dyszała z wściekłości. – Żeby pan zabrał swój cholerny psi zad z mojego domu i znalazł moją córkę! Niech się pan wynosi!



Pędził pustymi ulicami, jakby prędkość była remedium na wszystko, czym ostatnio obrzucało go życie. Wciąż dźwięczały mu w uszach ostre słowa Kingi. Coś o zaufaniu i lojalności. Nawet ryczący silnik triumpha nie był w stanie ich zagłuszyć. Może dlatego, że tak silnie przywoływały obraz

rozczarowanej twarzy Patricii. Nie chciał myśleć o byłej narzeczonej. Musiał skupić się na śledztwie. Zanim agencja przejmie wszystkie dowody i raporty, miną bezcenne dni.

Kinga Wolańska i Bohdan Siwiaszczyk mogli mieć rację – porywacz pochodził stąd. Mała Iza prawdopodobnie go znała, a on znał zwyczaje domu. Wolańscy nie mieli wielu znajomych, więc krąg podejrzanych był bardzo wąski. W ułamku sekundy zawęził się do jednego punktu, gdy Redfern przypomniał sobie rozmowę z Olą.

Zahamował przed rondem w West Byfleet i zrobił wiraż, odbijając w Sheerwater Road. Powrót do Woking zajął mu kilka minut. Wciąż siedząc w samochodzie, wyciągnął telefon i upewnił się, że tym razem nie popełnił błędu.

Bartosz Wolański mieszkał w eleganckim bloku przylegającym do Oriental Road. Wieżowiec wystawał poza obrys płaskiego miasta, dając do zrozumienia, kto w nim mieszka. Drzwi zewnętrzne, o dziwo, były otwarte i Redfern bez trudu dostał się do środka. Ogromny hall oddzielał mieszkańców od rzeczywistości grubą warstwą marmuru i chromu. Obrazy na ścianach, skórzany komplet wypoczynkowy i świeże kwiaty w wazonie przywodziły na myśl elegancki hotel. Jeden rzut oka wystarczył, by Redfern stwierdził, że udusiłby się w tym martwym miejscu.

Zrezygnował z ciasnej windy i wspiął się na drugie piętro. Po chwili stanął przed kolejnym domofonem. Tym razem nie miał szczęścia i musiał zadzwonić.

Przez szklane drzwi zobaczył Wolańskiego. Nieogolony, w rozwleczonym dresie sunął przez szeroki korytarz. Redfern doskonale znał ten chód, te wąskie ramiona i rozbiegany wzrok. Widział go wiele razy w londyńskim metrze. Odlany ze stresu szczur wyścigowy.

– Co pan tu robi? – zaczął ostro Wolański.

– Muszę z panem porozmawiać.

Mężczyzna niechętnie wpuścił policjanta. Weszli do jednego z czterech mieszkań. Całe lokum stanowiło jedno pomieszczenie. Kuchnię od salonu oddzielał jedynie wysoki barek, a niepościelona sofa wskazywała, że jest to również sypialnia. Typowa schludna kawalerka przesiąknięta smrodem alkoholu i męskiego potu. Redfern rzucił okiem na dmuchany materac w kącie. Wolański miał współlokatora, czemu inspektor natychmiast przypisał fakt, że córki Bartosza nie mogły go odwiedzać.

Mężczyzna nie zaproponował, by policjant usiadł. Przeszedł do aneksu i nalał sobie wody z kranu, ignorując gościa. Upił duży łyk i spojrzał ze złością na Redferna, który zdążył wyciągnąć z kurtki notatnik.

– Powinniście szukać porywacza, a nie tracić czas na przesłuchiwanie nas – rzucił.

David z wolna przerzucał kartki notesu, dając do zrozumienia, że nie będzie się tłumaczył. Zaintrygowało go, że mężczyzna nie użył imienia córki, nie kazał się skupić na szukaniu dziewczynki, ale właśnie przestępcy. Zupełnie jakby los dziecka był w jego mniemaniu przesądzony.

– To nie jest przesłuchanie – odparł po chwili inspektor.

– Nie? To w takim razie co?

– Panie Wolański, jak układają się pańskie stosunki z żoną?

– Co to ma do rzeczy?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – naciskał Redfern.

– Nie układają się, ale to chyba nie zbrodnia?

– To zależy – mruknął David i zamknął notes. – Zapytam jeszcze raz: dlaczego nie zajmował się pan dziećmi podczas nieobecności żony?

– Też sobie zadaję to pytanie. – Wolański zaczął się rozklejać. – Gdyby nie ta idiotka, nic by się nie stało!

– A może mi pan powiedziec, o czym pan z tą idiotką, jak niewybrednie nazwał Beatę Mikiewicz, rozmawiał w momencie porwania?

– Co? Ja... Ja nie rozmawiałem z nią...

– To dziwne, bo wykaz rozmów z pańskiego telefonu mówi coś zupełnie innego. – David podsunął mu billing, który wysupłał z notesu.

– Chciałem zapytać, co u dzieci.

– To musiało się dużo wydarzyć, skoro rozmawialiście prawie sześć minut.

– Rozmowa miała charakter prywatny.

– Niech pan posłucha! – Redfern zrobił krok w stronę Wolańskiego. – Zagadywał pan dziewczynę, podczas gdy kumpel zabierał dziecko. Tak to wygląda! Spytam więc ponownie: o czym pan rozmawiał z Beatą Mikiewicz?

– Ona... Ona mi groziła.

– Twierdzi pan, że przez te sześć minut sąsiadka panu wygrażała?

– Powiedziała, że na mnie doniesie, że nie zajmuję się dziećmi, że nie pomagam.

– Obaj wiemy, że to słaby argument. Dzieci chodzą do szkoły, nie są zaniedbane. Nie miała po co dzwonić do Narodowego Stowarzyszenia Przeciwno Okrucieństwu Wobec Dzieci. Niech pan przestanie ze mną pogrywać i zacznie mówić!

Wolański otworzył usta, by coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Spuścił wzrok i skubał paznokieć, skupiając na nim całą swoją uwagę. Wreszcie wybuchnął.

– No już dobrze! Uderzyłem ją, OK?!

– Córkę?

– Kingę. Uderzyłem Kingę.

– Raz?

Cisza. Ręce Redferna wystrzeliły do przodu. Złapał Wolańskiego za bluzę i rzucił na ścianę. Mężczyzna uderzył plecami o mur, wlepiając w policjanta zdziwione spojrzenie. Szaleńczy potok krwi buzował i szumiał Redfernowi w uszach. Nienawidził damskich bokserów.

– Pytam cię o coś, gnoju! – ryknął.

– Nie, nie raz – powiedział cicho Wolański. Chwycił dłonie policjanta i odepchnął go od siebie. Na ubraniu zostały dwa wygniecione ślady. – Zdarzyło się kilka razy.

– Czy dziewczynki to widziały?

– A jak pan myśli? Na trzydziestu metrach kwadratowych raczej trudno o prywatność.

– Za co?

– Za wszystko. Za to, co robiła, za kłamstwa, za to, że tu jesteśmy.

– Za Ziętałę też?

Wolański nie był zaskoczony. Wzruszył tylko ramionami.

– Gdyby mnie nie okłamała, nigdy by do tego nie doszło. Chroniła tatusia bandytę, a sama została morderczynią. Logika kobiet, nie?

– Ale nie to było najgorsze, prawda? Nie dlatego się pan wyprowadził?

– Nie rozumiem.

– Trzy tygodnie. Tyle potrzeba, by dostać wyniki badań DNA. Dokładnie trzy tygodnie przed porwaniem wysłał pan próbki do analizy. Iza jest taka niepodobna do pana, a w więzieniu różnie bywa. Pojawiły się wątpliwości.

– Skąd pan wie, że wysłałem...

– W Anglii jest dwanaście laboratoriów z akredytacją rządową. – Redfern przypomniał sobie to, co wyrzuciła wyszukiwarka. – To nie było trudne.

Myślałem, że postawi pan na King's College London, ale pan wybrał pierwsze z listy Alpha Biolaboratories. Na dniach przekażą mi wynik, ale obaj wiemy, jaki jest.

Mężczyzna bez słowa podszedł do stojącego przy oknie biurka. Przewrócił przy tym kilka pustych butelek po whiskey. Szybkimi ruchami przegrzebał szufladę. Wreszcie podał Redfernowi dokument.

– Niech pan znajdzie moje dziecko.

Sobota, 9.11.2013, wieczór

Woking Park powinien zmienić nazwę. Z pewnością nie był parkiem, a jedynie ogromnym trawnikiem okolonym kilkudziesięcioma drzewami. Przylegające do niego betonowe Leisure Centre, kort tenisowy i plac zabaw sprawiały, że o relaksie wśród zieleni nie było mowy.

Jedynie w taki wieczór jak ten można było delektować się spokojem, choć Redfernowi daleko było do tego. Łyse już drzewa rzucały kościste cienie na asfaltowe alejki. Siedział na ławce i wpatrywał się w ten swoisty *danse macabre*. Podsumowanie ostatnich tygodni nie szło mu najlepiej. Pokpił sprawę Wolańskiej, stracił Chrisa, wyraźnie coś umykało mu na Monument Road. Do tego kompletnie wygłupił się z ojcem dziecka. Nawet nie miał się z kim tym podzielić, co ugrzęzło mu w gardle nieznośną grudą.

Komenda o tej porze zapadła w letarg. Jedynie płynąca z parteru muzyka świadczyła o tym, że ktoś siedzi w dyżurce. Wspiął się po tylnych schodach i wszedł na ciemny korytarz. Z konferencyjnej sączyło się światło i szum wzburzonej, ale ściszonej do szeptu rozmowy. Redfern przystanął, ale nie był w stanie wychwycić pojedynczych słów. Nagle drzwi otworzyły się na oścież, zalewając hall jarzeniową poświatą. Pchnięty niezrozumiałym instynktem schował się w łazience, nasłuchując zbliżających się szybkich kroków. Przez ułamek sekundy zobaczył wykrzywioną płaczem twarz. Chciał iść do McMahona i powiedzieć mu, co sądzi o takim traktowaniu podwładnych, ale nie miał pewności, czego był świadkiem. Choć znał Summer krótko, wątpił, by mogła zareagować łzami na naganę. Stał jeszcze przez chwilę, a gdy się upewnił, że nie natknie się na Grega, poszedł do siebie, odganiając myśl, że Linda miała rację co do przydziału sierżant Winter.

Drzwi otworzyły się z hukiem. McMahon miał zmierzwione włosy i przekrwione oczy. Redfern pomyślał, że przełożony jednak zobaczył go na

korytarzu.

– Czy ty naprawdę myślałeś, że jestem tak głupi?!

– Nie zastanawiałem się.

McMahon nabrał powietrza, jakby miał zamiar krzyknąć, ale z jego ust wydobył się tylko szept:

– Dałem ci szansę, David. Lojalnie ostrzegałem.

– Możesz jaśniej?

– Proszę bardzo. – McMahon pochylił się w stronę biurka i splótł dłonie. W szarym garniturze i kremowej koszuli wyglądał jak prezenter telewizyjny. – Zataiłeś zeznanie Zimal Abbasi, że poszła do domu brata i widziała rudą kobietę. Odkrycie Chrisa też jakoś pominąłeś. Co to, do cholery, jest? Tajny agent Redfern na tropie?

– Słowa małej dziewczynki na lekach raczej trudno uznać za wiarygodne zeznanie – odparł twardo. – Nie zamierzałem i nie zamierzam go włączać do protokołu, więc nie dzieliłem się tym z załogą.

– No bardzo sprytnie. Gratulacje. Tyle że wciągając swoich podwładnych w te swoje gierki i metody rodem z Dzikiego Zachodu, bardzo im szkodzisz.

– Chciałem ci przypomnieć – mówił spokojnie Redfern – że tylko ty stoisz między Tinneyem a awansem, i jeśli uważasz, że zależy on od mojej osoby, to przemyśl to jeszcze raz, bo ktoś może niechcący uznać to za sprawę osobistą i podważyć twoje królowanie.

McMahon podszedł do okna i się odwrócił. Stał tak nieruchomo, wpatrując się w coś, czego Redfern nie mógł dostrzec. Kiedy uspokoił oddech, odezwał się lodowato:

– Obecności Wolańskiej na miejscu zbrodni już nie możesz podważyć, Dave.

– Zabawne, że o tym mówisz, bo Chris przekazał ci swoje rewelacje właśnie tam. – Najważniejsze to odbić dobrze serw. Mina Grega McMahona wskazywała, że Redfernowi się udało.

– Nie będę ci się spowiadać, co robiłem w wolnym dniu – huknął starszy inspektor i odwrócił się gwałtownie. Na jego ustach zebrał się nadmiar śliny, który wyrzucał z każdym słowem. – Występuję o nakaz aresztowania Kingi Wolańskiej. Powiem więcej: wcale się nie zdziwię, jeśli okaże się, że ci Polacy sami utopili dzieciaka w kanale Basingstoke, a następnie urznąli głowy tym biedakom.

Redfern spodziewał się jeszcze tekstu o polskich szumowinach, które zabierają mu pracę, ale nic takiego nie nastąpiło.

– A jak niby twoim zdaniem Wolańska miała zdobyć świńską krew? Jaki miała motyw? Kto był jej współnikiem, bo chyba nie mąż alkoholik?

– Ona była widziana na miejscu zbrodni, ma jasne mondeo, które zatrzymało się na moście, była w konflikcie z rodziną Abbasich – wymieniał niewzruszony McMahon.

– Zastanowiłem się już – powiedział dobitnie Redfern, starając się ukryć zaskoczenie. – Jesteś idiotą, Greg, i spiesz się to śledztwo, przymykając Wolańską. Nie rozumiesz, że...

– Nie, David, to ty nic nie rozumiesz – przerwał mu. – Jesteś zawieszony. A gdyby to ode mnie zależało, wyleciałbyś na zbity pysk. Twoja postawa zagraża kolegom – powtórzył zastępca komendanta. Tym razem bardzo cicho.

– Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy – odparł Redfern. Kręciło mu się w głowie i miał sucho w ustach. Nie docenił McMahona.

– Nie mam na myśli posterunkowego Chrisa Tinneya ani nawet sierżantki Summer Winter, co do której dziwnym trafem zmieniłeś stosunek. – Wrócił na krzesło, dając do zrozumienia, że ma przewagę, której nie musi pokazywać fizycznie.

– To kogo?

– Rob Maletzky. Znasz? – Czekał chwilę, jakby chciał dać Redfernowi szansę na ripostę. Nie doczekawszy się, kontynuował: – Myślałeś, że nie wiem? Otóż wiem, że Maletzky nadstawił za ciebie karku, zatajając wyniki ekspertyzy wybuchu w twoim mieszkaniu, i możliwe, że czekają go poważne konsekwencje, Dave. Nie wiedziałeś, co?

Redfern nie miał kontrargumentów. Miażdżąca prawda była taka, że spieszył na całej linii. Minał już tydzień, a on nie kiwnął palcem, by dowiedzieć się, kto stoi za zamachem. Im dłużej słuchał tyrady McMahona, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że zawieszając go, przełożony wybrał najłagodniejszy wymiar kary.

– Nie przyszło ci do tej łysej pały, że zamach na życie policjanta dotyczy nas wszystkich? – słyszał zza swoich myśli głos Grega. – Że w dobie terroryzmu każdy jego akt obnaża naszą słabość i tylko wspólne działanie może to powstrzymać?

– Chyba trochę przesadzasz. Mam wszelkie podstawy, by sądzić, że to sprawa prywatna.

– Prywatna? – zachnął się McMahon i położył na biurku teczkę, którą trzymał w dłoni. Przejrzał jej zawartość i podał Redfernowi jedną z kartek.
– To mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę.

Redfern wziął od Grega dokument i zaczął wodzić po nim wzrokiem. Wynikało z niego, że dwudziestego dziewiątego października Malcolm Knight został przyjęty do szpitala St. Peter's z typowymi objawami zawału – ból brzucha i klatki piersiowej, mdłości, duszność. Jednak analiza toksykologiczna nie pozostawiała złudzeń – *Taxus baccata*. Redfern z przerażeniem stwierdził, że ktoś podał komendantowi wywar z cisu pospolitego, z którego pozyskuje się taksynę.

W jednej chwili zdał sobie sprawę z tego, o czym mówiła żółta kartka pozostawiona przez Palacza za wycieraczką samochodu, dlaczego Duża Elsa się do niego dobijała i gdzie zniknął komputer stacjonarny komendanta. Porażony tą myślą Redfern nabrał powietrza, by powiedzieć o groźbach, śledzeniu i całym tym syfie, który na niego spadł, ale McMahon nie pozwolił mu dojść do słowa.

– Nie dawaj mi więcej argumentów.

Wstał i ruszył w stronę drzwi, zostawiając Redferna samego z poczuciem, że ta rozmowa będzie miała poważniejsze konsekwencje.



Wyszedł z komendy kompletnie skołowany. Nie zdziwiła go reakcja McMahon. Przeciwnie, wiedział, że przesadził, prowadząc śledztwa po swojemu, ale skąd inspektor wiedział o przesłuchaniu Zimal? Przecież nie od Summer. Grali w jednej drużynie. Podobnie jak z Robem. Redfern poczuł się fatalnie na myśl, że wpędził go w kłopoty. Spojrzał na zegarek, ale mimo późnej pory postanowił podjechać do strażaka.

Wsiadł do samochodu i oddychając ciężko, próbował zebrać myśli. Stres podziałał na jego ciało jak katalizator i Redfern coraz mocniej przychylił się do opinii internetowych ekspertów, że ból może mieć też podłoże psychosomatyczne.

Nagle go olśniło. Na telefonie wybrał znany mu kontakt.

– Dlaczego nie przesłała pani notatki ze spotkania do mnie? – zaatakował, zanim zdążyła się przywitać.

– Może dlatego, że jeszcze żadnej nie sporządziłam – odparła sucho psycholożka. – Dobry wieczór.

– Dobry wieczór. – Odchrząknął skrzepowany. – To nie wysłała pani inspektorowi Gregory’emu McMahanowi raportu?

– Nie, a miałam? Czy dobrze się pan czuje, panie Redfern?

– Jak nigdy dotąd, pani doktor.

– Moją opinię otrzyma pan w ciągu tygodnia, w porządku?

– Jak najbardziej. – Wycofał się. – Przepraszam, że na panią naskoczyłem. Mamy tu urwanie kapelusza.

– Zamieszanie znaczy się? – Kashmala Tariq roześmiała się pogodnie jak psycholog z wieloletnim stażem. – Proszę na siebie uważać. Wie pan, dbać o siebie, panie Redfern.

– Będę.

Dbać o siebie, też coś, zakpił w myślach i odjechał w stronę domu. Ledwo potrafiłby zadbać o rybki w akwarium i o... Szlag by to trafił, pomyślał. Zapomniał o kocie Patricii. Odpalił silnik i z piskiem opon odjechał z parkingu, kierując się na południe.

Nie był u byłej narzeczonej od trzech dni. Na skrzyżowaniu wbrew pierwotnemu planowi odbił na Guildford. Wizyta u Roba musiała poczekać.

Miał nadzieję, że zwierzę jeszcze żyje. Zostawił mu przecież pełną miskę, więc jako niedawny drapieżnik powinien jakoś przetrwać. Gorzej z wodą. O przepełnionej kuwecie wolał nie myśleć.

Kwaśny smród odchodów sprawił, że zrobiło mu się niedobrze. Miska w przedpokoju była wyjedzona do ostatniej kuleczki, to samo w pokoju i łazience. Kota ani widu ani słychu i żadne „kici kici” nie było w stanie go przywołać. Może dlatego, że był już w krainie wielkich łowów, myślał gorączkowo Dave.

Redfern poszedł do toalety. W samym środku muszli, który normalnie wypełniała woda, było pusto i śmierdziało jak z nawożonego pola. Kot siedział na brzegu wanny. Jego mina mówiła jednoznacznie, że naczynie, z którego pił przez ostatnie dni, było poniżej jego godności, a zemsta za to będzie słodka. A może był to zwyczajny wyraz pyska persa.

W przeciwieństwie do kota Redfern nie posiadał się z radości. Zostawienie otwartej klapy okazało się wybawieniem. Byłby to dobry

argument w kłótni z Patricią, gdyby nie dźwięczące mu w uszach: „Jakbyś nie olewał wszystkiego, co żyje, to kot piłby z miski, a nie z kibla”.

Patricia była mistrzynią słownych potyczek. On wygrywał tylko wymaginowane kłótnie, kiedy wściekły stał pod prysznicem. Efekt *l'esprit de l'escalier* towarzyszył mu całe życie. Wiecznie na schodach.

Sierściuch zdał sobie sprawę, że Redfern jest jedynym insektem z kciukami, jakiego być może zobaczy w tym tygodniu, więc zrobił użytek z łap i przedefilował przy nogach Davida, przymilając się nieznośnie i fałszywie. Ze świeżo napełnionych misek dziabnął dwa ziarenka suchej karmy, rozgryzając je z trzaskiem. Niemy zarzut nie zniknął mu z pyszczka.

Wycior do komina w końcu zniknął mu z pola widzenia i Redfern mógł się zająć przywracaniem mieszkania do stanu względnej używalności. Zwłaszcza jego zapachu.

Pod zlewem znalazł worki na śmieci. Wsypał do nich zawartość wszystkich kuwet i wyniósł do kosza na zewnątrz. Po drodze pomyślał, że właściwie nie chce mu się wracać do Woking. Żonglował chwilę tą myślą i ostatecznie zdecydował się zostać w Guildford na noc.

Skoczył do sklepu i zupełnie jakby miał spędzić tu wojnę nuklearną, przytaszczył reklamówkę pełną jedzenia. Nie zapomniał przy tym o kocie, którego saszetki stanowiły ponad połowę zakupów.

W efekcie futrzak przykleił się do jego kolan na cały wieczór. Najedzeni i pogodzeni obejrzeni na YouTubie, co się obejrzyć dało, a nawet to, od czego bolały oczy. Telewizor miał pęknięty ekran i dodatkowo wyrwany kabel zasilający. Stary numer. Widocznie roztrzępana Patricia nie opłaciła abonamentu i miała nalot gości z TV Licence. Jedyny ratunek przed horrendalnym mandatem za nieopłacenie abonamentu to szybkie obcięcie kabla i mówienie, że telewizor i tak nie działa. Już sobie wyobraził spanikowaną Patricię. Rozbawiony tą myślą Redfern zapomniał o wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło. Aby utrzymać ten stan, zamówił w internecie lakier do triumpfa. Dwadzieścia pięć mililitrów *pimento red cab* kosztowało go prawie dwadzieścia funtów, co przyjął z irytacją.

Koło jedenastej poczuł napierającą na powieki senność. Ostatkiem sił wrzucił brudne ciuchy do pralki i ustawił programator tylko na płukanie. Zmusił się jeszcze do wzięcia prysznica. By zachować pozory przyzwoitości, skorzystał z drugiej łazienki w korytarzu. Gdy woda obmywała mu ciało, zdał sobie sprawę, że zapomniał ręcznika. Pamiętał, że

była narzeczona trzymała je w wielkiej szafie w sypialni. Uważając, by się nie poślizgnąć, przeszedł przez mieszkanie, zostawiając kałuże wody na panelach.

Pewnym ruchem otworzył drzwi, ale sypialnia wyglądała, jakby Patricia pakowała się w wielkim pośpiechu. Część półek była opróżniona, na nocnej szafce leżał w nieładzie naszyjnik z brylantem i kilka par drogich kolczyków. W tym chaosie nie mógł znaleźć żadnego ręcznika, więc wytarł się znalezionym na podłodze prześcieradłem i ze zdziwieniem zwrócił się do kota, który stojąc w progu, bacznie przyglądał się Redfernowi:

– Co tu się, do cholery, stało?

Prawdopodobnie był jedyną istotą, która paradoksalnie mogła i nie mogła odpowiedzieć na to pytanie. Redfern czuł, że sama Patricia nie udzieli mu wyjaśnień, ale spróbował zadzwonić. Przerywany sygnał pokrył się z piskliwą melodią dochodzącą z kuchni. Nie rozłączając się, poszukał źródła dźwięku. Czerwona lampka na pralce sygnalizowała zakończenie pracy. Po chwili zapiszczała ponownie. Świetnie. Połączył się z pralką.

Opatulony prześcieradłem usiadł na krześle, wpatrując się tępo w bęben. Dlaczego Patricia tak dziwnie spakowała się na konferencję? Może po prostu dostała informację o wyjeździe w ostatniej chwili i nie miała czasu posprzątać, próbował sobie wytłumaczyć. Albo też uciekała, pomyślał ze zgrozą. Odpowiedź przyszła szybciej, niż mógł się spodziewać. Na ekranie komórki zobaczył najkrótszą z możliwych wiadomość. Na jego pytanie, czy wszystko OK, odpisała tylko: „Tak”. „Mogę zadzwonić?” „Nie”. „Kiedy wracasz?” „Niedługo”. „Zadzwoń, jak będziesz mogła”. „OK”.

Dalsza korespondencja nie miała sensu. Typowe dla Patricii odpowiedzi „na odpiętrz się” uspokoiły go na tyle, że mógł bez wyrzutów sumienia udać się do łóżka. Nagi i zmarznięty wsunął się pod kołdrę, ale napierające do głowy myśli nie pozwalały zasnąć. Wśród nich wciąż powtarzało się pytanie o Knighta. Nie mógł sobie wyobrazić, że stał za tym Palacz. Z drugiej strony kartka za wycieraczką auta nie pozostawiała marginesu dla spekulacji. Redfern chciał zadzwonić do Ruth, by dopytać, jak czuje się komendant, ale zegar, którego wskazówki zbiegły się u szczytu tarczy, ostudził jego zapał. O tej porze mógł zrobić tylko jedno.

– Co tam, Dawidek? – usłyszał w słuchawce po kilku sygnałach.

Redfern zawahał się przez chwilę, ale ostatecznie uznał, że potrzebuje z kimś porozmawiać. Streścił Siwiaszczykowi wydarzenia ostatnich dni,

pomijając tylko podsłuch.

– Ten twój McMahon to miał trochę racji – powiedział Siwiaszczyk, gdy David skończył opowiadać. – Z jego perspektywy to faktycznie wygląda jak samotne szeryfowanie.

– To co mam zrobić? Płaszyc się przed McMahonem i patrzeć, jak rozpieprza każde śledztwo? Odkąd wlaź za biurko komendanta, jest u nas chora atmosfera. Wydaje mi się, że on chce coś ugrać na nieobecności Knighta i właściwie mnie to nie dziwi, ale obrał osobliwą drogę, by to osiągnąć.

Redfern usłyszał, jak Siwiaszczyk ciężko wzdycha. Zastanawiał się, czy potrzebnie wciągał dziadka w swoje sprawy i czy jego reakcja nie była zbyt egzaltowana.

– Powiem ci tak, Dawidek: żeby nie dać się wiatrom zmian, nie możesz stać murem. Musisz być choć trochę – zawiesił głos – przewiewny.

Redfern milczał, analizując to, co właśnie usłyszał. Przełykanie gorzkiej pigułki prawdy bolało, ale Siwiaszczyk nie czekał, aż David przyzna mu rację.

– Mam też dobre wieści – dodał wesoło.

– Badania dobrze wyszły?

– Nie – odparł zbyt szybko. – To znaczy jeszcze nie wiem! To znaczy nie o tym chcę rozmawiać.

– A o czym chcesz rozmawiać?

– Telefon tej twojej Marty Sokolińskiej ostatnio zalogował się w Kielcach.

– Ale ona mieszka w Katowicach – odparł nerwowo Redfern, nie do końca wierząc w to, co usłyszał.

– Możliwe, ale pozytywna wiadomość jest taka, że Marta dotarła do Polski.

Podziękował dziadkowi za przysługę i się rozłączył. Leżał na łóżku i patrzył, jak po suficie przesuwają się światła przejeżdżających koło bloku samochodów. Spojrzał na zegarek i uznał, że jeszcze nie jest za późno, by wykonać jeden telefon.

Wybrał z listy odebranych ten z kierunkowym czterdzieści osiem. Gdy po kilku sygnałach w słuchawce odezwał się zaspany kobiecy głos, Redfern zdał sobie sprawę z różnicy czasu i że w Polsce jest godzinę później.

– Pani Kasia? – zapytał, a gdy usłyszał potwierdzenie, przedstawił się. – To pani do mnie dzwoniła, że Marty Sokolińskiej nie było na lotnisku.

– Tak, tak. To ja. Dowiedział się pan czegoś? Znalazła się? – mówiła gorączkowo przyjaciółka Marty, natychmiast zapominając o zmęczeniu.

– Można tak powiedzieć – odparł. – Najprawdopodobniej jest w Kielcach. Wie pani może, dlaczego nie dotarła do Katowic?

W tle usłyszał męski głos, a zaraz po nim uciszający syk kobiety.

– Nie wiem, ale Marcie już zdarzało się kiedyś wyłączać.

– Nie bardzo rozumiem. – Redfern usiadł na łóżku zaintrygowany.

– To znaczy ona czasem lubi się gdzieś zaszyć. Bez powodu, chociaż teraz akurat powód ma dobry. Stracić rodziców w taki sposób. – Katarzyna Sławik urwała w pół zdania, jakby nie mogąc udźwignąć faktu, że Sokolińscy zostali brutalnie zamordowani. – Jeśli Marta jest w Kielcach, a z tego, co wiem, to ma tam znajomych ze studiów, to znaczy, że właśnie nadszedł ten moment. Dowiedziałam się, że ma jeszcze parę dni urlopu, więc może nie mamy się czym martwić.

– Pewnie ma pani rację – odparł Redfern. – Proszę dać mi znać, jak tylko wróci.

– Oczywiście – zapewniła Katarzyna. – W każdym razie dziękuję za pomoc. Dobranoc.

Pierwsza radość powoli ustępowała podłemu poczuciu, że niepotrzebnie stracił mnóstwo czasu i energii.

ROZDZIAŁ V

*Kończy się tydzień. Nie ma nadziei
że następny coś jeszcze zmieni.*

Kult, Czarne słońca

Niedziela, 10.11.2013, rano

Ze snu wyrwał go wystrzał armatni. Po chwili padła cała seria wybuchów. Poderwał się i przez ułamek sekundy nie wiedział, gdzie jest. Do świadomości przywołał go głos dobiegający zza drzwi i kolejne walenie.

– Patricia? Jesteś tam? Otwórz, proszę!

Znał ten głos. Kojarzył mu się z leniwymi popołudniami w Silver Manor, jazdą konną i najlepszym domowym jedzeniem na świecie. Jego nozdrza wypełnił wymaginywany zapach *cornish pasty*. Z mglistego wspomnienia o wypełnionym aromatyczną wołowiną i warzywami pierogu w mgnieniu oka wyłonił się obraz matki Patricii. Po chwili doszedł do niego zgrzyt klucza w zamku.

Redfern zarzucił na biodra prześcieradło i poszedł do przedpokoju, gdzie zastał dokładnie to, czego się spodziewał.

– David? – Elegancka kobieta nie kryła zaskoczenia. – Co tu robisz?

Redfern chciał odpowiedzieć, ale kobieta otaksowała jego strój i powiodła wzrokiem w stronę sypialni.

– Jest Patricia? – spytała już mniej napastliwie.

Isabelle Bones była połączeniem klasy, elegancji i diabelskiej inteligencji. Chłód, który roztaczała, dziwnie hipnotyzował i sprawiał, że paradoksalnie chciało się z nią przebywać. Teraz cała jej wytworność ustąpiła miejsca zdenerwowaniu, co sygnalizowały rozpięte guziki żakietu, zawsze stojące na straży jej nienaganej figury. Redfern zauważył, że rękawiczki, które nigdy nie rozstawały się ze smukłymi palcami pani Bones, zwisały teraz smętnie z niewielkiej torebki.

– Pojechała na jakąś konferencję prawniczą, a ja opiekuję się mieszkaniem – odpowiedział możliwie trzeźwo.

– Opiekujesz się mieszkaniem – powtórzyła powoli, spoglądając zza okularów połówek. – Zajrzałam tu dwa dni temu i jakoś nie zauważyłam twojej obecności.

– Byłem dość zajęty.

– Dość zajęty.

Redfern miał wrażenie, że stoi w jaskini i za każdym razem odpowiada mu echo.

– Przyjechałam, bo Patricia przestała się odzywać.

Zrobiła krok do przodu. David zaprowadził ją do kuchni i zaproponował jedyny rarytas w tym domu. Szklanka wody z kranu stała na blacie obok staruszki.

– Byłam też u ciebie – zaczęła, gdy tylko wzięła pierwszy łyk. – Szukałam Patricii.

– Jest w delegacji – powtórzył. – Raczej nie ma czasu dzwonić. Pisałem z nią wczoraj wieczorem. Wszystko wydaje się OK.

– Jak zapewne pamiętasz, Patricia zawsze do mnie dzwoni.

Pamiętał, oczywiście. Córka nawet z Malediwów wykonała horrendalnie drogi telefon do domu, by poinformować, że wszystko w porządku i nic jej nie grozi w towarzystwie tego policjanta.

– Myślę, że jest po prostu zajęta. – Wzruszył ramionami. – Na tyle mocno, że przestała robić zakupy.

Otworzył pierwszą szafkę. Potem następną i następną. Z każdej zionęła przygnębiająca pustka. Isabelle Bones przyglądała się temu bez emocji. Redfern czuł, że szykuje mu jakąś wyjaśniającą wszystko petardę.

– O to bym się nie martwiła – oznajmiła, upijając kolejny łyk. – Patricia ostatnio robi nieakceptowalne w mojej ocenie rzeczy. Zaskoczyło mnie natomiast to...

Kobieta wyciągnęła z torebki złożoną kilka razy kartkę i podała Redfernowi. Rozwinął ją. Na stół wypadł mały woreczek strunowy. Nie było mowy o pomyłce. W środku było coś równie przerażającego, co podniecającego. Pukiel włosów, których właścicielką mogła być tylko jedna osoba.

To była chluba Patricii i jej najseksowniejszy, zaraz po piersiach, atrybut. Od cebulek po końce miała pszenicznie złote włosy, nigdy niefarbowane,

niesuszone suszarką. Zadbane i lśniące. Idealny skandynawski blond. Dla tych włosów David Redfern stracił kiedyś głowę.

– Skąd to masz?

– Mówiłam ci, że byłam u ciebie. Patricia ostatnio bywa w dziwnych miejscach – dodała. – Znalazłam to na wycieracze. Myślałam, że to może wiadomość do ciebie – urwała.

David nie miał zamiaru dociekać, skąd Isabelle Bones wiedziała, że zmienił adres zamieszkania. Był pewien, że jedna z najbardziej wpływowych kobiet w Surrey miała wgląd w wiele tajemnic miasta.

Bez słowa poszedł do sypialni i przyniósł telefon. Mokrymi od zimnego potu palcami wybrał numer Patricii. Bez odpowiedzi. Jedyne, co było pewne, to to, że jej komórka wciąż działała.

– Mówiłeś, że pisała do ciebie. Mogę zobaczyć?

Redfern zawahał się, ale podał kobiecie telefon, a ona przejrzała wiadomości.

– To nie są SMS-y od niej. Pat tak nie pisze – zawyrokowała, odkładając aparat na stół.

Chyba do ciebie, pomyślał, ale ugryzł się w język. Ta wizyta, jak każda w przeszłości, kojarzyła mu się z policyjnym nalotem i z minuty na minutę coraz bardziej przestawała mu się podobać.

W tym momencie komórka zawibrowała na blacie, mrucząc nieprzyjemnie. Redfern dał na głośnik.

– Czy możesz przestać, do cholery?! – poniosło się po kuchni. – Pisałam ci, że masz nie dzwonić!

– Dzwonię w imieniu twojej mamy.

– A ty co? Adwokat? – zaatakowała wściekle. – Starucha cię nasłała?! Mogłaby mieć odrobinę przyzwoitości i zejść już z tego świata!

Ciszę, która zapadła po tych słowach, przerywał tylko szum połączenia. Pani Bones odwróciła wzrok, mrugając szybko.

Redfern wiedział, że konflikt między byłą panią adwokat a liberalną, jeśli nie przesadnie wyzwoloną, córką przybierał na sile, odkąd Patricię porwał cyklon okresu dojrzewania. Zrównała z ziemią stabilną twierdzę, jaką od pokoleń tworzyła rodzina Bones. Później było tylko gorzej. Jedyne, z którą Patricia miała dobre stosunki, był jej brat, Adrian. Telefony do matki były napędzane nadzieją, że niedługo otrzyma pokaźny spadek. Im lepiej poznawał życie z Patricią, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu,

że skłonności do zimnej kalkulacji młoda pani Bones nie mogła wyplewić ze szlachetnej puli genów.

By oszczędzić kobiecie dalszych przykrości, David nacisnął czerwoną słuchawkę. Isabelle Bones siedziała nieruchomo. Redfern widział w swoim życiu wiele ran, ale żadna nie krwawiła tak jak ta w sercu matki.

Powinien teraz coś powiedzieć. Cokolwiek. Że Patricia była zdenerwowana, że nie miała tego na myśli. Nie zamierzał bronić byłej narzeczonej, zależało mu wyłącznie na złagodzeniu bólu starszej kobiety, ale zamiast zalać ją potokiem słów, patrzył tylko, jak dumna Isabelle Bones zabiera torebkę, wkłada trzęsącymi dłońmi rękawiczki i bez słowa wychodzi.



Gdy David wrócił na Princess Road, zauważył pod domem znajomą škodę. Kobieta, która z niej wysiadła, pospiesznie zgasiła papierosa i machała do niego. Entuzjastycznie, ale bez uśmiechu. Redfern westchnął cicho. Miał dość kobiet na najbliższe miesiące, więc postanowił załatwić wszystko, z czym przyszła, na ulicy.

– Musisz coś zrobić, David – powiedziała poważnie, zanim zdążył się odezwać.

– Jestem na urlopie, Summer – odparł wyprany z emocji. – Nic nie mogę, a ty masz chyba weekend. Nie powinnaś być z rodziną?

– McMahon aresztował Wolańską pod zarzutem morderstwa – wypaliła, ignorując uwagę Redferna. – Musimy coś zrobić. Media już zwęszyły sensację i Greg zwołuje konferencję.

– Na którą?

– Na osiemnastą.

Redfern zaprosił sierżantkę do środka i przeprosił ją na chwilę, by wypuścić stęsknionego Bandita na podwórko. Było mu okropnie przykro, że w nerwach o nim zapomniał. Tak mocno przyzwyczyił się do pomocy dziadka w opiece nad szczeniakiem, że bez zastanowienia pojechał wczoraj do Guildford.

Niedługo potem stali z Summer w zatęchłej kuchni, oboje zażenowani jej stanem. Garnki i talerze w zlewie stanowiły osobny byt, którym sam

Darwin z pewnością by się zainteresował. Redfern omiół rękawem stół i posadził przy nim policjantkę. W lodówce miał tylko zwiędłą marchew, jajka i tortillę. Nic, co nadawałoby się na poczęstunek, więc go nie zaproponował. Chciał zapytać o wczorajszy wieczór na komendzie, ale zamiast tego rzucił:

– Co mają na Wolańską?

– W zasadzie wszystko. Mają świadka, który zeznał, że szła z jakimś kanistrem w ręce. Tyle że ona twierdzi, że w noc morderstwa była w pracy.

– OK, no to co z kamerami ze szkoły? Tam jest pewnie dość szczelny monitoring – powiedział Redfern, przypominając sobie swoją wizytę w Gordon's School i liczne ekrany w recepcji.

– Problem polega na tym, że jej auto pojawia się przy bramie wjazdowej, przejeżdża przez plac i znika. Jej samej nie uchwyciła żadna kamera. Może zaparkowała poza zasięgiem, a może tylko przejechała przez szkołę?

– To bez sensu – denerwował się Redfern. – Po co potem paradowałaby przed domem Abbasich?

– Nie wiem. W każdym razie McMahanowi się nie spieszy. Ma muchę w sieci i będzie ją zmiękczał.

– Świetnie – wycedził przez zęby Redfern. – Wolańska ma adwokata?

– Przysłali kogoś z urzędu. Żółtodziób. – Summer ze złością wypuściła powietrze nosem. – Wiele przemawia przeciwko niej. Po pierwsze w szkole ktoś słyszał, jak Wolańska mówi, że powyrzyna rodzinę dziewczynki, a po drugie dała dziennikarzowi po mordzie. Ten przyleciał do nas. Pismak z „The Sun”. Wrzeszczał na naszą Abby, że jest osobą publiczną, że to zniewaga. Na miejscu Abby spuściłabym go w kiblu. Publicznym. A na koniec ta skarga.

– Jaka, do cholery, skarga?

– Pamiętasz te zażalenia na taksówkarza w Star Cars? Złożyła je Wolańska. Oskarżyła go o seksizm i napaść słowną. Podobno ostro się ścięli pod szkołą, gdy odwoziła córki. Potem napisała do Star Cars. Dała do wiadomości właściciela korporacji i to on pokazał nam mail, bo w centrali z miejsca wykasowali.

– Czyli McMahan ma wszystkie karty – podsumował David.

– Ja nie wierzę, że Wolańska mogłaby kogoś zabić. – Summer podeszła do zlewu i napiła się prosto z kranu, po czym wytarła wierzchem dłoni usta i powiedziała: – Już pomijam naciągany motyw zatargu w szkole czy czas,

który w ogóle się nie zgadza. Ja ją widziałam zaraz po porwaniu, Dave. Wrak niezdolny do niczego.

– Ty to wiesz, ja to wiem, Wolańska to wie. – David klepnął w stół i wstał. – Zbieraj się. Masz blachę?

Summer uchyliła kurtkę. Mogli działać.

Niedziela, 10.11.2013, popołudnie

Sunęli w stronę Chobham. Słońce odbijające się od mokrego asfaltu utrudniało prowadzenie. Parująca szybko woda utworzyła tuż nad jezdnią cienką warstwę mgły.

– Jakbyśmy rozjeżdżali duchy – rzuciła Summer, przerywając ciszę.

Redfern nie skomentował trafnej uwagi policjantki. Zastanawiał się, czy istnieje jakiś rejestr, który potwierdzi jego wersję wydarzeń. Monitoring Gordon's School jej przeczył. Ktoś jednak musiał widzieć Kingę Wolańską.

Recepcja szkoły kojarzyła się z ulem. Pszczoły wchodziły do niego, wykonywały swój taniec, zrzucały balast i wylatywały w sobie tylko znanym kierunku. Nauczyciele z trzaskiem otwierali wahadłowe drzwi. Co jakiś czas pojawiali się rodzice, by zameldować dzieci w dormitoriach. Typowy początek semestru w prywatnej szkole.

Jedynym nieruchomym elementem był łysiejący mężczyzna w stroju ochroniarza. Oddzielony od chaosu wysokim kontuarem witał każdego serdecznie. Niektórym z nich wręczał klucze. Wszystko w pozycji siedzącej i niespiesznie.

– Pan Carl Strauss? – Summer wyrwała się, kiedy ostatni nauczyciel opuścił hall.

– Od urodzenia. – Mężczyzna uśmiechnął się zawadiacko, a potem przeniósł wzrok na inspektora. – O, pan Redfern. Co tym razem pana sprowadza?

Wstał i przeszedł dookoła recepcji. Stanął przed nimi z rękami z tyłu pleców, jakby miał zacząć przechadzać się po muzeum. Jakiś poradnik z mowy ciała, który Redfern dostał od Patricii pod choinkę, mówił o tym, że człowiek przyjmuje taką postawę, gdy coś ukrywa. Bzdura.

– Chodzi nam konkretnie o noc z drugiego na trzeciego listopada – wyjaśnił Redfern. – Czy Kinga tu była? Czy wpisywała się może do rejestru?

– Możemy to łatwo sprawdzić.

Ochroniarz przechylił się przez ladę i sięgnął po oprawioną w zieloną skórę książkę, do której Redfern wpisywał się ostatnio. Otworzył ją na odpowiedniej stronie i wolno przesunął palcem po rubrykach. Po chwili było jasne, że podpisu Wolańskiej tam nie ma.

– A może pamięta pan tamten wieczór? – Summer się nie poddawała.

– Sam wieczór, kiedy Kinga nas odwiedziła, pamiętam, ale proszę mi wierzyć, że zupełnie nie wiem, kiedy to było – oznajmił staruszek i z zakłopotaniem podrapał się po gładko ogolonym policzku.

– A może ktoś z nią był? Ktoś inny ją widział?

– Jasne! – Klepnął się otwartą dłonią w czoło. – Kimberly Small, menadżerka z firmy sprzątającej. Jeśli ona pamięta datę, to znaczy, że tak było. Z pewnością odświeży mi pamięć. Zaraz znajdę numer.

Carl Strauss pogrzebał w komórce, po czym przystawił ją do ucha. Usłyszeli wybieranie numeru, a po chwili stłumiony kobiecy głos.

– Cześć, Kim, tu Carl. Tak, wiem. – Zmieszał się nieco. – Jest taka sprawa. Pamiętasz ten wieczór, kiedy Kinga przyniosła wypowiedzenie? Tak? O, nie wiedziałem. W każdym razie teraz są u mnie. Dam ci ich, OK?

Z miną zbitego psa podał Refernowi słuchawkę. David nie miał szans się przedstawić.

– Żeby była jasność – wysyczała Kimberly Small. – Kinga Wolańska nigdy nie dała mi żadnego wypowiedzenia. Otrzymałam od niej zwolnienie lekarskie jakieś półtora tygodnia temu. Poczta. I proszę więcej nie marnować mojego czasu.

Klik. Tyle miała do powiedzenia Kimberly Small na temat swojej podwładnej. Żelazne alibi Kingi Wolańskiej pokryło się rdzą.

Pożegnali się z Carlem i wyjechali ze szkoły bramą wyjazdową, która wychodziła na urocze osiedle starych domów West End. Summer zatrzymała auto przy krawężniku i zapaliła papierosa. Wnętrze wypełnił smród sterlingów.

– Co o tym sądzisz? – spytał Redfern, otwierając szybę.

– Że oboje ściemniają.

– Pomysły?

– Jeden.

– U mnie też. Zadzwońię do Puszki. Założę się, że ma kopię nagrania z monitoringu.

Summer wypuściła dym z płuc i rzuciła niedopałkiem w stronę kosza. Nie trafiła. A może wcale nie miała zamiaru. Twarz jej dziwnie stężała. Redfern pomyślał, że niepotrzebnie mówił o kopii nagrań. Mogła to odebrać jako przytyk do zaginionych płyt z ośrodka uzależnień Life Works, których Summer nie zgrała na twardy dysk.

– Chodzą plotki, że szczury biegają po zakładzie, słyszałeś? – Spojrzała na Redferna i przekręciła kluczyk. Wiedział już, że nie chodziło o płyty, a o fakt, że patrzy im na ręce wydział wewnętrzny. Nie chciał jednak dokładać drwa do tego pożaru.

– Na twoim miejscu dałbym sobie spokój z plotkami. Od lat słyszę te same – odparł, gdy mijali uśpione niedzielnym snem Chobham.

– Sama zorganizuję tę kopię – oznajmiła twardo, jakby uznała, że reakcja Redferna nie spełnia jej oczekiwań. – Dobierzemy się pani menadżer do dupy. Ktoś już ją odwiedzał, ale najwyraźniej spieprzył sprawę.

– Albo nie zależało mu, by dociec prawdy.

Dalej jechali w milczeniu. Redfern był pod wrażeniem przenikliwości Summer. Przeszło mu przez myśl, że powinien powiedzieć jej o McMahonie. Mając jednak w pamięci jej tajemniczą nocną wizytę na komendzie, wycofał się z tego pomysłu.

Pod domem rzucił coś w stylu „do zobaczenia” i wszedł do wiatrołapu. Drzwi przypomniały mu o dziwnej przesyłce, którą znalazła Isabelle Bones. Gdyby złoty pukiel przysłała mu Patricia, byłoby to intrygujące, ale zatknięty w drzwi sprawiał, że Redferna nachodziły upiorne myśli. Ktoś był na tyle blisko jego byłej narzeczonej, że mógł niezauważenie odciąć jej kosmyk włosów. Siedział za nią w autobusie, na sali sądowej lub odważył się w ciasnej windzie. Miał szybkie i pewne ręce oraz zimną krew. Wbrew przewidywaniom Palacz wcale nie odpuścił, a jedynie zmienił taktykę. Jeśli to był on.

Redfern wszedł do domu i zdjął kurtkę. W lodówce nie było nic do jedzenia, więc zaparzył sobie tylko herbatę i usiadł z nią w sypialni. Bandit poczłapał za nim i położył się u jego stóp. Redfern pogłaskał go jedną ręką, a drugą ogrzewał kubkiem, zastanawiając się, czy Palacz mógłby się posunąć do najgorszego. Wysadzenie mieszkania Redfern już dawno uznał za ostrzeżenie, a nie próbę zabójstwa. Palacz albo usiłował zawrócić inspektora z obranej ścieżki, albo wskazać kierunek. Miał jednak nieaktualne informacje. Patricia nie była już narzeczoną policjanta, nie

mogła być silną kartą przetargową. Redferna ogarnęła smutna myśl, że nie ma nikogo takiego. Nawet Marta zniknęła z jego życia. Miało to swoje jasne strony. Bez rodziny i przyjaciół był kuloodporny. I samotny jak pies.

Zaparzył sobie kolejną herbatę i nałożył na imbryk pokrowiec, by nie wystygła za szybko. Powinien zadzwonić do Puszki. Powinien ustalić, kto jest adwokatem Wolańskiej. Zastanović się, dlaczego McMahan uwala śledztwo. Powinien podnieść ten cholerny telefon i coś zrobić. Tymczasem gapił się tępo w brudną szybę, przez którą bezskutecznie dobijało się słońce. Miał dość tego bałaganu – w życiu, w domu, w pracy.

Wsunął płytę do odtwarzacza. Podobnie jak Patricia Bones, nie miał dobrego kontaktu z rodzicami, ale na zupełnie innej płaszczyźnie, niezrozumiałej dla reszty świata. Matka była bardzo związana z Polską i mimo że nigdy tam nie mieszkała, myślami spędzała w niej każdą chwilę. Nauczyła Davida i jego siostrę mówić po polsku, chociaż ojciec był temu przeciwny. Uważał, że skoro żyją w Anglii, to powinni przestać robić dzieciom wodę z mózgu i zrezygnować z polskiego. W pijackim amoku zawsze z właściwą sobie złośliwością komentował jej wyjazdy do ojczyzny. Nie rozwiedli się chyba tylko ze względu na Davida, choć paradoksalnie właśnie dla niego powinni to zrobić. Dominique dużo lepiej znosiła to emigranckie rozdwojenie jaźni, natomiast on jako dziecko wyrzucał sobie, że nie jest ani Polakiem, ani Brytyjczykiem i nie miał mu kto powiedzieć, że to kompletnie nie ma znaczenia. W domu obserwował niekończące się pole bitwy, a on sam nie był przekonany do żadnej ze stron konfliktu. Może dlatego tak chętnie spędzał wtedy czas z dziadkiem.



Summer nie traciła czasu. Koło czwartej siedzieli przed jej komputerem i oglądali nagranie ze szkoły. Wolańska twierdziła, że spotkała się z Kimberly Small około dwudziestej trzeciej trzydziści. Przewinęli płytę mniej więcej do tego czasu. Wreszcie zobaczyli pas światła na szarym obrazie, a po chwili małego chevroleta, z którego wysiadła menadżerka. Wylewnie witana przez ochroniarza zniknęła z pola widzenia. Numer rejestracyjny widzieli jak na dłoni. Adres był kwestią kilku sekund.

Ciasno zabudowana Robin Hood Crescent sprawiała wrażenie dusznej uliczki, na której każdy wie wszystko o każdym. Dom pod numerem dwudziestym piątym był kalką bliźniaka, który minęli, zjeżdżając z głównej drogi. Jak w dziecięcej wycinance.

Musieli chwilę poczekać na otwarcie drzwi, ale byli pewni, że ktoś jest w środku. Usłyszeli szmer kapci i zwolnienie zasuw.

Redfern pomyślał, że gospodyni wygląda jak lalka Barbie z popularnego zestawu Kura Domowa. Opiętym dressem podkreślała resztki figury. Nienaturalnie żółte włosy upięła w wysoki kok. Jej wiek przekłamywała liczba wypalonych papierosów, z którymi zdawała się nie rozstawać. Patrzyła teraz na nich spowita gęstą, śmierdzącą chmurą.

– Czekałam na was – rozpromieniła się. – Wchodźcie!

– Szukamy Kimberly Small – odparł Redfern, nie ruszając się z miejsca.

– Państwo nie z agencji?

– Niezupełnie – powiedziała Summer.

– Ech, moja siostrzyczka ma bujniejsze życie towarzyskie ode mnie – rzekła zrezygnowana. – A mówią, że bliźnięta mają skopiowane życiorysy. Zaraz ją zawołam. – Okręciła się na pięcie i wydarła zachrypniętym głosem, odchylając się mocno do tyłu: – Kim! Do ciebie!

Usłyszeli ciężkie westchnienie i kroki gdzieś na piętrze.

Uwędzona Barbie powiedziała coś o rozmowie ze szwagrem i zniknęła w środku.

Kim była przeciwieństwem swojej siostry. Potężniejsza od niej, ale bardziej proporcjonalna, nosiła się dumnie i wyglądała o połowę lat młodziej. Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, wypaliła:

– Podam was do sądu za nękanie!

– Sąd to będzie panią nękał za składanie fałszywych zeznań – rzucił szorstko Redfern.

Kimberly Small wyglądała, jakby zabrakło jej powietrza. Inspektor wiedział, czemu zawdzięcza tę reakcję. Ktoś z zespołu musiał się już kontaktować z menadżerką firmy sprzątającej i zrobił to na tyle nietaktownie, że kobieta od razu uznała ich wizytę za wrogą.

– Jakich fałszywych zeznań? – Odzyskała głos. – Nie wciśnie mi pan, że Kinga Wolańska była wtedy w pracy. Nie było jej. Nie było żadnego wypowiedzenia. – Jej słowa zagłuszyły przejeżdżające główną ulicą wozy strażackie.

Redfern odruchowo podążył za nimi wzrokiem. Nad Sheerwater zobaczył potężny słup czarnego dymu. Pomyślał, że kolejny amator palenia liści się przeliczył.

– Pani Small, tylko pani może uratować niewinną kobietę – uderzyła w błagalny ton Summer. – Kinga Wolańska została aresztowana. Twierdzi, że w nocy, kiedy zostało popełnione morderstwo, rozmawiała z panią. Wiemy, że pani tam była.

Kobieta zrobiła krok do przodu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Wściekłość przerodziła się w rezygnację i Kim Small zapadła się w sobie.

– W porządku – westchnęła ciężko. – Faktycznie spotkałam się z Kingą. Poradziłam jej wtedy, żeby zamiast się zwalniać, wyłudziła jakieś zaświadczenie lekarskie i dostarczyła mi w najbliższym czasie.

– Czy może to pani zeznać? – zapaliła się Summer.

– Nie. Nie mogę.

– Mamy nagranie z monitoringu, na którym widać pani samochód. Nie wspomnę o wylewnym powitaniu z ochroniarzem. – Redfern miał dość zabawy w ciuciubabkę.

– Problem polega na tym, że powinnam być wtedy gdzie indziej. – Kobieta zniżyła głos do szeptu. – Nocne inspekcje szkół nie należą do moich obowiązków.

Raczej do przyjemności, pomyślał Redfern, ale nie podzielił się tym, nie chcąc spieszyć menadżerki. Wszystko zależało od jej zeznań.

– A gdzie pani powinna być?

– U chorej teściowej – wyznała Kimberly. – I byłam tam. Jakiś czas. A gdy zasnęła, pojechałam do szkoły. Problem polega na tym, że teściowa zmarła tej nocy. Gdyby mój mąż się o tym dowiedział, nigdy by mi nie wybaczył. Ona chorowała od lat...

– Wiemy, że pani była u teściowej całą noc, ale pilny telefon ze szkoły zmusił panią do zejścia z posterunku. Czyż nie tak? – wszedł jej w słowo Redfern, przypominając sobie żałobną broszkę, którą widział niedawno na piersi kobiety.

– Tak. Mogło tak być – odpowiedziała zaskoczona i otarła dłonią mokry policzek.

– Pojedzie pani z nami? – spytała cicho Summer.

– Nie mogę, naprawdę nie mogę – odparła Kimberly sztywno i cofnęła się do domu, zamykając za sobą drzwi.

Szli wzdłuż ulicy, każde pogrążone we własnych myślach. Redfern zastanawiał się, jak zmusić Kimberly Small do złożenia zeznań, ale nie miał takiej mocy. Auto, które zarejestrowała kamera na mostku, mogło być fordem Wolańskich, a wysiadająca z niego kobieta pasowała do profilu matki dziewczynki. Tylko to się zgadzało. Poza tym jednym szczegółem: nie miała żadnego sensownego motywu, by zabić Abbasich. Był wściekły na siebie, że podał ją McMahonowi na tacy. Zabójstwo w Polsce z pewnością utrudniało jej obronę.

Nagle spojrzał na Summer, która idąc obok, kopała przed sobą puszkę po piwie. Dźwięk trącego o chodnik metalu uruchomił w jego głowie serię obrazów, które zlały się w pewność, gdzie ma szukać odpowiedzi. Sierżantka ze zdziwieniem patrzyła, jak Redfern zawraca i rzuca się biegiem do auta.

- Wsiadaj!
- Dokąd jedziemy?
- Na zakupy.

Niedziela, 10.11.2013, wieczór

– Powiem ci, że minę Elsy można by sfotografować i umieścić w Wikipedii pod hasłem „wściekłość”. – Chris Tinney nie przestawał się śmiać.

– McMahon też by tam pasował – dodała Summer – ale bez zdjęcia, ponieważ usiłował być niewidzialny. Odwoływanie konferencji zapamięta na długo. Pewnie rozważy też zmianę numeru komórki.

Redfern widział to wszystko oczami policjantów. Popijając wieczorem piwo na tarasie domu przy Princess Road, wiele razy wracali do momentu, kiedy Summer wniosła kilkilitrową puszkę po oleju kukurydzianym na komendę. Sierżantka szczegółowo opowiedziała prokuratorce, jak morderca doskonale zaplanował dostarczenie krwi na Monument Road. Z wielką puszką najpopularniejszego tłuszczu w tej dzielnicy pod pachą nie wzbudził podejrzeń. Pominęła tylko awanturę z właścicielem sklepu, który nie chciał oddać pojemnika.

– Schował ją, bo myślał, że jak ją znajdziemy na tyłach jego sklepu, to zaraz go oskarżymy – wyjaśnił Redfern Tinneyowi, który wciąż nie mógł uwierzyć, że inspektor skojarzył wszystko tylko na podstawie metalicznego dźwięku, który usłyszał, kiedy sprzedawca potknął się o ukrytą za ladą puszkę.

– Przecież to niedorzeczne – prychnął Chris.

– Ludzie w panice robią różne głupoty – skwitowała Summer i wychyliła solidny łyk. – Odciski palców nie kłamią, były tylko te należące do sprzedawcy i dwojga ludzi, których tożsamości nie udało się ustalić.

– To pewnie huk uderzającej o chodnik puszki obudził małą Zimal – zawyrokował Tinney, a Redfern przyznał mu rację, wznosząc lekko butelkę.

– Tak – potwierdziła Summer. – Ale najlepsze było, jak stawiała się ta Small. Przekonaliśmy ją, Dave. Miałeś do niej nosa.

W tle mrucało radio, a Woking kładło się spać. Redfern też miał już dość. Kręciło mu się w głowie i czuł kwaśny smak w ustach. Spod zakrapianych myśli powoli przebijała się ta, że jutro będzie tego bardzo żałował.

– Nie czuję jednak ulgi, Dave – zwierzyła się Summer, gdy Tinney pojechał do domu. Sięgnęła pod krzesło po kolejną butelkę, otworzyła ją o barierkę tarasu i przetała szyjkę znajomym gestem. – Morderca wciąż gdzieś jest. Od momentu znalezienia zwłok nie zrobiliśmy ani kroku do przodu.

– W Woking wydarzyło się ostatnio tyle makabry – rzekł Redfern. – Za dużo jak na jedno wypiędziałewo. Czuję, że te sprawy gdzieś się przecinają, ale nie wiem gdzie.

– Puszczę powiedziałeś coś innego – wypomniała mu.

– Co widzisz, patrząc na te dwie historie? – Zignorował jej uwagę.

– Nie wiem. Do tej pory myślałam o tym jak o osobnych śledztwach.

– Ja widzę cienie Wolańskich. Porwanie, morderstwo na Monument Road. Wszędzie oni. Może niebezpośrednio, ale pojawiają się przy każdej okazji.

– OK, rozumiem. – Odstawiła pustą butelkę pod krzesło i wstała. – Jutro przejrzę jeszcze raz ich akta pod kątem znajomych, rodziny. Muszę się zbierać, bo rano McMahon robi nam armagedon.

– Zależy ci na nim? – wypalił Redfern, nie mając na myśli stosunków w pracy.

Summer stanęła jak sparaliżowana, ale kiedy się odwróciła, na jej twarzy nie widział ani zaskoczenia, ani zażenowania.

– Wiesz, trudno o relację z kimś, kto najpierw udaje, że nie istnieje, a potem nie chce wpuścić cię do swojego życia.

– Życie Grega w swym skomplikowaniu jest dość poukładane. Nie sądzisz, że warto by było odpuścić?

– Może. – Spojrzała w głąb ogrodu, gdzie pod szopą Bandit kopał z zapalem kolejną dziurę. – To po prostu silniejsze ode mnie.

Redfern nie czuł się dobrze w roli doradcy, ale romans w pracy, zwłaszcza z przełożonym, wydawał mu się chodzeniem po polu minowym.

– A dlaczego tobie tak zależy na Lindzie Wall? – zapytała, wciąż zatopiona we własnych myślach.

– Bo Knightowi zależy – odparł. – A nikt w całej tej wiosce nie wie więcej o rodzinie niż on.

– No to tym bardziej mnie rozumiesz – odparła. – Muszę już iść.

– Jasne, leć. – Redfern podniósł się z fotela, czując, że jego nogi są odlane z ołowiu i nie do końca nad nimi panuje. – Odprowadzę cię.

Summer włożyła pozostawiony w przedpokoju sweter i przełożyła torbę przez ramię. Z tą jej grzywką wyglądała jak mała psotna dziewczynka. Redfern założył kurtkę i wsunął rękę do kieszeni, gdzie wciąż spoczywały wizytówki Beaty Mikiewicz. Patrząc na Summer, z rozbawieniem pomyślał o stereotypach, jakimi operowała sąsiadka Wolańskiej.

Sierżantka chwyciła za klamkę, ale nie otworzyła drzwi. Na chwilę zastygła i odwróciła się twarzą do Redferna.

– Muszę cię jeszcze o coś zapytać.

– Wal.

– Co jest między tobą a McMahonem? Podobno jeszcze nie tak dawno dobrze wam się współpracowało, a teraz bierzecie się za łby. Chodzą słuchy, że miałeś chrapkę na stanowisko Knighta.

– Proponuję zrezygnować z jadania w kantynie – skwitował.

Miał wielką ochotę powiedzieć jej, że facet, z którym sypia, rozmontowuje zespół od środka. Nie był jednak pewien, czy pytanie było wyrazem troski o kochankę, czy próbą przejścia na drugą stronę barykady.

Łagodna tego dnia pogoda nagle zmieniła twarz i Redfern leżał teraz w łóżku, wsłuchując się w wycie wiatru. Stalowe łańcuchy deszczu raz po raz uderzały w okna, które trzeszczały pod naporem kolejnych podmuchów. Zabolalo go, że jego kierowanie z tylnego siedzenia, które doprowadziło do uwolnienia niewinnej osoby, nie spotkało się z telefonem od McMahona. Zastępca komendanta tak bardzo nastawił się na sukces, że aż zapomniał, iż nie ma do niego drogi na skróty. Choć może powinien, nie cieszył się

z błędu przełożonego. Przeciwnie. W jego pamięci wciąż wyświetlał się obraz Wolańskiego, którego oskarżył o porwanie dziecka, i wiedział, z czym musiał się teraz mierzyć Gregory McMahon. W tej pogmatwanej sprawie bardzo łatwo wydawali niewłaściwe osądy.

Poniedziałek, 11.11.2013, rano

Ten jest ostatni, który nie pierwszy.

Kult, Komu bije dzwon

Wolne dni pokazały, że David nie był najlepszym towarzyszem dla samego siebie. Pustka, jaka zapanowała po wyjeździe Siwiaszczyka, dawała się wypełniać tylko pracą, której teraz zabrakło. Nawet człapanie Bandita po domu jakby z większą siłą odbijało się od ścian, uwypuklając samotność.

Aby zabić narastającą w uszach ciszę, włączył radio, ale już po kilku minutach wiedział, że ono też nie będzie dobrym kompanem. Wiadomości o obchodach Dni Pamięci oraz pożarze w starych magazynach niedaleko Sheerwater wprowadziły go w jeszcze gorszy nastrój. Nielegalna noclegownia bezdomnych co jakiś czas stawała w płomieniach, zwykle jednak kończyło się na zniszczeniu dwóch lub trzech pomieszczeń. Jednostki z Woking i Guildford bardzo długo walczyły z ogniem, ale tym razem rudery spłonęły doszczętnie.

Narzekając pod nosem na opieszałość dziadka, zrobił porządek w szafkach z jedzeniem, gdzie od dawna grasowały mole spożywcze. Ruszając się mękę z obrzydzeniem wyrzucił do kosza. Za nią wyleciał makaron, płatki owsiane i kilka puszek *mushy peas*. Pulpy z zielonego groszku niebezpiecznie się wyrzuciły. Potem przetarł podłogę i przejrzał zalegające pod drzwiami koperty. Żadna nie zapowiadała przełamania nudy.

Może gdyby włączył telefon, to ktoś by zadzwonił, żeby zaprosić go na piwo, ale przezornie postanowił odciąć się od świata. Praca w domu nie była wprawdzie porywająca, ale lepsza niż ten syf, który piętrzył się na komendzie. Uwolnienie Wolańskiej powinno wszystkich cieszyć, ale doszły go słuchy, głównie od Summer, że atmosfera w zakładzie jest ciężka. Tinney wziął kilka dni chorobowego.

Wyłączył odbiornik, założył buty i zgarnął do kieszeni małą paczkę, która przysłała parę dni temu. Jak zwykle klucze od auta położył w kuchni.

Przeszedł przez całe mieszkanie, zostawiając wszędzie błotniste ślady. Przeklinając w duchu swoje roztargnienie, zatrzasnął drzwi. Potrzebował dobrego męskiego towarzystwa.

Błękitna brama skrzypnęła z łoskotem. Garaż, który wynajmował przy Ulwin Avenue w Byfleet, był idealnym miejscem, by ukryć swoją pasję przed wścibskimi oczami. Samochodowa dłubanina zmywała z pokładu stres i niepowodzenia. Kompletowanie części do triumpha, wielogodzinne wycieczki na pchli targ, gdzie ludzie wystawiali swoje garażowe skarby, czy też śledzenie aukcji na eBayu dostarczały mu tych czystych emocji, jakich od lat nie znajdował w pracy. Zaraz po nich przychodziło skupienie przy montażu, spawaniu i polerowaniu. Jak w idealnym związku. Tym, przed którym odczuwał podskórny lęk i którego w gruncie rzeczy chciał.

Włączył starego boomboxa, którego trzymał na metalowym regale, i ściągnął kurtkę. Płynący z głośników Kazik bardzo trafnie zauważył, że jest tu tak brudno i brzydko, że pękają oczy. Redfern odstawił na półkę paczkę z lakierem i złapał za stojącą w rogu miotłę. Zaprawki w triumfie musiały poczekać.

Przeglądając narzędzia w skrzynce, wciąż myślał o Wolańskiej i aferze, w którą została uwikłana. Summer obiecała wpaść z papierami, by wspólnie zastanowić się nad punktami styku. Redfern był jednak pewien, że McMahon znalazł jej inne zajęcie. W rozstawianiu ludzi po kątach miał doświadczenie i godny kubańskiego dyktatora rozmach. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo mu się to w tej pracy przydaje.

Po uwolnieniu Wolańskiej Redfern zastanawiał się, czy do niej nie pojechać i nie spróbować sprawdzić wszystkiego od początku, ale wiedział, że mu nie zaufa. Kinga Wolańska spisała policję w Surrey na straty, z Davidem Redfermem na czele.

Nabrał ochoty na piwo.



Gwar w Sovereigns Pub nigdy nie cichł. Lokal zupełnie inny niż plastikowo-neonowy Charlie Choys sprawiał, że naprawdę czuło się odrębność tego miejsca od reszty świata. Świetna lokalizacja i wyjątkowa atmosfera przyciągały tłumy i w taki dzień jak ten Redfern z trudem znalazł

miejsce przy barze. Wreszcie wcisnął się na hoker tuż przy przesłodzonej perfumami brunetce z papierowym makiem w klapie marynarki. Barman nie kazał na siebie czekać.

Zanim zamówił ulubione Ember Inn Pale Ale, rozejrzał się w poszukiwaniu znajomych z komendy, której mury można było zobaczyć z okna. Wśród dziesiątek roześmianych twarzy nie rozpoznał nikogo. Nie było nawet McMahona zwykle spędzającego tu krótką przerwę między stresem zawodowym a domowym. Do Redferna doszły słuchy, że jego druga żona jest gorsza niż zima w Szkocji.

Lodowaty bursztynowy płyn rozlał się rozkoszną goryczką na języku. David poczuł, że piana przylgnęła do kilkudniowego wąsa pod nosem. Starł ją niespiesznie wierzchem dłoni i przejrzał się w kawałku lustra, którego nie zasłaniały trunki, na jakie nigdy nie będzie go stać. Wyglądał strasznie. Pomijając zarost nadający jego twarzy brudny odcień, był blady i wychudzony. Worki pod oczami wydawały się wypełnione cementem. Nieprasowaną polówkę wątpliwie zdobił wywinięty w nienaturalny sposób kołnierzyk.

– Nigdy wcześniej cię tu nie widziałam – usłyszał obok siebie.

Redfern pomyślał, że musiał w nim zostać strzęp dawnego seksapilu, skoro w takim stanie przyciągał spojrzenia kobiet. Schlebiało mu to, ale nie zamierzał tego wykorzystywać. Zwyczajnie nie miał siły.

– Jestem tu nowy – rzucił szorstko i pomniejszył zawartość szklanki o solidny łyk.

– Tak myślałam! – wykrzyknęła entuzjastycznie kobieta. – Od kiedy w Woking?

– Od paru miesięcy.

– I dopiero teraz w Sovereigns? – obruszyła się sztucznie. – W takim razie czuję się zobowiązana pokazać ci miasto.

– Tak, świetny lokal i genialne piwo – pominął propozycję.

Dziewczyna przyglądała mu się chwilę, jakby usiłowała sama siebie przekonać, że jest warty dalszej gimnastyki. Widok jej pleców znikających w tłumie utwierdził go w przekonaniu, że podjęła inną decyzję.

– Dobrze się bawisz? – Męski głos przerwał mu ponure rozmyślenia.

Mocno miętowy oddech owiał inspektorowi twarz. McMahon był już po kilku kolejkach i teraz marnie to maskował. Redfern nie wiedział, czy

zastępca komendanta siedział tu od dawna, czy raczej w pracy wzmacniał się z podręcznej piersiówki, którą trzymał w biurku.

– Znakomicie – odparł Redfern, dopijając ostatni łyk piwa.

– Puścić taką sztukę kantem to tylko ty potrafisz – skwitował policjant.

– Ty za to żadnej nie przepuścisz – odparował, po czym dodał: – Powiedzmy, że nie mam nastroju.

– To może masz nastrój wziąć się do roboty? Szukam cię od wczoraj.

– Dałeś mi wolne. – Wzruszył ramionami i uniósł rękę, by zamówić kolejne *ale*.

– To nie ma znaczenia. Był pożar w starych magazynach.

– Wiem. Słyszałem – odparł beznamiętnie.

– Ekipa Maletzky’ego znalazła w pogorzeliściu ciało dziewczynki – oznajmił McMahon, a David wstrzymał oddech. Wiedział, co za chwilę usłyszy. – Najprawdopodobniej to mała Wolańska.

Redfern mimowolnie podniósł się ze stołka i zaczął przesuwać w stronę wyjścia, a McMahon podążył za nim. Opuścili pub i poszli w stronę komendy.

– Może to nie ona? – Redfern opuścił głowę i zamknął oczy. Pod powiekami szalał mu ogień. – Identyfikacja?

– Nie nadaje się. – McMahon starał się być twardy. – Znaleźliśmy przy niej zegarek. Wzór zgadza się z tym, który w dniu zaginięcia miała Izabela.

– Kurwa – wypalił. – A zęby?

– Raczej trudno o kartę dentystyczną pięciolatki.

– A więc nie ma pewności – powiedział ostro Redfern.

– Dave, bądźmy szczerzy. Ile pięciolatek zaginęło ostatnio w Woking? W całym Surrey?

– To się nie trzyma kupy, Greg. – Redfern zatrzymał się w pół kroku. – Po co miałyby tyle czekać? Po co tak spektakularnie zabijać dziecko? I po jaką cholere wysłał ten list?

Nie mógł zapanować nad głosem. Miał wrażenie, że emocje, przed którymi uciekł z Londynu, zmasowanym atakiem szturmują jego klatkę piersiową. Patrząc na zmęczoną twarz McMahona, widział, że zastępca komendanta niedawno przeszedł przez to samo, a zapach, jaki poczuł od niego w pubie, był świadectwem tego, że sobie z tym nie radził.

– Wolańscy wiedzą? – zapytał.

– Tego nie dało się utrzymać w tajemnicy. Hej, co robisz? – krzyknął McMahon, widząc, że Redfern odwraca się na pięcie i biegnie w górę Guildford Road.

– Jadę do nich – zawołał, ale porywisty wiatr sprawił, że słowa nie dotarły do zastępcy komendanta, zostawiając go z niemym zdziwieniem pod wejściem do komendy Woking.

Poniedziałek, 11.11.2013, popołudnie

Słyszał sygnał zbliżającej się karetki, a następnie chrzęst kół na podjeździe. Niebieskie światło odbijające się od bram garaży pulsowało w pokoju niczym latarnia. Redfern rozejrzał się po obcych twarzach, wśród których rozpoznał tylko Josepha Chegego. Kenijczyk siedział na kanapie obok Bartosza Wolańskiego i coś szeptał do jego skulonej postaci, ale do ojca dziewczynki nie mógł dotrzeć żaden głos. Od kilku minut lkał jak dziecko, kołysząc się to w przód, to w tył.

W progu stanęła uśmiechnięta Beata Mikiewicz. Gdy zobaczyła siedzącą na fotelu Wolańską, otworzyła usta. Redfern pomyślał, że krzyknie, ale ona tylko oparła się o futrynę i w niemym zdziwieniu popatrzyła na policjanta.

– Nie! – Nagle Kinga Wolańska zerwała się na równe nogi. Dopadła Redferna i chwyciła za marynarkę. – To nie moje dziecko! – błagała. – To nieprawda! Powiedz, że to nieprawda!

Rozglądała się po pokoju, jakby szukała choć jednej twarzy, która uśmiechnie się i powie, że jej córka czeka w samochodzie, że jej koszmar się skończył. Każdy jednak odwracał od niej wzrok. Rosły sanitariusz, który właśnie wszedł do pokoju, bezskutecznie próbował ją odciągnąć od inspektora. Jej palce, spięte skurczem, nie chciały się rozprostować. Z klatki piersiowej próbował się wyrwać krzyk, ale ugrzązł gdzieś w gardle. Osunęła się na podłogę. Redfern wiedział, że Wolańska nigdy już nie zobaczy córki, nie weźmie jej w ramiona. Nie narysują razem żadnego kotka ani nie zjedzą lodów w centrum handlowym. Jakimś potwornym zbiegiem okoliczności jej mała córeczka leży teraz w strawionym przez ogień magazynie. Redfern pamiętał swoją matkę i miał świadomość, że Kinga Wolańska chciała teraz umrzeć, choć wiedziała, że śmierć to za mało.

Inspektor pochylił się nad nią i usiłował ją podnieść.

– Przysięgam, że go znajdziemy – powiedział łagodnie.

– I co mu zrobicie?! – Kinga wyrwała się z objęć. – Zamkniecie w więzieniu? Dacie ciepłe ubranie, łóżko i zreć do końca życia? To jest ta wasza kara?! Kara za zabicie mojego dziecka?! No powiedz!

Kinga patrzyła na niego stalowym wzrokiem. Jej umęczonym ciałem targał dreszcz. Redfern spojrzał na lekarza, który skinął porozumiewawczo głową. Wyciągnął z torby ampułkę i przebił strzykawką.

– To pani pomoże – powiedział i wbił jej igłę w wychudzone ramię.

– To twoja wina – szepnęła do Redferna, zanim bezwładna osunęła się na podłogę.

Z pomocą lekarza inspektor przeniósł ją na kanapę. Wraz z kobietą znieruchomiał cały świat. Summer stała przy oknie i patrzyła na porośnięte mchem dachy garaży, a Beata Mikiewicz, oparta o szafkę nocną, łykała spływające po jej czerwonych policzkach łzy. Jedynie lekarz z betonowym profesjonalizmem na twarzy starał się upakować w torbie stetoskop, rozrywając ciszę metalicznym szczękiem. Redfern pomyślał, że najgorzej zniósł tę scenę ojciec dziecka. W zamieszaniu opuścił dom.

David zastał go na murze na parkingu. Siedział, opierając się ręką o lipę i kopał suche liście. Dopiero gdy Redfern podszedł bliżej, zauważył, że mężczyzna usiłuje zakryć płamę wymiocin.

– Co ja mam teraz zrobić? – rzucił, nie patrząc na policjanta.

– Otrzymają państwo wsparcie psychologa – zapewnił Redfern, choć wiedział, że nie takiej odpowiedzi chciał mężczyzna. – Czeka pana wiele czarnych dni, ale proszę mi wierzyć, poradzicie sobie. Pana żona jest silną kobietą. Proszę pomyśleć, ile już przeszła, a i tak...

– No właśnie – przerwał mu. – Ile jeszcze można?

– Z pomocą innych bardzo wiele – odparł Redfern. – Myślę, że dobrze by było, gdyby żona spędziła kilka najbliższych dni pod okiem specjalistów. W szpitalu St. Peter's jest naprawdę świetna opieka psychiatryczna.

– Nie chcę jej nikomu oddawać. – Wolański nie dał mu dokończyć. – Sam muszę się zająć rodziną. Za długo stałem obok.

Redfern wycofał się, nie miał zamiaru niczego mężczyźnie ułatwić. Żał mu było matki dziecka, ale w stosunku do Wolańskiego nie mógł się na to zdobyć. Mimo tragedii, jaka na niego spadła, uważał, że zawiódł jako ten, który powinien stać na straży rodziny. Utonął w pracy i stracił z oczu to, co najważniejsze.

Inspektor nie umiał pozbyć się subiektywizmu. Jakaś część niego mówiła mu, że tej tragedii nie dało się zapobiec i mogła spotkać najbardziej zaangażowanych rodziców, ale druga sączyła do głowy myśl, że Bartosz Wolański zawinił. Gdyby zaangażował się w życie rodzinne, jego żona nie szukałaby uwagi w mediach społecznościowych, nie prosiłaby o pomoc obcych. Redfern nie mógł zagłuszyć myśli, że w jakiś pośredni sposób mężczyzna przyczynił się do śmierci własnego dziecka. I choć wiedział, że uczucie to spowodowane jest przez pamięć o ojcu, który poddał się nałogowi, nie mógł zdobyć się na litość.

Wsiadł do samochodu i odjechał.



Spojrzenia kolegów oblepiały go na każdym kroku. Niewielu zaszczyciło go uśmiechem, jeszcze mniej się z nim przywitało. Na komisariacie podobno wrzało po jego odejściu. Nigdy wcześniej nikt nie został zawieszony. Łatka złego policjanta została nie tyle przyklejona, co przyspawana do jego nazwiska.

Ubrana w czarną okładkę odznaka leżała na biurku. McMahon najwyraźniej na niego czekał. Redfern zapukał w futrynę i zatrzasnął za sobą drzwi. Usiadł naprzeciwko zastępcy komendanta i czekał.

– Skończmy ten cyrk – powiedział puciołowaty mężczyzna.

– Panie przodem – zażartował Redfern, a kąciaki ust McMahona lekko się uniosły, jakby próbowały walczyć z rozbawieniem.

– Nie błaznuj. – Udał surowość. – Gdyby to ode mnie zależało, tobyś inaczej skończył.

– E, tam. – Redfern machnął ręką. – Obaj wiemy, jak się w to bawi. Ty umiesz w komendantowanie, a ja w inspektorowanie i jakoś idzie.

– I tego się trzymajmy – oznajmił McMahon.

Redfern chciał zripostować, że wciąż czeka na powrót króla, ale bał się zepsuć atmosferę wspomnianiem o tym, że Greg jest tylko zastępcą. Inspektor nieraz już się przekonywał, że więcej ugrają, działając razem, aniżeli skacząc sobie do gardeł.

Po chwili stał na korytarzu, wpatrując się w czerwonego lwa na srebrnej gwieździe. Pod emblematem nadrukowano hasło: „Wraz z Tobą uczynimy

Surrey bezpieczniejszym”. Jasne.

- Już po wszystkim? – Summer wyrosła jak spod ziemi. – Bolało?
- Operacja się udała. – Pokazał jej odznakę. – Byłem dzielnym chłopcem.
- A chirurg?
- Przeżył.

Summer roześmiała się serdecznie. Rozpuszczone włosy i granatowa marynarka z wywiniętymi rękawami dodawały jej uroku i na ułamek sekundy pozwoliły mu zapomnieć o tym, co gotowało mu się pod skórą. Summer odpowiedziała coś, a on zaśmiał się machinalnie. Przechodząca obok sekretarka obrzuciła ich karcącym spojrzeniem bibliotekarki. Aby nie mącić spokoju pozostałych, poprosił sierżantkę, żeby spotkali się za chwilę w konferencyjnej.

Zatrzasnął z impetem drzwi swojego gabinetu. Podszedł do biurka i za jednym zamachem zrzucił wszystko z blatu. Huk upadających rzeczy niemal natychmiast zastąpiła cisza. Kiedy ostatnie kartki opadły z szelestem na podłogę, wszystko znieruchomiało; tylko jedna jedyna klawiatura dyndała na kablu niczym himalaista, który cudem uniknął śmierci.

Dysząc wściekle, odwrócił się do okna. Stalowe chmury i siekący deszcz oznajmiły miastu, że jesień długo nie odzyska dobrego nastroju. Wciąż miał przed oczami zrozpaczoną Wolańską, jej wzrok pełen goryczy i uzasadnionego oskarżenia. Roziskrzzone rozpaczą zielone oczy, tak podobne do tych, których szukali od ponad tygodnia, wyrażały tylko jedno: to twoja wina. Opanowawszy oddech, wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer Teda.

- Co udało ci się ustalić? – zaczął, gdy tylko patolog odebrał.
- W sumie to nic – odparł matowym głosem, po czym powiedział coś, co zaskoczyło inspektora: – Wiesz, Dave, lubię swoją robotę. Nawet bardzo ją lubię, ale jeśli na stole leży dziecko, to mnie to przerasta. Mam wnuczki, jedna jest w wieku tej małej, i rzygać mi się chce na myśl, że to mogłaby być ona.
- Wiem, Ted, wiem. Wszyscy jesteśmy tym przerażeni.
- Nawaliliśmy, panie inspektorze, na całej linii. – Patolog wypowiedział na głos to, co wszyscy wiedzieli, a co tak ciężko było przyznać.
- Nie da się ukryć. Dlatego teraz nie może nam się wymknąć. Co masz?
- Tak jak mówiłem, nic. Zwłoki są całkowicie zwęglone. Właściwie to mam na stole prochy i stopione PCV. Ten skurwiel bardzo się postarał,

żebyśmy nie poznali tożsamości dziecka. Nie tylko polał je czymś łatwopalnym, ale też wyrwał mu zęby.

– Czy ono...

– Nie – odrzekł, a Redfern odczuł ulgę. – Nie żyło w chwili pożaru. Czaszka została rozsadzona, ale znalazłem kawałki w regularnych zrębach. Dziecko musiało zostać uderzone w głowę czymś tępym, co spowodowało zgon. Ciało czeka na analizę antropologiczną, może oni coś więcej wyciągną.

– Dzięki, Ted. – Redfern rozłączył się.

Ciche pukanie wyrwało go z otępienia. Rozmowa z Tedem sprawiła, że zapomniał o czekającej na niego Summer. Skinieniem dał jej znak, że popracują tutaj.

– Ładnie tu masz – skwitowała porozrzucane kartki.

– To wiatr – odparł. Wciągnął za kabel klawiaturę i ułożył ją równo na blacie. – Co mamy?

Summer przysiadła się do biurka i rozłożyła przed nimi dokumenty, które ze sobą przyniosła.

– Zwęglone doszczętnie zwłoki dziecka – usłyszał echo słów Teda. – Wzrost odpowiadający poszukiwanej. DNA przy tym stopniu spalania odpada. Matt mówił, że pierwszy raz coś takiego widzi. Jedyne, co mamy, to zegarek.

– Pokaż.

Summer rozłożyła kilka zdjęć, które zrobili techniczni. Gdyby nie żółta skalówka obok zegarka, zdjęcie można by uznać za czarno-białe. David nie był w stanie ocenić, czy szczątki dziecka ułożone były na brzuchu, czy na wznak. Brakowało dłoni i stóp, co jest typowe przy spaleniu – najmniejsze kości płomień trawia najszybciej i doszczętnie. Redfern był zaskoczony stopniem zwęglenia.

– To była fabryka tworzyw PCV, Dave, a zwłoki leżały na profilach okiennych – tłumaczyła Summer. – Strażacy mówią, że w środku mogło być ponad tysiąc stopni. Tyle, ile w krematorium.

Dźwięk ostatniego słowa wywołał nagłe ukłucie wspomnień. To w krematorium ostatni raz widział Martę. Redfern odgonił myśli i wziął do ręki zdjęcie zegarka. Koperta miała ciekawy kształt, jakby ktoś dolutował do niej maleńkie okulary. Metalowa bransoletka pokryta była sadzą,

a nadtopiona tarcza odsłoniła mechanizm. Zegarek wyglądał teraz jak wyrób steampunkowy.

– Chyba powinien się stopić?

– To stal nierdzewna. Topi się przy ponad półtora tysiąca. To dobry zegarek. Wolański zamówił go u H. Samuela, bo starszej córce spodobał się niebieski kot w srebrnych okularach. – Podsunęła mu wydruk ze strony jubilera.

– Oryginalny wzór – skwitował.

– Dlatego sprzedało się ich niewiele.

– Nie można zamknąć śledztwa tylko na podstawie głupiego zegarka. – David przesuwiał machinalnie zdjęcia magazynu. – Co zrobiliście do tej pory?

– Szukamy świadków, ale squattersi nie są skorzy do współpracy – oznajmiła i wyciągnęła z torby butelkę coli.

– Żadna nowość. – Wzruszył ramionami. – Kiedy dostaniecie raport od strażaków?

– Obiecali do końca tygodnia. Jeśli to podpalenie, to mamy cię szansy na znalezienie gnoja. Ktoś go musiał widzieć. Jeśli ogień niechący zaproszyli squattersi, to jesteśmy w dupie. McMahon kazał przesłuchać każdego, kto pojawi się w okolicy fabryki, w międzyczasie przejrzeć wszystkie możliwe taśmy z monitoringu, raporty z zaginięć dzieci z ostatnich dwóch lat. Mamy szukać podobnych przypadków i...

– To dobrze – przerwał jej łagodnie.

– Nie wiem, Dave. On chyba nie ma pomysłu na to śledztwo. Sam zaszywa się gdzieś w biurze i cholera wie, co robi. Zespół jest przemęczony, orze nami jak dzikimi osłami w imię popisów przed tymi agentami, co niby przyszli nam pomagać. – Otworzyła butelkę o rant biurka i przetarła szyjkę.

Redfern chciał jej przyznać rację, ale nagle zdał sobie z czegoś sprawę, co sparaliżowało go na moment. Obraz pijącej z butelki Summer wprowadził go w zakłopotanie. Otrząsnął się jednak szybko i odparł:

– McMahon ma wiele za uszami, ale nie można mu zarzucić braku profesjonalizmu. Jest najbardziej doświadczony z nas wszystkich. Zgodzę się też, że może być wymagający, ale nie powiesz mi, że sam się obja. To pracoholik.

– Możliwe – powiedziała bez przekonania i wrzuciła pustą butelkę do stojącego koło biurka kosza. – W każdym razie cieszę się, że wróciłeś.

Kilka minut przed czwartą przedłużające się pożegnanie przerwał telefon. Summer pomachała inspektorowi i zniknęła za drzwiami. Redfern chwilę się w nie wpatrywał, słuchając tego, co miał mu do zakomunikowania dzwoniący mężczyzna. Inspektor podziękował mu i się rozłączył. Wiedział już, gdzie ma jechać.



Widok pogorzelniska unieruchomił w nim wszystko. Jakby ktoś odwrócił grób do góry nogami. Stalowy szkielet zamiast zostać pogrzebanym, sterczał ponad ziemią i gnił na ludzkich oczach. Smród wdzierał się każdą szczeliną w mózg, przywodząc na myśl ból żywcem spalonych. Na jednym ze szkoleń usłyszał, że zanim ofiary ognia poczują cokolwiek, bezszelestnie zabija je gaz. Redfern zawsze miał nadzieję, że to prawda.

Zatrzymał się między garażami, zaskoczony tym, co przed chwilą zobaczył. Był pewien, że Wolańska jest w szpitalu. Kobieta, mimo dojmującego zimna, miała na sobie tylko koszulę, w której widział ją rano. Siedząc na osmalonym kawałku muru, przywodziła na myśl cienie ludzi, którzy zniknęli w nuklearnym błysku. Od postaci ze zdjęć z Nagasaki odróżniał ją tylko mały bukiet polnych kwiatów, który miętoszyła w dłoni.

Nie zauważył, gdy przejechał koło niego wózek sklepowy. Wyrwany ze swojego naturalnego środowiska wyglądał jak dziki niedźwiedź w cyrku. Zamiast prosecco, mleka sojowego i chipsów z quinoi dźwigał teraz wszystko to, co nie nadawało się jeszcze na śmietnik, a co zostało wypchnięte za próg bogatych domów. Wsparta o niego kobieta miała zmęczoną, wychudzoną twarz. Równie dobrze mogła mieć trzydzieści, co pięćdziesiąt lat, narkotykowy zjazd zatarł metryczkę. Spowita zbyt wieloma warstwami ubrań kobieta kołysała się lekko jak w transie.

Redfern obserwował, jak podchodzi do Wolańskiej, ale z tej odległości nie mógł dosłyszeć słów. Widział, jak matka dziewczynki gestem przerwała kobiecie i wyciągnęła z torebki telefon. Był pewien, że przestraszona zadzwoni na policję albo do męża, ale ona tylko wybrała coś na ekranie i wsunęła aparat do kieszeni koszuli.

Bezdomna zdawała się nie zauważyć tego, co robi Wolańska, zajęta szukaniem czegoś w wózku. Po chwili wyciągnęła z niego pomietą gazetę i wskazała kobiecie zdjęcie z pierwszej strony. Uśmiechnięta buzia dziewczynki sprawiła, że znów poczuł gorycz porażki. Jęk przejeżdżającej na sygnale karetki tylko spotęgował to uczucie. Redfern schował się w głąb swojej kryjówki i patrzył, jak starsza kobieta żywo gestykuje. Wolańska słuchała z uwagą, co mówi, od czasu do czasu potakując. Kiedy skończyły, matka dziewczynki wsiadła do zaparkowanego niedaleko mondeo i odjechała, przejeżdżając wzdłuż garaży. Redfern zdążył zauważyć, że się uśmiecha.

Chciał przebiec przez jezdnię, ale kolejne dwie karetki przecięły mu drogę. Zanim się zorientował, po bezdomnej kobiecie nie było śladu.

Zły na siebie wsiadł do samochodu i odpalił silnik. Przyłożył zmarznięte dłonie do nawiewów w desce rozdzielczej, czekając, aż ciepłe powietrze ogrzeje mu palce. Kiedy to nastąpiło, włączył kierunkowskaz z zamiarem pojechania do Wolańskiej, ale manewr przerwał mu dzwonek telefonu.

– Jesteś niedojrzałym sukinsynem, Redfern! – usłyszał głos Patricii.

– O co chodzi? – dopytywał, nie rozumiejąc, co była narzeczona ma na myśli.

– Kabel od telewizora też ujechał? To zemsta czy taki żarcik w stylu Davida Redferna?! Owacje, kurwa, na stojąco!

– Uspokój się. Tak to wszystko zastałem.

– I wielki detektyw Marlowe nie wpadł na to, że coś jest nie tak? Nie przyszło ci do tego zakutego łba, że ktoś obrobił mi chatę? Ja pierdołę!

– Posłuchaj, twoja matka powiedziała, że ostatnio robisz jakieś przypały, więc uznałem, że to jeden z nich. Poza tym nie znam złodzieja, który robi w całym mieszkaniu bałagan, a zostawia telewizor i biżuterię.

Patricia milczała. Redfern pomyślał przez chwilę, że się rozłączyła.

– Jesteś tam?

– Jestem. – Jej głos był zimny jak szkło. – Musisz coś zobaczyć.

To, co powiedziała po chwili, sprawiło, że w ułamku sekundy wszystko inne stało się bladym tłem. Przycisnął pedał gazu i ruszył w stronę Guildford.

Poniedziałek, 11.11.2013, wieczór

Klatka schodowa, jak zwykle okradziona z żarówek, zionęła ciemnością. Redfern włączył w telefonie latarkę i wspiął się na pierwsze piętro. Zanim zdążył zapukać, drzwi się otworzyły.

Patricia była blada jak mgła, a jej włosy matowe. Redfern miał nadzieję, że to tylko efekt męczącej konferencji prawniczej, choć gdyby ktoś go zapytał, z miejsca odparłby, że była narzeczona jest poważne chora. Machinalnie pocałował ją w policzek, jak przy kondolencjach składanych nielubianej ciotce.

– Gdzie to jest? – zapytał.

– W sypialni.

Redfern wszedł do pokoju. Na łóżku obok czarnego worka leżało kilka ubrań. Znał je doskonale. Zielona bluza levisa, wytarte jeansy i T-shirt z fragmentem piosenki *Rock'n'Roll Nigger*. David pamiętał, że Adrian przywiózł go z koncertu swojego ulubionego artysty pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Wykrzywiona twarz Marilyn Manson miała nad brwiami małą dziurę, która przypominała, że w tym stroju Redfern widział przyjaciela po raz ostatni.

– Możesz mi to wyjaśnić? – Patricia stała oparta o futrynę, starając się nie patrzeć na łóżko.

– Chciałbym. – Redfern nieruchomo gapił się na ciuchy, które nawet z tej odległości czuć było stęchlizną. – Kto oprócz mnie miał klucze do mieszkania?

– Nikt. Może to zabrzmie śmiesznie, ale ufam tylko tobie.

– To raczej smutne niż śmieszne – skwitował.

– Co by się nie działo, pozostaniesz bydlakiem, prawda?

– Ale godnym zaufania bydlakiem.

Przez twarz Patricii przemknęło coś na kształt uśmiechu. Wycofała się do kuchni, a David poszedł za nią, zostawiając ubrania. Nie miał odwagi ich dotknąć.

– Przede wszystkim nie panikujmy. – Redfern usiadł przy stole. – Może ktoś z twoich kolegów zrobił sobie makabryczny żart? To nie jest trudne. We wszystkich gazetach było zdjęcie Adriana w tych ciuchach.

– To, że nie ufam moim znajomym, nie znaczy, że są aż tak zjebani, żeby robić sobie tego typu kawały.

Wstawiła wodę w czajniku i przygotowała dwa kubki, do których wsypała kawę. David nie protestował. Potrzebował świeżego strumienia

myśli, o który trudno o ósmej wieczorem.

Kotłowała się w nim myśl, czy nie powiedzieć Patricii o włosach. Nie chciał jej jednak bardziej straszyć. Był pewien, że coś złego działo się z jego eks. W jarzeniowym świetle wyglądała fatalnie. Całe jej kobiece kształty gdzieś się ulotniły. W za dużym dresie przypominała porzuconą na plaży piłkę, z której ktoś wypuścił powietrze. David na próżno szukał w niej tej diabelskiej iskry, która kiedyś rozpałała ich do czerwoności. Patricia wpatrywała się teraz w niego, sącząc z kubka smołę.

– OK. Wiemy, że to nie są konkretnie te ubrania, bo nie ma na nich śladu po kuli – oznajmił. Wiedział, że małe przetarcie na ubraniu jest zdecydowanie za nisko jak na strzał w serce.

– Ktoś się jednak natrudził, żeby znaleźć te ciuchy. Adrian tę koszulkę nosił od początku studiów.

– Wiem. Tyle że ta wiedza nic nam nie daje. To nie jest żaden model kolekcjonerski.

– To może daj je twoim kolegom do zbadania?

– I co im powiem? Chłopaki, znalazłem parę łachów na siłce i pomyślałem, że zerkniecie pod kątem jakichś śladów biologicznych, to je oddam właścicielowi?

– To mam to tak zostawić?

– Nie, jutro zapytasz sąsiadów, czy nie widzieli kogoś obcego. Zastanów się spokojnie, czy to nie mógł być ktoś z twojego środowiska. Ostatecznie macie deficyt świętych w tej twojej śmietance towarzyskiej.

– Nie bądź złośliwy – upomniała go.

– Przepraszam. Jutro spróbuję się zorientować, gdzie tu jest miejski monitoring. Muszę się zbierać. – Dopił kawę i wstał.

– Nie zostaniesz? – spytała cicho. – Trochę się boję.

I co dalej, pomyślał. Namiętny seks po latach? Poranny wstyd i zbieranie nieświeżych ciuchów z podłogi. I ucieczka. Albo, co gorsza, wielki powrót, o którym już dziś wiedział, jak się zakończy. Nie miał na to ochoty. Odgrzewanym obiadem to się co najwyżej można zatruć.

– Nie da rady. Mam robotę. – Sprzedał jej półprawdę i zatrzasnął za sobą drzwi, zadowolony z własnej asertywności.



Gdy wchodził do domu, usłyszał komórkę. Nie patrząc na ekran, odebrał i prawie wypuścił telefon z ręki, ale Bente Hansen nie była wściekła ani też nie robiła mu wymówek. Matowym głosem prokuratorka oznajmiła, że za kilka minut będzie na Princess Road i ma nadzieję się z nim spotkać. Redfern unikał jej zbyt długo, by odmówić. W duchu podziękował sobie za niedawne porządki i zaparzył w imbryku herbatę. Parę minut po dwudziestej drugiej Bandit witał wylewnie gościa.

– Fajny maluch. – Bente z uśmiechem czochrała puchate uszy szczeniaka.

Ściągnęła płaszcz i przeszła do kuchni. Redfern nalał im herbaty i zaproponował, by usiedli w salonie.

– Słyszałeś o Knighcie? – zapytała, gdy zajęła miejsce w fotelu Siwiaszczyka.

– Tak – odparł zgodnie z prawdą Redfern. – Zajmujesz się tym?

– Żartujesz? – zachnęła się. – Za cienka w uszach jestem na sprawę otrucia komendanta, ale staram się kręcić blisko.

– I co udało ci się podsłuchać?

– Nie za wiele. Nawet żona Knighta nie do końca wie, co się dzieje. Sprawa jest tajna jak jasna cholera.

– To w tym mieście coś może być tajne?

– Jak się dobrze postarać. – Upiła łyk herbaty, cicho siorbiąc. – Ty się nie postarałeś i parę osób będzie miało przez ciebie kłopoty. Czego ty się spodziewałeś, Dave?

– Nie wiem.

– Posłuchaj, jak tylko opadnie kurz, dobiorą ci się do dupy, pojawią się niewygodne pytania i dobrze by było, gdybyś miał na nie wygodne odpowiedzi. Najpóźniej za trzy dni zostaniesz wezwany na dywanik i to nie będzie miła rozmowa. Więc nad czym pracowałeś ostatnio z Knightem? Tylko szczerze.

– Najlepsze jest to, że nad niczym – odpowiedział i schylił się, by pogłaskać psa. – Bente, ja nie znajduję żadnego wspólnego mianownika między wybuchem a próbą otrucia Malcolma. Jestem tu od niedawna, Knighta znałem tylko z opowieści, ale gdy mnie tu przydzielono, po prostu się polubiliśmy.

– Na tyle, by robić sobie do niego liczne wycieczki?

– To już inna rzecz.

– David, zdaj sobie wreszcie sprawę, że tu nie chodzi o ciebie! – Prokuratorka nagle wybuchła. – Ktoś poluje na policjantów.

– Gadasz jak McMahon.

– On może mieć rację.

– To też już gdzieś słyszałem.

Bente pokręciła głową z rezygnacją.

– No dobra, śledzono mnie ostatnio. – Redfern poddał się, ale nie zamierzał wyłożyć wszystkich kart na stół. – Parę tygodni temu facet był u mnie w mieszkaniu i zostawił kartkę. Napisał na niej, żebym odpuścił. Problem polega na tym, że nie bardzo wiem, co mam odpuścić.

– Masz tę kartkę?

Redfern spojrział na nią wymownie.

– Oczywiście, wybuch – westchnęła. – Co jeszcze?

– Łaził za mną, obserwował z bezpiecznej odległości, dlatego nie wydaje mi się, żeby to on stał za sprawą Knighta. Ostatni raz widziałem go... na Monument Road, kiedy byłem na oględzinach. – Redfern pominął spotkanie w Zakładzie Medycyny Sądowej.

– Czyli kilka dni po otruciu komendanta – skonstatowała. – Potem zniknął. Może właśnie w ten sposób dał ci znać, że to on?

– Wątpię – odparł, czując, że kłamstwo wkrótce może wyjść na jaw. Bente miała rację, kiedy zacznie się oficjalne śledztwo, będzie musiał być dobrze przygotowany. Po głowie kołatała mu jeszcze jedna myśl, ale z ostateczną decyzją poczeka na Siwiaszczyka.

– Jak on wygląda? – dobiegł go głos Bente. – Ten szantażysta.

– Chodzi w bluzach z kapturem, więc twarzy nigdy nie widziałem – odparł. – Nigdy też nie miał dwa razy tego samego ubrania, zmienia nawet buty. Wysoki, chyba orli nos. Pali davidoffy.

– Przebiera się, pali drogą markę – podsumowała. – Nie mamy do czynienia z amatorem, a to już coś. – Spojrzała na zegarek i wstała. – Robi się późno.

Redfern podniósł się i odprowadził ją do drzwi.

– A co z Wolańskimi? – zapytała, gdy stali w korytarzu. – Przerazająca rzecz. Słyszałam, że matka dziewczynki jest w szpitalu.

– Będziemy szukać tego zwyrodnialca do upadłego – zapewnił Redfern.

– Macie ostro pod górkę.

– Dowiesz się z raportu jak bardzo. – Uśmiechnął się i puścił do niej oko.

– Nie zadzieraj z prokuratorem. – Pogroziła mu palcem i nacisnęła klamkę.

– Elsa... znaczy Bente... – Redfern się zmieszał, ale prokuratorka poprawiła swój srebrny warkocz z uśmiechem.

– Myślałeś, że nie wiem?

Redfern odchrząknął.

– No w każdym razie to, co ci powiedziałem, nie może wyjść poza te ściany.

– Możesz mi mówić Dyskrecja, chociaż Elsa dużo bardziej mi się podoba. – Też mrugnęła do niego i zniknęła za drzwiami.

Adrenalina, która zalała go podczas wizyty Bente, nie pozwoliła mu zasnąć. Wściekły wstał z łóżka i wyciągnął z szafy komputer. Zainfekowany programem szpiegującym sprzęt wymagał wymiany, ale mimo to Redfern zalogował się na Facebooka, po czym dopisał wizytę w Currysie do niekończącej się listy zadań na wczoraj.

Przejrzał profil stworzony przez Kingę. Iza Wolańska z rodzicami w Legolandzie, Iza nad polskim morzem, pierwszy dzień w szkole. Pod każdym zdjęciem dziesiątki komentarzy. Redfern czuł, że dziewczynka mówi do niego z tych zdjęć. Przeglądał je uważnie. Ostatnie szczególnie mu się spodobało. Jak głosił podpis, zrobione przez siostrę. Iza podpira głowę małą rączką i patrzy przez okno zamyślona. Na nadgarstku ma zegarek z kotem w okularach i kolorową sznurkową bransoletkę. David zapisał zdjęcie i otworzył, mocno je powiększając. Teraz nie miał wątpliwości i musiał o tym komuś powiedzieć.

McMahon odebrał po ułamku sygnału.

– Mam nadzieję, że to ważne – mruknął, najwyraźniej wyrwany ze snu.

– A ja mam nadzieję, że masz dostęp do kompa, bo właśnie wysłałem ci dowód w sprawie małej Wolańskiej.

– Daj mi chwilę.

Redfern usłyszał w głośniku serię trzasków i szumów, a potem skrzypnięcie krzesła. Kiedy McMahon był gotowy, oznajmił sennie:

– OK. Mam. I co dalej?

– Widzisz zdjęcie małej? – zapytał Redfern. – Co ma na rękę?

– Zegarek. Ten sam, który znaleźliśmy w magazynie.

– Nie, to nie ten sam. Zegarek przy zwłokach miał metalową bransoletę, a ten Izabeli sznurkowy pasek.

– Skąd wiesz?

– To był zegarek starszej dziewczynki. Zrobiła sobie pasek z muliny, jest na zdjęciach.

– Punkt dla ciebie, Dave, ale nie podniecałbym się zbytnio. Taki pasek łatwo wymienić. Trzeba zapytać Wolańskiej, co konkretnie miała miała na sobie w dniu zaginięcia. Skoro rozpoznali zegarek, to najpewniej bransoletę też. Zanim zadzwonię do agencji, wyślę tam Summer. Ty nic nie rób, jasne?

– Jak warkocz Dużej Elsy – mruknął do siebie i się rozłączył.

ROZDZIAŁ VI

Martwych wskrzesza tylko deszcz.

Tom Waits, *Starving in the Belly of Whale*,

przeł. Kazimierz Staszewski

Wtorek, 12.11.2013, rano

David postanowił prosić szefa potraktować ze szczególną pieczołowitością i udzielił sobie urlopu. Bynajmniej nie z sympatii, ale ze zwykłego egoizmu uznał, że nie ma co dłużej nadwyręzać układu nerwowego Grega McMahona. Z tego samego powodu zadzwonił do Patricii. Potrzebował spokojnego pola do działania.

Zapracowane Guildford zamarło, zamykając tętniące nocą życie w biurach i urzędach. Idąc na Guildford Park Avenue, Redfern spotkał zaledwie parę staruszków i grupkę roześmianych nastolatków, którzy najwyraźniej postanowili ominąć dziś system edukacji.

Tak jak podejrzewał, ani na ulicy, ani nawet wokół bloku Patricii nikt nie pokusił się o zamontowanie monitoringu. Całe osiedle wyglądało jak mroczny fraktal. Pozbawione nie tylko kamer, ale i porządnego oświetlenia było idealną pożywką dla przestępczości. Mieszkańcy mogli liczyć wyłącznie na życzliwość sąsiadów i ich czuły zmysł obserwacji.

Patricia nie miała dobrych wieści, jak zwykle w takich sytuacjach nikt nic nie widział. Redfern wiedział, że Palacz tego dopilnował.

– Na moim piętrze są tylko dwa mieszkania. Jedno czeka na nowego właściciela, a w drugim mieszkają jakieś bilabongi.

– Kto?

– Za naszych czasów mówiło się na nich *juppies*. Karierowicze z drogą metką na każdym ciuchu – wyjaśniła. – Tyle że bilabongi w ich krucjacie dodatkowo wspiera Starbucks.

– OK, a parter?

– Na parterze jest tylko jedno mieszkanie. Matka z trójką dzieci. Widziała samochód firmy od przeprowadzek i dwóch mężczyzn, ale się im nie przyglądała. Nosili jakieś rzeczy. Chyba do tego pustego mieszkania.

– Pamięta nazwę firmy?

– Nie. Biały samochód z napisem „Przeprowadzki” i jakieś nazwisko.

– Powiedziałaś jej, co się stało.

– Mniej więcej – przyznała. – Bardzo się przestraszyła i obiecała, że jak tylko sobie coś przypomni, to da znać. Chyba źle zrobiłam?

– Dobrze. Może dzięki temu będzie czujniejsza.

Patricia siedziała naprzeciwko w koszulce z nowym internetowym celebrytą o imieniu Grumpy Cat. Redfern gdzieś przeczytał, że na wizerunku kota z wadą genetyczną jego właścicielka zarobiła miliony. Pomyślał wtedy, że szczęście potrafi się uśmiechnąć w zaskakująco dziwny sposób. Dziś liczył na coś podobnego.

– Od śmierci Adriana minęło tyle czasu. Dlaczego dopiero teraz? – zapytała.

– Może nastąpiłaś komuś na odcisk?

– Ja? – Patricia uśmiechnęła się szeroko. – Chyba żartujesz.

Redfern odwzajemnił uśmiech. Patricia wiedziała, że jego pytanie nie było bezpodstawne. Adwokatka była mistrzynią w robieniu sobie wrogów: zasadnicza, nieustępliwa i waleczna. Szczerłość granicząca z bezczelnością czyniły z niej ekstremalnego samotnika. Tym bardziej Redfern zdziwił się, słysząc o licznych znajomych. Jak sięgał pamięcią, ich związek był raczej hermetyczny.

– Musisz się zastanowić, Pat.

– Muszę się wybrać na zakupy. – Znów uśmiechnęła się i wskazała na mordkę kota-milionera. Jednak gdy podniosła głowę, w jej oczach nie było wesołości. Złapała łaszącego się do jej nóg persa i mocno przytuliła. – Przez to wszystko nawet nie zapytałam, co u ciebie. Ten wybuch to musiał być cios.

– Cios może, ale nie nokaut – odparł wymijająco.

– Mieszkasz z Siw... Siwi... – próbowała wypowiedzieć nazwisko – z dziadkiem?

– Tak. Jest OK – uprzedził jej kolejne pytanie.

– Gdybyś jednak kiedyś potrzebował trochę spokoju, to zapraszam ponownie.

– Matka ci powiedziała?

– Nie, twój zapach na pościeli. Jest niepowtarzalny. – Patricia wtuliła twarz w pupila i przejechała policzkiem po jego miękkiej sierści, na co kot odpowiedział mrużeniem. Zmrużywszy lekko swoje turkusowe oczy, patrzył na Redferna, jakby rzucał mu wyzwanie.

Inspektor odchrząknął, przerywając przedłużające się milczenie.

– Na mnie już pora. Uważaj na siebie i jakby coś, to dzwoń. – Pożegnał się i wyszedł.

Siedząc w aucie, wciąż wracał myślami do Patricii. Palacz wiedział, że kiedyś coś ich łączyło i uderzył w tę strunę. Redfern zastanawiał się, ile jeszcze mężczyzna o nim wie i co chce osiągnąć, zapalając kolejne punkty na mapie jego życia. Wydawało mu się, że może podzielił swoją aktywność na dwa sektory, w których poruszał się ze znakomitą sprawnością. Z jednej strony wysyłał jasne sygnały, jak łapówka, którą niedawno zostawił w mieszkaniu Redferna, czy pojawianie się zawsze tam, gdzie inspektor mógłby go zauważyć. Z drugiej zaś przystępował do działania – wybuch, otrucie Knighta. Cały czas trzymał się blisko, osaczał z dwóch przeciwległych stron. Redferna poraziła myśl, że po raz kolejny wydał pochopny osąd i Palacz wcale nie prowadzi gry z inspektorem. Rozstawia go na szachownicy, podejmując rozgrywkę z kimś, o kim David Redfern miał się dopiero dowiedzieć.

Wtorek, 12.11.2013, popołudnie

Zaraz po wejściu do marketu Currys został zaatakowany przez ekspedienta, który gdy tylko się dowiedział, z czym Redfern przychodzi, szerokim gestem zaprosił go na dział komputerowy. W porównaniu do strony internetowej wybór był dość mizerny. Redfern z zainteresowaniem słuchał słownej gimnastyki chłopaka na temat zalet poszczególnych laptopów, nie rozumiejąc z tego nawet połowy. Jedyne, na czym mu naprawdę zależało, to matowa matryca i w miarę szybki procesor. Dysk nie miał znaczenia, nie robił, a tym bardziej nie przechowywał zdjęć, filmy oglądał na Netflixie. Wyłożył to wszystko sprzedawcy i pół godziny później wyszedł ze sklepu z nowym laptopem, za który – był pewien – przepłacił.

Włożył sprzęt do bagażnika i odjechał w stronę Horsell. Z obdartymi z liści drzewami dzielnica Woking nie wydawała się już tak piękna, jak wtedy, gdy parę tygodni temu odwoził tu Lindę. Mimo to eleganckie domy

w swych krynolinach z równych żywopłotów stały dumne i niewzruszone ogarniającą świat depresją. Redfern podjechał pod dom Knightów i zaparkował koło toyoty Ruth.

– Proszę wejść – usłyszał, gdy tylko zadzwonił do drzwi.

Pchnął uchylone skrzydło i wszedł do hallu. Ruth Knight podeszła do niego i wyciągnęła dłoń na powitanie. Złapał ją lekko, przedłużając uścisk. Kobieta ze łzami w oczach pokiwała głową i poprowadziła go do salonu, który równie dobrze mógłby być biblioteką uniwersytecką. Usiadł w głębokim fotelu, który sapnął dyskretnie, i napawał się widokiem śpiących na półkach książek. Wnętrze pachniało tytoniem, choć Redfern nigdy nie widział Malcolma z papierosem czy fajką.

– Przepraszam za tę herbatę – powiedziała, nalewając im z imbryka złoty napój. – Zwykle gościom podaję east India albo kusmi, ale wszystko mi zabrali. Nawet mleko. Rzecz jasna, mam na myśli policję.

– Nic nie szkodzi – odparł Redfern, który nie odróżniał tetleya od PG tips. Podziękował w duchu policji, że zabrała mleko; odkąd pamiętał, zabieleną herbatą napawała go wstrętem, co jego matka z radością przypisywała genom.

– Wpadli tu parę dni temu i przetrząsnęli dom szafka po szafce. – Ruth Knight podeszła do komody i otworzyła drzwi, prezentując puste wnętrza. – Nie mam siły na zakupy. Na nic nie mam siły...

– Podjadę do sklepu, nie ma sprawy.

– Nie ma potrzeby, kochanie. Jutro przyjeżdża moja córka, to wyślę ją do Waitrose. W każdym razie dziękuję, że przyjechałeś.

– Jak się pani czuje? – zapytał i upił łyk z filiżanki. Nie był pewien, czy east India jest dobra, ale herbata, którą zaparzyła Ruth, miała przyjemny ciężki aromat, który osadzał się na języku cierpką warstwą.

– Trudno to ubrać w słowa, kochanie – rzekła staruszka. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że ktoś chciał zrobić krzywdę mojemu Malcolmowi, mojej rodzinie. Jaki potwór byłby zdolny do czegoś takiego?

– Policja pewnie wkrótce trafi na jego ślad.

– Nawet nie wiem, czy to była policja. Wpadli tu, przeszukali dom od piwnicy aż po strych, zadawali mnóstwo pytań. To było straszne. Żadnego z tych ludzi nie znałam, a przecież Malcom pracuje w policji od ponad czterdziestu lat.

– Nie było z nimi Grega McMahona?

– Ależ był, oczywiście, ale jedyne, co robił, to starał się nie przeszkadzać tamtym funkcjonariuszom. Nawet nie zaszczycił mnie rozmową – dodała, nie kryjąc żalu, który w jej ustach układał się w elegancką pretensję.

– Pewnie nie chciał tego robić przy agentach. – Redfern starał się usprawiedliwić zachowanie starszego inspektora. – Co z Malcolmem?

– Lekarze utrzymują go w stanie śpiączki, żeby organizm się zregenerował. Mówią, że wyjdzie z tego, ale sama już nie wiem, co jest prawdą. Nikt mi nie chce nic powiedzieć. Wszystko jest objęte ścisłą tajemnicą.

– Proszę się nie denerwować, to dla pani bezpieczeństwa. – Redfern próbował ją uspokoić. Patrzył, jak trzęsącymi się dłońmi przystawia filiżankę do ust. – Czy ktoś was ostatnio odwiedzał?

– Mamy dom otwarty – oznajmiła i odstawiła filiżankę. – Ciągłe ktoś przychodzi i wychodzi, przyjeżdżają przyjaciele, rodzina. Czasem zajrzy jakiś znajomy z pracy.

– A ktoś spoza listy zwyczajnych gości?

– Ci funkcjonariusze już o to pytali, ale nie przypominam sobie nikogo takiego w ostatnich tygodniach. Oczywiście nie licząc ciebie i Lindy, ale o tym nie wspominałam agentom. Nic im do tego.

– Jest pani bardzo mądrą kobietą.

– Doświadczoną, kochanie, doświadczoną. – Uśmiechnęła się łagodnie i dołąła herbaty.

– Czy Malcolm przynosił pracę do domu?

– Bardzo rzadko – odparła bez zastanowienia, jakby było to dawno ustaloną regułą domu Knightów.

– A ostatnio?

– Też nie. Jedyne, co było niezwykle, to jego zainteresowanie internetem. Nie mamy w domu komputera, więc często zostawał w biurze dłużej. Mówił, że przegląda stare gazety z hrabstwa Devon. Nie dopytywałam, ale pamiętam, że raz dzwonił do biblioteki, chyba w Exeter. Nie przywiązywałam do tego wagi.

– Czego chciał się dowiedzieć?

Ostatnie pytanie utonęło w dźwięku komórki. Summer. Redfern przeprosił Ruth Knight, wyszedł do hallu i odebrał.

– Co masz?

– Bransoletka, o której mówiłeś McMahonowi, znalazła się w domu Wolańskich. Starsza dziewczynka powiedziała rodzicom przez telefon, że zmieniła ją na sznurkowy pasek parę dni przed porwaniem. Miałeś rację, to nie może być Iza.

– Dzwoniłaś z tym do Grega?

– Tak. Zaraz ruszy cała maszyna. Ci z agencji są bardzo niezadowoleni. Posypią się głowy, jak słowo daję.

– Nie będzie tak źle. – Redfern udał luz, choć wiedział, że Summer jest bardzo bliska prawdy.

– Przeraża mnie to wszystko, Dave.

– Agenci? Taką mają robotę.

– Nie agencja, tylko fakt, że Iza Wolańska nie jest odosobnionym przypadkiem. Ktoś już raz posunął się do morderstwa dziecka. Czy możemy mieć pewność, że ta mała jeszcze żyje?

– Nie wiemy, czy stoi za tym ta sama osoba. Jedyne, czego jestem pewien, to to, że musimy się pospieszyć – rzekł, czując, że z jednej strony napływa elektryzująca każdy nerw adrenalina, a z drugiej fala nadziei, że jeszcze mogą uratować Izabelę Wolańską.

– Chodzi o tę dziewczynkę? – usłyszał, gdy skończył rozmowę z policjantką.

– Tak. Wciąż jej szukamy. – Wszedł do pokoju i zajął ten sam fotel.

– Ileż makabry się dzieje teraz na świecie, ileż zła. – Ruth przetarła ręką wilgotny policzek. – Pytał pan o coś?

– Tak, czy słyszała pani, o czym Malcolm rozmawia z biblioteką?

– Prosił o przygotowanie jakichś gazet z lat osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych.

– Mówiła pani o tym agentom?

– Nie. Nie przywiązywałabym do tego zbyt dużej wagi, naprawdę. Historia to od zawsze był konik Malcolma. – Wskazała na jedną z sięgających sufitu półek, na której Redfern wśród publikacji Dana Snowa czy A.J.P. Taylora dostrzegł biografię Stephensona.

– Ale raczej nie interesowała go historia współczesna. – Podał w wątpliwość słowa kobiety.

– Interesowało go wszystko, kochanie – odparła zamyślona. – Malcolm jest człowiekiem bardzo ciekawym świata. Gdyby nie był policjantem, z pewnością byłby wielkim odkrywcą.

Cieężko było mu wyobrazić sobie Knighta w innej roli niż pochylony nad papierami komendant policji w Woking, ale Ruth znała go dłużej i Redfern podejrzewał, że takiego właśnie Malcolma oglądała najczęściej.

– Wszystko przed nim – zażartował, a kobieta zachichotała, zakrywając usta dłonią.

– Jeszcze raz dziękuję, że przyszedłeś.

Obiecując, że niedługo znów zajrzy, Redfern pożegnał się i wsiadł do auta. Ruth Knight patrzyła za nim, dopóki nie odjechał.

Siekący deszcz utrudniał prowadzenie. Redfern czuł, jak zmęczenie szturmuje jego ciało. Zmusił się jeszcze do karkołomnych jak na jego stan zakupów w the co-operative. Zgarnął kilka produktów, by wypełnić choć jedną półkę w lodówce. Przy kasie okazało się, że nie mógł zapłacić komórką, więc wytargał z kieszeni drobne i zły na cały świat opuścił sklep. Otworzył bagażnik triumpha i wrzucił papierowe torby obok kartonu, który parę dni temu miał zawieźć staremu Johanesowi. Redfern pomyślał, że policjant musiał być w kiepskim stanie, skoro się o niego nie upomniał. Obiecał sobie, że zaraz po powrocie do niego zadzwoni, po czym schylił się, by poukładać siatki z zakupami. Gdy dotknął dna, jego twarz przybrała kolor koszulki, która spoczywała na dnie pudła. Wnętrze bagażnika łącznie z kartonem było przesiąknięte deszczówką. Miał ochotę zakląć.

Wtorek, 12.11.2013, wieczór

Przez niekończący się remont ulica była skazana na ciemność. Zaparkował niedbale i podszedł do tyłu auta po zakupy. Zgarnął reklamówki w jedną rękę, a pudełko pod pachę. W jednej sekundzie rozmoknięty karton rozpadł się, wypływając zawartość na środek ulicy. Porywisty wiatr zrobił swoje i Redfern ganiał jak wściekły pies po całej Princess Road, łapiąc koperty, kartki i świstki. Mokry i zimny papier przyklejał się mu do dłoni. Przeklinając pod nosem, wrzucił wszystko na tylne siedzenie obok nowego komputera. Ostatnim, co udało mu się uchronić przed całkowitym rozmoknięciem, był niebieski bilet zezwalający na parkowanie na ulicy przy domu właściciela pojazdu. Zgarnął wszystko do jednej z toreb i z hukiem zatrzasnął auto. Coś mu zaświtało i z tą myślą wszedł do domu.

Jedną ręką mieszał w garnku fasolkę w sosie pomidorowym, a drugą klepywał numer rejestracyjny do policyjnego systemu. Po chwili na

ekranie starego laptopa wyświetliły się dane auta. Czerwony vauxhall combo został porzucony i odholowany na policyjny parking.

Drewniana łyżka upadła na podłogę, rozchlapując wszędzie sos pomidorowy.

Było za późno, by dzwonić do Guildford, ale w sam raz, by zadzwonić do Tinneya. Gdy po kilku nieudanych próbach młody policjant odebrał, Redfern zaatakował:

– Do kogo należało odholowane z Old Woking auto?

– Dobry wieczór, Dave – odparł nadal urażony Chris. – Nie pamiętam.

– To ci przypomnę, primadonno. Do Malika Tayyaba. Nadal nic?

– Nie.

– To jeden z ostatnich zaginionych Johanesa – rzucił Redfern, przytrzymując ramieniem telefon i rozkładając koszulkę Royal Mail, którą znalazł w kartonie.

– Cholera! Nie skojarzyłem!

– Nic straconego. Zorganizujemy technicznych i widzimy się na parkingu. Chyba nie zatarliście wszystkich śladów.

– Gorzej. – Tinney próbował zapanować nad głosem. – Dziś minęło dziewięć dni od zgłoszenia auta. W świetle prawa może zostać zniszczone, więc możliwe, że McAllistair już przerobił je na żyletki.

– McAllistair?

– Ta firma, z którą współpracujemy, jeśli chodzi o odholowywanie aut. Policja w Woking nie ma żadnego parkingu, chociaż w systemie tak to wygląda.

– Zadzwon tam natychmiast i zapytaj, co z tym vauxhallem. Już do ciebie jadę.

– OK – rzucił i się rozłączył.

Redfern założył kurtkę i buty i wybiegł na ganek. Nie mógł opanować drżenia rąk. Zwątpił w cały potencjał Chrisa. Zagłębiony po uszy we własne ego nie skojarzył prostych faktów. Niewybaczalne w tej robocie.

Gdy David zamykał drzwi, rozdzwonił się telefon.

– Nikt nie odbiera – powiedział Tinney.

– Musi tam być jakiś cieć. Zaraz u ciebie jestem.

Chciał szybko wsunąć telefon do kieszeni. Zamiast tego aparat wyślizgnął mu się z mokrej dłoni i odbijając się od każdego stopnia,

wylądował w kilku kawałkach na ziemi. Redfern zaklął, zebrał wszystkie części urządzenia i wybiegł w deszcz.

Zawał i wylew krwi do mózgu – tak później myślał o chwili, w której zobaczył triumpha. Wyglądał smutno jak przywarty do ziemi pies, który czeka na lanie od okrutnego pana. Białe opony miały z boku wyraźny ślad po nożu.

W pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Puszki, ale w kieszeni znalazł tylko szczątki iPhone'a. W głowie układał najkrótszą drogę do Goldsworth Park. Z pewnością było dalej niż do najbliższego postoju taksówek przy stacji kolejowej.

Spojrzał na zegarek. O tej porze pociągi rzadko przyjeżdżały do Woking, więc nie wiadomo, czy jakakolwiek taksówka będzie czekać na wracających z Londynu.

Musiał zaryzykować. Puścił się sprintem wzdłuż Princess Road. Szybko odczuł brak treningów w policyjnej siłowni. Już przy Oriental Road złapała go kolka, na szczęście po chwili droga zaczęła opadać i mógł przyspieszyć. Cały czas rozglądał się za taksówką, ale jak na złość nie jechała ani jedna, choć zwykle o tej porze tylko one poruszały się po wąskich uliczkach Woking. Gdy wypadł zza rogu ulicy, wiedział już, jak bezsensowny to był bieg. Zatoczka, przy której zwykle stały taksówki, przywitała go pustką. Oparł się rękami o kolana i usiłował zebrać ostatek sił w ciele, którym szarpał teraz oddech o smaku krwi.

Stracił mnóstwo czasu. Jeśli tylko uda mu się złapać jakikolwiek samochód, to pojedzie prosto na złomowisko McAllistaira. Miał świadomość, że mocno go to uderzy po kieszeni. Miał ochotę zawyć. Wraz z telefonem przepadła jego kasa. Spanikowany przeszukał wszystkie kieszenie. Znalazł wymiętą piątkę i jakieś miedziaki. Do Chrisa powinno wystarczyć. Wciąż jednak nie miał transportu.

Jeśli nie ma żadnego auta po wschodniej stronie kolei, to był cień szansy, że jeszcze ktoś czeka od centrum. Uchwycił się tej myśli i przebiegł tunelem pod stacją. Rozejrzał się szybko po placu. Miasto było puste jak w klasycznym horrorze. W ulewnym deszczu przy końcu ulicy zauważył zapalonego charakterystycznego koguta. Czarna londyńska taksówka L swoją posępną bryłą idealnie wpasowała się w atmosferę. Podbiegł do wozu i wskoczył do środka. Na pytanie kierowcy, gdzie ma jechać, Redfern westchnął głęboko. Wiedział, że dzielnica Goldsworth Park, wiedział, że

Lidstone, ale nie pamiętał, czy Close, Way czy Road. Z trzech równie prawdopodobnych możliwości wybrał pierwszą. Taksówkarz nie żałował gazu i z piskiem opon ruszyli spod stacji.

Po pięciu minutach byli na miejscu. Redfern zmarnował prawie godzinę na ten męczący bieg z przeszkodami. Nie wiedział, czy Tinney już pojechał do McAllistaira, czy czeka na niego. Nie wiedział nawet, gdzie dokładnie mieszka ani czym jeździ policjant. Zapłacił za kurs i wysiadł z auta. Głowy lamp wetknięte w korony drzew dawały światło tylko gnieźdzącym się tam wronom. Większość domów miała czarne okna. W zniszczonym garażu w głębi ulicy Redfern zauważył grupkę młodych ludzi. Mimo deszczu duszny ziołowy zapach szczypał w nozdrza.

Redfern pamiętał, że Puszka mieszkał gdzieś w zaułku. Zapukał więc do pierwszego domu w jednym z nich, ale nikt mu nie otworzył. W drugim kobieta ubrana w pizamę odparła, że nie zna żadnego Christophera Tinneya. Nie miał czasu pukać do wszystkich czternastu domów po kolei. Tylko jedno przyszło mu teraz do głowy. Zatoczył się po chodniku i bełkotliwie wrzasnął na całe gardło:

– Chris, gdzie jesteś, do cholery?! Chris!

Odpowiedziało mu kilka zapalonych świateł w oknach.

– Chris, gdzie ta impreza?!

Czarnoskórzy wysunęli głowy z garażu i baczniej obserwowali obcego. Rozżarzona końcówka blanta niespodziewanie zgasła niczym światełko. Redfern wzbudził zainteresowanie nie tam, gdzie chciał. Na kolejne wołanie odpowiedział mu szorstki głos:

– Morda, kajdaniarzu, bo ci ją obiję!

Nie wychodząc z roli pijaka, Redfern splunął na chodnik i nie przestawał wrzeszczeć. Wreszcie z przedostatniego domu wychylił się Puszka. Szybkim krokiem podszedł do Redferna i syknął:

– Oszalałeś?! Obu nam maski wyklepią.

– Co ty powiesz? – Redfern uwiesił się na Tinneyu, który otwierał właśnie drzwi do starego renault.

– Wsiadaj do auta.

Wskoczyli do środka i odjechali.

– Co cię, do cholery, zatrzymało?

– Długa historia – odparł Redfern, usiłując wykaraskać się z przemoczonej kurtki. – Dodzwoniłeś się?

- Nie, nie odbierają, chociaż wiem, że robią tam na nocki.
- Powiedz mi, jak to się stało, że nie skojarzyłeś auta z zaginionym?
- To proste. Przyjechał Oficer Zarządzania Odpadami, zakwalifikował auto do kategorii A. Ustaliliśmy, że McAllistair ma je zabrać. Wypełniłem formularz i to wszystko.
- Czyli auto o wartości poniżej pięciu stów z wyraźnymi śladami porzucenia – recytował kpiąco Redfern.
- Nie miał tylko wybitych szyb – oznajmił Chris.
- A sprawdziłeś podatek drogowy?
- Brak.
- OK. Czyli nie próbowaliście się skontaktować z właścicielem?
- David, to jest auto bez wartości. Manager wysłał pismo i jak nie było odzewu, to najpewniej dał zielone światło do kasacji. Dziś jest ten dzień. Oni tam nie grzeszą pracowitością, więc mamy spore szanse złapać tego vauxhalla.

Podjechali do bramy wysokiej i nieprzystępnej jak w Buckingham Palace i tak samo oświetlonej. Christopher otworzył szybę i mrużąc oczy, nacisnął guzik domofonu. Powiedział, z czym przyjechali, i brama ustąpiła.

W stróżówce zastali niskiego gościa w kraciatej koszuli i jeansach. Był rudy jak rdza, a jego okrągła twarz wskazywała na lekką niepełnosprawność intelektualną. Oparty o kontuar raczył się herbatą z termosu i tostem z chipsami. Pewnie przez matkę z polskimi korzeniami Redfern nie był w stanie zrozumieć kładzenia chrupek na kanapkę.

– Tak, pocztowy vauxhall – ożywił się, gdy usłyszał, o co chodzi. – Skasowaliśmy go pół godziny temu. Zostały tylko wiórki.

Z policjantów uszło całe powietrze. Popatrzyli po sobie znacząco. Spieprzyli to. Gdyby Tinney bardziej się wczuł w swoją robotę, a Redfern nie zaskarbił sobie uczuć tajemniczego wielbiciela, byłiby w zupełnie innym punkcie. Pożegnali się z chłopakiem i wrócili do miasta, milcząc całą drogę.

Tinney podrzucił go na Princess Road. Redfern wysiadł i bez pożegnania trzasnął drzwiami renault. Gdy przekręcał klucz w zamku, usłyszał, jak po drugiej stronie coś się z hukiem przewraca. Otwierając drzwi, zobaczył na podłodze kłębowisko kurtek i polarów, a pośrodku Bandita, z zadowoleniem przeciskającego się pod przewróconym wieszakiem. Redfern postawił go, opędzając się od natarczywego ciepłego języka,

i zaczął zbierać ubrania. Coś mu ta scena przypomniła, ale z nerwów za bardzo huczało mu w głowie, by móc sobie uzmysłwić co.

Zapiął Banditowi smycz i poszedł na spacer, zostawiając czarne myśli za sobą.

Wtorek, 12.11.2013, noc

Leżał na wznak i wpatrywał się w ciemny sufit, wsłuchując się w pochrapywanie Bandita. Wściekłość nie pozwalała mu zasnąć. Nie mógł sobie wybaczyć, że stracił Puskę z radaru i przez niego ten świetnie zapowiadający się policjant popełnił błąd. Redfern podskórnie czuł, że czerwony vauxhall był kluczem do rozwiązania wielu spraw. Zaginięcie Malika Tayyaba i czerwona koszulka listonosza, która spoczywała na dnie kartonu, wydawały się Redfernowi nieprzypadkowe. Tłumaczenie, którego słuchał w drodze do Woking, że było ciemno i Tinney nie zauważył śladu po naklejce z logo Royal Mail, wydawało mu się idiotyczne, choć nie niemożliwe. Droga do awansu posterunkowego może faktycznie była wyboista, ale pokonałby ją szybciej, gdyby nie potykał się o własne nogi.

Wstał i zrobił sobie kawy, po czym włączył komputer. Po chwili niebieska poświata wypełniła pokój. Był oczarowany szybkością nowego sprzętu i łatwością instalacji wszystkich programów.

Musiał zrobić dwie rzeczy: wynająć auto i kupić triumphowi nowe buty. Z tym pierwszym poszło mu łatwo. Już za pół godziny mógł odebrać z pobliskiej wypożyczalni najmniejszą toyotę świata.

W nadziei na jakąś okazję przejrzał eBay. Najtańsze opony retro znalazł za ponad dwie stowy. Za sztukę. Nie pozostało nic innego, jak zajrzeć na polskie serwisy. Nie pomylił się. Ceny zaczynały się od tysiąka za komplet. Nawet gdy doliczył wysyłkę, to wychodziło pięć razy taniej. Musiał tylko w to zaangażować dziadka, bo sprzedawca zaznaczył, że nie interesują go biznesy międzynarodowe. Żeby nie zbankrutować na rzecz wypożyczalni samochodów, natychmiast napisał maila do Bohdana i dołączył link do strony. Przy odrobinie szczęścia i dobrej woli staruszka za tydzień triumph będzie śmigał w nowych kapciach.

Z rezygnacją popatrzył na leżącą na stole komórkę. Potrzaskany ekran i głębokie pęknięcie w obudowie nie pozostawiały wątpliwości, że będzie potrzebował nowego telefonu. Ze zgrozą pomyślał o kolejnej wizycie w Currysie. Poszedł do kuchni i otworzył jedną z szuflad, taką, jaka jest

w każdym polskim domu, pełną wylanych długopisów, kawałków drucików, spinaczy i świeczek. Przegrzebując to zbiorowisko osobliwości, natrafił na zaschniętą muchę, a po chwili z jednego z pojemników pełnych nici i gumek recepturek wykopał nie tak starą motorolę z nadpękniętym ekranem. Redfern pamiętał moment, kiedy podarował ją dziadkowi pod choinkę dwa lata temu. Już wtedy czuł, że sprzęt tak skończy. Brakowało jedynie ładowarki, ale inspektor wiedział, gdzie szukać. Miał wyrzuty sumienia, że wchodzi do sypialni dziadka bez pytania o zgodę. Zupełnie jakby ktoś miał go podejrzeć, po cichu otworzył górną szafkę w meblościance, gdzie Siwiaszczyk przechowywał małe narzędzia i elektronikę. Wyciągnął z niej najbardziej obiecujące pudełko, ale nie znalazł w nim tego, czego szukał. Tak jak w dwóch kolejnych. Wspiął się na palce i usiłował dosięgnąć drewniane pudełko z końca szafki. Opuszkami udało mu się przesunąć je na brzeg, ale ostatni ruch okazał się zbyt zamaszysty i kasetka z hukiem runęła na podłogę. Panele pokryły się dywanem jasnych kopert. Zaczął je zbierać i chaotycznie wkładać z powrotem. Czuł się nakryty i winny. Nie powinno go tu być, a jednak siedział na podłodze, trzymając w rękach listy napisane ręką jego matki. Odepchnął chęć otwarcia jednego z nich i z trzaskiem zamknął skrzyneczkę. Dopiero teraz zauważył wystający z pierwszego pojemnika kabel USB, a na jego końcu wtyczkę z charakterystycznym M.

Poszedł do kuchni i rozmontował oba telefony. Przy użyciu powiększającej ramki przełożył kartę SIM z iPhone'a. Podłączył motorolę do ładowarki i ku swojemu zadowoleniu obserwował migającą na ekranie zieloną baterię. Uruchomił telefon, który po chwili zaczął wibrować, sygnalizując nadejście SMS-ów i informacji o nieodebranych połączeniach. Ikonki w kształcie kopert przypomniały mu o zawartości drewnianego pudełka. Obiecał sobie, że nie będzie do nich wracał i nigdy nie zapyta o to Siwiaszczyka.

Zadowolony z siebie wstawił pusty kubek do zlewu. Przyjrzał mu się uważnie i zdał sobie sprawę, dlaczego Puszcza na ostatnim zebraniu wrócił bez kawy. Mówiąc o szefie, który kazał mu zająć się sprawą porzuconego auta, Tinney wcale nie miał na myśli posterunku w Old Woking. McMahon musiał powiedzieć w kantynie coś, co sprawiło, że entuzjazm młodego policjanta niespodziewanie stopniał. Redfern zanotował to w pamięci i poszedł do sypialni.

Położył się i po chwili rozpląnął się w lekkiej mgłę snu. Ostatnie, o czym zdążył pomyśleć, to punkty zapalne. Jakby ktoś podłożył pod miastem ładunki wybuchowe i z bezpiecznej odległości obserwował kolejne etapy eksplozji, czekając na wielki finał.

Środa, 13.11.2013, rano

Piąta rano to kiepski moment na pogaduchy, pomyślał, odbierając telefon, który obcym dźwiękiem wybudził go z pełnego myśli-obrazów snu.

– Chyba nie wszystko stracone! – krzychał podekscytowany Tinney. – Dzwonił właśnie właściciel złomowiska, ten cały McAllistair.

– Co mówił? – Redfern przecierał zmęczone, opuchnięte powieki.

– Ten chłopak, no wiesz, ten stróż, ma problemy z logicznym myśleniem. Jakiś zespół chorobowy czy coś. W każdym razie kiedy pytaliśmy o auto, oczywiście odparł, że skasowali, ale przecież nie całe auto, tylko szkielet. Wcześniej wymontowali to, co nadaje się do ponownego użycia.

– Świetnie! Powiedzieliś im, żeby niczego nie ruszali?

– Tak, ale jest pewien problem – powiedział ostrożnie Tinney, jakby po wczorajszym ochrzanie obawiał się reakcji Redferna. – Małe części trafiły do wspólnych kontenerów, a duże na recycling.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Na przykład jak wymontowali korbę z drzwi, to nie umieścili jej w skrzynce z napisem „pocztowy vauxhall z dziewięćdziesiątego ósmego”, tylko wrzucili do ogólnego pojemnika z korbkami.

– Nie panikujmy. To się da jakoś ogarnąć. Spotkamy się na miejscu.



Po jednym rzucie oka na podstawione przez wypożyczalnię auto już wiedział, jak zespół toyoty wymyślił nazwę IQ. David ze złością stwierdził, że przy jego wzroście legitymacja Mensy może być niewystarczająca, by wsiąść i wysiąść z auta. Za to ku jego zaskoczeniu wszystko inne było jak najbardziej OK. Samochód całkiem nieźle radził sobie w budzącym się do życia mieście i z przyjemnym zacięciem pokonywał ronda. W niespełna kwadrans inspektor stał przed stróżówką złomowiska, przyjmując przeprosiny od właściciela.

– Zupełnie niepotrzebnie – uspokajał go Chris. – Nie mógł pan wiedzieć.

– Harvey ma zespół Downa – tłumaczył mężczyzna. – Jest cudownym pracownikiem, ale jego odpowiedzi na pytania są bardzo dosłowne.

– W porządku, panie McAllistair. Czy ma pan jakie takie pojęcie, co zostało wyciągnięte z samochodu?

– Mam listę w stróżówce. Wejźmy, proszę.

Mimo wczesnej pory w środku panował zaduch typowy dla pomieszczeń ogrzewanych piecykiem gazowym. Ku zaskoczeniu śledczych Harvey Calvert wciąż siedział na posterunku. Na prośbę szefa wydrukował listę rzeczy wykręconych z auta.

Pochylili się nad nią i uważnie przejrzeeli. Radio, pokrowce, korby, przyciski, w rubryce duże elementy adnotacja – recycling. Nie było tego dużo, ale Redfern pomyślał, że szukanie igły w stogu siana byłoby zdecydowanie łatwiejsze. Wreszcie odezwał się Harvey.

– Dziwne to auto. Niby pocztowe, a miało na pace przybity dywan. Dobry dywan. Nowy.

– Nie pomylił się pan? – powątpiewał Tinney, a Redfern skarcił go w myślach za emfaticzną reakcję.

– Gruby, mówię wam – mówił z uśmiechem chłopak. – Tylko trzeba go wyczyścić.

– W spisie nie ma o nim mowy – zauważył Redfern. – Może to nie to auto?

– Wiem, bo go sobie wzięłem! – wyznał chłopak.

– Gdzie go masz? – McAllistair dopadł do lady.

– Tutaj sobie stoi. – Calvert wskazał palcem ciemny róg stróżówki, gdzie oparty o ścianę stał duży rulon.

– Ma pan może lateksowe rękawiczki? – zapytał Redfern, który zaczynał podejrzewać najgorsze.

– Nie bardzo. – McAllistair się skrzywił. – A woreczek foliowy może być?

– Pewnie.

Właściciel złomowiska sięgnął pod ladę, wyciągnął pudełko z woreczkami i podał dwa Redfernowi, który założył je na rękę i ostrożnie rozwinął dywan, spodziewając się śladów krwi.

Zamiast tego na kwiecistym wzorze oprócz piasku i drobnych zabrudzeń zobaczył mnóstwo blond włosów.



Lodowata mgła położyła się trupio bladym kozuchem na całej łące. Wilgoć wdzieriała się przez wiatrówkę, wprawiając mięśnie Redferna w mimowolne drżenie.

Ekipa poszukiwawcza zebrała się punktualnie na końcu Carters Lane. Wszyscy wydawali się zaintrygowani nowym tropem, choć o tej porze nikt nie miał ochoty na rozmowę. Próbując przewyciężyć dojmujące zimno, chowali brody w wysoko postawione kołnierze kurtek. W przeciwieństwie do budzących się ptaków każdy milczał, wydając z siebie co najwyżej kłęby pary.

W oddali Redfern widział zarys Woking Palace. Czternastowieczne mury odwiedziło kiedyś wszystkich sześć żon Henryka VIII. Nieświadome swojego tragicznego losu korzystały z tego nowoczesnego jak na tamte czasy kompleksu. Redfern zanucił sobie w głowie szkolną wyliczankę: „rozwiedziona, stracona, nieżywa, rozwiedziona, stracona, przeżyła”, pomagając uczniom zapamiętać, która z żon króla została zamordowana, a która uniknęła topora. Pomyślał, że przedwczesne, nienaturalne śmierci były wpisane w historię tego miejsca aż po dziś dzień.

Rozejrzał się po kilkunastoosobowej grupie, składającej się w większości z mężczyzn ubranych w ciemne uniformy. Czuł się jak na polowaniu *par force*. Psy niecierpliwie kręciły się wokół nóg policjantów, wyczuwając napięcie w zespole. Na welurowej mgle jak czerwone świetliki odcinały się żarzące się końcówki papierosów, które latały chaotycznie w powietrznym tańcu. Słyszał podniecone szepty i szuranie żwiru pod stopami. Odprawa przebiegła jednak bardzo sprawnie i po kwadransie każdy wiedział, co ma robić. McMahon przejął rolę sygnalisty i kiedy tylko mgła nieco się rozrzedziła, dał znak do wymarszu.

Podzielili teren na kwadraty i każda z grup udała się na wyznaczone miejsce. Psy przywarły nosami do ziemi i pewnie prowadziły swych opiekunów przez wysokie trawy. Idąc chwiejnym krokiem, na szarym tle wyglądali jak inwazja zombie.

Redfern oparł się o tablicę informacyjną i obserwował sterczące nad trawami ogony. Brak opadów ułatwił im pracę, osuszając nieco ten nieprzystępny teren. Policjant pokładał w tym duże nadzieje. Martwił go

natomiast przepasający mokradła kanał Way. Jeśli porywacz go przekroczył i udał się w stronę Newark, poszukiwania mogą się zakończyć. Kanał zmieniał się tam w wodną pajęczynę.

Z rozważań wyrwał go McMahon. Zbliżał się do niego szybkim krokiem, dysząc jak parowóz. Jako jedyny w widoczny sposób tryskał optymizmem, ale Redfern pomyślał, że bardziej od nowego tropu cieszy go nowa rola koordynatora.

– Nieźle skojarzyłeś to auto – zagadał. – Tinney za to dał dupy na całej linii, ale chyba taka jego natura. – Przy ostatnim słowie zrobił w powietrzu cudzysłów i zaśmiał się ochryple, rad ze swojego chamstwa.

Redfern zignorował uwagę, która mogła dotyczyć błędów posterunkowego, ale inspektor przypuszczał, że zastępca komendanta komentuje orientację Puszki. Miał ochotę wygarnąć mu, że młody wykonywał jego rozkazy i dlatego stracił czujność, ale tę rozmowę postanowił z nim odbyć bez świadków.

– Jak ci idzie współpraca z agencją? – zapytał po chwili Redfern. Kojarzył obu agentów z czasów, kiedy jeszcze pracował w Londynie, ale chciał poznać zdanie Grega.

– Spoko. – McMahon wzruszył ramionami. – Znam Ibrahima jeszcze z akademii. Też go powinienesz kojarzyć, współpracował z Adrianem Bonesem. Dobry policjant i w porządku człowiek. Natomiast Lee to sztywny fiut i służbista.

Redfern nie miał czasu zebrać myśli. Zza przylegających do płotu krzaków jeżyn wyszedł Tinney, zasuwając rozporek. Nie był już tak zadowolony jak McMahon. Przywitał się tylko ponurym mruknięciem.

– A to kto? – Redfern wskazał brodą zbliżający się policyjny pick-up. Mógł przysiąc, że widzi na nim niewielką łódź.

– Wiedziałem – westchnął zrezygnowany Tinney. – Agencja optymistycznie wysłała nam słynnego *cadaver dog*.

– Psa tropiącego zwłoki? – dopytywała Summer, która podeszła do nich, popijając kawę prosto z termosu.

– Nie inaczej. – Tinney nie odrywał wzroku od ruin.

– Mamy nasze psy. Niepotrzebne nam cyrkowe – powiedział z przekąsem McMahon i odszedł w stronę nadjeżdżającego auta.

– Mam nadzieję, że ten ich kundel niczego nie znajdzie.

Redfern patrzył, jak członek zespołu wypuszcza z klatki belgijskiego malinois. Podobny do owczarka niemieckiego pies przysiadł posłusznie obok policjanta. W ścisłej współpracy z koronerem i antropologiem *cadaver dogs* były szkolone do poszukiwań rozkładających się zwłok, wisielców czy samych kości. Redfern słyszał, że siedząc w łodzi, malinois mógł nawet złapać trop topielca.

Z pobliskiego drzewa zerwało się zielone stado papużek, robiąc piskliwą konkurencję krukowi, który ze skrzekiem przysiadł na ogrodzeniu i przyglądał się konduktowi żałobnemu wron zataczających koło nad pracującymi ludźmi.

O wpół do dziesiątej McMahon zarządził przerwę. Oprócz ekipy z Police Dog Unit wszyscy zebrali się przy wozach. Przemarznięci wyciągali z toreb kanapki i puszki z energetykami. Bardziej zapobiegliwi przywieźli termosy z herbatą i teraz częstowali resztę.

Redfern trzymał się z boku, zastanawiając się, jak przyspieszyć poszukiwania. Patrzył na rozlewisko, odkurzając w pamięci wykład, który usłyszał kiedyś od ojca. Jeleń, synku, uciekając przed nagonką, poci się niemiłosiernie i w miarę trwania polowania zostawia coraz silniejszy zapach. Co innego lis. Lis nie poci się w ogóle. Wystraszony wystrzeliwuje dawkę hormonu, który w czasie ucieczki traci na intensywności. Psy podnoszą łby i jest to nieomylny znak, że straciły trop.

Redfern był pewien, że dziś ewidentnie polowali na lisa.

Nagle ktoś go złapał za ramię. McMahon trzymający w ręku krótkofalówkę powiedział coś, czego Redfern nie chciał usłyszeć:

– Grabarz coś ma.

ROZDZIAŁ VII

Jedno, co powiedzieć można o człowieku:

On kocha w sobie wielbić zło.

Tom Waits, *Misery is the River of the World*,

przeł. Kazimierz Staszewski

Czwartek, 14.11.2013, rano

Byli zmęczeni. Nawet Tinney niemrawo przeciągał palcem po ekranie telefonu. Przetłuszczone włosy Summer przywarły leniwie do jej głowy, odzyskując nieco rezon w niedbale związanej kitce. Wyciągnięty beżowy T-shirt podkreślał sińce pod oczami. Tylko siedzący na końcu funkcjonariusze Wydziału Przeciwdziałania Porwaniom i Wymuszeniom prężyli się w swoich nienaganych marynarkach.

Redfern nie dbał o pozory. Nie przespał nocy, czekając świtu. Na granicy świadomości widział martwego Adriana Bonesa trzymającego za rękę ociekającą krwią małą Wolańską. Aby nie dać się zmęczeniu, przechadzał się wzdłuż sali. McMahon znów podchwycił temat pożaru w Sheerwater i konieczności przepytania squattersów. Redferna martwiło jednak inne znalezisko dokonane na mokradłach.

Tinney zasepił się bardziej niż zwykle i oparty o dłoń wpatrywał się w okno. Pracowali bez wytchnienia od wielu dni. Przesłuchali dziesiątki świadków, przejechali setki kilometrów, przejrzeni mnóstwo stron dokumentacji. Bez rezultatów. Poszukiwania w Old Woking przyniosły wyłącznie dodatkowe pytania. Tylko Ted prezentował się jak król.

– A teraz, drogie dzieci, zapnijcie pasy, bo wjeżdżamy do krainy fantazji.

Niczym magik z kapelusza, zamasyście i z nastawieniem na efekt, wyciągnął z teczki kartki z licznymi wykresami. Redfern w myślach podziękował McMahonowi, że nie dowodził już śledztwem. Decyzja o zaproszeniu patologa wydała mu się błędna. Podejrzewał, że ostatnia

wieczorna wizyta Teda u McMahona miała na celu nie tyle zacieśnienie stosunków towarzyskich z zastępcą komendanta, co umocnienie swojej pozycji. Szykowały się zmiany i każdy chciał być na nie przygotowany.

– To analiza balistyczna i analiza DNA – zauważył Tinney, biorąc jedną z kartek do ręki.

– Zgadza się – przytaknął Ted, ale nie rozwinął. Napięcie na scenie musiało sięgnąć zenitu.

– Dwie grupy krwi? – zapytała Summer. – Jedna należy do Izy, a druga do Malika.

– Czytaj dalej – zachęcił ją Matt, który również dołączył do burzy mózgów.

– To analiza balistyczna łuski znalezionej na mokradłach – mruknął Tinney pod nosem – ale nie bardzo rozumiem, co z tego wynika.

– Znaleźliśmy w niej ślady prochu strzelniczego i coś, co wszystkich zaskoczyło, nawet mnie. – Matt poruszył nerwowo wąsem i oznajmił: – Tam są ludzkie prochy.

– Niemożliwe. – Summer kręciła głową. – W łusce? Co to znaczy?

– Moim zdaniem to zagadka, którą oprawca – Redfern powstrzymał się od powiedzenia „morderca” – nam podsuwa.

– A moim zdaniem to jakiś makabryczny zbieg okoliczności – stwierdził McMahon.

– Podsumujmy – powiedział Redfern. – Malik porywa dziewczynkę z domu Wolańskich. Najpewniej ją odurza i przetrzymuje w aucie aż do nocy, kiedy to jedzie na mokradła przy ruinach Woking Palace.

– Skąd wiemy, że konkretnie tej nocy? – dopytała Summer.

– Bo właściciele domu przy Carters Lane właśnie wtedy go zauważyli – wyjaśnił Tinney.

– OK. Jedzie, tylko po co? – podrzucił ktoś z sali.

– I dlaczego znajdujemy tam jego krew i tę cholerną łuskę? – Redfernowi udzieliła się nerwowość całego zespołu. – Co wiemy o Maliku? Przejrzeliście jego konta? Połączenia komórkowe?

– Poza wypłatami z myjni nic innego nie było. Raz wypłacił jakieś parę stów, ale to wszystko – referowała Summer, patrząc w zapisane równym pismem notatki na boku wydruków.

– OK. Wiemy, że na mokradłach był ktoś trzeci, kto strzelał do Malika, ale co stało się z całą trójką? – Pytanie Redferna zawisło w próżni.

– Puszka, może wreszcie na coś się przydasz i błysniesz jakimś pomysłem? – McMahon wciąż nie mógł mu darować przeoczenia czerwonego vana.

– Pracuję nad tym – odparł, uśmiechając się, ale nie oderwał wzroku od komórki. – Telefon mi się zawiesił.

– Dość tego! – ryknął szef zespołu. – Znosiłem ciebie i ten cały cyrk wystarczająco długo.

– Nie rozumiem...

– Wykluczam cię ze śledztwa, to rozumiesz? Wracaj do Old Woking, przeprowadzać staruszki przez jezdnię!

Unikając wzroku kolegów, Tinney zaczął zbierać swoje rzeczy. Teczka, długopis, materiały Teda powoli lądowały w szarym plecaku Nike. Summer powiedziała coś w stylu „trzymaj się”, ale zrobiła to na tyle cicho, że równie dobrze mogła nic nie powiedzieć. McMahon poprawił się na krześle, którego skrzypnięcie przerwało nieznośną ciszę. Ted ostentacyjnie wydmuchał nos.

Gdy cień mężczyzny, który jeszcze przed chwilą był Chrisem, zniknął za drzwiami, Redfern nie wytrzymał.

– Przegiąłeś, Greg! – powiedział dobitnie. – Możesz sobie być szefem zespołu, ale nie rozpieprzaj go. Potrzebujemy Puszkę.

– Olśnij mnie, David, do czego?

Twarcz Redferna stężała. Summer wyglądała jak wyciągnięta z wody ryba. McMahon oparł się o stół dwiema rękami, dominując nad wszystkimi.

– Wciąż boli cię, że to nie ty zastąpiłeś Knighta, rozumiem... – zaczął spokojnie Greg.

– Nic nie rozumiesz. – Redfern odchylił się na krześle, nie dbając o to, co pomyślał agenci. – Boli mnie, że twoje szefowanie jest do dupy. Wszyscy ganiają po mieście jak wściekłe psy, bo nie masz pomysłu, jak się zabrać do tych spraw.

– Ty za to miałeś mnóstwo pomysłów i na sprawy, i na zespół, prawda? – odciął się. – Tyle że z pustego i Salomon nie należy...

– To możesz zawdzięczać tylko sobie – powiedział Redfern, wskazując palcem zastępcę.

– A może dla odmiany zaczniemy pracować? – odezwał się jeden z agentów z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Natomiast w wolnej chwili zapraszam panów na rozmowę.

Policjanci piorunowali się wzrokiem, ale ścięci komentarzem zajęli miejsca.

– Summer, czy wiemy coś więcej o Maliku? – spytał Redfern, odzyskawszy przytomność. Starał się nie patrzeć na McMahona, który skupił całą uwagę na leżących przed nim dokumentach.

– Tayyab to widmo. – Summer ocknęła się i przeleciała wzrokiem po swoich notatkach. – Pakistańczyk. Nic go nie wyróżnia z tłumu. Przyjechał do Anglii jako dzieciak, skończył gimnazjum w Birmingham. Pięć lat temu przeprowadził się do Woking i pracował w warsztacie samochodowym, zmieniał oleje, opony, wycieraczki. Wzorowy pracownik, trochę skryty. Przez cały ten czas wynajmował pokój w Maybury. Zaczepił się na pocztę, potem w myjni samochodowej, nie miał partnerki ani zbyt wielu znajomych. Telefon na prepaid. Żadnych kredytów. W necie jest o nim bardzo niewiele.

– A zatem potrzeba badań terenowych – zawyrokował Redfern. – Myjnię biorę na siebie. Summer, dowiedz się, czy bywał w jakichś klubach, może na siłowni, spróbuj też w meczecie.

– Co z pudełkiem z jego dziupli? – rzucił McMahon.

– Nic szczególnego nie znaleźliśmy – powiedział szybko Matt. – Wszystko było mokre i wymięte jak psu z gardła.

Redfern poczuł się głupio. To on zamoczył wszystkie dowody. Gdyby nie przeciekający bagażnik triumpfa, dno pudełka nie rozleciałoby się tak łatwo.

– Dobra, zostawmy to – zakomenderował McMahon. – Co wiemy o krwi znalezionej w Woking Palace?

– To z pewnością krew Izabeli Wolańskiej – powiedział Matt, po czym dodał: – Było jej jednak bardzo niewiele.

– Dobra, to ja się zbieram – powiedział Ted, wstając. – W południe przyjeżdżają zwłoki Ansara Abbasiego i Amelie Harbour. Mój asystent jest na urlopie, więc może mi się trochę przedłużyć.

Redfern nie słuchał tłumaczeń patologa. Zupełnie zapomniał o ofiarach katastrofy. Widział kilka dni temu mail z Dover. Analiza wraku potwierdziła przypuszczenia dyrektora lotniska – w samolocie zabrakło paliwa. Inspektor wątpił, by Ted znalazł jeszcze coś szczególnego w zwłokach tych ludzi. Było mu jedynie przykro, że tak naprawdę było ich troje. To mu o czymś przypomniało.

– A co z dzieckiem z pogorzeliska?

– Pojutrze przylatuje antropolog z Edynburga – odparł Ted, stojąc w drzwiach. – Może on powie coś więcej. Dam ci znać.

Gdy patolog wyszedł, McMahon przetarł dłonią zmęczoną twarz. Policjant wypuścił powoli powietrze z płuc, usiłując zebrać myśli. Redfern zauważył, że wciąż szukał kontaktu wzrokowego z sierżantką, jakby chciał zmyć swoje upokorzenie w jej oczach.

– Summer, ogarniasz kluby i znajomych Malika – powtórzył za Redfernem. – Jesteśmy w kontakcie.

Zastępca komendanta wyszedł bez słowa, za co Redfern był mu wdzięczny. Wszyscy inni poszli w jego ślady i opuścili salę, zostawiając inspektora samego. Nawet agenci nie zatrzymali się, by powiedzieć, co sądzą o zebraniu. Podejrzewał, że wszystko to, co przemilczeli, znajdzie się w obszernym raporcie.

Przesadził z reakcją, a – co gorsza – dał zespołowi poznać, że nie grają do jednej bramki. Redfern obawiał się, że utworzą się dwa obozy, sympatyzujące z nim lub z McMahonem. To, co usłyszał, wyprowadziło go z błędu.

– Stanąłeś w naszej obronie. Dzięki. – Summer wróciła i stała teraz przed nim z rękami w kieszeniach, miętosząc w nich zakłopotanie. – Gregory nie jest złym gliną. Może jedynie złym szefem.

– To nie przedszkole, Summer – odparł. – Nie tak załatwia się takie sprawy. Możemy mieć różne zdania, ale twój ojciec zasługuje na szacunek.

W ciszy, która między nimi zawisła, dało się słyszeć jej westchnienie.

– Jak właściwie się dowiedziałeś? – zapytała lodowato sierżantka.

– Summer, może i wydają ci się stary, ale z pewnością jeszcze nie jestem głuchy i ślepy – odparł, uśmiechając się. – Domyślam się, że McMahon też niedawno się dowiedział.

– Coś w tym stylu – rzekła wymijająco, wyciągając z kieszeni ręce, które automatycznie spłótła na klatce piersiowej. Redfern zyskał pewność, że awantura, której ostatnio był świadkiem, dotyczyła wyłożenia przez sierżantkę kart na stół.

– Opowiesz? – zapytał łagodnie, mając nadzieję, że do końca oczyszczą atmosferę.

– Nie dziś – odparła. – Tak czy siak, dziękuję. – Klepnęła go w ramię po przyjacielsku i wyszła z sali.

Redfern obawiał się, że trzymany zbyt długo sekret wkrótce stanie się dla sierżantki Summer Winter ciężarem nie do uniesienia, a wtedy spadnie na jego barki. Z tą ponurą myślą wyszedł z komendy i wsiadł do samochodu.



W myjni samochodowej dowiedział się tylko tyle, że Malik był odpowiedzialny za woskowanie i że nie utrzymywał z nikim bliższych kontaktów. Był zamkniętym w sobie, ponurym człowiekiem, który traktował wszystkich z góry.

Wsiadając do toyoty, do której powoli zaczął się przyzwyczajać, nie mógł pozbyć się pulsującej w głowie czerwonej jak uniform listonosza lampki. Pchnięty trudnym do nazwania przecuciem odpalił silnik i pojechał prosto do głównej siedziby poczty.

Na spotkanie z dyrektorką oddziału, Caroline Clark, nie musiał długo czekać. Krótkonoga, szczupła kobieta wyszła zza lady okienka, z którego klienci odbierali awizowane paczki. Jej śniada twarz wyrażała jedno: uprzejme zainteresowanie. Menadżerka przeprowadziła Redferna przez magazyn do swojego biura.

– Malik sam zwolnił się z pracy jakieś pół roku temu – powiedziała, zajmując miejsce za biurkiem. Ogromny monitor zasłonił jej połowę poranej bliznami twarzy. – Trochę szkoda, bo był bardzo dobrym pracownikiem. Pamiętam, bo sama go zatrudniałam – dodała, jakby listonosz był jej zdobyczą, a fakt jego odejścia co najmniej krzyżował jej plany kariery. Redfern nie wyczuł w tym troski.

– Jaki region obsługiwał Malik?

– Nikt na poczcie nie ma stałego regionu – odparła Caroline Clark. – To ciężka praca. Ludzie przychodzą i odchodzą, a ci, co zostają, muszą łątać powstałe dziury – mówiła, nie kryjąc żalu. – Przerzucamy więc pracowników z miejsca na miejsce.

– A jest pani w stanie sprawdzić, gdzie pracował na miesiąc lub dwa przed odejściem?

– Oczywiście. Proszę poczekać. – Przesunęła myszką komputera i kilka razy kliknęła. – Malik cały styczeń obsługiwał Goldsworth Park, potem był w Send, a końcówkę maja spędził w Old Woking.

- Jeździł sam?
- No co pan? Oczywiście, że nie – obruszyła się, jakby Redfern zapytał, czy w Woking jest przestępczość. – Na tak dużych rejonach listonosze zawsze jeżdżą we dwóch.
- Kto był jego partnerem w Old Woking?
- Paul Moss.
- Nie sprawdzi pani w komputerze? – zdziwił się.
- Nie muszę. Paul Moss obsługuje Old Woking od koronacji królowej. To nasza legenda – odparła z lekką dumą w głosie.



Wyszedł na lodowate powietrze. Skóra odpowiedziała natychmiast, zalewając go falą dreszczy. Pożałował, że zabrał z biura tylko cienką kurtkę. W pobliskim Freshu wziął kawę z automatu, a z lodówki polskie kabanosy. Trochę słaby lunch, ale musiał wystarczyć.

Wsiadł do samochodu, przepisał adres Paula Mossa do Google Maps i wrzucił do odtwarzacza płytę. Wybrzmiewające z głośników pierwsze akordy *Arahi* podziały rozgrzewająco. Wcisnął pedał gazu i odjechał z piskiem opon jak pierwszy lepszy nastolatek. Czuł, że złapał wiatr w żagle.

Paul Moss mieszkał w małym bloku blisko centrum. Siwy jak gołąb mężczyzna przywitał Redferna półnagi, ubrany tylko w opięte szorty. David z podziwem popatrzył na umięśniony tors. Srebrne kędziory na piersi i tatuaż na przedramieniu dopełniały obrazu samca alfa, starego basiora.

Mężczyzna posadził Redferna przy kuchennym stole i nalał mu wody, ozdabiając ją plasterkiem cytryny i listkami mięty.

Redfern rozejrzał się po kuchni. Słoiczki z ziarenkami chia, olejem kokosowym i innym organicznym szajsem stały na baczność, gotowe w każdej chwili wspomóc idealne ciało właściciela. Do tego przepastny kosz owoców na blacie i białka w opakowaniach wielkości tych po zaprawie murarskiej koło lodówki. Paul Moss przeżyje nas wszystkich, to pewne, pomyślał Redfern i spojrzał na własny, coraz mniej przyzwoity brzuch.

– A to dobre! Malik zaginiony! – roześmiał się szczerze mężczyzna, popijając zielony koktajl, którego Redfern stanowczo odmówił. – Panie, Malik ginął średnio raz na miesiąc. Potem ze skruszoną miną kajał się przed Caroline, która łykała jego kłamstwa jak pelikan cegłę. Ja bym tam nie uważał go za zaginionego. Zachlał pewnie w Londynie i do dziś nie wytrzeźwiał. W życiu nie miałem tak spóźnialskiego partnera. Pierdoła jakich mało, a przystojny jak diabeł. Wiecznie w biegu, wiecznie na telefonie. Facebooki, randki w ciemno. To jego świat!

– Fakt pozostaje taki, że szuka go dziewczyna. – Redfern ostudził te rewelacje drobnym kłamstwem.

– Która? Bo z tego, co się zorientowałem, to miał co najmniej cztery.

– Czy było coś dziwnego w jego zachowaniu? Coś przykuło pana uwagę, kiedy razem jeździliście po Old Woking.

– Mówił kiedyś o powrocie do korzeni, do Pakistanu czy tam Iranu. – Mężczyzna wciąż się uśmiechał, choć Redfernowi temat wydawał się mało zabawny. – Może należałoby go poszukać w szeregach Al-Kaidy?

– Może.

Rozmowa z tym mężczyzną była stratą czasu. Nie dość, że Redfern nabawił się poczucia winy z powodu złej kondycji, to dowiedział się tylko tyle, że Caroline Clark z jakichś powodów kryła podwładnego. Najczęstszym motywem takich drobnych zbrodni było platoniczne uczucie lub zwyczajna chęć przelecenia. Tak zwana miłość bez pokrycia.

Jadąc do domu, myślał o dwóch wersjach Malika Tayyaba: tego, który miał bujne życie towarzyskie, i tego, który stronił od ludzi. Póki pracował jako listonosz, jego życie wydawało się pasmem radości, ale coś wydarzyło się po drodze, że podjął pracę w myjni i stracił młodzieńczy impet. Co sprawiło, że zniknął gdzieś na niekończących się mokradłach Old Woking?

Czwartek, 14.11.2013, popołudnie

Słońce znów pojawiło się nad miastem, ostatecznie przekonując Redferna, że musi wyjść z domu. Zamknął komputer i poszedł z Banditem do ogródka. Sięgająca łydek trawa przypomniała mu, że ostatni raz był w nim jeszcze przed morderstwem na Monument Road. Zeschłe rabaty utworzyły pod ogrodzeniem brunatny strup, a poutykane w trawie mlecze zdążyły już ewoluować w łyse dmuchawce. Nawet żółte liście rododendronu nie były w stanie rozświetlić tego ponurego obrazka. W pierwszym odruchu Redfern

chciał iść do szopy po kosiarkę i przyciąć trawę, ale mokra nie nadawała się do koszenia. Początkowa radość z ogromu pracy przerodziła się we frustrację. Nie chciał pozostawać bezczynny.

Ubrał się ciepło, zapiął Banditowi smycz i wyszli razem z domu. Spojrzał z utęsknieniem na stojącego na sflaczałych oponach triumpha i ruszył wzdłuż ulicy, mając w głowie obrany cel. Po półgodzinie marszu zobaczył fasadę ośrodka dla uzależnionych Life Works. Przeciął parking i stanął przy białych drzwiach domu przy Poundfield Court. Kiedy wyciągnął rękę, by zapukać, z ogrodu doszedł go znajomy głos.

– To skurwysyn! Już z ulicy go widziałam, jak się czai!

Redfern stał sparalizowany, gotowy odeprzeć atak, ale sąsiadka Wolańskiej dodała:

– Dziennikarska hiena! Nie masz ani chwili spokoju!

– Nie szkodzi. – Usłyszał głos Wolańskiej i pchnięty ciekawością zakradł się bliżej. – Wszyscy muszą się dowiedzieć o Izie...

– W sumie racja – westchnęła dziewczyna. – Pomyślałam jednak, że przyda ci się odpoczynek.

– Dzięki.

– Jak się sprawy mają?

Redfern dał znak Badnitowi, by usiadł, na co szczeniak natychmiast położył się na trawie i nasłuchiwał. Przez szparę w płocie inspektor widział, jak Beata wyciągnęła z bluzy paczkę niebieskich chesterfieldów i odpaliła jednego, po czym sięgnęła po jedną z leżących na trawie zabawek, która, ku przerażeniu Davida, przeraźliwie zapiszczała. Bandit jakby tylko na to czekał. Zerwał się na równe łapy i zaszczekał radośnie.

– Nie przeszkadzam? – Zdekonspirowany Redfern nie czekał ani chwili i pchnął furtkę.

Wszedł do ogródka, wprawiając obie kobiety w osłupienie. Beata posłała sąsiadce spanikowane spojrzenie, ale Wolańska nie zwróciła na to uwagi, zajęta taksowaniem Redferna lodowatym wzrokiem.

– Proszę. – Podniosła się z piaskownicy. – Co pana sprowadza? Domyślałam się, że wciąż nie wiecie, gdzie jest moje dziecko? I proszę mi nie wciskać kitu, że leży u was w kostnicy – dodała ostro, widząc, jak policjant otwiera usta.

Drzwi kuchenne były otwarte, ukazując wnętrze kuchni. Redfern zauważył, że do poprzyczepianych do lodówki obrazków i magnesów

dołączył rysunek Izy, który porywacz wysłał do matki dziewczynki. Do tej pory nie ustalono, w jaki sposób trafił na Poundfield Court i co miał wspólnego z Malikiem Tayyabem.

– Nie – powiedział. – Chcę porozmawiać o dniu porwania Izy.

– Ile razy jeszcze mamy to wałkować? – wybuchła. – Pomagałam wam już analizować ten dzień dziesiątki razy.

– Ale nie w świetle nowych wydarzeń – nalegał Redfern. – Wiemy, że Malik Tayyab nie działał sam, a porwanie Izy zdaje się być częścią większej sprawy. Kupił wóz pocztowy, by móc spokojnie obserwować pani dom. Wiemy, że dowiedział się o pani biopsji z Facebooka i czekał na odpowiedni moment, żeby zaatakować. Iza najprawdopodobniej była przetrzymywana w samochodzie, a następnie przewieziona na mokrądy przy Woking Palace. Dalej są to moje spekulacje, ale wydaje mi się, że została komuś przekazana.

– Myśli pan, że ta osoba wciąż ma Izę?

– Musimy go znaleźć – pominął odpowiedź.

Pokrywę niegdyś różowej piaskownicy oblepił zielonkawy szlam. Wolańska, skupiona na własnych myślach, uniosła ją, jakby chciała zobaczyć, ile robactwa zalęgło się w środku. O dziwo, foremki i łopatki były czyste, a piasek prawie suchy.

Pod jedną z nich, w kształcie kotka, Redfern zobaczył odcisk dziecięcego buta. Kobieta kucnęła i przesadnie ostrożnie podniosła zabawkę. Ziarenka piasku zaczęły się osuwać, zacierając obraz. Oczy niebezpiecznie jej się zaszklily, ale szybko przełknęła rosnącą w gardle kolczastą kulę. Napływającą falę rozpacz zatrzymała Beata.

– Dziś jadę na klify do Dover – oznajmiła wesoło. – Wezmę ulotki i porzdam w porcie.

– Super – szepnęła Wolańska, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Cudny szczeniak. – Beata Mikiewicz schyliła się do Bandita i pogłaskała go po głowie. Jednak piesek nie zwrócił na nią uwagi, skupiony na wgryzaniu się w zabawkę. – Ola lubi psy, a u Izy wszędzie kotki, co? – Uśmiechnęła się, wysuplując czerwoną foremkę z trawy. – Jak wróci, to kup jej kota, bo... – Dziewczyna oddała się monologowi na temat zalet posiadania zwierzęcia, ale Redfern nie słuchał.

Nagle wszystko zaczęło mu się składać. Minął bez słowa kobiety i przez kuchenne drzwi wszedł do środka, zatrzymując się przed lodówką, z której

zdjął tajemniczy rysunek dziecka. Przyglądał się chwilę czarnemu słońcu, pod którym stało koślawe drzewo z dziwnym mazajem. Nie było na nim ani jednego kota, za to z korony zaczął się wyłaniać pewien kształt.

– Co wam to przypomina? – Wskazał na drzewo.

– Psa z... – Beata przekręciła głowę. – Z kaczką.

Myśli Redferna eksplodowały, a feeria obrazów, dialogów i twarzy zaczęła się układać w logiczny ciąg zdarzeń. Wiedział już, czego i gdzie szukać. Nie wiedział tylko, dokąd go to zaprowadzi.



Obłożona szarą bibułą twarz nie wyrażała żadnego uczucia. Ostatnia noc nie dała Redfernowi upragnionego wytchnienia, a teraz świadomość, że czekało go kolejnych parę godzin nad aktami, odbierała mu resztki entuzjazmu. Choć czuł, że był tak blisko dziecka, stracił siły. Siedział w swoim gabinecie i usiłując pokonać zmęczenie, szukał w dokumentach odpowiedniej kartki. Gdzieś w podświadomości błąkała mu się myśl, która była kluczem do znalezienia rozwiązania. Był pewien, że nie tak dawno usłyszał coś, co zaprowadzi go prosto pod drzwi sprawcy.

Po godzinie się poddał, nigdzie w aktach nie mógł znaleźć wzmianki o BASC, choć był pewien, że nie tak dawno widział logo tego stowarzyszenia myśliwskiego. Dziewczynka też musiała je widzieć, skoro ukryła je w koronie czarnego drzewa.

Nagle gabinet wypełnił piskliwy dźwięk komórki. Redfernowi zajęło chwilę, zanim zrozumiał, że to jego, i sięgnął do kurtki. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić, że ma pożyczony telefon.

– Słuchaj – rzekł Tinney bez powitania. – Zdaję sobie sprawę, że dałem cię na zebraniu, że ostatnio w ogóle do niczego się nie nadaję.

– Daj spokój – przerwał mu Redfern. – McMahan chciał się popisać przed kolegami z agencji, to wszystko. Opadnie kurz i wrócisz do nas raz-dwa.

– No właśnie ja w tej sprawie. Chyba wiem, co oznacza ten proch w łuskach.

– Wal.

– Jest taka firma w Stanach, nazywa się Holy Smoke. Mają nawet stronę w necie. Jak nietrudno się domyślić, mieszają ludzkie prochy z prochem strzelniczym i umieszczają w nabojach. Potem bliscy mogą oddać salwę honorową i w ten sposób upamiętnić zmarłego.

– To już zwykle rozsypanie prochów w lesie nie wystarczy?

– Każdy świętuje, jak chce.

Redfern oczyma wyobraźni zobaczył, jak Tinney wzrusza charakterystycznie ramionami.

– Mamy przecież tatuaże z prochami zmarłych, prochy przerabiane na sztuczne diamenty. Nawet specjalnie mnie te kule nie dziwią.

– No dobrze, ale Holy Smoke jest za oceanem.

– Dzwoniłem do nich i powiedzieli, że mają też klientów z Europy. Kazałem im podesłać listę. Obiecali to zrobić w ciągu dnia.

– Świetna robota, Puszka – ucieszył się Redfern. – Tak jak mówiłem, wrócisz do nas, zanim się obejrzysz.

Nie był pewien, czy trop był dobry, ale zaangażowanie Tinneya odrobinę zatarło rysę na wizerunku młodego policjanta. Pozostało sprawdzić, czy firma Holy Smoke wysłała kiedykolwiek paczkę do Surrey. Nie zdążył odłożyć telefonu, gdy ten rozdzwonił się na nowo.

– Wiem, gdzie jest Iza! – krzyczała Wolańska.

– Proszę się uspokoić – rzekł Redfern, pocierając zmęczoną twarz.

– Logo, które pan odkrył – mówiła nieskładnie – ta organizacja myśliwych... Ja wiem, kto jest myśliwym!

Czwartek, 14.11.2013, wieczór

– Nie musi mi pan wierzyć. – Wolańska cedziła każde słowo. – Ja wiem, że Iza jest teraz u Carla Straussa.

– Tego portiera z Gordon's School? – zdziwił się. – Proszę pani, to szaleństwo... Nie można oskarżać każdego, kto...

– Nie musi mi pan wierzyć – powtórzyła twardo. – Ma dziś dyżur, więc jadę do szkoły. Chciałam tylko, żeby pan wiedział.

– Proszę się nie ruszać z miejsca – zażądał ostro, bojąc się, że Wolańska się rozłączy.

– Nie zmusi mnie pan do pozostania w domu! – mówiła roztrzęsiona. – I niech pan nie wciska mi kitu o moim bezpieczeństwie.

Redfern wiedział, że i tak jej nie powstrzyma przed szaleńczą jazdą do Gordon's School, a dzięki podjętej właśnie decyzji będzie miał na nią oko.

– Dobrze, proszę przyjechać do komendy – powiedział bez przekonania i się rozłączył.

Usiadł za biurkiem i po raz kolejny przejrzał swoje notatki. Nie mógł zaprzeczyć, że stary portier miał sposobność, by porwać dziewczynkę, wiedział o Wolańskich bardzo dużo. Potrafił też posługiwać się bronią. Redfern sam widział, jak chwalił się przed Kimberly Small odznaką towarzystwa myśliwskiego. Zastanawiał się, czy menadżerka firmy sprzątającej wiedziała, co zrobił Carl. Czy dlatego unikała kontaktu z policją? Pogrążony w myślach, usłyszał dźwięk interkomu. W recepcji czekała na niego Wolańska.

Słońce podpaliło horyzont, oświetlając go purpurową łuną. Białe ściany komendy zapłonęły żywą czerwienią, grając w tym spektaklu główną rolę. Redfern stał w cieniu, dygocząc z zimna i zdenerwowania. Nie powinien pozwolić matce dziewczynki na tę eskapadę, ale wciąż powtarzał sobie, że i tak by się z nią spotkał w szkole. Kinga Wolańska szczelniej opatulila się swetrem i bez słowa wsiadła do toyoty.

Zbliżali się do centrum. Redfern szybko pokonał dwa małe ronda obok Asdy i wpadł na Monument Road. Złotawe dotąd niebo naciągnęło na miasto szary, gruby koc zmierzchu. To pora, kiedy uczciwi ludzie spokojnie szykują się do snu, pomyślał.

Wolańska kątem oka zauważyła resztki policyjnej taśmy przy domu Zimal Abbasi.

– Wiecie już, co tam się stało?

– Nie – odparł zgodnie z własnym sumieniem. – Im dalej brnęliśmy w to śledztwo, tym mocniej sznurowali usta. Podejrzanych jest dokładnie tylu, ilu mieszkańców tej dzielnicy.

– Jest pan tendencyjny – skwitowała, patrząc na wybiegające z Albert Drive dzieci.

– Wielu uważa, że to młodszy syn ofiar – kontynuował.

– Ten, co zginął w tym wypadku lotniczym, prawda?

– Tak.

– Nie sądzę – powiedziała. – Rodziców nie morduje się ot tak – oznajmiła po chwili, a Redfern przyznał jej w duchu rację.

Brama Gordon's School była otwarta, więc mogli podjechać pod same drzwi. W recepcji szkoły świeciło się światło, ale przez szybę nie mogli dojrzeć nikogo. Kinga wyprzedziła Redferna i wpadła do środka, z hukiem odpychając wahadłowe drzwi.

Za wysokim kontuarem siedział starszy mężczyzna, ale Redfern go nie kojarzył. Poprawił się na obrotowym krześle i patrzył z niechęcią na przybyszów.

– Gdzie jest Carl? – rzuciła Wolańska od progu.

– Kim państwo są, jeśli mogę spytać? – Mężczyzna kończył właśnie kanapkę i kilka okruchów wypadło mu z ust.

– Policja. – Redfern podał legitymację. – Gdzie znajdziemy pana Straussa?

– Odszedł z pracy parę dni temu – mówił głośno portier, jakby był przygłuchy. – Podobno chwilowo zaszył się gdzieś w Kent.

– Gdzie konkretnie? Ma pan adres? – Kinga Wolańska wyrzucała z siebie kolejne pytania.

– Oszalała pani? Skąd mam mieć? Pracuję tu dopiero kilka dni!

– No to koniec podróży – powiedział Redfern zrezygnowany.

Spojrzał na zieloną księgę i coś zaczęło mu świtać. Po chwili zastanowienia zwrócił się do portiera:

– Proszę zadzwonić do pana Andrews.

– Do kogo?

– Do waszego nauczyciela historii – wyjaśnił inspektor.

– Pan oszalał? – obruszył się mężczyzna.

– Oszaleję, jak nie zadzwoni pan do Andrews i nie spyta o adres Carla Straussa.

Starszy mężczyzna sięgnął niechętnie do szuflady biurka i wyciągnął z niej gruby adresownik. Przekartkował go i znalazłszy odpowiednią pozycję, wybrał ją na cyferblacie telefonu stacjonarnego.

– Pan Andrews? Dobry wieczór, Stan Bucher z tej strony. Tak, z Gordon's School. Nie, nic się nie stało. Jest u mnie policja... – Przekazał słuchawkę Redfernowi, który w kilku słowach przedstawił mu, o co chodzi.

– Wiem, że kupuje pan dom od Carla Straussa. Czy pamięta pan adres?

Redfern gestem pokazał portierowi, że potrzebuje czegoś do pisania. Staruszek podał mu kartkę z drukarki i pióro.

– Tak? Świetnie! – Przytrzymał słuchawkę ramieniem i zanotował parę krótkich linijek. – Dziękuję!

Czekała ich jazda aż do odległego o sto pięćdziesiąt kilometrów Ramsgate.

Pożegnali zdziwionego portiera i wsiedli do auta. David wyciągnął ze schowka uchwyt do telefonu i przypiął do szyby.

– Jaki jest kod pocztowy?

– CT11 8QA – przeczytała. – Honeysuckle Road.

Redfern przypiął telefon do uchwytu i wpisał kod. Google pokazało prawie dwie godziny drogi. Wciąż czując na sobie wzrok starszego mężczyzny, odjechali z parkingu.

W centrum Woking nawigacja pokazała wypadek. Musieli odbić na ciasną White Rose Lane i przejechać przez Old Woking. David wiedział, że naraża Wolańską, ciągnąc ją do Kent, ale zostawienie jej w domu nie rozwiązywało sprawy. Zapewne sama wsiadłaby do starego forda i pognęła szukać Carla Straussa.

Gdy mijali Poundfield Court, kobieta nagle złapała go za ramię.

– Proszę zjechać na chwilę do mnie – poprosiła. – Muszę coś zabrać.

Redfern nie zapytał co. I tak by mu nie powiedziała. Posłusznie wjechał na parking i nie gasząc silnika, czekał. Kinga wbiegła do mieszkania. Po chwili była z powrotem, ale Redfern nie zauważył żadnego dodatkowego bagażu. Wolańska miała nieprzenikniony wyraz twarzy, więc domyślił się, że chodziło o jakieś kobiece sprawy.

Mieli przed sobą ponad półtorej godziny drogi. Autostrada M25 zaskoczyła ich małą liczbą samochodów. O tej porze powinni trafić na stalową ścianę korka, jednak poza elektronicznymi znakami, które co jakiś czas sugerowały czterdziestkę, nic ich nie spowalniało.

– Wszystko złożyło się w całość – odezwała się nagle. – Tak wiele mi opowiadałam o sobie i dziewczynkach. Pozwoliłam mu się do siebie zbliżyć na tak niebezpieczną odległość.

– Dała się pani zwieść powłóce miłego staruszka – skwitował. – Nikt nie mógł przewidzieć, że portier ma drugie oblicze.

– Przez głupie pragnienie bliskości podałam mu swoją rodzinę na tacy. – Nie przestawała się oskarżać. – Jak wiele takich osób mijamy w swoim życiu? W autobusie, bibliotece, w sklepie na rogu? Jak ich rozpoznać?

– Oni są nie do wytropienia – uspokajał ją Redfern. – Gdy udaje się ich złapać, każdy świadek zeznaje to samo: to był taki cichy i sympatyczny pan, nie, panie oficerze, żadnych kłopotów, zawsze mówił „dzień dobry” i w porę przycinał żywopłot.

Nadciągające od wschodu chmury zamieniły drogę w wodną ślizgawkę i Redfern musiał się skupić na prowadzeniu. Starał się ułożyć w głowie plan. Powinien powiadomić McMahona, dokąd jedzie, a co ważniejsze, powinien zostawić Kingę Wolańską w Woking. Teraz już nie było odwrotu.

– Jest ich więcej – odezwała się nagle.

– Kogo?

– Porwanych dzieci.

– Skąd pani wie?

– Jedna kobieta mi powiedziała. Spotkałam ją przy magazynach. Mówiła, że już parę lat temu znaleźli tam dziecko, a policja ich olała.

Redfern zdał sobie sprawę, o czym Wolańska rozmawiała z bezdomną przy pogorzelsku.

– Pewnie liczyła na napiwek za łzawą historyjkę. Nie wierzyłbym zbyt wiele rewelacjom od squattersów.

– Zawsze jest pan taki cyniczny? – zaatakowała. – Dopuszcza pan czasem do siebie myśl, że ludzie potrafią być zwyczajnie dobrzy?

– Ludzie są z natury źli – odparł zimno. – Kto jak kto, ale pani powinna się już zorientować.

– Zdążyłam się zorientować, że w tych najczarniejszych momentach zawsze znajdzie się ktoś, kto przyjdzie z pomocą. Więc dziękuję, że pan ze mną pojechał, a teraz proszę posłuchać.

Wyciągnęła z torebki telefon, w którym otworzyła odtwarzacz muzyki. Jednak zamiast piosenki Redfern usłyszał przejeżdżającą na sygnale karetkę i szum miasta. Po chwili wnętrze auta wypełnił zachrypnięty zmęczony głos:

– ...dzwonisz po policję?

– Nie, ja tylko... yyy, wyłączam dźwięk...

Szelest materiału kieszeni lekko przytłumił głosy, ale wciąż można było zrozumieć rozmowę.

– No to coś ci powtórzę: tam nie było twojego dziecka. Wiedzielibyśmy, gdyby było.

Redfern słyszał, jak bezdomna grzebie w wózku. W pamięci odszukał moment, w którym wyciągnęła pomiętą gazetę ze zdjęciem Izy i popukała w nie kościstym palcem.

– To dziecko, co to niby miało być twoją córką, było martwe, zanim wybuchł pożar. Pojawiło się tuż przed tą tragedią.

– I nie zgłosiliście tego?!

– A kto by nam uwierzył?! To nie pierwszy raz.

– Jak to? I nikt nic nie zrobił?

– Masz papierosa?

Redfern usłyszał dźwięk dwukrotnie odpalanej zapalniczki i szum wypuszczanej z ust chmury.

– Kiedyś mój przyjaciel poszedł na policję, a jakże – ciągnęła starsza kobieta. – Znaleźliśmy wtedy chłopczyka. Nagusienki jak Jezusek. Żłote włoski, drobnutki taki. Leżał tam... – Głos jej się załamał. – Rączki ktoś mu związał pod kolankami. Cały był posiniaczony. Sinofioletowy. Do końca życia nie zapomnę tego widoku. Przykryliśmy go kocem i wysłaliśmy Stuarta na policję, bo chyba tylko on nie ma kartoteki. Wrócił po godzinie. Prawie kijami go przegnali. Zwyzywali od ćpuna i pijaka i wystawili za drzwi. Pewnie dlatego, że po drodze Stuart spotkał się z flaszką i w takim stanie poszedł na komendę. To było ze trzy lata temu. Pochowaliśmy ich za fabryką.

– Ich?

– Były jeszcze dwie dziewczynki. Jedną znalazłam pod stertą kartonów, w starej drukarni. Szczury zdążyły wyżreć jej oczy. Na ustach miała szminkę, a na paznokciach czerwony lakier. Nie była związana ani nawet posiniaczona. Tylko między nóżkami miała mnóstwo krwi. Wyobrażasz sobie?

Redfernowi zrobiło się niedobrze.

– A ostatnia? – Słyszał niepewny głos Wolańskiej.

– Tu stała się rzecz dziwna, bo po zgłoszeniu przyjechały gliny. Tyle że nic nie znalazły. Ktoś zabrał nawet kartony. Ten pożar też nie był przypadkowy, co to, to nie.

– Pokażesz mi te groby?

– Nie ma czego, kochana. Stara fabryka jeansu runęła na nie w czasie pożaru. Kiedy miasto uprzętnie pogorzeliśko, to Bóg mi świadkiem, że

przywlokę za szmaty samego burmistrza. Choćbym miała za to siedzieć do końca świata – grzmiała.

– Czy wiesz, skąd te dzieciaki były? Kto je tu mógł przynieść?

– Coś ci powiem, dziecinko. Lepiej nie wiedzieć, ale jeśli ułatwi ci to szukanie córeczki, to był tu taki jeden szpenio. Golfista hazardzista. Ćpun emeryt. Niegroźnie pieprznęty. Nikt go tu nie brał na poważnie. Ale kiedy znaleźliśmy tego chłopca, to gadał jak nakręcony, że on wie, kto to zrobił. Że słyszał o tych ludziach, gdy jeszcze był przy forsie. Bogate sukinsyny z Surrey kupowały sobie z Europy Wschodniej dzieciaczki. I nie była to samarytańska adopcja.

– Muszę się z nim zobaczyć!

– Niejeden by chciał. Wisi kasę połowie z nas. Ulotnił się jakiś rok temu i ślad po nim zaginął. Pewnie zajęli się nim wierzyciele.

– Mówił coś jeszcze? Cokolwiek!

– Nie, ale wiem, że grywał w golfa. Znał mnóstwo takich popieprzonych słówek.

Rozmowa ucichła. Redfern oczyma wyobraźni widział, jak Wolańska sięgnęła do portfela i wyciągnęła jakiś banknot.

– Nie chcę forsę – rzuciła kobieta. – Bez niej jestem wolna.

Kinga Wolańska wyłączyła nagranie i Redfern poczuł jej wzrok na sobie.

– Dlaczego pani to nagrała? – zapytał po chwili palącego w przełyk milczenia.

– Wzięłam przykład z najlepszych – odparła i wcisnęła telefon do torebki.

– Co zamierza pan z tym zrobić?

– Sprawdzić.

– To wszystko? – wykrzyknęła. – Pod waszym nosem ktoś gwałci i morduje dzieci, a pan mi zimno oznajmia, że będzie sprawdzał jak jakiś pieprzony robot!

– Właśnie ruszyło śledztwo w sprawie tamtej dziewczynki, ale niech mi pani uwierzy, że ci squattersi to nie anioły. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to był dzieciak jednego z nich. Nie będziemy palić Rzymu, bo jednej bezdomnej coś się przywidziało.

– Pan jest bez serca!

– Nie wykluczam tego – powiedział i zjechał na lewy pas. – Ale powiedzmy, że rewelacje pani znajomej okażą się prawdziwe, że istnieje

jakaś szajka, która kupuje albo porywa dzieci i stręczy je. Jak pani myśli, co się stanie, jeśli nagłośnimy sprawę? Co robi ta rzekoma mafia?

– Nie wiem.

– My też nie. Dlatego potrzebna jest precyzja i sprawdzenie każdego tropu, zanim odpalimy lont. I choć wydaje się to pani czystym skurwysyństwem, to tylko działając na zimno, możemy pomóc tym dzieciakom. Jeśli są jakieś dzieciaki.

Do samego Ramsgate żadne z nich już nie otworzyło ust.

Miasto miało tak ciasną zabudowę, że Redfernowi trudno było uwierzyć, że ktoś mógłby przemknąć przez nie niezauważonym. A już na pewno nie mógł przetrzymywać dziecka. Dopiero gdy zobaczył wciśnięty za mały blok domek, uwierzył, że jednak to możliwe. Szeroki podjazd oddzielony szpalerem tui dawał osłonę przed wścibskimi oczami.

Redfern nawrócił i zostawił auto pod restauracją, którą mijali, skręcając w Honeysuckle Road. Mimo ścisłu miasto wydawało się wymarłe. Idąc chodnikiem, nie spotkali żywej duszy. Gdzieś w oddali słyhać było muzykę.

Wolańska przystanąła i wyciągnęła coś z torebki, co natychmiast zginęło w kieszeni jej płaszcza. Redfern poczuł, że jego krew wrze. Szybkim krokiem podszedł do kobiety i syknął rozjuszony:

– Skąd pani to ma?

– Nie pański interes – fuknęła i ominęła go szybkim krokiem.

– Proszę mi to natychmiast oddać! – Wyciągnął w jej stronę dłoń.

Wolańska patrzyła na nią z niechęcią, ale wreszcie uległa pod naporem wściekłego wzroku inspektora i położyła na niej pistolet. Redfern schował go do kurtki, upewniwszy się, że nikt tego nie widział. Targały nim jednocześnie złość i zadowolenie. Gdyby nie pozwolił matce dziecka pojechać ze sobą, to niechybnie zastrzeliłaby Carla Straussa z nielegalnej broni. Nawiedziła go myśl, że jednak powinien był zadzwonić, jeśli nie do McMahona, to chociaż do Puszki.

Dom Straussa był przerobionym bliźniakiem. Symetryczny, z ciemnej cegły, witał przybyłych dwiema bramami garażowymi. Pod osłoną mroku zbliżyli się do rogu budynku. Gdy tylko podeszli, automatyczna lampa zdradziła ich położenie. Całą okolicę zaalarmował pies.

– Floppy! Floppy, zamknij się! – usłyszeli kobiecy głos. – Kto tam?

– Pani Strauss? – Kinga improwizowała. – Nazywam się Wolańska i jestem przyjaciółką pani męża.

Pies nie przestawał ujadać i w bloku obok zapaliło się kilka świateł.

– Nie znam pani. Proszę odejść!

– Niech pani otworzy! – ostro powiedział Redfern i dodał: – Policja!

W drzwiach zobaczyli staruszkę w nocnej koszuli i bawełnianym czepku. Wyglądała jak żywcem wyjęta z dziewiętnastego wieku. W ręku trzymała latarkę, którą celowała teraz w twarz Redferna.

– O co chodzi?

– Szukamy pani męża – wyjaśnił inspektor, mrużąc oczy.

– Carla nie ma. Jest pożar w centrum i pojechał na akcję. Państwo wybaczą, ale muszę nakarmić dziecko.

– Dziecko? – Kinga zrobiła krok naprzód. – Gdzie? Gdzie jest dziecko?

– W łóżeczku, Dorothy. – Zaśmiała się szczerze. – Dobrze, że śpi. Jestem taka zmęczona po porodzie, wiesz?

Najwyraźniej rozmawiali teraz z dwudziestoletnią Judy Strauss, która niedawno urodziła jedno z dzieci. Z Kingi uszło powietrze.

– Pani Strauss, ja muszę wiedzieć, gdzie jest Carl – rzekł Redfern.

– Carl? Oczywiście, moje dziecko! Carl jest w garażu za domem. Zaraz, zaraz. Gdzieś tu miałam klucze – powiedziała i szybko dodała: – Chociaż lepiej mu teraz nie przeszkadzać.

– Proszę tu zostać – nakazał Redfern obu kobietom i ruszył na tyły posesji.

Szczekanie psa było stąd ledwo słyszalne. Redfern chwycił za uchwyt bramy, ale skrzydło nie ustąpiło. Załomotał w nie tak, że blacha zadrżała.

– Carl Strauss? Proszę otworzyć! Policja!

– Nie mam zamiaru – huknął zza drzwi. – Jakim prawem nachodzi mnie policja? I to jeszcze o tej porze!

– Carl, gra skończona. – Wolańska dopadła do drzwi. – Wiem, że Iza jest u ciebie.

– Kinga, to ty? – usłyszeli z wnętrza garażu. – Co ty tu robisz?

– Carl, oddaj mi Izę, błagam! – Rozpłakała się. – Nic od ciebie nie chcę, tylko oddaj mi moje dziecko!

– Kinga, wracaj do domu. Nie mam zamiaru otwierać ani tobie, ani nikomu. To nie jest czas ani miejsce na odwiedzinę – dodał już ciszej.

– Panie Strauss, proszę nie pogarszać swojej sytuacji – krzyknął Redfern.
– Wiemy, że ma pan dziewczynkę!

Za nimi jak duch wyrosła Judy Strauss. Bosy duch. Na wyciągniętej dłoni miała klucz. Kinga zdjęła swój kardigan i okryła nim kobietę. Redfern wziął klucz i powoli otworzył drzwi.

– Popełnia pan błąd! – wrzasnął Strauss.

Pomieszczenie, w którym stali, z pewnością nie było garażem. Mogło raczej służyć za miejsce pracy patologa. Od podłogi po sufit wyłożone było białymi płytkami, które trupim blaskiem odbijały jarzeniowe światło. Wzdłuż ściany stały kuchenne szafki ze zlewem i blatem roboczym, a pośrodku stół.

Carl Strauss stał przed nim umazany krwią. Na rękach, tułowiu i fragmencie czoła miał bordowe rozbryzgi. Na blacie leżało poćwiartowane, obdarte ze skóry ciało. Obrany z mięsa korpus spoczywał po lewej stronie. Nogi i reszta po prawej. Za nim bulgotał wielki gar, z którego unosiła się smrodliwa para wypełniająca pomieszczenie.

– Mówiłem, że to nie pora na odwiedzin, Kinga. – Carl bezradnie rozłożył ręce.

– To niemożliwe! – Kobieta kręciła głową bez opamiętania. – To niemożliwe!

– Uspokój się, kochana – powiedział łagodnie i podszedł do niej.

– Co to, do cholery, jest?! – zapytał Redfern, utkwivszy wzrok w zwłokach.

– Dzik. Sprawiam dzika – oznajmił mężczyzna. – Jest poza sezonem, więc sam pan rozumie... Regulamin...

Redfern miał ochotę rzucić się na niego. Ostatnio coraz częściej adrenalina podnosiła mu nie tylko ciśnienie, ale i rękę. Niezależnie, czy dałby temu upust, czy nie, Iza Wolańska wciąż pozostawała na liście osób zaginionych. Poza krwią porywacza i dywanem, w którym przetrzymywana była dziewczynka, nie mieli nic.

Jak zza grubego muru dotarł do niego głos Wolańskiej, która klęczała na podłodze, zakrywając twarz. Jej cichy szloch zdawał się wypełniać całą okolicę. Redfern nie słyszał już ani ujadania psa, ani muzyki z dyskoteki. W jego zmysły wdzierał się tylko bezradny płacz matki dziewczynki.

Carl Strauss chciał zaprowadzić żonę do domu, ale Judy zamieniła się w słup soli. Stała nieruchomo, wpatrując się w ciemną przestrzeń przy

garażu, jakby scena, która rozgrywała się na jej oczach, zupełnie nie istniała. Mężczyzna wyglądał na zrezygnowanego. Nie zdejmując rzeźnickiego fartucha, podniósł Wolańską i poprowadził w stronę domu, a za nimi niczym automat ruszyła Judy. Redfern podążył za tym makabrycznym korowodem. Jedynym normalnym w tym obrazku był stojący w progu Floppy, patrzący smutnymi oczami na swoich opiekunów. Ogon przypominający antenę samochodową poruszał się nieznacznie bez oznak radości. Redfernowi absurdalnie przypomniały się szkolne czytanki, których bohaterami była trójka dzieciaków: Biff, Kipper i Chip oraz kudłaty kundel o imieniu Floppy. Przywołał jamnika do siebie i pogłaskał po gładkim czarnym łebku, za co pies odwdzieczył się ciepłym liźnięciem.

Kiedy udało się położyć przestraszoną Judy w sypialni, Carl usiłował ich zaprosić na herbatę. Utknęli w tym niezręcznym punkcie korytarza, z którego trudno się wycofać.

– Przepraszam was za to – powtórzył po raz setny. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Powinienem was od razu wpuścić. Wystraszyłem się, przepraszam. Tak bardzo bym chciał, żeby twoja córeczka się znalazła – zwrócił się do Wolańskiej. – Modłę się o to.

– Ja nic innego nie robię – odparła Kinga, siląc się na strzep uśmiechu.



Kinga Wolańska zagryzła wargi i oparła głowę o szybę. Łzy spływały jej po policzkach i kapały na drzwi, zostawiając na plastiku cienką moką smugę.

Po drodze wjechali na stację benzynową. Inspektor zatankował auto i kupił im po hot dogu. Kinga popatrzyła na swojego i wcisnęła do torby. Redfern nie wiedział, co powiedzieć. Cała jej nadzieja, tak nagle wzburzona, legła w gruzach. Nie był pewien, czy powinien zostawić ją teraz samą. Zbliźali się do Woking i musiał szybko podjąć decyzję, co dalej.

Wysadził ją w Old Woking. Półprzytomna wyszła z auta, zostawiając go z kłującym poczuciem winy. W progu mieszkania zobaczył oświetlonego poświatą lampy Bartosza, który potężnym ramieniem przytulił żonę. Po chwili zniknęli we wnętrzu. Redfern nie próbował sobie wyobrazić, jaki dramat przeżywają teraz rodzice dziecka. Wszystkie okna przy Poundfield

Court pogrążone były w ciemnościach, choć te należące do Wolańskich wydały się Redfernowi najmroczniejsze.

Zawrócił toyotę na parkingu i wyjechał w stronę centrum. Gdy wjeżdżał do Maybury, rozdzwonił się telefon. Redfern dał na głośnomówiący. Wnętrze samochodu wypełnił głos Tinneya.

– Co u ciebie? Podobno wypadłeś z komendy jak oparzony. Była z tobą ta Wolańska. To chyba nie był najlepszy pomysł, żeby zabierać ją ze sobą.

– Nawet nie pytaj – sapnął Redfern i zjechał na Princess Road.

– Jasna sprawa – powiedział posterunkowy. – Mam listę osób, które zakupiły kremację w Holy Smoke. Nie jest długa, patrzę na adresy i w Surrey mamy pięć osób.

– OK. Możesz mi to podesłać na maila?

– Zrobi się – odparł, a po zastanowieniu rzucił: – Cholera, tak sobie myślę, że im dłużej nad tym pracujemy, tym bardziej oddalamy się od małej.

– Nie traćmy nadziei – powiedział bardziej do siebie niż do Chrisa. – Podeslij mi zaraz tę listę, OK?

– Spoko. Na razie!

Redfern zaparkował pod domem i wyciągnął z uchwytu telefon, który właśnie oznajmił, że nadeszła wiadomość. Otworzył załącznik i patrzył w ekran, czytając krótką listę w myślach, które w ułamku sekundy przeszły świadomość, że patrzy na nazwisko porywacza. Tym razem się nie mylił.



Zgasił reflektory. Wąska dotąd Parking Way po stu metrach zamieniła się w szutrową, prawie polną drogę. Sprawdził w nawigacji, że do domu Ronalda Rudda zostało jakieś trzysta metrów. Mimo chrzęszczących opon wciąż miał szansę pozostać niezauważony. Zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

Chmura, przez którą przebijali się, jadąc z Kent, prawie go dogoniła i mruzczała w oddali. Wysokie trawy tarosił silny wiatr, gładząc je i tapirując niczym niezdecydowany fryzjer. Na razie nie padało, co Redfern wziął za dobrą monetę.

Brodząc przez łąkę, starał się poskładać wszystkie fakty, ale był pewien tylko kilku rzeczy. Malik Tayyab porwał małą Izę na zlecenie Rudda. Dom Ronalda był idealny do przetrzymywania dziecka – wielki, samotny, otoczony drzewami. Nikt nie mógł usłyszeć ani zobaczyć dziewczynki. Nawet gdyby uciekła, nie miała dokąd biec. Nie licząc siedziby McLarena, nie było tu żadnego innego zabudowania.

Redfernowi brakowało jednak najważniejszego elementu układanki – motywu. Nie potrafił ułożyć klocków, które zostały mu w dłoni. Zupełnie jakby miał przed sobą dwa różne pudełka puzzli, nie mógł połączyć postaci listonosza i prominentnego dziennikarza. Wciąż nie wiedział, gdzie przecięły się ich drogi i do czego miały one prowadzić.

Trzymał się blisko drogi. Potykając się o muldy, raz po raz upadał w rozmokniętą ziemię. Czuł wodę w butach, a jego jeansy, kurtkę i dłonie pokrywało lodowate błoto. W pewnym momencie poślizgnął się i upadł na lewy bok, w który coś mu się wbiło. Ze złością wyciągnął z kieszeni piłkę, którą zwykle rzucał na spacerze Banditowi.

Zbliżał się do linii drzew, przez którą prześwitywał mroczny masyw domu. Tylko w jednym oknie świeciło się światło, rzucające nikłą poświatę na stojące na ogromnym placu dwa samochody – astona martina i srebrne mondeo bez tablic.

Na klęczkach dotarł do siatki.

W oddali usłyszał tętent. Coś wielkiego niewątpliwie zbliżało się do niego od strony domu. Zanim zobaczył co, przypomniał sobie o monstrualnym psie, którego spotkał przed domem Wolańskich. Chudy pysk przysunął się do siatki i Redfern zobaczył rząd białych zębów.

– Cześć, Dusty – szepnął. – Pamiętasz mnie?

Pies wyciągnął długą szyję, powąchał dłoń Redferna i szczeknął przyjaźnie.

– Dusty? – Na ganku rozbłysło światło, ukazując potężną postać Ronalda Rudda. – Co tam robisz, głupi bydlaku? – Mężczyzna patrzył prosto na Redferna, który wciąż pozostawał w cieniu krzaków.

Inspektor w panice myślał, jak odwrócić uwagę psa. Desperacko sięgnął po spoczywającą w kieszeni piłkę i udał, że ją rzuca, ale wilczarz był za sprytny na tę sztuczkę. Szczeknął jeszcze raz, sprawiając, że Ronald Rudd ruszył w ich stronę. Redfern zdążył wcisnąć się między krzaki i szybkim

ruchem przełożył dłoń z zabawką przez ogrodzenie. Pies wziął ją w zęby i z zadowoleniem poszedł wzdłuż płotu, by nacieszyć się zdobyczą.

– A to sobie siedź – krzyknął Rudd, wrócił na ganek i zatrzasnął za sobą drzwi.

Redfern, nadal zgięty wpół, przemierzył całe ogrodzenie. Zdyszany dotarł do bramy, która, o dziwo, była otwarta na oścież. Przebiegł przez podjazd i przywarł do muru. Nad sobą dostrzegł uchylone małe okno. Zastanawiał się, czy da radę się wspiać, kiedy nagle coś mokrego dotknęło jego dłoni. Przy nogach stał Dusty, domagając się rzutu zabawką. Redfern zamachnął się ze wszystkich sił i rzucił piłkę w stronę wyjazdu. Gdy pies pobiegł za nią, inspektor nie miał czasu na zastanawianie się. Musiał zaufać własnym rękom. Podskoczył, złapał się ramy i wciągnął, uważając, by nie sapać przy tym za mocno.

Po drugiej stronie nie miał się czego chwycić, a ciężar ciała pchał go w dół. Bał się, że upadnie i zaalarmuje Rudda. Wreszcie dotknął czegoś zimnego. Umywalka była śliska, ale dawała jakieś takie podparcie. Miał tylko nadzieję, że jej nie urwie. Po chwili gimnastyki mógł stanąć na nogach.

Wydawało się mu, że stoi w łazience albo pralni. Zrobił kilka kroków do przodu. Było dużo ciemniej niż na dworze i musiał chwilę poczekać, aż wzrok przyzwyczai się do całkowitej ciemności. Szukając wyjścia, zahaczył ramieniem o coś dużego, co zwisało z sufitu. Worek treningowy się zakołysał. Redfern odwrócił się i chciał go zatrzymać, ale zamiast zimnej, gładkiej skóry poczuł lekko ciepły materiał. Spojrzał w górę i miał wątpliwości, czy oczy rzeczywiście przywykły do mroku, w którym rysował się teraz niepokojący kształt. Po chwili był pewien, że z sufitu zwisało ciało starszej kobiety. Redfern nie widział jej twarzy, ale był pewien, że ma przed sobą Ginevrę Rudd, żonę RONALDA, która pracowała w fabryce Porkey Whites. To ją Ron Rudd odwoził do pracy, odwiedzając przy okazji matkę na Poundfield Court, gdzie zaprzyjaźnił się z Wolańskimi.

Podszedł do wyjścia. Nacisnął ostrożnie klamkę i wychynął na ciemny korytarz, na którego końcu przez uchylone drzwi sączyło się światło. Uważając, by drewniana podłoga nie zdradziła jego obecności, krok za krokiem Redfern sunął w tamtą stronę. Nagle jasny prostokąt przeciął cień. Ronald Rudd krzątał się przy blacie, szykując posiłek. Redfern dostrzegł, że

mężczyzna nałożył na dwa talerze, po czym postawił wszystko na tacy i zniknął z pola widzenia. Inspektor usłyszał głuchoe pacnięcie zamykanych drzwi. Musiał wykorzystać ten moment. Odczekał sekundę i skradając się szybko, wszedł do kuchni. Pomieszczenie, typowo dla luksusowych domów, wyposażone było w meble z wyszukanego drewna, wyspę z marmurowym blatem i wysokie stołki. Redfern rozejrzał się za drzwiami, za którymi zniknął Ronald, ale ich nie dostrzegł. Przeszedł za wyspę i dopiero z tego miejsca zobaczył szklany właz w podłodze, także typowy dla tego rodzaju kuchni. Powoli otworzył skrzydło, za którym opadały w ciemność kręte schody. Ryzykując zdradzenie swojej pozycji, Redfern schodził ostrożnie stopień po stopniu. Otoczony omszałymi kamiennymi ścianami miał wrażenie, że jedyne, co słyszy, to swój oddech i serce objające się o klatkę piersiową.

Pełne wilgoci i pleśni powietrze wdzierało się przez nos i osadzało zgniłą warstwą na języku. Redfern wytarł spoconą rękę o kurtkę, zahaczając o spoczywającą w kieszeni broń Wolańskiej. Włożył rękę do środka i chwycił za pistolet, ale nie poczuł się przez to bezpieczniejszy. Przeciwnie. Dotyk zimnej stali obudził w nim to, o czym tak usilnie próbował zapomnieć. Znow pojawił się ten sam chłód i nie miała tu znaczenia temperatura pomieszczenia, w którym teraz stał. Czuł narastający, dziwnie znajomy niepokój, który pełzał pod cienką warstwą skóry jak pasożyt, sprawiając, że robi mu się niedobrze. Znow stał w katedrze Guildford, trzymając przed sobą broń i tym razem także nie mógł uwierzyć, że przyjdzie mu z niej mierzyć do kogoś, kogo, wydawało się, znał.

Gdy zszedł z ostatniego stopnia i włączył latarkę w telefonie, wiedział już, dlaczego właz wyglądał znajomo. Podobną piwnicę pokazał mu kiedyś Adrian Bones w Silver Manor, w rodzinnej posiadłości jego przyjaciela do ścian także były zamontowane półki na wino. Celujące teraz w jego stronę korki zakurzonych butelek sprawiały, że poczuł się jak w składzie amunicji przeciwpancernej. Wrażenie to potęgowały wciśnięte między regały potężne metalowe drzwi. Ledwie słyszalny szept, który zza nich dochodził, drażnił jego zmysły, wysycając mięśnie adrenaliną.

Omiatał słabą latarką pomieszczenie. Nagle natrafił na parę wpatrujących się w niego nieruchomych oczu. Redfern zrozumiał, na co patrzy. Jedną ze ścian ktoś pokrył zdjęciami i artykułami z gazet. Nagłówki krzyczały:

„Pomóż znaleźć Katie”, „500 osób na bruk”, „Strajk P&O”, „Strzelanina w porcie”, „Katie Rudd nie żyje”. Dziesiątki gazet, a prawie z każdej patrzyły oczy Izy. Porwana przed laty dziewczynka miała takie same blond włosy i smutne zielone oczy. Redfern już wiedział, skąd znał tę twarz, i oblał go zimny pot. Musiał działać szybko.

Stawiając ostrożnie stopy na betonowej podłodze, podszedł do stalowego skrzydła i zgasił latarkę. Dopiero teraz zauważył, że drzwi nie całkiem przylegają do futryny. Cienki, rozedrgany klin światła wbijał się w ciemność żółtym sztyletem. Redfern przysunął głowę do szczeliny i nasłuchiwał. Mieszanina wysokich i niskich szeptów utwierdziła go w przekonaniu, że w środku jest poszukiwana dziewczynka. Musiał szybko zdecydować.

Chwilę się wahając, przygotował broń. Wsunął palce w przylgę i jednym szybkim ruchem szarpnął za skrzydło. Widok, jaki zastał po drugiej stronie, sparaliżował go na ułamek sekundy. Zamiast ciasnej betonowej nory miał przed sobą pokój dziecięcy, nieco przestarzały, ale jednak kolorowy i dopracowany. Łóżko, małe biurko, regał z książkami przylegały do pastelowych ścian wyklejonych wesołymi naklejkami. Przy stoliku, na którym Ronald Rudd postawił tacę z kolacją, siedziała Iza Wolańska i piła herbatę z różowego kubeczka.

– Dobry wieczór, inspektorze – dobiegło go z boku. W kącie po prawej stronie siedział Ronald Rudd. Na kolanach miał książkę z rysunkiem małego uśmiechniętego kota. – Spodziewałem się pana, choć przyznam, że jeszcze nie dzisiaj.

– Kto to jest? – Dziewczynka odstawiła kubek i spojrzała pytająco na starego dziennikarza.

– Idź na górę, Izi, i schowaj się, najlepiej jak umiesz – poprosił Rudd. – Bawiliśmy się już tak, pamiętasz?

Dziewczynka skinęła główką i wstała od stołu. Nie odrywając wzroku od Redferna, minęła go ostrożnie. Jej spojrzenie nagle spoczęło na pistolecie i policjant odruchowo schował go za siebie.

– Jeszcze twój Guccio i plecaczek – łagodnie zwrócił jej uwagę Ronald.

Iza posłusznie wróciła i zabrała z łóżka plecak oraz grubego beżowego lwa, który ułożony do snu, czekał przykryty kołdrą. Przystanąła na chwilę, jakby chciała o coś zapytać, ale ponaglona przez Ronalda, wyszła z pokoju. Po chwili słyszeli, jak jej drobne stopy tupią o metalowe stopnie schodów.

– Czekałem na was – oznajmił Rudd i odłożył książkę na mały stolik przy fotelu. – I bardzo liczyłem na to, że to będzie pan.

– To pana wnuczka? – Redfern wskazał głową na pomieszczenie za drzwiami. – Zaginiona Katie Rudd to pana wnuczka? – powtórzył.

– Zabrali mi ją, inspektorze. Tak po prostu. W środku dnia – dodał cicho. – Na plaży podeszła do mnie kobieta i zapytała o pokaz lotniczy Red Arrows, który miał się wtedy odbyć. Odpowiedziałem jej, a gdy się odwróciłem, Katie nie było. – Przerwał i wstał, wspierając się ciężko na rękach.

Redfern ścisnął mocniej broń, ale Rudd tylko przeszedł na koniec pokoju i zaczął bez pośpiechu zbierać naczynia, jakby nic się nie stało.

– Porwali moją Katie, inspektorze. – Westchnął głęboko, jak człowiek, który stracił wszystko. – Porwali i mieli sprzedać jakiemuś arabusowi na wschodzie. Sprzedać jak jakieś rzadkie zwierzę – mówił drżącym głosem. – Chcieli wywieźć ją promem z Dover. Tyle że z dnia na dzień P&O wywaliło na zbity pysk pół tysiąca osób, w tym skorumpowanego przemytnika. Katie stała się bezwartościowa. Pozbyli się jej, a ja zacząłem ich szukać.

Redfern słuchał wszystkiego w największym napięciu, ale wiedział, jak skończy się ta opowieść. Spory jej rozdział znał na pamięć. Dramat Katherine Rudd odbił się mrocznym echem w całym kraju.

– Zacząłem od portu. – Rudd mówił spokojnie, jakby nagrywał audycję na dyktafon. – Dowiedziałem się, że jakiś nadgorliwy glina sprzątnął w porcie jednego z protestujących. To był łącznik. Straciłem nadzieję, że znajdę resztę bandy, byli nie do namierzenia. Przeprowadziłem się tutaj i zupełny przypadek sprawił, że znów natrafiłem na ich ślad. W klubie golfowym doszły mnie słuchy, że można sobie zamówić dziewczyny do towarzystwa. Bardzo młode dziewczyny do towarzystwa, panie inspektorze. Jednorazowe. Trochę to trwało, ale ktoś się ze mną skontaktował. Powiedziałem, czego chcę, wskazałem Iżę, a oni się zgodzili. Zapłaciłem dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

W Redfernie stężała krew. Nie było mowy o pomyłce. To Adrian Bones był tym policjantem, który strzelał w dokach. To on wprawił całą maszynę w ruch. Redfern doskonale pamiętał też sprawę Katherine Rudd, pięcioletniej dziewczynki porwanej w biały dzień z plaży w Bournemouth.

Opiekował się nią wtedy dziadek. Niedługo Anglię obiegła informacja, że pod białymi klifami Dover znaleziono jej zwłoki.

– Co było potem? – zapytał Redfern, walcząc z suchością w gardle.

– Potem? – zapytał Rudd, jakby zaskoczony tym, że ma słuchacza. – Potem ten głupi arabus przyniósł mi ją w umówione miejsce, do Woking Palace. Postrzeliłem go, a później przywiozłem tutaj i tak długo się nim zajmowałem, aż wycharczał, kto stoi za tą całą bandą. Pewnej nocy pojechałem tam z Ginny i poderziliśmy im gardła jak świniom. Podobno nie pójda do nieba.

Inspektor stał zmrożony tym, co właśnie usłyszał. W ułamku sekundy wszystkie puzzle wskoczyły na swoje miejsce, ale obraz, który utworzyły, nie mieścił mu się w głowie. Luksusowy dom na Monument Road, drogie samochody – za wszystko to Muztar Abbasi przelał ludzką krew. Dziecięcą krew.

– Miał pan swoją zemstę – powiedział twardo Redfern. – Dlaczego po wszystkim nie oddał pan Izy rodzicom?

– Chcieliśmy, naprawdę – odparł Rudd wilgotnym głosem i wyprostował się. – Ale nie mogliśmy. Kiedy pojawiła się w naszym domu, stało się jasne, że jest namiastką naszej Katie. Z każdym kolejnym dniem kochaliśmy ją mocniej. Moja żona jednak tego nie wytrzymała.

– To ona podrzuciła list? – zapytał Redfern.

– Tak. – Pokiwał głową. – A dziś postanowiła odejść – dodał. – Może pan opuścić broń, inspektorze. Moja rola się skończyła. – Podniósł ręce nad głowę. – Czy możemy już iść?

Redfern w milczeniu skinął bronią i przepuścił Ronalda Rudda przed siebie. Minęli ciężkie drzwi i zaczęli wspinać się po metalowych stopniach, a ich brzęk tłumiała piwnica. Inspektor jedną ręką mierzył do dziennikarza, drugą wspierał się o poręcz. Gdy Rudd postawił obie stopy na podłodze kuchni, odwrócił się nagle i kopnął Redferna w głowę. Policjant zatoczył się do tyłu i tylko ręka, która wciąż spoczywała na poręczy, sprawiła, że nie spadł. Jednak ten ułamek sekundy pozbawił go możliwości złapania kłapy, która z cichym pacnięciem zamknęła się nad nim. Rudd przekreślił klamkę, zatraskując inspektora w środku. Redfern zbiegł ze schodów, wycelował z broni w drzwi i zakrył ramieniem twarz. Huk niemal go ogłuszył. Tafla rozpadła się z trzaskiem i kawałki szkła odbijały się o stopnie niczym diamenty z zerwanego naszyjnika.

Wspiął się szybko, nasłuchując odjeżdżającego samochodu. Jednak cisza, która go osaczyła, pompowała w krwiobiegu lęk. Jeśli Ronald Rudd nie uciekał, to znaczy, że gdzieś się tu czai.

Redfern wrócił do korytarza, którym wcześniej dostał się do kuchni. Burza zbliżała się coraz bardziej, wysyłając przed sobą swoją świtę. Dudniący wiatr szamotał drzwiami wyjściowymi, wybijając nimi o futrynę mroczny rytm. Inspektor widział, że Rudd opuścił budynek.

Nagle w świetle błyskawicy zobaczył, że w pokoju obok coś się poruszyło. Redfern kopnął drzwi i wpadł do środka, mierząc z broni w każdy kąt. Spod łóżka wystawał beżowy pluszowy ogon, który bardzo powoli zniknął z pola widzenia. Policjant kucnął i jego nos prawie zetknął się z małym piegowatym noskiem. Iza Wolańska przyłgnęła do podłogi i cicho płakała.

– Nie bój się, kochanie – szepnął przyjaźnie. – Jestem policjantem. Poczekaj tu na mnie. Zabiorę cię do mamy, dobrze?

– Dobrze. – Usłyszał pociąganie nosem. Gruby lew zniknął w ramionach dziewczynki.

David wybiegł z pokoju i stanął w wiatrołapie, smagany raz po raz wpadającym do środka deszczem. W jego strugach nie mógł nic zobaczyć. Nie opuszczając broni, zostawił za sobą dom i wyszedł w rozszalałą aurę. Ostrożnie przeszedł na tył budynku, za którym dostrzegł domek dla gości z pozamykanymi okiennicami. Redfern pobiegł w tamtym kierunku. Przywarł plecami do ściany i nasłuchiwał. Nagle spośród miliona uderzających o dach kropel wychwycił szelest. Jednym ruchem otworzył drzwi na oścież, odkleił się od ściany i wpadł do ciemnego pomieszczenia. Rozbłysło światło, które na ułamek sekundy go oślepiło. Gdy wzrok przyzwyczał się od jasności, Redfern zobaczył, że stoi w chatce myśliwskiej. Wyłożone surowymi deskami ściany dźwigały wystawę broni, jaką widział może tylko w Tower of London. W głębi, przed granitowym kominkiem, siedział w fotelu Ronald Rudd i mierzył do niego z obrzyna.

– Musi mi pan coś obiecać, inspektorze – poprosił cicho. – Niech pan tego tak nie zostawia.

– Proszę opuścić broń – rozkazał Redfern, nie słuchając dziennikarza, a gdy ten się nie poruszył, krzyknął ponownie: – Strzelba na ziemię!

– W porządku. – Ronald Rudd wypuścił powietrze z płuc.

Redfern w napięciu patrzył, jak stary dziennikarz się schyla. Powoli, jakby ciężar tej sytuacji przestał być do zniesienia i przygniatał go z każdą sekundą mocniej. Kiedy broń dotknęła miękkiego dywanu, twarz RONALDA RUDDA się rozjaśniła. Wykonał ruch, który zdradził, co zamierza zrobić. Jednak na reakcję Redferna było już za późno.

Potężny huk rozdarł pomieszczenie i Redfern poczuł, że oczy zasnuwa mu ciemność.



Wydawało mu się, że jedyne, co jest w stanie przedrzeć się przez ciszę, to mosiężne wskazówki skrzyniowego zegara, które z chrzęstem odliczały minuty. Redfern skupił na nich całą swą uwagę, by nie odtwarzać ciągle w głowie sceny samobójstwa RONALDA RUDDA. Wciąż walcząc ze skutkami zamroczenia, wziął dziewczynkę za sztywną ze strachu rączkę i poprowadził jak starą chodzącą lalkę na zewnątrz domu. Nie płakała już, wciąż dopytywała się o mamę, pana RONALDA i DUSTY'EGO, który do tej pory się nie pojawił. Usiedli na ganku i czekali, gdy po równinie HORSSELL niósł się przeciągły dźwięk syren.

Łąki mają wspaniałą akustykę, pomyślał Redfern. Dopiero po chwili zobaczył połyskujące niebieskie światła. Wbrew temu, co sugerowało jaśniejsze niebo, prawdziwa burza miała się dopiero rozpętać.

EPILOG

*Padniemy, ale zbudźcie się,
że z tylu różnych dróg przez życie
każdy ma prawo wybrać źle.*

Kult, Bal kreślarzy

Poniedziałek, 18.11.2013, popołudnie

Gazety w całej Europie rozpisywały się o sukcesie małej komendy policji z Woking. Posypały się medale, gratulacje i nagrody. Te ostatnie proporcjonalnie do rangi.

Tylko Redfern wiedział, że ojcem sukcesu jest wyłącznie Christopher Tinney, zwany pieszczotliwie Puską. Gdyby nie jego przyspawane do komórki palce, Iza Wolańska nie siedziałaby w samolocie do Polski wtulona w mamę i małego grubego lwa.

Podczas przeszukania posiadłości dziennikarza odkryto zmasakrowane zwłoki Malika Tayyaba i skrzynkę nabojów firmy Holy Smoke z napisem „Michael Rudd 1970–2003 r.”. Syn Ronalda Rudda zginął wraz z żoną w wypadku samochodowym podczas wycieczki po Stanach Zjednoczonych. Ocalała jedynie Katie, którą zaopiekowali się dziadkowie.

Tylko Redfern wiedział, że Ronald Rudd był na swój sposób bohaterem. Szukając zemsty na zabójcach wnuczki, odsłonił mroczną część miasta, w którą trzeba teraz wejść i ją oczyścić. Inspektor był pewien, że mundur w tej walce będzie mu ograniczał ruchy. Niedawne przesłuchanie w wydziale wewnętrznym utwierdziło go w tym przekonaniu.

Zanim wyjechał spotkanie, usiadł jeszcze na chwilę przy biurku i napisał maila. Próbując dobrać słowa, przyglądał się korkowej tablicy, do której przypiął kilka wycinków ze starych lokalnych dzienników. Twarz małej Katie Rudd zasłoniło zdjęcie, które znalazł na Monument Road parę dni temu. Patrząc na nie, wciąż nie mógł uwierzyć, że roześmiany, obejmujący

Ansara Abbasiego chłopak był zdolny porwać spod domu małą dziewczynkę.

Redfern czuł, że Ansar Abbasi uciekał tamtej nocy przed czymś znacznie straszniejszym niż gniew ojca.

Popatrzył na ekran komputera i nacisnął enter. Opatrzony załącznikami mail pod tytułem „Wypowiedzenie” pofrunął światłowodem.

Siedząc w samochodzie, ustawił nawigację na restaurację That's Amore w West Byfleet. Cieszył się, że udało mu się znaleźć i przeprosić dziewczynę z pubu. Zapowiadał się bardzo sympatyczny wieczór. Kiedy wpinał telefon do uchwytu, mapę zastąpił komunikat o przychodzącym połączeniu. Wpatrując się przez chwilę w wyświetlane imię, Redfern zastanawiał się, co powinien zrobić. Skoro on czekał tyle czasu, to Marta też może zaczekać, pomyślał i nacisnął czerwoną słuchawkę.

PODZIĘKOWANIA

Może to wydać się zaskakujące, ale *Punkty zapalne* powstały, zanim w ogóle pomyślałam o *Maskach pośmiertnych*, przez co wymagały dużo więcej nakładów pracy. Dlatego też w pierwszej kolejności pragnę podziękować moim nieocenionym redaktorom: Adrianowi Tomczykowi i Aleksandrze Deskur, z którymi przebrnęliśmy przez niepotrzebne wątki, nadmiar znaków, niedobór wyjaśnień i literówki wszelakie.

Następnie kłaniam się Tobie, Czytelniczko i Czytelniku, że wszedłeś do świata inspektora Davida Redferna, śledziłeś jego poczynania, by wreszcie gonić z nim po Woking (i nie tylko!) i dopaść złoczyńcę.

Wszystko to nie wydarzyłoby się, gdyby nie pomoc i miłość moich najbliższych – Leny i Pawła, którzy uskrzydłają, wierzą i motywują do działania jak nikt na świecie! Jestem ogromną szczęściarą, że Was mam! Kocham Was!

Dziękuję także Przyjaciołom, którzy są przy mnie od lat, a których pozwolę sobie wymienić: Asiulka Musiał, Štefan Sližka, Sylwia i Krzysztof Pacierpnikowie, Agata i Marcin Borkowscy, Kama i Tomek Chowańcowie, Asia i Witek Tobołowie, Milena Hama Rahim, Gosia Świącicka oraz moi Rodzice, których nijak nie mogę oddzielić od tej grupy, bo są moimi przyjaciółmi.

Osobny przytułak dla Przyjaciela Najlepszego z Najlepszych, Adriana Kościelaka – za wiarę, entuzjazm, pomoc, braterskie rady, każdy telefon oraz najpierwszy wieczór autorski!

Podziękowania ślę do moich wspaniałych kolegów po piórze, na których zawsze mogę liczyć. Robertowi Małeckiemu za bezcenne rady i wielkie wsparcie, kiedy znaki nie chciały płynąć. Marcie Matyszczak dziękuję za okazaną serdeczność, wskazówki i drogowskazy, ciepłe pogaduchy oraz

napawanie optymizmem. Dziękuję także Markowi Stelarowi, który sprawił, że zaczęłam wierzyć we własne siły. Kochani, rozliczamy się jak zawsze ;)

Na koniec ściskam serdecznie ludzi, którzy pojawili się w tym trudnym czasie pandemii i okazali tyleż niesamowite, co niespodziewane wsparcie: Kamila Kowalska (Ten Notatnik, ach!), Joanna i Marcin Żyndowie, Agnieszka Graca, Kasia i Maja Sosnowicz (Wasz trailer wciąż wywołuje we mnie wzruszenie, Dziewczyny!), Anna Czupioł, Maria Olecha-Lisiecka, Hubert Gliński, Bartosz Soczówka, Jarosław Czechowicz, Leszek Koźmiński, Robert Ostaszewski oraz cała ekipa Polonia UK. Jesteście cudowni!

SPIS TREŚCI

PROLOG

Piątek/sobota, 01/02.11.2013, noc

ROZDZIAŁ I

Sobota, 2.11.2013, popołudnie

Sobota, 2.11.2013, wieczór

Niedziela, 3.11.2013, rano

Niedziela, 3.11.2013, wieczór

ROZDZIAŁ II

Poniedziałek, 4.11.2013, rano

Poniedziałek, 4.11.2013, popołudnie

Poniedziałek, 4.11.2013, wieczór

Wtorek, 5.11.2013, rano

Wtorek, 5.11.2013, południe

Wtorek, 5.11.2013, popołudnie

Wtorek, 5.11.2013, wieczór

ROZDZIAŁ III

Środa, 6.11.2013, rano

Środa, 6.11.2013, popołudnie

Środa, 6.11.2013, wieczór

Czwartek, 7.11.2013, rano

Czwartek, 7.11.2013, popołudnie

Czwartek, 7.11.2013, wieczór

ROZDZIAŁ IV

[Piątek, 8.11.2013, rano](#)

[Piątek, 8.11.2013, popołudnie](#)

[Piątek, 8.11.2013, wieczór](#)

[Sobota, 9.11.2013, rano](#)

[Sobota, 9.11.2013, popołudnie](#)

[Sobota, 9.11.2013, wieczór](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[Niedziela, 10.11.2013, rano](#)

[Niedziela, 10.11.2013, popołudnie](#)

[Niedziela, 10.11.2013, wieczór](#)

[Poniedziałek, 11.11.2013, rano](#)

[Poniedziałek, 11.11.2013, popołudnie](#)

[Poniedziałek, 11.11.2013, wieczór](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[Wtorek, 12.11.2013, rano](#)

[Wtorek, 12.11.2013, popołudnie](#)

[Wtorek, 12.11.2013, wieczór](#)

[Wtorek, 12.11.2013, noc](#)

[Środa, 13.11.2013, rano](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[Czwartek, 14.11.2013, rano](#)

[Czwartek, 14.11.2013, popołudnie](#)

[Czwartek, 14.11.2013, wieczór](#)

[EPILOG](#)

[Poniedziałek, 18.11.2013, popołudnie](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)